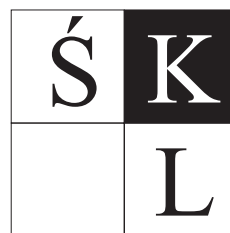


ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI



KIELCE 2013 NR 3-4 (41-42)

ISSN 1429-849-X

NAGRODZONY PRZEZ MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO



Leszek Wawrzyk: *Pragnienie wolności*, wym. 90 x 70 cm, olej na płycie



LESZEK WAWRZYK urodził się 20 sierpnia 1954 roku w Chmielniku. Ukończył Studium Kulturalno-Oświatowe w Warszawie. Uprawia malarstwo i rysunek, reprezentant nurtu surrealistycznego*).

Przygodę z malarstwem rozpoczął w 1980 r. Dwukrotnie zajmował pierwsze miejsce w przeglądach Wojewódzkiego Domu Kultury w Kielcach.

Brał udział w wielu wystawach, m.in. Warszawie, Łodzi, Tarnowie, Sandomierzu i w Niemczech – Essen i Berlinie.

Jego prace znajdują się w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą.

W twórczości Leszka Wawrzyka można dopatrzeć się świadomego czerpania tematów z dorobku i ideologii nadrealizmu. Widzimy szokujące zestawienia nieprzystających do siebie przedmiotów i zjawisk, upodobanie do niezwykłości, cudowności i erotyzmu, kult rzeczy tandetnych i bezużytecznych oraz operowanie rzeczami gotowymi i wytworzonymi przez naturę.

W pracach artysty przejawiają się rozmaite wątki: bezpardonowa walka z wszelkimi stereotypami, skostniałymi regułami i dogmatami artystycznymi, duch rewolty i nonkonformizmu, nonszalancja w zakresie formy, a także nastawienie na przekazywanie treści symbolicznych o uniwersalnym znaczeniu.

*) **Surrealizm** (zwany także nadrealizmem) – kierunek w sztuce powstały w 1924 we Francji, początkowo występujący wyłącznie w literaturze, później w sztukach plastycznych, filmie i teatrze. W założeniach miał to być bunt przeciw klasycyzmowi, realizmowi, empiryzmowi, racjonalizmowi, utylityzmowi i konwencjom w sztuce. W malarstwie założeniem surrealizmu było „wyrażanie wizualne percepcji wewnętrznej”. Artyści starali się wykreować obrazy burzące logiczny porządek rzeczywistości. Często były to wizje groteskowe, z pogranicza jawy, snu, fantazji, halucynacji, a odsunięte od racjonalizmu. Celem ich działania było zbadanie sfery nieświadomości, uważali bowiem, że człowiekiem rządzą siły niezależne od jego świadomego „ja” – surrealiści zafascynowani byli hipnozą, pismem automatycznym, mediumizmem. Przypisywali ogromną rolę niepojętej wyobraźni. Pragnęli odnajdywać i kultywować cudowność, a także dramatyzować nawet pozornie zwyczajne wydarzenia. Duże znaczenie ma dla nich także element zaskoczenia, absurdu i nonsensu. Przedstawicielami tego nurtu w malarstwie byli m.in. Salvador Dali, Giorgio de Chirico, Max Ernst.

ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1429-849-X

KIELCE 2013 NR 3-4 (41-42)



Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach

Adres redakcji: 25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5

**Numer przygotowany dzięki finansowej pomocy
Samorządu Województwa Świętokrzyskiego
przy współdziałaniu Oficyny Wydawniczej „STON 2”
oraz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach**

Redaguje Zarząd Kieleckiego Oddziału ZLP
STANISŁAW NYCZAJ – prezes, redaktor naczelny
BOGUSŁAW PASTERNAK – członek Zarządu, KAZIMIERA SZCZYKUTOWICZ – skarbnik,
ANDRZEJ PISKULAK – sekretarz, WŁADYSŁAWA SZPROCH – wiceprezes
oraz KRYSZYNA CEL, JAN LECHICKI

Korekta: IRENA NYCZAJ
Opracowanie komputerowe: PAWEŁ NYCZAJ

Redakcja dziękuje autorom za nieodpłatne przekazanie utworów i artykułów do publikacji.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych; zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów,
a także zamieszczania fragmentów dłuższych utworów.

Zdjęcia niepodpisane pochodzą z archiwum „SKL”.

OD REDAKCJI

List – apel do mediów	5
List od Barbary Wachowicz.....	6

Z TRADYCJI

H. Morawski: Powstańcy styczniowi i ich dowódca płk Dionizy F. Czachowski w świetle literatury, dokumentów i wspomnień	8
--	---

WSPOMNIENIA

O Ryszardzie Mierniku	
H. Jachimowski	16
A. Ochwanowski.....	17
O Edmundzie Niziurskim	
S. Nyczaj.....	19
O Bogdanie Betzu	
H. Jachimowski	21
S. Nyczaj.....	22

ROZMOWY

Rozmowa A. Piskulaka z E. Zymanem	24
---	----

WYDARZENIA

Spotkania nad Wilią	
B. Kozieł: XIII Światowy Dzień Poezji na Wileńszczyźnie.....	28
I. Stopierzyńska-Siek: Wieczór autorski w Wilnie.....	30
W. Szproch: Benefis serialu <i>Czarne chmury</i>	31
Nasze Plenery Literackie	
S. Nyczaj: Przedwiośnie w Kołobrzegu-Podczelu	35
T. Nietyksza: O plenerze w Kazimierzu Dolnym.....	38
S. Nyczaj: Piąte staszowskie lato literackie.....	40
I. Paździerz: Kaczki w Staszowie.....	44
T. Nietyksza: Słoneczne Międzywodzie	44

TWÓRCZOŚĆ

Z. Antolski: Sponsor	48
S. Bartos: Wiersze	50
P. Bednarski: Wiersze	51
R. Bielenda: Wiersze	51
A. Błachucka: Sonety	52
A. Borowicz: Wiersze	53
K. Cel: Wiersze.....	54
R. Czerniawska-Karcz: Wiersze	55
J. Chruśliński: Fragment powieści (z komentarzem A. Piskulaka)	56
A. Fornal: Wiersze	60
A. Gnarrowski: Wiersze.....	61
E. Jach: Limeryki, aforyzmy, fraszki	62
M. Jedlecki: Wiersze	62
H. Jachimowski: Kolędy i pastoralki	63
S. Jurkowski: Wiersze	67
G. Jusiega: Wiersz	68
B. Kępińska: Zaradna (fragment powieści)	68
A. Klonowska: Kiduszowy kubek (opowiadanie).....	70
B. Kocela: Wiersze.....	73
Z. Korzeńska: Wiersze	73
K. Kupiec: Wiersze	74
D. Kwoka: Wiersze	75
J. Lechicki: Wiersze, limeryki.....	76

Z. Leoniak: Prometeusz i Sobaka (opowiadanie).....	78
M.A. Łyp: Wiersze	80
M. Maciejczyk: Wiersze.....	81
M. Mazur: Wiersze	81
H. Morawski: Wiersze	82
E. Musiał: Ars moriendi... (fragmenty poematu)	83
T. Nietyksza: Wiersze	84
B. Jurkowska: Wiersze	86
A. Nawrocki: Wiersze	86
S. Nyczaj: Wiersz	87
T.E. Opoka: Żona psychopaty (fragment powieści).....	88
B. Pasternak: Wiersze	90
A. Patey-Grabowska: Wiersze	91
I. Paździerz: Okno (opowiadanie).....	91
A. Petruszewicz: Ucieczka (fragment opowiadania)	95
A. Piskulak: Mój poetycki tysiącletni kręgosłup duchowy.....	97
U. Przyboś: Wiersze	99
W.M. Rak: Haiku	100
J. Rychner: Meandry losu (fragment powieści)	101
B.M. Sierakowska: Wiersze	103
D. Skalska: Przebudzenie (opowiadanie)	104
M.A. Spychaj: Karuzela luster (opowiadanie)	106
K. Stawiarski: Wiersz (z komentarzem A. Piskulaka)	107
I. Stopierzyńska-Siek: Wiersz	107
K. Szczykutowicz: Wiersze.....	108
W. Szproch: Wiersze	110
Z. Walas: Wiersze.....	111
M. Wawrzekowicz: Wiersze	112
M. Węgrzynowicz-Plichta: Wiersze	113
M. Włodno: Wiersze	114
A. Zielińska-Brudek: Wędrownka w nieznanie (opowiadanie)	115
I. Zielińska-Zamora: A Kobieta chodzi... (opowiadanie)	119
E. Zyman: Limeryki	122
M. Zynger: Wiersze.....	123
I. Żukowska-Rumin: Wiersze	124

ESEJE — SZKICE — RECENZJE

M. Kątny o książkach E. Niziurskiego	125
T. Stolarski o twórczości H. Jachimowskiego.....	128
E. Musiał o R. Śliwoniku	132
B. Gajewska o tomiku J.W. Miszteli.....	134
K. Cel o książkach: Z. Gordzieja (136), P. Kuszczyskiego (137), B. Piasty (138), J. Przeździeckiego (139)	
S. Nyczaj o książkach: Z. Osińskiego (140), E. Musiał (142)	
R. Koziej o powieści G. Kozery.....	144
Wywiad R. Kozieja z A. Błachucką i głos w dyskusji Z. Korzeńskiej..	145
B. Gumowski: Życie zatoczyło koło (reportaż)	148
J. Jermak o książce L. Wojnakowskiego.....	151
J. Tulik o tomiku D. Kwoki.....	152
Nowy tom z Kossakowskiej serii	153
L. Żuliński o tomiku K. Szczykutowicz.....	154

NOTY

Ł. Wojtczak: Skarby biblioteki Sienkiewiczowskiej.....	155
B. Kozieł: Słowiańskie objęcia	159
D. Kwoka: Benefis Włodzimierza Kłaczyńskiego	160

List – apel do mediów



Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach

ul. Zamkowa 5, 25-009 Kielce

Telefony: prezes 412433504 lub kom. 500602111,

wiceprezes 413310275, kom. 609769571

sekretarz 413001483, kom. 662088008

skarbnik 660076521

Konto: PKO BP I O/Kielce

94 1020 2629 0000 9202 0121 7363

Kielce, 4 października 2013 r.

W trosce o zachowanie dotychczasowego imienia kieleckiego teatru

Ziemia świętokrzyska, zwana żeromszczyzną i powszechnie ze Stefanem Żeromskim kojarzona, ma teatr zawodowy imienia swego literackiego patrona, jaki winien ją rozślawiać, podobnie jak czynił to swymi dziełami i publicystyką sam patron. I stało się szczęśliwie, że ziemia ta, nasza mała ojczyzna, dziś przecież ucywilizowana, spełnia Jego piękną ideę „szklanych domów”. I znowuż szczęśliwie nastąpił Jego duchowy powrót do krainy dzieciństwa i młodości dzięki wzniesieniu w Ciekotach edukacyjnego Szklanego Domu obok dworku-muzeum zbudowanego na wzór dawnego, z jakiego wyszedł w szeroki świat.

Zdaniem pisarzy świętokrzyskiego regionu skupionych w Związku Literatów Polskich – będącym kontynuatorem tradycji Związku Zawodowego Literatów Polskich założonego z inicjatywy Stefana Żeromskiego 14 maja 1920 r. podczas Zjazdu Literatów Polskich w Warszawie (zob. Wikipedia) – obecnie chodzi wyłącznie o to, żeby nasz kielecki teatr był artystycznym poziomem swego dotychczasowego imienia godny. A takim będzie również nadal, gdy powiedzie się ambitny pomysł jego dyrektora: festiwalu sztuk Sławomira Mrożka. Godny bez naruszania patronackiego *status quo*.

W imieniu Zarządu

P R E Z E S
Oddziału ZLP w Kielcach
Stanisław Nyczaj
Stanisław Nyczaj

List od Barbary Wachowicz

Zakopane, 21 października 2013

Barbara Wachowicz
Ul. Zamenhofska 8 m. 7
00-160 Warszawa
Tel. 22 831 64 20, 609 317 951
Tel. Biuro 22 635 29 24
e-mail: spotkania-arsenalwarszawa@tlen.pl
www.barbara-wachowicz.pl

Sejmik i Zarząd Województwa Świętokrzyskiego
Wielmożny Pan Marszałek Województwa Świętokrzyskiego
Adam Jarubas
Wielmożny Pan Przewodniczący Sejmiku
Tadeusz Józef Kowalczyk
Wielmożny Pan Dyrektor
Departamentu Promocji, Edukacji, Kultury, Sportu i Turystyki
Jacek Kowalczyk

Szanowni Państwo,

Mieszkańcy Kielc i przedstawiciele Związku Literatów Polskich przesłali mi wiadomość o pomysły dyrektora Teatru im. Żeromskiego, ubiegającego się o zmianę patronatu Autora „Syzyfowych prac” na patronat autora „Emigrantów”. Zmiana ta – wedle deklaracji dyrektora – ma spowodować wybuch zainteresowania teatrem całej intelektualnej Europy, która pielgrzymować będzie do Kielc na spektakle prezentujące utwory nowego patrona.

Szanowni Państwo,

Nie znam dotychczasowych osiągnięć scenicznych dyrektora, nie zauważyłam, by teatr kielecki przezeń prowadzony wpisał się znacząco na artystyczną mapę Polski.

Pamiętam natomiast świetne, odkrywcze, rewelacyjne przedstawienie „Róży” Stefana Żeromskiego, zaprezentowane na scenie teatru jego imię noszącego, znaczącego dnia – 11 listopada 1978 roku w sześćdziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości. Był to – jak pamiętamy – czas, gdy nikt w Polsce tego dnia nie honorował.

Przedstawienie kieleckie ukazywało wstrząsającą aktualność dzieła Żeromskiego, marzącego,

by nadszedł dzień, gdy „ocknie się serce w niewdzięcznym polskim plemienu”.

Ten wspaniały spektakl i reakcja publiczności, która u finału powstała, by uczcić spontaniczną minutą milczenia bohaterów o wolną Polskę walczących – to jedno z największych przeżyć teatralnych mego życia.

A jeszcze był na tej scenie znakomicie zrealizowany „Hamlet” i urzekający, barwny, roztańczony „Kram z piosenkami”. To pamiętne przedstawienia z czasów kadencji dyrektora Henryka Giżyckiego, który zawsze pamiętał, że obok Kielc mieszka rodzina najbliższa Henryka Sienkiewicza i nigdy nie zapominał, by jej przedstawiciele na premiery zaprosić.

Jak dalece dzieło autora „Przedwiośnia” jest do dziś przez rodaków cenione świadczy fakt – o którym przypominam – iż w ankiecie „Polityki” sugerującej wybór największych pisarzy polskich XX wieku Stefan Żeromski zajął drugie miejsce tuż po autorze „Trylogii”.

Mam szansę obserwować żywotność dzieł autora „Syzyfowych prac”, gdyż od prapremiery w Łazienkach Królewskich (2006) moja wystawa „Reduta Żeromskiego” wędruje nieustająco po Polsce ciesząc się niezmiennie rekordową frekwencją. Ostatnio (w maju 2012) prezentowana

była w Zakopanem (które wszakże przyznało Żeromskiemu w 1918 roku zasłużony tytuł Prezydenta Rzeczypospolitej Zakopiańskiej), a także w Siedlcach – rodzinnym mieście pani Barykowej z „Przedwiośnia”. Niezwykle ważnym jest fakt, że w widowisku biograficznym otwierającym ekspozycję młodzież z zapałem i entuzjazmem wciela się w bohaterów z epoki „Syzyfowych prac” i bierze udział w licznych konkursach na temat twórczości Żeromskiego, które zawsze naszej wystawie towarzyszą.

Ciekawa jestem, jak zareagowali uczniowie i pedagodzy Liceum im. Żeromskiego w Kielcach na temat planowanej banicji Patrona?

Pozwalam sobie załączyć Państwu znamienne głosy ich kolegów ze znakomicie pracującego Liceum im. Żeromskiego w Warszawie, które mówią wyraziście co dzisiaj nasza młodzież – wrażliwa, mądra i odpowiedzialna – sądzi o spuściźnie Żeromskiego.

Jan Lechoń w swych bezcennych „Dziennikach” pisze o „głupim, śmiesznym polskim snobizmie”, nieuznającym wielkości naszej literatury takich jak Mickiewicz, Wyspiański, Sienkiewicz i „święty w swym ogniu” Żeromski.

Właśnie taki przykład snobizmu prezentuje pomysł dyrektora teatru, który ma zmienić Patrona – wielkość ojczystej literatury – na dramaturga, którego twórczość murszeje w miarę zmiany realiów politycznych, w jakich powstawała i do jakich nawiązuje.

Szanowni Państwo,

Ostateczna decyzja należy wszakże do Was. To Wy finansujecie działania teatru i macie pełne prawo zmienić nie Patrona, ale dyrektora, o co apelują Kielczanie.

Pozwalam sobie przytoczyć słowa Pana Marszałka Adama Jarubasa, którymi był łaskaw wzbogacić moją książkę „o najściślejszej ojczyźnie” – Stefana Żeromskiego.

Pisze Pan Marszałek: „Historia i tradycja odgrywają w życiu każdego narodu ogromną rolę – przesądzają o sile kraju oraz tożsamości narodowej jego obywateli. Ogromnie cenię wszelkie działania na rzecz pielęgnowania i zachowania tradycji regionalnej. Jesteśmy dziećmi Świętokrzyskiej Ziemi. Miłość do niej inspirowała wszystko to co osiągamy i czego pragniemy. Każdy człowiek szuka swojego miejsca na ziemi. Naszą arkadią

jest Ziemia Świętego Krzyża, który od tysiąca lat promieniuje wiarą, tradycją i mądrością”.

Żywimy nadzieję iż „promieniując tradycją i mądrością” nie dopuścicie Państwo do odebrania Stefanowi Żeromskiemu patronatu Teatru w mieście, o którym marzył, by „opromienić jego mury blaskiem swego imienia”.

Nie pozwólcie by ten blask zamienił się w cień.
Z wyrazami szacunku

Barbara Wachowicz

Bez zmiany

Pod takim nagłówkiem zamieszczona została w „Echu Dnia” (nr 43 z 25 X 2013) oficjalna informacja w opr. /bb/: „Kielecki teatr pozostał z imieniem Żeromskiego. Po zapoznaniu się z argumentami stron oraz przeprowadzeniu konsultacji społecznych, w tym m.in. wysłuchaniu opinii przedstawicieli świętokrzyskich środowisk twórczych, marszałek Adam Jarubas uznał, że Zarząd Województwa Świętokrzyskiego nie będzie podejmował kroków, prowadzących do zmiany patrona kieleckiego teatru dramatycznego. – Nie jest wolą i rolą moją, ani też Zarządu Województwa, rozstrzygać, czy dorobek twórczy: Stefana Żeromskiego czy Sławomira Mrożka jest ważniejszy. Nie ma żadnych uzasadnionych argumentów, by to zmieniać. Należy natomiast pamiętać, że przywiązanie do historii i tradycji to podstawa funkcjonowania społeczeństw – podkreśla Adam Jarubas”. Decyzja Pana Marszałka kończy dyskusję.

Przyjął ją jako rozstrzygającą dyrektor teatru Piotr Szczerski.



Fasada kieleckiego teatru

Rys. Irena Nyczaj

Henryk Morawski

Powstańcy styczniowi i ich dowódca płk Dionizy F. Czachowski w świetle literatury, dokumentów i wspomnień (w 150. rocznicę zrywu narodowego)

*Wstań Polsko, z tego co nazywają grobem Twoim –
ja wiem, że to Twoja kolebka.*
(*Lamennais – pisarz francuski, przyjaciel A. Mickiewicza*)

Wprowadzenie

W br. przypada 150. rocznica wybuchu wielkiego zrywu niepodległościowego, Powstania Styczniowego. Sam wybuch (22 stycznia 1863) poprzedziły liczne manifestacje, protesty i żądania ludności skierowane przeciwko władzom carskim, nasilającym różnorakie represje wobec Polaków (aresztowania, przemoc, tzw. „branka”). Społeczeństwo domagało się większych swobód obywatelskich, a szczególnie ostro zaprotestowało właśnie przeciwko „brance” młodych obywateli polskich do armii carskiej, co miało wyeliminować najbardziej patriotyczną i radykalną część społeczeństwa, tj. młodzież i studentów, z udziału w powstaniu.

Styczniowy zryw wolnościowy miał bardzo szeroki zasięg terytorialny. Obok centrum (Warszawa i okolice) obejmował liczne regiony Rzeczypospolitej, takie jak: Krakowskie, Świętokrzyskie, Ziemię Radomską, Lubelszczyznę, Podlasie, Piotrkowskie, a nawet część obecnej Litwy, Białorusi i Ukrainy. Powstańcy byli znacznie gorzej uzbrojeni od wroga i znacznie mniej liczebni – a mimo to toczyli zażarte bitwy i potyczki z przeważającymi siłami zaborców. Śpiewano przecież o nich: „Poszli chłopcy w bój bez broni”, chociaż wiele z tych starć bojowych zakończyło się ich zwycięstwem. Atutami Polaków były wszak żarliwy patriotyzm i bohaterska postawa w walkach, a także mądra strategia dowódców, którzy wielokrotnie kąsali wroga i wychodzili cało z opresji, wykorzystując lepszą znajomość terenu. Po wielu miesiącach walk powstanie jednak dogorywało. Ale przelana w nim hekatomba krwi polskiej nie poszła na marne.

Bezkompromisowe boje z Moskalami sprawiły, że zarysowała się mocniej tożsamość narodu Polaków. Powstańcy przekazali następnemu pokoleniu Norwidowskie przesłanie, że: „Polska – to wielki zbiorowy obowiązek”, z którego wynika czytelny nakaz, że bić się o niepodległość trzeba aż do zwycięskiego końca. Dwadzieścia lat później uświadomił to narodowi noblista, Henryk Sienkiewicz, pisząc *Trylogię* i inne dzieła z przesłaniem: „ku pokrzepieniu serc”.

Literatura polska (Sienkiewicz, Konopnicka, Orzeszkowa, Wyspiański, Żeromski i in.) skutecznie rozbudzała ducha narodowego. Nie odnosiły zamierzonego skutku ostre represje, bo np. *Trylogia* – ku przerażeniu zaborców (i to we wszystkich trzech zaborach) – stała się wręcz biblią narodową.

Upragniona niepodległość przyszła dopiero w 1918, a więc po 123 latach niewoli. Nic więc dziwnego, że w odrodzonej Polsce już w latach międzywojennych uroczystości oddawano hołd żołnierzom kolejnych powstań, którzy padli w nierównym boju, ale którzy „Polsce zginąć nie dali” – i tysiącom zesłańców skazanych na Sybir.

Obrazy bohaterskich zmagania z rosyjskim zaborcą

Już jako dziecko wiedziałem z przekazów rodzinnych, że Dionizy F. Czachowski urodził się w majątku jego rodziców, czyli w pobliskim Niedabyłu, położonym zaledwie 2 km od jego rodzinnego Stromca. I że był ochrzczony w stromieckim modrzewiowym kościele, poprzedzającym obecny: czwarty w historii. Kościoły te funkcjonowały w tej bardzo starej osadzie i parafii już 770 lat (od r. 1242).

Ponadto w czasie chłopięcych zabaw w partyzancką „wojnę” w olszynie koło parafialnego cmentarza w Stromcu, widziałem na tzw. górze duży krzyż, pod którym spoczywały prochy



Tablica upamiętniająca chrzest Dionizego Czachowskiego w stromieckim kościele (inf. „Białobrzegi Powiat” nr 2/2013 s. 16)

poległych powstańców, walczących zaciekle z wrogiem w lasach Puszczy Stromieckiej. „Leśni żołnierze” D. Czachowskiego i innych dowódców walczyli na tym terenie od Białobrzegów poprzez Stromiec, aż do Głowaczowa i Żyrzyna k. Puław. Zapamiętałem też, że ok. 50 lat temu nastąpiła ekshumacja i przeniesienie prochów powstańców na pobliski cmentarz. Postawiona wtedy mogiła z tablicą memoratywną przedstawia pochylonego powstańca, który biegnie na wroga z karabinem w ręku. Do dziś pamiętam, że piasek na mogile powstańczej był mocno zrudziały. Powiedziano mi, że taką właśnie barwę przybrał od krwi pochowanych tutaj bohaterskich powstańców.

Radomskie było wszakże ziemią rodzinną Czachowskiego, zatem znał dobrze pobliskie lasy i topografię terenu. Ta znajomość pozwoliła mu nieraz wyjść cało z bitewnych opresji po walce z przeważającymi siłami wroga, uniknąć okrążenia i zacząć go znowu kęsać niespodziewanie, minimalizując własne straty w ludziach. Obok wrodzonej odwagi i męstwa dowódcy taki partyzancki sposób walki przynosił mu nieraz wojenne sukcesy, zaś Moskale doprowadzał do wściekłości. Wyznaczyli oni nawet wysoką nagrodę pieniężną za jego głowę – w wysokości

aż 10 tys. rubli srebrem dla tego, kto wskaże im miejsce pobytu „krwawego starca”, a jednocześnie „polskiego króla” – jak nazywali Moskale leśnego pułkownika. Swego czasu dotarłem do informacji, że taktyka Czachowskiego w walce z silniejszym przeciwnikiem bardzo przypomina sposób walki Polaków ze Szwedami w czasie tzw. potopu szwedzkiego z 1655 r. Taktyka ta polegała na tym, że hetman Stefan Czarniecki przemieszczał błyskawicznie swoje oddziały, unikając otoczenia przez liczniejszego wroga i zaskakiwał go w najbardziej niespodziewanym miejscu.

Taka właśnie taktyka przynosiła także sukcesy bojowe płk. Czachowskiemu. Było tak zwłaszcza po upadku dyktatora powstania – gen. M. Langiewicza, kiedy to Czachowski utworzył „własną partię” żołnierzy, stanął na jej czele i gnębił wrogów tak skutecznie, że doprowadzał ich do desperacji. Wspomniana wyżej nagroda nigdy nie została wypłacona, bo nikt z Polaków nie dopuścił się zdrady. Żołnierze powstańczej armii bardzo bowiem cenili swojego dowódcę, i choć zawsze czuli przed nim wielki respekt, to nazywali go „Ojcem”. Po 34 bitwach i potyczkach stoczonych z Moskalami (m.in. pod Małogoszczem, Pieskową Skałą, Chrobrzem, Korczynem,



Pułkownik Dionizy F. Czachowski – dowódca Powstania Styczniowego

pod Kowalą k. Radomia, pod Bogorią, Grochowiskami i Stefankowem) Czachowski przemieścił swoje oddziały w Góry Świętokrzyskie, w lasy piotrkowskie, iżżeckie i radomskie. Pod koniec maja 1863 przybył w lasy smardzewskie k. Radzanowa w obecnym powiecie białobrzeskim. I to tutaj właśnie – na rozległych polach i lasach – stoczył wielogodzinną bitwę, nazwaną Bitwą Radzanowską. Powstańcy stoczyli ją na terenach pomiędzy Bukównem, Radzanowem i Smardzewem, przesuając się dalej pod Branicę, Jasionę, Jakubów, Stawiszyn i Suchę. Pomimo liczebnej przewagi wroga Czachowski nie dopuścił do okrążania swych oddziałów, ponosząc znacznie niższe straty w zabitych i rannych niż Rosjanie.

Sprzyjała taka właśnie partyzancka taktyka Czachowskiemu i jego oddziałom aż do początku listopada 1863. To wtedy właśnie, 6 listopada, na terenach między Krępą a Jaworem Soleckim został on dopadnięty przez dragonów carskich. Pomimo szaleńczej szarży na wroga pułkownik D. Czachowski zginął, porąbany ich szablami i bagnętami. Śmierć dowódcy wzbudziła powszechny żal jego żołnierzy, a wywołała wręcz euforię u Moskali. Załadowali oni zwłoki Wodza Powstania na furmankę i powieźli do Radomia, wołając po drodze



Fryderyk Chopin

urągliwie do miejscowej ludności: „Wot ubit wasz polskij korol!”. Natomiast na placu w Radomiu wrogowie przywiązali je do drewnianego słupa na oczach licznych radomian, którym nakazano być na tym widowisku dla postrachu. Jednakże – jak wynika z relacji potomnych – z tłumu mieszkańców Radomia wybiegła nagle nieznana niewiasta, podbiegła do przywiązanych zwłok bohatera i ucięła pukiel włosów z jego głowy. Był to czytelny gest, że już wtedy potraktowała je jako relikwię narodową. Wkrótce rodzina Czachowskiego wykupiła zwłoki bohaterskiego dowódcy. Zaborcy nakazali je przewieźć i pochować pod osłoną nocy na cmentarzu w Bukównie (gm. Radzanów), kilkanaście kilometrów od Białobrzegów. W czasie pochówku cmentarz był otoczony przez sotnię uzbrojonych Kozaków, którzy czuwali nad tym, aby nie doszło do jakiegokolwiek manifestacji patriotycznej. Tak więc zaborcy obawiali się płk. D. Czachowskiego i wpływu jego ducha narodowego nawet po śmierci.

Być może rozległy się wtedy niebieskie fanfary i marsz żałobny Fryderyka Chopina, brata ciotecznego płk. D. Czachowskiego^{*)}. A także

^{*)} Warto przypomnieć, że Dionizy F. Czachowski i Fryderyk Chopin byli ciotecznymi braćmi. Ich matki – Justyna z Krzyżanowskich Chopinowa i Joanna z Krzyżanowskich Czachowska – były kochającymi się

jego mazurki i polonezy, zwłaszcza najbardziej polski z jego tańców muzycznych, czyli *Polonez A-dur*, nazwany „Wojskowym”. I jego porywająca, przepełniona bólem i nadzieją *Etiuda c-moll*, zwana „Rewolucyjną”, bo oddawała radykalne nastroje Polaków i samego kompozytora po wybuchu Powstania Listopadowego. O muzyce Chopina mówiono, że wyraża głębokie uczucia narodu i że wyrasta z jego wielkiej miłości do Ojczyzny. Najpiękniej ujął to Cyprian Kamil Norwid, pisząc, że „Muzyka Chopina – to armaty ukryte w kwiatach”.

Tak więc obaj cioteczni bracia – Fryderyk Chopin i Dionizy Czachowski – dobrze zasłużyli się Ojczyźnie. Obu łączył gorący patriotyzm, choć swoją miłość do Polski prezentowali na różnych polach.

Skromną próbą włączenia się w jubileuszowe obchody, poświęcone pamięci powstańców, którzy faktycznie „Polsce zginąć nie dali”, jest moja poetycka *Apostrofa do płk. D. Czachowskiego*. Była ona odczytana parokrotnie na uroczystościach patriotycznych w Bukównie, Rogolinie i w Stromcu. Zaś ostatnio została zaprezentowana przy pomniku poległych powstańców w Smardzewie, obok wiersza M. Konopnickiej pt. *O Czachowskim*, zacytowanego przez nadleśniczego z Dobieszyna – J.Ch. Czachowskiego.

siostrami i odwiedzały się wzajemnie wraz z synkami: Dionizym i Fryckiem w Warszawie i w Niedabyli. Chopin zachował dobrze w swojej rodzinnej pamięci Dionizego jako towarzysza zabaw dziecięcych. Po latach przysłał mu z Paryża list z dedykacją:

*Dionizemu – mojemu kuzynowi i towarzyszowi zabaw z lat dziecięcych –
Fryderyk Chopin*

Fakt ten wspomina po latach prawnuczka Dionizego – p. Mikuli. Do jej zapisków na ten temat dotarłem w radomskim Archiwum Państwowym. Informują także o tym w swojej książce *Fryderyk Chopin – korzenie* prof. Piotr Mysłakowski i Andrzej Sikorski – dwaj znakomici chopinolodzy.

Udało mi się nabyć tę książkę w warszawskim Instytucie Fryderyka Chopina, podobnie jak *Pamiętniki Fryderyka hr. Skarbka*, blisko związanego z rodziną Chopinów. Zainteresowanych Czytelników odsyłam do dwu moich artykułów, zamieszczonych na łamach „Białobrzeskiej Gazety” (2013, nr 1 i nr 3), które obszerniej rozwijają ten temat.

Oto początkowy fragment *Apostrofy*:

To od Ciebie, Pułkowniku –
i krwi Twych żołnierzy przelanej tak szczerze
wciąż się uczymy słów wielkich jak wieże:
Ojczyzna – honor – wolność –

I to o takich jak Ty – Pułkowniku –
myślał przesławny Jan z Czarnolasu
pisząc, że „jeśli komu droga otwarta do nieba”,
to tym – co Ojczyzny stoją bliżej niż siebie –

Dowódcu niezłomny bohaterów – „żołnierzy leśnych”,
którzy walczyli do kropli swej krwi – ostatniej –
chwała Tobie i Im – żeście Polsce zginąć nie dali...

Mimo że Powstanie Styczniowe upadło, w „ożałobionym narodzie” szybko tworzyła się legenda, opiewająca bohaterstwo powstańców i ich dowódców. Wspomniany pukiel włosów płk. Czachowskiego, tablice memorialne, które zostały Jemu poświęcone, szkoły noszące Jego imię oraz piękne Mauzoleum w kościele o.o. Bernardynów w Radomiu – są i pozostaną czytelnym znakiem pamięci narodu o bohaterach i symbolem hołdu dla tych, którzy przez pokolenia toczyli bezkompromisowe boje z zaborcami aż do zwycięstwa.

Powstanie Styczniowe w literaturze i pieśni polskiej

Legendę powstańczą utrwałała w narodzie literatura polska, zarówno poezja jak i proza.

Eliza Orzeszkowa napisała opowiadanie pod wymownym tytułem: *Gloria victis*, co oznacza „Chwała zwyciężonym”. Dedykowane jest ono bohaterskim powstańcom, którzy wprawdzie przegrali walkę z silniejszym wrogiem, ale ich duch patriotyczny nigdy nie został pokonany, będąc dla umęczonego narodu wzorcem.

Noblista Henryk Sienkiewicz podał narodowi za wzór bezkompromisową postawę przodków, którzy nie załamali się nawet w czasie szwedzkiego potopu, lecz *viribus unitis* przy boskich *auxiliach* (co oznacza: „wspólnymi siłami przy Boskiej pomocy”) zwyciężyli najeźdźców. Cała Sienkiewiczowska *Trylogia* przepełniona jest żarliwym patriotyzmem i wiarą w odzyskanie niepodległości, a jej przewodnim mottem było „krzepienie serc” rodaków.

Literacki hołd dla pobitych powstańców złożył także Stefan Żeromski we wzruszającej powieści

Wierna rzeka (sfilmowanej) oraz w opowiadaniach: *Echa Leśne* i *Rozdziobią nas kruki, wrony*.

Również znany rysownik i malarz – Artur Grottger – stworzył patriotyczne cykle o tematyce powstańczej: *Warszawa, Polonia, Lithuania* oraz obrazy: *Bój*, *Pochód na Sybir* i *Śmierć Czachowskiego*. Zyskały one w narodzie wielką popularność.

Potrzebę utrwalania legendy płk. Czachowskiego i jego leśnych żołnierzy rozumiał i doceniał wódz Legionów – późniejszy marszałek odrodzonej Polski – Józef Piłsudski, polecając opracować biograficzną książkę pt. *Czachowski*.

Natomiast znany ksiądz-regionalista, autor bezcennego *Dekanatu radomskiego* – Jan Wiśniewski napisał wiersz pt. *Śmierć Czachowskiego*.



I wreszcie książka bardzo niezwykła i mało znana, napisana w roku 1913 przez Marię Jehanne Wielopolską – pod wymownym tytułem *Kryjaki – o sześćdziesiątym trzecim roku opowieść*^{*)}. Późniejsze wydanie tej książki nastąpiło w roku 1945 w Londynie. Docenił ją Stefan Żeromski, który

^{*)} Dziękuję p. Małgosi Łuszkiewicz za udostępnienie mi tej opowieści w postaci wydruku komputerowego.

na prośbę autorki opatrzył jej utwór ciekawym wstępem. Opowieść Wielopolskiej jest napisana specyficzną polszczyzną: charakterystycznym językiem i stylem. Mówi ona o wielkim heroizmie powstańców styczniowych, którzy w końcowej fazie walk z zaborcą szli do boju niemal bez broni, uzbrojeni jedynie w kosy i topory. Dotyczyło to zwłaszcza oddziałów złożonych z chłopów. Takim właśnie oddziałem dowodził bohaterski i radykalny ksiądz Stanisław Brzóska (vel: Brzózka). Jego kilkusetosobowy początkowo oddział walczył zaciekle z Moskalami aż do grudnia 1864. Tropiony ustawicznie przez wroga i otaczany jak zwierzyna, topniał w oczach, działając w niedostępnych leśnych ostępach – widłach dwu rzek: Bugu i Sanu (w pobliżu Siemiatycz i Drohiczyzna na Podlasiu). W końcowej fazie walk zostało ich zaledwie kilku – poranionych i obolałych, obdartych i wygłodzonych, ale wciąż wiernych Rzeczypospolitej. Zarówno ksiądz Brzózka, jak i jego podkomendni byli potępiani przez ugodową część Rządu Narodowego, a także przez lojalną wobec polakożerców część władz kościelnych.

Dumny i niepokorny ksiądz był bowiem – podobnie jak dyktator powstania gen. Romuald Traugutt – zwolennikiem szerokiego udziału ludu w powstaniu. Autorka maluje także postaci rosyjskich polakożerców typu zacieklego rusyfiatora – księcia Paskiewicza i gen M. Murawjowa, zwanego „Wieszatielem”. Był on znienawidzony w społeczeństwie polskim za okrucieństwo wykazane w tłumieniu Powstania Styczniowego na Litwie. Pisarka pokazuje też dramatyczną rozmowę ks. St. Brzóski z biskupem-lojalistą, który namawiał bezskutecznie księdza do zmiany swych radykalnych poglądów. Hierarcha nałożył więc na niego ekskomunię, mimo że ksiądz-powstaniec, kapelan i generał został odznaczony tymi tytułami za bohaterstwo wykazane w czasie walk o Ojczyznę. Przypomina on biskupowi wielu żarliwych księży-patriotów rozstrzelanych przez Rosjan lub zesłanych na długoletni pobyt na Sybirze. Ks. Brzózka nie poddaje się do samego końca. Zostaje schwytyany przez Moskali dopiero w grudniu 1864 wraz ze swoim ostatnim żołnierzem, ukrywając się tak długo dzięki świetnej kryjówce pod korzeniem wiekowego, ogromnego dębu w samym mateczniku nadrzecznej puszczy. Obaj powstańcy zostali jednak powieszani przez zaborców na rynku w Sokółowie Podlaskim. Nastąpiło to dopiero w maju

1865 na oczach modlącego się i szlochającego z rozpaczy tłumu mieszkańców tego miasta. Tak zginęli bohaterską śmiercią ostatni powstańcy, którzy szli na szubienicę, mówiąc te oto wzniosłe słowa: „Wszystko jest kolebką Tobie, Ojczyzna! I te pola, na których położyły się Twoje syny, i te kazamaty sybirskie, i te rusztowania, na których zawisną nasze ciała... Niech żyje Ojczyzna!”.

Warto jeszcze podkreślić piękną, patriotyczną postawę kobiet polskich w czasie żałoby narodowej po upadku powstania. Swój patriotyzm „po śmierci Ojczyzny” manifestowały one, ubierając się na czarno. Ich stroje, zwane „łzami polskimi”, znane były wtedy niemal w całej Europie. Co więcej, nawet dzieci tych Polek swoje lalki stroiły w czarne sukienki. To, oczywiście, drażniło carskich urzędników, którzy jeszcze bardziej zaostrzali antypolskie represje. Na Sybir zesłano wtedy tysiące Polaków i Polek, zaś w kraju nasiliła się rusyfikacja urzędów i szkół. Ze szkół wyeliminowano literaturę polską, a język polski zastępowano rosyjskim. Znane są liczne i ostre prześladowania polskich uczniów i ich rodziców, łamiących nakazy i zakazy zaborców. Jednak mimo tego próby wynarodowienia Polaków spełzły na niczym i okazały się „szyfowe”, jak to celnie określił Stefan Żeromski w swojej powieści *Szyfowe prace*.

Również dzisiaj warto pamiętać o maksymie, która powstała w latach niewoli narodowej:

„Mowa nasza jest pod ochroną prawa i pod strażą pokoleń. Kto swoją mowę lekceważy, ten nie ma ducha przodków i ten jest cudzoziemcem na własnej ziemi...” (Tadeusz Czacki).

Każde zatem pokolenie Polaków powinno zdać celująco egzamin z troski o wolność oraz o czystą i piękną polszczyznę. Tak właśnie zdali go na polu walki, jak też w rodzinach i na licznych kompletach tajnego nauczania zarówno powstańcy styczniowi, jak i następne pokolenia Polaków – aż do roku 1918, czyli roku odrodzenia niepodległej Polski. Oczywiście ten niełatwy egzamin zdajemy także dziś – i zdawać będziemy zawsze, jeśli Ojczyzna znajdzie się w potrzebie.

W narodowej pamięci Polaków przetrwało do dziś kilka piosenek śpiewanych przez piechurów i ułanów gen. Langiewicza, jak i przez oddziały płk. Czachowskiego. Zagrzewały one do kolejnych bojów, podtrzymywały patriotyczne uczucia i krzepiły żołnierskie serca. Stanowiły

także dla żołnierzy odskocznię od krwawych bojów i potyczek.

Miały one zawsze charakter marszowy, z reguły – pogodny i optymistyczny, a czasem nawet huraoptymistyczny lub wręcz buńczuczny, co wpływało budująco na utrudzonych walkami powstańców.

Najbardziej znana jest piosenka napisana przez poetę i kompozytora, a zarazem pianistę koncertującego po całej Europie – hr. Władysława Tarnowskiego (pseudonim „Buława”).

Oto jej charakterystyczny fragment:

Jak to na wojence ładnie, kiedy ułan z konia spadnie,
Koledzy go nie ratują, jeszcze końmi go tratują.

A za jego młode lata – grają trąby tra-ta-ta-ta,
A za jego trudy, prace – grają mu kule, kartacze.

[...] A my jego pochowali i requiescat zaśpiewali.

Zupełnie inny – bo uroczysty i podniosły charakter, pełen wiary i nadziei w zwycięstwo – miała pieśń pt. *Marsz, marsz, Polonia, nasz dzielny narodzię*. Ten podniosły ton sprawia, że jeszcze dziś jest ona nieraz śpiewana w czasie świąt narodowych.

Zupełnie inny: huraoptymistyczny ton miała piosenka powstańcza pt. *Popamiętają Moskale*:

Popamiętają Moskale, jak dostali w skórę w Skale.
Ze Staszowa ich wyprzemy – aż o Kijów się oprzemy.

A z Kijowskiej okolicy pojedziemy do Stolicy,
Niech pamiętają łajdaki, jak dzielnie biją Polaki.

A dla naszej większej chwały: vivat sztab i korpus cały!

Myślę, że warto by do tych pieśni i piosenek nawiązywać i prezentować je również teraz na rocznicowych programach artystycznych. Tym bardziej, że ich słowa i nuty są zamieszczone w śpiewniku pt. *Marsz, marsz, Polonia*.

Ze wspomnień weteranów walk powstańczych

Do rękopiśmiennych wspomnień weteranów Powstania Styczniowego dotarłem, czyniąc niezbędne notatki, w Archiwum Państwowym w Radomiu. Niektórzy z nich dożyli odrodzonej Polski, np. Joanna Arkuszewska, zmarła w roku 1919 (pochowana na cmentarzu w Starej Błot-

nicy). Z blisko dwudziestu odręcznych zapisków archiwalnych wybrałem kilka przystających najbardziej do tematyki powstańczej.

Kilku autorów pisze, że zapamiętali płk. D. Czachowskiego jako dowódcę o wielkim autorytecie i prestiżu wśród podkomendnych. Odnosili się do niego z dużym respektem. Mówili, że był to „urodzony żołnierz” o wielkiej odwadze i mądrości. Podziwiali jego strategię przed bitwą, która opierała się na bardzo dobrym rozpoznaniu terenu i perfekcyjnie opanowanej taktyce walki partyzanckiej. Taktyka ta pozwalała wielokrotnie uniknąć okrążenia przez wroga i po szybkim przemieszczeniu oddziałów pułkownika „kasać” dotkliwie Rosjan w miejscu i w czasie najbardziej dla nich niespodziewanym. Mimo pewnej ostrości charakteru, Czachowski okazywał wielkie serce dla swoich „żołnierzy leśnych”. Wielokrotnie dawał przykład męstwa, dowodząc, że dla Ojczyzny należy się bić do przysłowiowej ostatniej kropli krwi. Nic więc dziwnego, że powstańcy nie tylko cenili swojego dowódcę, ale kochali Go i nazywali – potwórzmy to – Ojcem. Wzorem swego dowódcy powstańcy byli bezkompromisowi w walce i szli na bój z okrzykiem: „Niech żyje Polska!”.

Konkretnym przykładem takiego właśnie stosunku do przywódcy są wspomnienia młodego powstańca – Józefa Brzozowskiego. Zapamiętał on Czachowskiego jako gorącego patriotę oraz jako doskonałego dowódcę i stratega, który zawsze swoją postawą w walce dodawał ducha bojowego młodym żołnierzom. Brzozowski wspomina, że przed jedną z walk pułkownik podarował mu pistolet i pałasz. Ten dar miał swoją wymowę, bo powstańcy nie byli dobrze uzbrojeni. Mówiono przecież o nich: „poszli chłopcy w bój bez broni”. Jak wynika z innych wspomnień, zdarzało się, że rekruci przychodzili do oddziałów powstańczych uzbrojeni jedynie w kosy – jak kiedyś kosynierzy Bartosza Głowackiego w Powstaniu Kościuszkowskim, co nie przeszkadzało im zresztą zwyciężyć w bitwie pod Raclawicami w 1794 dużo lepiej uzbrojonego wroga.

Bardzo ciekawe wspomnienia dotyczą osoby Stanisława Becchiego (czyt. Bekchiego) – oficera włoskiego, walczącego dzielnie w polskim powstaniu w r. 1863. Za bohaterską postawę w walkach Rząd Narodowy podniósł jego rangę wojskową do stopnia pułkownika. To właśnie jemu płk D. Czachowski imponował niezłomną postawą w starciach z Moskalami. Becchi starał

się brać z niego przykład. Odnosząc wiele ran w licznych bojach z Rosjanami, nie upadał na duchu. Schwytany przez Kozaków, został skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Płk Becchi przed egzekucją nie pozwolił zawiązać sobie oczu i w ostatnich sekundach życia zawołał: „Niech żyje Polska!”.

Bardzo interesujące są także wspomnienia podporucznika Feliksa Bijejko z Radomia. W roku 1863 miał on zaledwie 20 lat. Jego zapiski spełnione są entuzjazmem i patriotycznym żarem młodości. Zachęcają one młodych Polaków, by wstępować do oddziałów powstańczych. Autor z satysfakcją podaje, że powstańcy zawsze dochowywali przysięgi wierności, którą składali Ojczyźnie, gdy znalazła się ona w potrzebie. Bijejko wspomina zaciekle walki z Rosjanami pod Korczynem, pod Grochowskimi i pod Krakowem. Z radością odnotowuje zwycięską bitwę pod Grochowskimi, gdzie płk Czachowski wykonał niezwykle odważną, a nawet wręcz szaleńczą szarżę na wroga, z której wyszedł cało jako zwycięzca. Bijejko pisze też, że po nominacji na naczelnika wojennego w Sandomierskiem, (którą otrzymał od Rządu Narodowego) Czachowski przeniósł się ze swymi oddziałami w lasy radomskie, przysuskie, stromieckie i iłżeckie. W tych ostatnich zatrzymał się na popas. Zaskoczony w czasie odpoczynku przez Moskali, zginął rozniesiony na ich szablach w listopadzie 1863. Bardzo interesujące, a przy tym jedno z najobszerniejszych, są wspomnienia powstańcze Joanny Arkuszewskiej, żony Ignacego Arkuszewskiego, ówczesnych właścicieli majątku Radośców w pow. opatowskim. Zawarli oni związek małżeński 22 stycznia 1863, a więc równo z wybuchem powstania. Wielką entuzjastką tego zrywu narodowego była zwłaszcza pani Joanna. Z czasem jednakże przekonała do powstania również swego męża. Arkuszewscy działali na rzecz powstania bardzo aktywnie. Pomagali powstańcom gromadzić i ukrywać broń oraz żywność. Ukrywali je w głębokiej wewnętrznej piwnicy dworskiej. Ignacy Arkuszewski otrzymał z czasem od Rządu Narodowego nominację na wójta gminy. Dostał wtedy zlecenie wystawienia oddziału rekrutów w liczbie 30 osób – i wykonał je. Ale gdy powstanie upadło, za tę aktywną działalność groziły mu liczne represje od władz carskich. Dlatego, aby uniknąć aresztowania, Arkuszewski wyemigrował do Drezna. Zaś jego

małżonka, Joanna, działała w tym czasie niezwykle aktywnie, a niekiedy wręcz brawurowo, starając się u urzędników rosyjskich o powrót męża. Nie było to jednak zadanie łatwe. Najpierw zdobyła dla niego dwa listy polecające, z których wynikało, że jej mąż jest: „porządnym człowiekiem i znakomitym obywatelem”. Potem zgromadziła kwotę aż 30 tysięcy r.s., pochodzącą głównie ze sprzedaży zboża i wręczyła ją jako łapówkę urzędnikom carskim. I wreszcie udało się. Po rocznym pobycie za granicą Ignacemu Arkuszewskiemu pozwolono powrócić do kraju. Jednakże nad małżonkami Rosjanie roztoczyli ścisły dozór policyjny. Pana Ignacego zobowiązano do cotygodniowego stawiania się w powiatowym urzędzie policyjnym w Opatowie, zaś w domu nękanie oboje małżonków licznymi i uciążliwymi kontrolami. Arkuszewscy z godnością znosili te represje, jak i postępującą biedę, wynikającą z faktu, że ich gospodarstwo zostało bardzo zrujnowane w czasie przemarszów wroga i oddziałów powstańczych.

Ignacy i Joanna Arkuszewscy to późniejsi właściciele majątków w Rykach^{*)} i Chruściechowie k. Starej Błotnicy, zakupionych odpowiednio w roku 1889 oraz w 1900. Dziedzice Arkuszewscy – to dziadkowie Antoniego Arkuszewskiego, a rodzice Mariana. Są oni pochowani na cmentarzu w Starej Błotnicy.

O swoich dziadkach: Joannie i Ignacym Arkuszewskich jako o powstańcach styczniowych pisze z dumą ich wnuk Antoni Arkuszewski (zm. w roku 2002). Przypomnę, że z dziadków tylko Joanna Arkuszewska doczekała niepodległości Polski (zm. w 1919), zaś Ignacy Arkuszewski zm. w Rykach w roku 1891). Te dane zawiera szkic Antoniego Arkuszewskiego pt. *Dwór w Chruściechowie gmina Stara Błotnica woj. mazowieckie*, zamieszczony w „Roczniku Biało-brzeskiego Towarzystwa Kulturalnego” (2004/2005, t. 2, s. 45-46).

Zakończenie

Zainteresowanych podjętym przeze mnie tematem ucieszy z pewnością informacja z „Echa Dnia” (Radom, 22 marca 2013), iż w Radomiu ukazał się przewodnik pt. *Ścieżka edukacyjna:*

^{*)} W Rykach, a nie: w Rykałach – jak wydrukowano pomyłkowo na łamach BG nr 7/2013 w tekście pt. „Uwagi i errata” – str. 27.

Powstanie Styczniowe. Radomscy Weterani 1863 w opracowaniu Janusza Wieczorka, ze zdjęciami Ewy i Remigiusza Kutylów, wydany z inicjatywy Parafii pw. św. Wacława. Parafia ta opiekuje się nekropolią przy ul. Limanowskiego w Radomiu. W przewodniku jest zamieszczona mapka kwatery cmentarnych poległych powstańców oraz biogramy czternastu uczestników powstania, którzy tutaj spoczywają. Aż siedmiu z nich walczyło pod dowództwem płk. Dionizego Czachowskiego. Autor przypomina w nich sylwetki bohaterów narodowych z 1863, których łączyła żarliwa miłość do Ojczyzny i pragnienie jej wyzwolenia z jarzma niewoli carskiej.

Doświadczyłem osobiście, jak bardzo wzruszający jest moment, kiedy można stanąć przy mogiłach poległych powstańców i pochylić się w hołdzie nad prochami tych, którzy nie wahali się oddać życia, aby Polska „wybiła się na niepodległość”.

I choć po bohaterskich, ale nierównych bojach Powstanie Styczniowe upadło, to wielka danina krwi, jaką powstańcy przelali za Ojczyznę, nie poszła na marne. Z mogił i z krzyży powstańczych, rozsianych po kraju, płynie bowiem dla kolejnych pokoleń, a więc i dla nas, czytelny nakaz, że o przysłówiową „jutrzenkę wolności” ciągle trzeba walczyć.

Piękną kartę w tych walkach zapisało pokolenie roku 1863 i znakomity dowódca powstańców, mój krajan, płk Dionizy Feliks Czachowski. Jest on i pozostanie wielkim symbolem poświęcenia życia w nieugiętej walce o wolność Rzeczypospolitej.

Henryk Morawski



Mogiła powstańców styczniowych „Pod Bukami” w Lesie Smardzewskim. (inf. „Biało-brzeski Powiat” nr 2/2013 s. 12)

Wspomnienia o Ryszardzie Mierniku (1929–2013)*

Henryk Jachimowski

Nosił zawsze w kieszeni ołówek i notes



Ryszard Miernik

Fot. Zakład Usług Plastycznych „Reklama” Zbigniew Miernik

Ryszard Miernik. Postać wyjątkowa. Powieściopisarz, poeta, rzeźbiarz. W życiu codziennym żył wśród ludzi kultury i twórców.

W tej pustce po Nim pozostaje mi tylko ta smutna chwila, aby pochylić się w ciszy nad przemijaniem...

W grupie moich przyjaciół On był najważniejszy, jako człowiek o wyraźnych humanistycznych przekonaniach, twardy w swej uczciwości, inspirujący i akceptujący wartości poza sobą, poszukujący w dramatycznej historii wojny (m.in. autor wspomnień o Janie Piwniku, dowódcy AK „Ponurym”, autor *Pieśni*

o *Michniowie*, *Pieśni o Nurcie*). Nosił zawsze w kieszeni ołówek i notes. Dokumentował życie w najbardziej nieoczekiwanych chwilach (gdzieś to jest, gdzieś to zostawił). Narażał się politycznie. To On latem r. 1980 zorganizował nocą transport rzeźby upamiętniającej śmierć „Hubala” z Ośrodka Rzeźby Wietrznia na plac przed Prezydium Rady Miejskiej (obecnie stoi tu budynek parkingowy). Już o poranku w ciągu dnia i dni następnych mieszkańcy Kielc na płycie rzeźby składali kwiaty. Była to akcja, znak Jego patriotycznej potrzeby i obowiązku głoszenia historycznej prawdy, o którą zawsze się upominał... Oczywiście rzeźbę szybko usunięto, a On został wkrótce przeniesiony ze stanowiska Dyrektora Wydziału Kultury do Ośrodka Kultury Literackiej, który wcześniej z Jego inicjatywy został powołany jako pełniący pewnego rodzaju funkcje społeczne pracownia twórcza. On był tu wtedy tylko autorem i pracownikiem wykonującym programowe zadania. Nie narzekał, utrzymywał kontakty z ciekawymi ludźmi z całego obszaru Polski i regionu. Uczestniczył w życiu twórców wszystkich dziedzin, także twórców ludowych.

Czas Jego dyrektorowania Wydziałem Kultury (1962 do 1980) pamiętam jako pełny inicjatyw sprzyjających twórczości. To z Jego zaangażowania powstały takie ośrodki twórcze jak Ośrodek Rzeźby Wietrznia, wspomniany Ośrodek Kultury Literackiej, Klub „Mansarda”, Redakcja Wydawnictwa Łódzkiego, Dom Środowisk Twórczych, Biuro Wystaw Artystycznych, a poza Kielcami Ośrodek Rzeźby w Orońsku, który dziś rozwinął się w centrum rzeźby polskiej.

Ryszard Miernik, w przyjaźni mojej z Nim Rysiek, odszedł, został zabrany przez czas, może przez czas... Będę pamiętał go również jako człowieka niezwykle pomocnego mi w tzw. życiowych zakrętach, pomocnego mnie oraz innym twórcom, malarzom, rzeźbiarzom, literatom, poetom młodym, początkującym. Był autorem wielu książek, ale też rzeźbił w drewnie rzeczy znane tylko nielicznym. W mojej pracowni stoi na półce Jego „Kobieta w ciąży”.

Sam jako twórca dzieła umiał w sposób wyjątkowy wiązać rozwój kultury i jej dziedzictwa z osobą twórcy. Był człowiekiem niezwykle pracowitym. W ostatnich latach żył skromnie, pisał, rzeźbił... Wierzę w to, że opowieść o Nim będzie trwać dłużej niż Jego życie...

Adam Ochwanowski

Miernikowe skalniaki

Jubileusz pisarza

O twórczości Ryszarda Miernika powinno się rozprawiać w warunkach kawiarnianych, czyli biesiadnych, w otoczeniu ludzi, których sportretował na kartkach swoich książek oraz duchów tych, którzy w przeszłości zasłużyli na Miernikową uwagę bądź dociekliwość.

W biesiadnej wspólnocie najłatwiej grzebie się w pamięci swojej i cudzej, rodzinnej, społecznej i narodowej, kiedy wyłazą z nas demony ciemności bądź anioły zachwytu. W „Klubie Dziennikarza”, w teatralnej „Dziurce”, „Sołtykach”, na Wietrzni, w pracowniach i domach artystów, na świętokrzyskich ścięgnach, z nieodłącznymi świstkami papieru i długopisem, ocalał Miernik to, co ulotne i przemijające: nasze i cudze biografie. Spowiadał nas z życia i pamięci. Zobowiązywał do postaw aktywnych zarówno w twórczości, jak i w życiu. Zbyszek Nosal w *Kurzym pacierzu* napisał, że wiersz to „zdzwienie zatrzymanych w biegu słów”. Wielu krytyków i historyków literatury dopatruje się w poezji obrazu zbiorowej wrażliwości, duchowej kondycji społeczeństwa, rejestracji zjawisk i związanych z nimi emocji.

Twórczość Miernika trudno jest oceniać kryteriami literackimi, dopatrywać się w niej wymyślnej stylistyki. Miernik nigdy nie był stylistą, nie jest i dzięki Bogu nie będzie. Jego życiopisanie opiera się wszelkim krytycznym klasyfikacjom, wszak zdominowane jest żywym mięsem, bogatą biografią autora i ludzi, z którymi się stykał. Ojczyzną dla poety jest jego język, wszak myślimy słowami. Język Miernika omija wszelkie literackie figury, konwenanse i konfiguracje. Poeta rezygnuje ze skomplikowanej frazeologii na rzecz wszechobecnej w jego utworach potoczności. Wiersze Miernika traktują o świętokrzy-

skich skalniakach: Fronczykach, Papierniakach, Pająkach, Nosalach, Pawelcach, Gulach, Hadynach, Danielach, Opalach, Jachimowskich, Siudowskich, Sedlakach, Ochwanowskich i innych, którzy ze swoimi barwnymi życiorysami, fobiami, problemami, frustracjami i sukcesami tworzyli bądź tworzą – jak chce autor – „naturalną urodę regionu”. Miernik opisuje w sposób reportażowy miejsca, gdzie w jego optyce i pamięci nic się niby nie zmieniło, ale przecież „domu Kuszewskich już nie ma/ z pokojem, kuchnią i sienią/ obórką dla krowy/”, Kuszewscy pomarli zanim nadeszła nadzieja na lepsze życie.

Proszę zauważyć: nie fakt, ale tylko nadzieja. Miejsca opisywane przez Miernika mają magiczną moc i są ponadczasowe. Można się od nich oddalić nawet na 50 lat, ale nie sposób ich opuścić ani się ich wyrzec. Są wpisane głęboko we wrażliwość i osobowość bohaterów wierszy. Jeżeli trzeba, przeciwstawiają się całą swoją kolorystyką, a nawet ułomnością (ale ciepłą, bo ludzką), paradygmatowi kształtowanemu przez obszary naznaczone wirtualną, bezduszną rzeczywistością. Dają znać o sobie nawet wtedy, gdy podmiot liryczny stojąc nad wielką wodą Bałtów z fińskim przyjacielem czuje się admiratorem świata – z jego obszarem i kulturą. Wszak mówi: „Twój brat wędruje po morzach. Mój zginął w Michniowie”. Suchedniów, Wola Grójecka, Turno, Bodzentyn, Ponidzie, Nowa Słupia, Jędrzejów, Opatów, Michniów, Kielce i wiele innych przystanków, które w wierszach Miernika ulegają sakralizacji, bo każdy prawie bohater wpisany przez poetę w ich krajobraz pełni rolę jeśli nie kapliczki, to przynajmniej przydrożnej figurki. Aż się prosi namówić bohatera dzisiejszego wieczoru, aby napisał alfabet miejsc i ludzi, z którymi się stykał. To byłaby fascynująca lektura i suplement potrzebny wielokrotnie do pełnej recepcji Miernikowych utworów. Na przykład opisanie Józefa Darola z Kazimierzy Wielkiej, ostatniego powiatowego włodarza, który swoją funkcję traktował jak prawdziwą misję, niechby stało się przykładem dla współczesnych kacyków silących się w zapyziałych kurwidołkach na wielką politykę.

Skalniak świętokrzyski zadedykowany rodzicom autora jest także jego rodzinną spowiedzią, oddaniem pokłonu najbliższemu, powrotem do krainy dzieciństwa, gdzie czas, obowiązki i zwyczaje wyznaczały następujące po sobie pory

roku. Miernikowa antologia nie ucieka od chorób popromiennych spowodowanych ostatnią wojną. Nie omija tragicznych czasów bratobójczej kaźni, kiedy wypadkową dwóch narodowych racji była jedna, wspólna tragedia. O ile poezja nie aspiruje do naprawy czy zmiany świata, o tyle Miernik chciałby inaczej. Prowokuje w swoich utworach do naśladowania bohaterów. Jesteśmy inni, jesteśmy dobrzy i wrażliwi, możemy wiele ocalić i zrobić – mówi – od nas zależy czy zachowamy ciągłość między dawnymi a nowymi laty. Miernikowi trudno się pogodzić z myślą, że nastąpiły czasy merkantylnej rui, sobaczego grania kieszek za byle ochłapem, kiedy rozwija się w pysznym pochodzie nasza główna narodowa cecha: bezinteresowna zawiść. Pojęcie to przywołała za Wańkowiczem pani profesor Barbara Skarga, która najpierw w sowieckich łagrach, a potem w naszej skundlonej rzeczywistości przeżyła dno ludzkiego upodlenia.

Z pamięci o bliźnich utkana jest nasz tożsamość – krzyczy Miernik, podtykając nam pod czerwone nosy całą gamę postaci mieszczących się zarówno w naszych biografiach, jak i w zawiłych robotniczych, chłopskich i inteligenckich etosach. Szarpie nas za rękawy siwy wajdelota



Ryszard Miernik przy swojej rzeźbie *Matka*
Fot. Lennart Thulander

nie dopuszczając, w ogromnej desperacji, do siebie myśli, że można zapomnieć, pominąć, zlekceważyć bądź nie zauważyć ludzi, których skomplikowane życiorysy wpisane są w historii polskich losów.

Bądźmy mądrzy mądrością innych – powtarza Sokrates z Suchedniowa w czasie pogardy do drugiego człowieka i do wartości, którym hołdowało jego pokolenie, którym hołdowało pokolenie moje, które Miernik z różnym skutkiem starał się edukować.

Miernik – człowiek. Miernik – nauczyciel. Miernik – kronikarz. Miernik – poeta. Miernik – przyjaciel. Za kilka tygodni skończy 80 lat. Spędzi je na samotnej wyspie, oderwanej od archipelagu ludzi obłąkanych, którym Ameryka i reszta cywilizowanego (ponoć) świata skolonizowała podświadomość.

Ryszard Miernik – mój cudowny nauczyciel, przyjaciel i kompan odejście z pozbawionej humanistycznych azymutów rzeczywistości samotny i zapomniany. A my – razem z nim.

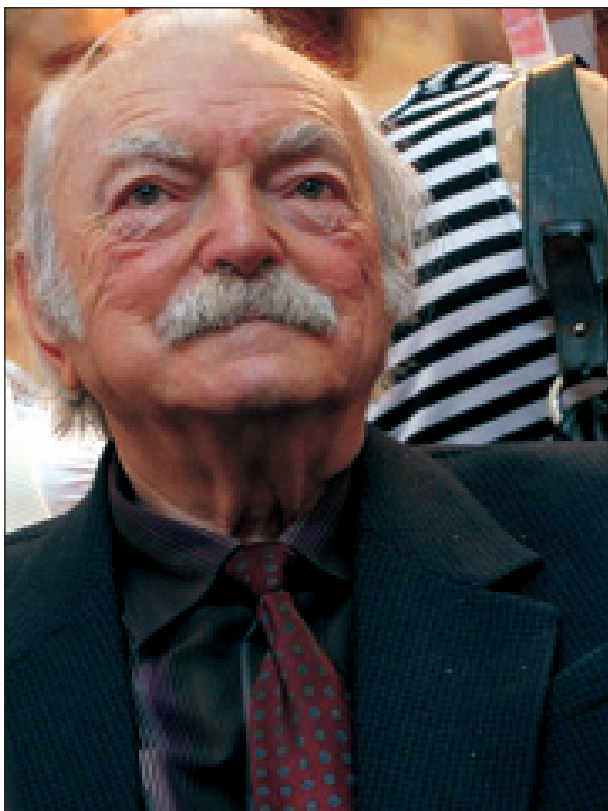
Adam Ochwanowski

*) W numerze 1-2/2013 „SKŁ” zamieściliśmy dwa wspomnienia – Stanisława Nyczaja: *Pożegnanie Ryszarda Miernika* (s. 21) i Bogusława Pasternaka: *Miernik miał swoją miarę* (s. 22) oraz dwa utwory poetyckie dedykowane pamięci Kolegi – Bogusława Pasternaka: *Nieśmiertelność* i Władysławy Szproch: *Obraz Siwobrody. Tryptyk pożegnalny* (obydwa na s. 23).



Ryszard Miernik z Jankiem Kozłowskim w kieleckim Domu Środowisk Twórczych
Fot. z archiwum autora

Spotkanie z Edmundem Niziurskim (1925–2013)



Umówiliśmy się w kieleckim Domu Środowisk Twórczych (gdzie w maju 1996 r. odbyła się sesja w 70. rocznicę Jego urodzin). Tym razem okazją do spotkania była promocja wydanego w Kielcach staraniem wydawnictwa „U Poety” pod redakcją Zdzisława Antolskiego wyboru opowiadań *Spisek słabych* (1998, z „poślizgiem” na 1999). Ucieszyłem się, mając nadzieję poznać wreszcie nieco bliżej brata znanego mi od lat Mirosława, kompozytora i muzykologa, prof. Akademii Świętokrzyskiej mieszkającego w Kielcach, również przeze mnie wysoko cenionego twórcy, który skomponował muzykę do mojego poematu dramatycznego *Puls* (1988, którego wydanie oprócz tekstu zawiera nutowy zapis jego melodii do songów).

Poprosiłem pisarza, związanego pochodzeniem z naszym regionem, ale zamieszkałego na stałe od wielu już lat w Warszawie, o rozmowę do mojego „Ikarowego” cyklu *Tajemnice warsztatu pisarskiego*. Liczyłem też po cichu, że na dobry początek przywita mnie figlarnym ruchem ucha (wyćwiczonym od dawien dawna trickiem,

nie mniej szokującym widza, niż ten u studenta Patkiewicza w *Lalce* Prusa). I się nie zawiodłem. Ucho drgnęło, po czym wykonało kilka ruchów. Był to przyjazny znak, zezwalający notować.

Nastrój pogodnego wrześniowego popołudnia akurat sprzyjał wspomnieniom. Pisarz chętnie powracał do swych kieleckich przeżyć z dzieciństwa i młodości. Do szkoły, nauczycieli, kolegów, do aplikantury po studiach prawniczych. Do reporterskich peregrynacji po rozległej wówczas Kielecczyźnie (obejmującej Radomskie i Częstochowę) na zlecenie „Słowa Ludu” i tygodnika „Wieś”. Wspominał kłopotliwą dla dziennikarzy nadgorliwość redaktora naczelnego „Wsi”, który mozolnie przerabiał stylistycznie składane mu na biuro maszynopisy, i to tak niekiedy na własną modłę, że reporterzy nie poznawali sygnowanych swoimi nazwiskami tekstów. Redaktor obsesyjnie poprawiał, korygował, nawet gdzieś uzupełniał, choć zazwyczaj nie było to konieczne. Chętnie też powracał pan Edmund do początków twórczości literackiej, która w odróżnieniu od faktografii oraz tendencyjności publicystyki i reportażu była dlań wprost frapującą przygodą wyobraźni.

– *Co sprawiło – zapytałem – że mając tak bogaty zasób doświadczeń, obserwacji, skoncentrował się pan przede wszystkim na twórczości dla dzieci i młodzieży?*

Edmund Niziurski – Początkowo zamierzałem równoległe zajmować się pisarstwem dla dorosłych i dla dzieci. Ale rychło przekonałem się, że twórczość dla dorosłych musiałaby być w jakimś stopniu ustępstwem na rzecz socrealizmu. Z drugiej strony było mi ciągle mało tej lektury szkolno-przygodowej. Gdy pracowałem jako redaktor w tygodniku „Wieś”, zaproponowano mi napisanie powieści dla młodzieży o wsi. Wówczas w Ministerstwie Kultury planowano pewne tematy, jakimi winni się pisarze zajmować. Zgodziłem się i tak powstała powieść *Gorące dni*, której akcja rozgrywa się w województwie kieleckim.

Pisanie dla młodzieży było też dla mnie ucieczką przed podejmowaniem narzucanych mi niewygodnych tematów, np. krytyki Kościoła, a szczególnie biskupa Kaczmarka. Mogłem się jakoś wywinąć, podejmując umowę z „Naszą Księgarnią” na dość obszerną powieść. Była nią *Księga urwisów*, ale tytułu tak od razu nie miałem. Przyszedł mi na myśl, gdy wiozłem cztery egzemplarze maszynopisu do wydawnictwa.

Ciężar wypowiedział słowo „księga”, a ponieważ chodziło o urwisów, szybko dośpiewałem sobie pełne brzmienie.

Ta Księga otworzyła mi drogę. Miałem bardzo dobre recenzje w „Kulturze”, „Nowych Książkach”. Pisano, że to powieść nieschematyczna, pokazująca postaci żywe, barwne, zindywidualizowane.

– *Niektórzy pisarze zwierzają się, że komponując fabułę, obmyślają swoisty „układ zaciekania” dla rozwoju i powiązań poszczególnych wątków. Mówił mi o tym np. Wiesław Jażdżyński. Czy u pana też istnieje taki wcześniej zamierzony plan, czy raczej wszystko w procesie tworzenia dzieje się spontanicznie?*

E.N. – Nie zabieram się do pisania, dopóki nie zostanie naszkicowanych przynajmniej parę momentów węzłowych. Muszą być jakieś „założone” momenty węzłowe akcji. Mam na myśli pewne sytuacje decydujące o losach bohaterów, ich ważne rozmowy. Ale nie znaczy to, bym w trakcie pisania już niczego nie zmieniał. Gdy się już napisze dużą partię powieści, książka pulsuje własnym życiem, sami bohaterowie „domagają się” takich a nie innych rozwiązań. Bardzo przy tym ważne, by autor zapomniał, kim jest, i wczuwał się w każdą postać, nawet zbrodniarza. Wtedy czytelnicy uznają, że tak być mogło. Nie tylko mogło, ale musiało.

– *Prawda w książce wygląda nieco inaczej niż w rzeczywistości...*

E.N. – Pisząc powieść, staramy się o prawdę psychologiczną. Chodzi o to, aby postaci były typowe dzięki wyolbrzymieniu cech. Doprowadzone nieraz aż do absurdu po to, aby wbijały się w pamięć.

– *Wtedy uzyskuje się jakby czystość, wyrazistość, pełny wygląd postaci.*

E.N. – Tak, ma pan rację. Właśnie wtedy.

– *Lubi pan zapewne spotkania z młodymi czytelnikami. Są przecież najlepszym sprawdzianem. I czym jeszcze?*

E.N. – Młodzież jest niestęchła szczerą. Nikt jej do czytania nie zmusi. Chciałaby, jeśli podoba jej się książka, poznawać nowe przygody tych samych bohaterów. Ale ja tego nie lubię, wolę raczej penetrować nowe środowiska. Choć trylogię już pisałem.

Spotkanie jest jak lustro. Widzę, która powieść się podoba. Cieszy mnie również, że przychodzą do mnie i czytelnicy dorośli mówiąc,

że wychowali się na moich książkach. Poza tym takie spotkania, gdzie młodzi czytelnicy wyrażają swoje zdanie, są bardzo ważne. Czasem korzystam z ich uwag, np. że za mało piszę o dziewczynach. W *Awanturze w Niektaju* występuje już drużyna dziewczęca współzawodnicząca z chłopcami. A w *Awanturach kosmicznych* rzeczywiście za mało napisałem o Madzi. Tę powieść później pogłębiłem o postaci dziewczęce. Recenzent był oburzony, twierdził, że w już wydanej książce nie wolno niczego zmieniać.

– *Czy i w stosunku do innych księzek przy wznowieniach dokonywał pan jakichś korekt?*

E.N. – Kilka było pisanych w odcinkach. Wkrada się wówczas wiele rzeczy niepotrzebnych. A więc już przygotowując pierwsze wydanie książkowe, trzeba uważnie przejrzeć tekst, dopracować go jako całość.

Zawsze pracowałem pod naporem umów. Wydawcy mnie naciskali. Pisałem często pośpiesznie. Ponieważ niejednokrotnie były to wspomniane powieści w odcinkach, presję wywierali redaktorzy pism, np. „Płomyka”. Oni, pierwsi czytelnicy maszynopisów, bywali najsurowszymi cenzorami. Kazali mi np. wyrzucić „żabę moczarową” z książki pt. *Nikodem, czyli tajemnica gabinetu*. W związku z *Księżką urwisów* postawiono mi aż 72 zarzuty. Ministerstwo Oświaty uczulone było na przedstawianie nauczycieli w negatywnym świetle.

Jednak większość moich książek wznowiam bez zmian.

– *Jakiego nowego utworu możemy się spodziewać?*

E.N. – Niechętnie o tym mówię. Pracuję nad dalszymi częściami *Niewiarygodnych przygód Marka Piegusa*. Mam już dużo naszkicowanych fragmentów.

– *Dziękuję za rozmowę**.

O końcowym okresie twórczości Edmunda Niziurskiego pisze w tym numerze „SKL” prof. Marek Kątny.

Stanisław Nyczaj

*) Wywiad – tu w wersji poszerzonej – ukazał się w „Ikarze” pod tytułem będącym cytatem z wypowiedzi pisarza: „Spotkanie z czytelnikami jest jak lustro”.

Wspomnienia o Bogdanie Betzu (1946–2013)

Henryk Jachimowski

Wciąż nie wiadomo, co się zdarzy...

Bogdan Betz. Właśnie mieliśmy spotkać się. To On jakby nalegał, w najbliższą sobotę, mówił, u Mietka Lasy w Polichnie (Mietek Lasa, nasz przyjaciel, wykładowca w Uniwersytecie Ludowym w Rożnicy, szef Uniwersytetów Ludowych). Zadzwoił weryfikując czas spotkania, może za tydzień, wyjaśniał, coś się źle czuję, może przeziębienie. Idź do lekarza, poradziłem. No tak, powiedział, chyba pójdę. Uptęły zaledwie dwa tygodnie, już nie żył.

Bogdana poznałem w Uniwersytecie Ludowym w Rożnicy (miejsce, gdzie spotykali się młodzi grupy poetyckiej „Ponidzie”, a także wyjątkowe w Polsce centrum polskiej kultury artystycznej, obejmującej również regionalną twórczość ludową). To był koniec lat sześćdziesiątych. Byliśmy wtedy młodzi. Uczestniczyliśmy w życiu Uniwersytetu, czerpiąc z jego atmosfery, wyjątkowych spotkań z najwybitniejszymi twórcami różnych dziedzin literatury i sztuki. Bogdan pojawiał się gdzieś wokół mnie. Zaprzyjaźniliśmy się, a On także zbliżył się do mojej rodziny, bywał wielokrotnie w moim rodzinnym domu w Rożnicy. Jednak Uniwersytet Ludowy był dla nas tym miejscem, gdzie dojrzewaliśmy – w artystycznych klimatach bliskich moim i jego poetyckim zainteresowaniom, które rozwinął później, decydując się m.in. na publikacje w formie książkowej (*Okoliczności* i *Dialog intymny*). Rok 68, znane wydarzenia. Tak to jest. Wciąż nie wiadomo, co się zdarzy... Ale to już inny rozdział.

W innym klimacie rozwijały się moje kontakty z Bogdanem w Ośrodku Szkoleniowo-Wypoczynkowym w Turnie, gdzie był dyrektorem, choć wiele z doświadczeń Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy przenosił tu, w obszar prowadzonej przez siebie działalności. Otaczał się ludźmi o predyspozycjach twórczych różnych dziedzin życia. Przybywali tu w zamiarach twórczych literaci, rzeźbiarze, malarze, twórcy ludowi. Rozwinął ten obszar działalności, nawiązując stałą współpracę z Uniwersytetami Ludowymi w Szwecji. Wpisał mnie w tę współpracę. Uczest-

niczyłem w kilku seminaryjnych spotkaniach w Polsce i jeden raz w Szwecji.

W czasie swojego dyrektorowania w Turnie Bogdan Betz rozbudowywał ośrodek architektonicznie. Nie było to bez znaczenia wtedy, a dziś, po dokonaniu uzupełniających zmian, miejsce to spełnia ważne funkcje społeczne. Jedno niepokoi: brak zainteresowania obiektem, którego Betz nie dokończył, który niszczeje, który w jego wizji miał być wyjątkowym domem, warsztatem edukacji kulturalnej z przeznaczeniem dla twórców. Tak to jest. Czas zmienia politykę, a polityka ludzi...

Był to, tak sędzę, drugi ważny okres w życiu Bogdana – także w Jego życiu rodzinnym.

Najbardziej oddalony od tego, co robił przedtem, stał się w Warszawie, gdzie przeniósł się wraz rodziną i gdzie założył wspólnie z przedsiębiorcą szwedzkim firmę produkującą m.in. tzw. naczepy do samochodów transportowych (tu wspomnę, że Bogdan znał dobrze język szwedzki). Firma funkcjonowała pod nazwą „Vikström & Betz S.A.". Wspomagali Go w tej pracy synowie Piotrek i Damian, którzy założyli wkrótce własne rodziny i podjęli samodzielną działalność zawodową. Moje kontakty osobiste z Bogdanem w tym ponad 20-letnim okresie były sporadyczne. W Jego mieszkaniu przy ul. Widawskiej 27, gdzie mieszkał z żoną Bożeną i córką Sylwią, pojawiłem się tylko raz. Pamiętam to pełne życzliwości spotkanie.

Bogdan pomagał mi finansowo w realizacji spektaklu *Pieśń o wolności* oraz w realizacji *Pasji* przez Kielecki Teatr Tańca wg moich pieśni. Nie oddalił się więc, mimo odmiennych zajęć, od poezji. Najwidoczniej nosił ją głęboko w sobie...

Był mi bardzo przyjazny. Byliśmy przyjaciółmi.

Był... I po tym słowie następuje czas, okres czwarty, wpisujący życie Bogdana bez Jego udziału, w tajemnicę świata. Czym tę tajemnicę rozjaśnić? Chyba tylko umysłem i wiarą...

Jedno, co wiem, to tyle, że Jego grób na cmentarzu nowym w Białobrzegach położony jest w zaciszu polany leśnej, w kwaterze na wschód od pomnika pamięci żołnierzy Armii Krajowej. Moja wyobraźnia i umysł w tym momencie tam właśnie bezradnie powracają. Także w stronę Jego Rodziny...

Kielce, 2013-10-30

Henryk Jachimowski

W poetyckim transie młodości

Bogdana Betza poznałem w kręgu Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Ujęła mnie jego naturalna, szczerza bezpośredniość. W zakrapianych, jak bywało, rozmowach o literaturze i polityce co raz wybuchał gromkim, ekstazyjnym śmiechem, którym niewymuszenie rozbawiał nawet zdeklarowanych zgorzkniałców. Ale przecież sumiennie spełniał swoje obowiązki – najpierw w Uniwersytecie Ludowym w Rożnicy (gdzie w roku 1975 miałem, umówione przez niego i Henryka Jachimowskiego, podówczas na krótko wykładowcę UL-u), spotkanie autorskie z młodymi słuchaczami, a potem jako kierownik Ośrodka Szkoleniowego ZSMP w Turnie nad Pilicą k. Białobrzegów Radomskich.

Szczególnie chętnie przyjeżdżałem z Henrykiem Jachimowskim (który w 1972 skutecznie zachęcił mnie do zamiany Opola na Kielce) i Bogusławem Pasternakiem do Turna. Tam doradzaliśmy adeptom literatury (głównie z Radomskiego Ośrodka KKMP), wybierając najlepsze teksty do zbiorowych i indywidualnych książkowych publikacji. Mijały lata. Chyba właśnie tam i po części na spotkaniach w radomskiej „łaźni” zrodziła się myśl o wydaniu almanachu poetyckiego, który wyszedł z druku jednak dopiero w roku 1981 – dzięki intensywnym zabiegom Bogdana Betza – z moim wstępem, pięknym wystrojem graficznym Wojciecha Minajewa (barwnymi „szalonymi Pegazami”), w podłużnym, „albumowym” formacie. Niełatwo było wtedy coś wydać nieco efektowniej



i bardziej okazałe, niż 16-stronicowy arkusz czy szczupły tomik.

We wstępie do almanachu charakteryzowałem życie literackie Radomia od „Żagwi” pod redakcją Stanisława Skonecznego z lat 1938-1939 aż do przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy wspomnianemu młodemu środowisku zaczęli nadawać ton, obok Bogdana, Władysław Koba, Jacek Mularski, Teresa Opoka, Alina Pietraszewska oraz wypracowujący swój własny styl Henryk Morawski z Białobrzegów Radomskich i Kazimierz Kochański z nieodległego Grójca.

Wówczas spośród autorów almanachu tylko Bogdan Betz i Alina Pietraszewska byli po pierwszych tomikach. Bogdan w serii Literackiej Biblioteki „Przemian” wydał w 1974 r. *Dialog intymny* z okładką zaprojektowaną przez Henryka Papierniaka i z rysunkowymi ilustracjami Andrzeja Grabiwody oraz w 1980 w ramach Biblioteki Świętokrzyskiej arkusz poetycki *Okoliczności* staraniem Ośrodka Kultury Literackiej w Kielcach. W wierszach objawił swą inną naturę od tej



manifestowanej na zewnątrz. Społecznik, pogodny w kontaktach, otwarty na innych, wypróbowany przyjaciel, śpieszący z pomocą – także po latach, gdy odbiegłszy od literackiego środowiska kierował w Warszawie firmą VIKSTROM

& BETZ S.A. – w poetyckim *alter ego* (postawie wyrażanej przez podmiot liryczny), okazał się introwertykiem niechętnie wychodzącym poza krąg głęboko przeżywanych i nurtujących go niepokojów. Jego poezja – odnotowywałem wtedy – wydaje się rozdarta sprzecznymi emocjami, „antyestetyczna” w wyrazie i sposobie kojarzenia obrazów. Wynika ze świadomości totalnego rozpadu porządku i wartości tworzonych syzyfowym wysiłkiem przez cywilizację i kulturę oraz z rozbi-

cia osobowości jednostki, na próżno tęskniące „w śmierzącym smutku świątków” za „śpiewem wschodzącego dnia” (z wiersza przytoczonego niżej obok kilku innych).

* * *

W akwarium kloacznym
w śmierzącym smutku świątków
w odległości tak dłużej że niemożliwej
w zapachu wiosennego lasu
uczysz mnie nieporadnego prawnuka
ojców naszych poniewieranych
portretowania miłości
w łóżkach zimnych
w pokojach obcych
uczyni we mnie śpiew
wschodzącego dnia

Karuzela

Na karuzeli jarmarcznych uśmiechów
wokół spętanych nóg
zostawiamy niedopalone
zostawiamy niedojezione
zostawiamy niedopite
nadzieje
rano uczymy niedospane żony miłości

* * *

niepewnie wstępowałem po schodach
noc w noc jesteś bezsnem
w milczącym pomroku pochłonięci
wstępujemy w koronkowym rytuale
by udźwignąć ten wstyd
w porozwieszanych oknach prowadzą rozmowy
co można w tańcu zakrzyczeć i przemilczeć
w ciągłym strumieniu rzeki przy rwącym brzegu
stać można na krawędzi dopóki
rozchełstana nadzieja nie obsunie w koryto
roześmianej nagości powtórzeń słów
znaków

* * *

byłem z nimi na wyciągniętą rękę
strażnik patrzył w nieogoloną twarz
ulice pełne kieszenie puste
parki nieprzespane
szukali co by we mnie włożyć
w pociągu schizofrenik
powolne stąpanie

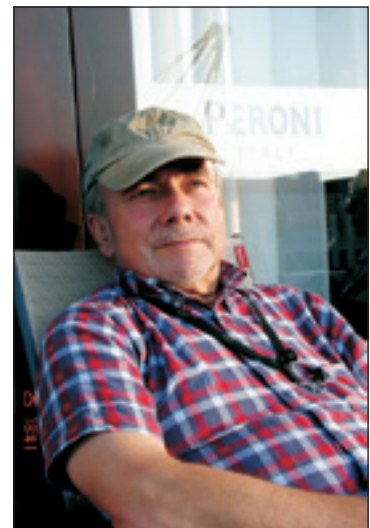
trzask drzwi i dźwięk kluczy
od których ogłuchł
naprzeciwko piją dużo
koryta głębokie gęby opasłe
cicho szeleści wymiana poglądów
ktoś wstał i przemówił
jesteśmy z wami na wyciągniętą rękę
w barze dworca kolejowego
zjedliśmy głowiznę z nieogolonymi włosami

* * *

Świt obudził burzę
w głównej w bocznej
zaczaiłem swoją małość
tłum walił w ciszy
poeci nie wychylili głów ze swoich wierszy
otwarto bramy
rynsztek zakrzytał pełnym gardłem
złodzieje patrzyli z balkonów na niefachową robotę
pani gubiła proszki
ktoś się oburzył ktoś zachęcał
wiatraki zawirowały w powietrzu
czerwone miasto mówią
kochane miasto mówią
w kłębach dymu stłumiony głos polityka
ktoś został wciągnięty w tłum
obcięte ucho leżało obojętnie na ulicy

Telefoniczna wiadomość od Henryka Jachimowskiego o śmierci Bogdana 6 października tego roku (naglej po niespodziewanym zaostreniu się choroby) i o pogrzebie mającym się odbyć w Białobrzegach przetrzymała nas obu na dłużej w bolesnym przygnębieniu, żalu i bezradności wobec dotkliwie krzywdzących wyroków losu.

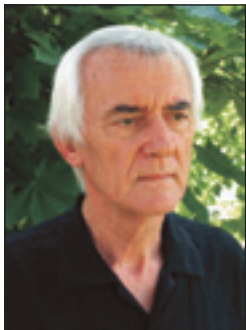
Stanisław Nyczaj



Fot. Damian Betz

Wszystko jest funkcją czasu

Z Edwardem Zymanem rozmawia Andrzej Piskulak



Andrzej Piskulak – Nasz pierwszy wywiad, także na łamach „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”, przeprowadziliśmy w połowie 2007 roku. Sześć lat to sporo czasu. Domyślałem się, że w okresie tym wiele się w Twoim życiu zmieniło.

Edward Zyman – Jak wiemy, wszystko jest funkcją czasu. Jego magiczna, a może najwyklejsza, moc polega na tym, że nie tylko przynosi w naszej indywidualnej i zbiorowej egzystencji szereg, często istotnych, zmian, ale także nowe perspektywy widzenia. To, co niegdyś było dla nas niesłychanie ważne i wzbudzało nasze głębokie emocje, po latach zbladło, straciło na znaczeniu, przestało ważyć na naszych aspiracjach i wyborach.

A.P. – Mówisz o zmęczeniu?

E.Z. – Także; przede wszystkim mam jednak na uwadze to, że kumulujemy w sobie przeżycia, doświadczenia, satysfakcje, radości i rozgoryczenia, co sprawia, że na wiele rzeczy i spraw patrzymy nieco inaczej. Powiedziałbym: bardziej racjonalnie!

A.P. – Chcesz powiedzieć, że dzisiaj nic nie jest w stanie poruszyć Cię, zbulwersować czy wręcz zdenerwować?

E.Z. – Wręcz przeciwnie. Na to, co dzieje się wokół mnie, a także w bardziej odległej przestrzeni, na przykład Polsce, reaguję bardzo silnie, lecz inaczej. Dziś nie mam ochoty (ani siły) na dziennikarskie harce. Emocje, najbardziej nawet szlachetne, nie sprzyjają precyzji myślenia, powodują natomiast powstanie barier, które najczęściej uniemożliwiają jakiegokolwiek porozumienie. Zwróć uwagę, jak wygląda dziś publiczny dialog w polskiej prasie, telewizji czy na sali sejmowej. Mnie to nawet już nie zniechęca czy śmieszy, lecz najzwyczajniej żenuje.

A.P. – Mówimy o stylu dialogu czy zwyczajnej rozmowy, ale przecież istotne są tutaj wartości, jak byśmy powiedzieli dawniej: imponderabilia.

E.Z. – Dla mnie obie te sfery są nierozdzielne. Bez rozstrzygających o naszym życiu wartości niemożliwe są żadne sensowne dysputy. Ale właśnie dlatego, że ich przedmiotem są, powinny być, imponderabilia, tak ważną funkcję pełni sposób ich prowadzenia. Rzecz w tym, by umieć słuchać i okazywać szacunek naszemu adwersarzowi. Inaczej nie osiągniemy żadnego kompromisu, co jest warunkiem normalnego funkcjonowania życia społecznego.

A.P. – Mam wrażenie, że oddaliliśmy się od spraw czysto literackich, artystycznych.

E.Z. – I tak, i nie. Rozmawiamy o kulturze współczesnej, najważniejszym, a przynajmniej jednym z najważniejszych problemów współczesnej Polski, który decyduje w ogromnej mierze o jej wewnętrznym i międzynarodowym wizerunku. Dzisiaj stwierdzenie McLuhana, że świat jest globalną wioską nie stanowi już tylko trafnej i pojemnej metafory, to żywo odbierana przez nas i innych rzeczywistość. To, co mówi współczesny polski polityk, poseł, dziennikarz liczącej się gazety czy telewizji nie pozostaje bez echa nie tylko w Polsce, lecz także poza jej granicami. Przykładów tylko z ostatniego okresu moglibyśmy przytoczyć bez liku.

A.P. – Wybacz, wciąż mam jednak odczucie, że literaturę zostawiliśmy nieco na boku.

E.Z. – Bo też znajduje się ona na poboczach współczesnego życia publicznego. Społeczeństwo masowe, z właściwym sobie systemem preferencji, wypchnęło ją z ważnych dla ogółu centrów życia intelektualnego, skazało na żywot marginalny, niszowy. Dla rządzących jest ona dzisiaj nie tygłem idei, koncepcji i zdrowej energii społecznej, lecz czymś w rodzaju skansenu, do którego zagląda się, bez specjalnego zainteresowania, od czasu do czasu.

A.P. – Nie znaczy to przecież, by w jej obszarze nie działy się rzeczy ciekawe.

E.Z. – Wręcz fascynujące. W ostatnich dniach przeczytałem na przykład znakomitą powieść Wiesława Myśliwskiego *Ostatnie rozdanie*. Nie czuję się, co prawda, na siłach, by poddawać

ocenie całości zjawisk literackich w Polsce, zbyt wiele faktów umyka mojej uwadze, do wielu, mimo Internetu, nie mam dostępu. Jestem jednak pewien, że ktoś bardziej kompetentny byłby w stanie sporządzić solidną listę pozycji znaczących, dla kondycji współczesnej literatury polskiej niezwykle istotnych. Z bliskiego mi obszaru, jakim jest refleksja krytyczna poświęcona w dużej mierze (choć nie wyłącznie) polskiej literaturze na obczyźnie, wymienię przykładowo wydane w ostatnich latach tomy Marii Delaperriere *Literatura polska w interakcjach. Szkice porównawcze z literatury i kultury* (2010), Janusza Pasternaka *Inne wyzwania. Poezja Bohdana Czajkowskiego i Andrzeja Buszy w perspektywie dwukulturowości* (2011), Andrzeja Franaszka *Miłosz. Biografia* (2011), Justyny Budzik *Zadomowieni i wyobcowani. O sytuacji pisarzy polskich w Kanadzie* (2013) czy Magdaleny Rabizo-Birek *Romantycy i nowocześni. Formy obecności romantyzmu w polskiej literaturze współczesnej* (2013). A przecież trudno nie pamiętać o wydanych kilka lat wcześniej znakomitych książkach Wojciecha Ligęzy *Jerozolima i Babilon. Miasta poetów emigracyjnych* (1998) i *Jaśniejsze strony katastrofy. Szkice o twórczości poetów emigracyjnych* (2001), Beaty Tarnowskiej *Między światami. Problematyka bilingwizmu w literaturze. Dwujęzyczna twórczość poetów grupy „Kontynenty”* (2004), wspomnianej przed chwilą Magdaleny Rabizo-Birek *Między mitem a historią. Twórczość Włodzimierza Odojewskiego* (2002), a także licznych tomach zbiorowych wydanych przez uniwersyteckie środowiska Torunia, Rzeszowa czy Katowic.

A.P. – Wymieniłbym wśród tych ważnych pozycji także twoje *Mosty z papieru. O życiu literackim, sytuacji pisarza i jego dzieła na obczyźnie* (2010), wyróżnione nagrodą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

E.Z. – *Mosty* nie są sensu stricto pracą naukową, to raczej bogata dokumentacja praktyka, kogoś, kto miał przywilej uczestniczyć w istotnych wydarzeniach dla polskiego życia literackiego w Kanadzie. Inaczej mówiąc, nie mogłem tej książki nie napisać i jestem rad, że będzie ona, już jest, przydatnym źródłem dla badaczy i historyków literatury.

A.P. – W bieżącym roku nakładem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach ukazała się obszerna *Bibliografia podmiotowo-przedmiotowa* twoich publikacji

literackich i publicystycznych. Pozwala ona zorientować się zarówno w zakresie twoich zainteresowań, jako pisarza oraz dziennikarza i redaktora, jak i w skali twojego dotychczasowego dorobku.

E.Z. – Mówisz o sprawie, która z wielu względów jest dla mnie bardzo ważna. Dzięki niezwyklej uprzejmości i życzliwości dyrektora Biblioteki, pana Andrzeja Dąbrowskiego, a także jego wspólnego, wyjątkowo kompetentnego personelu ukazała się kompletna dokumentacja moich dotychczasowych publikacji. W warunkach „emigracyjnych” przygotowanie takiej publikacji byłoby niemożliwe. Jest to ważne dla mnie osobiście, ale także z innego względu. Ta bibliografia jest materialnym potwierdzeniem efektywnej współpracy krajowych ośrodków naukowej dokumentacji z pisarzami na obczyźnie. Oczywiście wiele zależy od konkretnych osób, jestem jednak przekonany, że dyrektor Dąbrowski nie jest w tej mierze wyjątkiem, i że w innych bibliotekach wojewódzkich znaleźć można podobną wyobraźnię, życzliwość i kompetencję. Ja w każdym razie nigdy nie zapomnę w pełni mnie satysfakcjonującej współpracy z panią Beatą Piotrowską, znakomitym fachowcem i wspólnym człowiekiem.

A.P. – Podkreślasz wagę tej współpracy, bo wiem jak ważnym problemem jest dokumentowanie przejawów kulturalnej działalności polskiej diaspory.

E.Z. – Stąd między innymi moja ogromna wdzięczność dla Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach. Wśród moich publikacji znajduje się wiele książek, których jestem autorem lub redaktorem, spełniających podobną funkcję ocalania tego, co niezapisane, a więc niezarejestrowane, ginie w głębokiej luce niepamięci.

A.P. – Masz na myśli wspomniane *Mosty*, tom o Fundacji Turzańskich *Scalić oddalone, Podróż w głąb pamięci*, zbiór prac poświęconych Wacławowi Iwaniukowi.

E.Z. – Nie tylko, także takie pozycje, jak *Przeznaczenie jest wyborem* (o Henryku Słabym), *Widzieć dalej niż dziś, Powracam tutaj z własnej woli*, czy *Wyjść losowi naprzeciw* (przybliżające postać i twórczość Jerzego Korey-Krzeczowskiego), *Mrok nocy* (unikalny tomik Wojciecha Jana Stanisławskiego, zawierający wiersze kilkunastoletniego autora, który zginął w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu), no i dziesiątki tomów Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, dzięki któ-

rym do czytelnika krajowego dotarła interesująca twórczość Andrzeja Buszy, Romana Chojnackiego, Bogdana Czaykowskiego, ks. Janusza Ihnatowicza, Marka Kusiba, Aleksandra Rybczyńskiego, Romana Sabo, Grażyny Zambrzyckiej i innych, a także cenne tomy o tej twórczości pióra wybitnych badaczy, krytyków i historyków literatury.

A.P. – Marek Kusiba w zakończeniu zamieszczonego w Bibliografii szkicu *Pomiędzy poezją a prozą (życia). Prolegomena do „emigracyjnej biografii”* pisze: „Po 1989 roku wiele ważnych materiałów dotyczących polskiego życia artystyczno-literackiego i naukowego na obczyźnie trafiło na szczęście do krajowych archiwów i placówek badawczych, stając się przedmiotem rzeczowych analiz i kompetentnych opracowań. Poświęcone Edwardowi Zymanowi opracowanie ma na celu zbliżoną funkcję: ocalić od niepamięci to, co z oczywistych względów utrwalić powinniśmy. Nie tylko dla nas samych. Także, a może przede wszystkim, dla tych, którzy zechcą po latach odpowiedzieć na pytanie, jak wyglądało życie kulturalne Polaków w Kanadzie. A jest to tym ważniejsze, że już dzisiaj możemy stwierdzić z całą pewnością, że wiele, stanowczo zbyt wiele, przejawów tego życia opisać nie potrafimy. Odeszły one wraz z ich autorami. Obawiam się, że bezpowrotnie”.

E.Z. – Mogę się tylko zgodzić z autorem, z którym od kilkadziesiąt lat uprawiamy ten mały wdzięczny, ale niezmiernie ważny ogródek. Powiadam: mało wdzięczny, bo moglibyśmy w tym czasie w większym wymiarze zająć się twórczością własną. Mamy jednak świadomość, myślę w tym momencie także o naszych przyjaciółach z Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, że za nas nikt tego nie uczyni.

A.P. – Mówimy sporo o polskiej diasporze, warto może stwierdzić, że polskie środowisko pisarskie w Kanadzie należy do jednego z najciekawszych na obczyźnie.

E.Z. – To prawda. Lista polskich autorów, często wybitnych, związanych z krajem Klonowego Liścia jest imponująca. Spróbuję ją w tym miejscu odtworzyć: Danuta Irena Bieńkowska, Zofia Bohdanowiczowa, Andrzej Busza, Roman Chojnacki, Bogdan Czaykowski, Magdalena Czyżycka, Izabela Embalo, Kamil Giżycki, Aleksander Grobicki, Barbara Halicka, Irena Harasimowicz, ks. Janusz A. Ihnatowicz, Waclaw Iwaniuk, Jadviga Jurkszus-Tomaszewska, Daniel Karpiński,

Krzysztof Kasprzyk, Waldemar Kontewicz, Jerzy Korey-Krzeczowski, Rafał Malczewski, Marek Kusiba, Bohdan Piątkowski, Artur Płaczkiwicz, Maria Magdalena Rudiuk, Aleksander Rybczyński, Roman Sabo, Radosław Sarnicki, Ewa Stachniak, Florian Śmieja, Adam Tomaszewski, Artur Ułamek, Antoni Wolak, Tomasz Wójtowicz, Grażyna Zambrzycka, Edward Zyman i Krzysztof Zarzecki. Nie mam pewności, czy kogoś nie pominąłem. Sporo spośród wymienionych twórców już od nas odeszło, ale był okres, gdy w moim życiu część z nich odgrywała niezwykle istotną rolę.

A.P. – W jednym z wywiadów stwierdziłeś, że niektórzy z wymienionych twórców sprawili, iż twoje emigracyjne życie nabrało dodatkowych sensów.

E.Z. – Bo tak było w istocie. Przed wyjazdem z Polski o wielu z nich – mam na myśli przedstawicieli emigracji wojennej – nie wiedziałem w ogóle. Z nazwiskiem Iwaniuka spotkałem się w książce Stanisława Czernika „Okolica Poetów”. *Wspomnienia i materiały*, wydanej w początkach lat sześćdziesiątych. Nie utrwaliło mi się w pamięci, bo autentyzm nie był w polskiej poezji kierunkiem wiodącym, a powojenny Iwaniuk to już zupełnie coś innego. Z Florianem Śmieją spotkałem się w Warszawie w połowie lat siedemdziesiątych na spotkaniu autorskim Stanisława Horaka, które prowadziłem w jednym z empików. Czaykowski, Busza, Bieńkowska, Bohdanowiczowa, Ihnatowicz, Korey-Krzeczowski, Tomaszewscy – to były absolutnie białe plamy. Tym większa moja satysfakcja, że z kilkoma z nich mogłem po latach blisko współpracować, a nawet zaliczyć ich do serdecznych przyjaciół.

A.P. – Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, którym od lat kierujesz, poświęca tym pisarzom wiele uwagi, o niektórych z nich napisałeś sporo tekstów krytycznoliterackich i wspomnieniowych.

E.Z. – Wynika to stąd, że część z wymienionych autorów to bezdyskusyjnie czołówka polskiej literatury współczesnej. Powód równie istotny to fakt, że taka jest funkcja polskich oficy na obczyźnie. Fundusz powstał głównie po to, by wspierać polskich pisarzy, pozbawionych naturalnej infrastruktury i przede wszystkim – możliwości wydawniczych. Publikowanie poza krajem to prawdziwa gehenna, o czym można by pisać tomy. Dlatego w naszym dorobku wydawniczym tak znaczącą pozycję zajmują książki

pisarzy żyjących stale na obczyźnie: Iwaniuka, Czaykowskiego, Buszy, Śmiei, Tomaszewskich, Rybczyńskiego, Chojnackiego, Kusiby, Sabo, Zambrzyckiej czy Zymana. Taka jest też geneza dwóch antologii: *Seven-Canadian Polish Poets: An Anthology* pod redakcją Wacława Iwaniuka i Floriana Śmiei i *Antologii polskiej poezji na obczyźnie 1939-1999* w opracowaniu Bogdana Czaykowskiego, książki Ireny Habrowskiej-Jellaczyc i Adama Tomaszewskiego *Ze sceny i estrady* czy moich tomów monograficznych *Scalić oddalone* i *Mosty z papieru*.

A.P. – Skoro już wspomniałeś o twórczości własnej. Ostatnim twoim tomem, który dotarł do mnie, był bibliofilski zbiór wierszy *Jasność* (2011).

E.Z. – W tym samym 2011 roku ukazała się moja powieść dla młodzieży *Ściana pełna jerzyków*, wyróżniona w ogólnopolskim konkursie literackim warszawskiego wydawnictwa Telbit, rok później berlińska oficyna Mordellus Press wydała *Miejsce na ziemi*, mój bibliofilski druk poświęcony Wacławowi Iwaniukowi. Mam nadzieję, że niebawem uporam się z dużym tomem tekstów krytycznoliterackich zatytułowanym *Światy utracone, światy odnalezione*, nad którym prace zakłóciły moje perturbacje zdrowotne. Poza tym w ostatnim okresie zredagowałem i opatrzyłem wstępem interesujący zbiór felietonów Marka Kusiby *Podręcznik do kobiet* (2011), świetny tom poezji Andrzeja Buszy *Niepewność* (2013) i bardzo ciekawy, oryginalny debiut poetycki *Wilkierze braniewskie* Waldemara Kontewicza, autora wydanego w 2010 roku *Braniewnika*, tomu małych próz, nominowanego do Wawrzynu – Literackiej Nagrody Warmii i Mazur i wyróżnionego w tym prestiżowym konkursie Nagrodą Czytelników. Do tego ostatniego tomu napisałem także postowie, w którym staram się przybliżyć czytelnikowi tę ciekawą, zasługującą na uwagę propozycję poetycką.

A.P. – Pisziesz zatem dalszy ciąg *Bibliografii*.

E.Z. – Tak można by powiedzieć, bo od chwili jej ukazania się, prócz wymienionych książek, opublikowałem trochę tekstów w prasie literackiej, m.in. w nowojorskim „Przeglądzie Polskim”, gdańskich „Migotaniach” i lubelskim „Akcencie”. To zresztą normalne, wszak *Bibliografia* porządkuje tylko pewien, to prawda, że znaczny, fragment mojej biografii, ale jej nie zamyka.

A.P. – Dziękując za interesująca rozmowę, życzę ci najserdeczniej, by ta nowa, otwarta faza,

trwała jak najdłużej i przyniosła jak najwięcej ważnych tekstów i książek.

E.Z. – Za życzenia dziękuję, ale jak ustaliliśmy wcześniej, wszystko jest funkcją czasu.

Kielce-Mississauga, w październiku 2013

Edward Zyman. Poeta, prozaik, krytyk literacki, publicysta, wydawca. Ur. 20 maja 1943 w Dobromierzu (woj. kieleckie). Absolwent socjologii (UJ). Do chwili wyjazdu z Polski dziennikarz PR w Katowicach, redaktor wydawanego poza cenzurą „Tygodnika Katowickiego”, kierownik literacki Zespołu Filmowego „Silesia”, przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” katowickiej Rozgłośni PR. Aresztowany z chwilą wprowadzenia stanu wojennego. Po rocznej izolacji w więzieniach i ośrodkach odosobnienia, usunięty z pracy w trybie specjalnym. W marcu 1983 emigruje do Kanady, gdzie kontynuuje działalność dziennikarską i literacką. Wiersze, prozę i prace krytycznoliterackie publikował m.in. na łamach „Nowego Wyrazu”, „Nowych Książek”, „Odgłosów”, „Odry”, „Opola”, „Poezji”, „Poglądów”, „Przemian”, „Regionów”, „Tygodnika Kulturalnego”, „Twórczości”, „Współczesności”, londyńskiego „Pulsu” i nowojorskiego „Przeglądu Polskiego”. Wydał kilka tomów wierszy m.in.: *Dzień jak co dzień* (1978), *Co za radość żyć* (1979), *W czym obcym domu* (1981), *Jak noc, jak sen* (1987), *Kim Stwórca mądre te eseje pisze* (Vancouver 2004), *Z podręcznego leksykonu* (Toronto 2006), *Jasność* (Toronto 2011), zbiór felietonów *U Boga każdy błazen* (1987), powieści dla młodzieży: *Szansa* (Warszawa 1980), *Ściana pełna jerzyków* (Warszawa 2011) i *Gdy krzywe jest proste* (Poznań 2012), tom pamfletów krytyczno-literackich *Metamorfozy głębin Twoich. Polonijny parnas literacki* (Toronto 2003), dwie książki biograficzne: *Widzieć dalej niż dziś. Rozmowa z Jerzym Korey-Krzeczowskim* (Toronto-Katowice 2003) i *Przeznaczenie jest wyborem. Henryk Słaby czyli filozofia skutecznego działania* (Katowice 2005) oraz ostatnio *Scalić oddalone* (Toronto 2008), tomy monograficzne *Scalić oddalone* (o Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich) i *Mosty z papieru. O życiu literackim, sytuacji pisarza i jego dzieła na obczyźnie* (o Polskim Funduszu Wydawniczym w Kanadzie). Współredaktor tomu *Podróż w głąb pamięci. O Wacławie Iwaniuku szkice, wspomnienia, wiersze* (Toronto 2005). Redaktor kilkudziesięciu tomików poezji, tomów prozy i wspomnień. Jeden z członków-założycieli działającej w Toronto Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich, obecnie jej wiceprzewodniczący. Wieloletni prezes Polskiego Funduszu Wydawniczego, instytucji charytatywnej, która opublikowała ponad sto dwadzieścia książek. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Spotkania nad Wilią

Benedykt Kozieł

XIII Światowy Dzień Poezji na Wileńszczyźnie

W dniach 25–27 kwietnia 2013 roku XIII Światowy Dzień Poezji gościł na Wileńszczyźnie. W spotkaniach zorganizowanych w szkołach średnich w Bujwidzach i Awizieniach oraz w Domu Kultury Polskiej w Wilnie uczestniczyłem wraz z poetami Wileńszczyzny i z Polski. Byli wśród nich: Aleksander Sokołowski (poeta, prezes Republikańskiego Stowarzyszenia Polskich Literatów na Litwie, główny organizator Światowych Dni Poezji na Wileńszczyźnie), Aleksander Śnieżko (poeta, członek Republikańskiego Stowarzyszenia Polskich Literatów na Litwie), Teresa Markiewicz (członkini Stowarzyszenia Polskich Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie), Apolonia Skakowska, Jan Rychner (poeta, prezes Klubu Literackiego „Nasza Twórczość” przy Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska” w Warszawie, członek Stowarzyszenia Autorów Polskich), Grażyna Kowalska (poetka, członkini „Naszej Twórczości”). Poprzez prezentowane wiersze oraz portret autorstwa Władysława Ławrynowicza obecny był również Aleksander Nawrocki (poeta, wydawca, redaktor naczelny pisma „Poezja dzisiaj”, główny organizator Światowych Dni Poezji w Polsce).

Spotkaniom towarzyszyły wystawy prac artystów malarzy: Władysława Ławrynowicza i Stanisława Kaplewskiego. Prezentowała się także wileńska młodzież skupiona w ugrupowaniu Nowa Awangarda Wileńska przy Republikańskim Stowarzyszeniu Polskich Literatów na Litwie: Dariusz Kaplewski, Jarosław Kaplewski, Marzena Mackojć, Ewa Szostak, Daniel Krajczyński, Ewa Czerniawska, Paweł Czechowicz, Katarzyna Miłto, Monika Jodko, Tomek Tamosiunas.

W szczególnej roli występowała Marzena Mackojć, laureatka Nagrody Światowego Dnia Poezji 2013, którą otrzymała podczas inauguracji XIII Światowego Dnia Poezji w Warszawie.

Bogate programy słowno-muzyczne przygotowały szkoły goszczące uczestników XIII Światowe-

go Dnia Poezji. Było miejsce na popisy recytatorskie, wokalne, instrumentalne. W przygotowanie programów włączyło się kierownictwo szkół oraz nauczyciele poloniści, plastyki, muzyki. W finałowym, trzecim dniu Światowego Dnia Poezji, w Domu Kultury Polskiej w Wilnie ogłoszono wyniki konkursu poetyckiego „Głos Mają Młodzi”, organizowanego przez Republikańskie Stowarzyszenie Literatów Polskich na Litwie. Pierwsze miejsce przyznano Jarosławowi Kaplewskiemu (studentowi wydziału sztuk plastycznych Litewskiego Uniwersytetu Edukologicznego, członkowi Nowej Awangardy Wileńskiej).

Światowy Dzień Poezji był także dobrą okazją do wyrażenia uznania Jadwidze Podmostko, dziennikarce Kuriera Wileńskiego, z okazji 20-lecia *Kalendarza Rodziny Wileńskiej*, którego jest wydawcą oraz za promocję polskiej poezji Wileńszczyzny. Jan Rychner jako prezes Klubu Literackiego „Nasza Twórczość” przy Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska” w uznaniu dorobku literackiego oraz zasług w organizowaniu Światowych Dni Poezji na Wileńszczyźnie wręczył Aleksandrowi Sokołowskiemu Złoty Pierścień z Orłem.

Oczywiście byliśmy w Ostrej Bramie oraz na Cmentarzu na Rossie.



Przy Ostrej Bramie: Grażyna Kowalska i Benedykt Kozieł



Przed Domem Kultury Polskiej w Wilnie: Aleksander Śnieżko, Aleksander Sokołowski, Grażyna Kowalska, Jan Rychner, Benedykt Koziół



W szkole średniej w Bujwidzach



Przy cmentarzu na Rossie: Benedykt Koziół, Grażyna Kowalska, Aleksander Śnieżko



Aleksander Śnieżko, Aleksander Sokołowski, Jan Rychner, Grażyna Kowalska, Władysław Ławrynowicz, Teresa Markiewicz



W szkole średniej w Awizieniach



Aleksander Sokołowski, Benedykt Koziół, Jan Rychner

Wieczór autorski w Wilnie

Nie od dziś wiadomo wielu odwiedzającym Wilno Polakom, że przy ul. Naugarduko 76 istnieje Dom Kultury Polskiej. Znana jest tamtejszej Polonii urozmaicona i interesująca działalność tej placówki; są tam prezentowane liczne wystawy plastyków, fotografików, koncerty, recitale znanych wykonawców, a także spotkania literackie z autorami miejscowymi, jak i zapraszanymi spoza granic Litwy. Na taki właśnie wieczór poetycki i ja otrzymałam zaproszenie od przedstawicieli grupy poetyckiej Młoda Awangarda Wileńska. Wieczór odbył się w Wilnie 28 września 2013 r.

Skąd to zaproszenie? Na przełomie czerwca i lipca w Staszowie na urokliwej ziemi świętokrzyskiej, kolejny raz odbywały się spotkania literackie. Głównie dla członków Kieleckiego Oddziału ZLP. Zaproszono także gości – plastyków i osoby muzykujące. Całą tą gromadą rozmaicie uzdolnionych osób dowodził prezes Oddziału Kieleckiego ZLP Stanisław Nyczaj. To on wyznaczał dzień i godziny dla prezentacji kolejnych uczestników, wygłaszał wprowadzenie do ich twórczości, a wiadomo było, że u każdego z nich znajdzie coś oryginalnego i godnego polecenia. Wśród gości znalazło się dwóch młodych poetów z Wilna, którzy wyraźnie interesowali się naszymi wieczorami literackimi, tomikami, dyskusjami. Byli to przedstawiciele Młodej Awangardy Wileńskiej. Wywieźli ze Staszowa tomiki wielu uczestników tego spotkania, w tym i moje.

Po niedługim czasie otrzymałam miłe, serdeczne zaproszenie do Wilna, by w Domu Polskiej Kultury zaprezentować swoją twórczość. Wszystkie sprawy związane z przyjazdem wzięł w swoje ręce p. Jarosław Kaplewski, gdy tylko wyraziłam radość z zaproszenia. Pana Jarka poznaliśmy właśnie w Staszowie.

Ponieważ mój mąż miał po raz pierwszy oglądać Wilno, przyjechaliśmy wcześniej i w dniu poprzedzającym spotkanie zwiedzaliśmy miasto, podziwiając jego wspaniałe, odnowione zabytki. Przewodnikiem, znającym dobrze historię i współczesność Litwy, był także p. Jarek Kaplewski.

Nadeszła godzina spotkania z poetami. Pierwszy zabrał głos wybitny wileński poeta Aleksan-

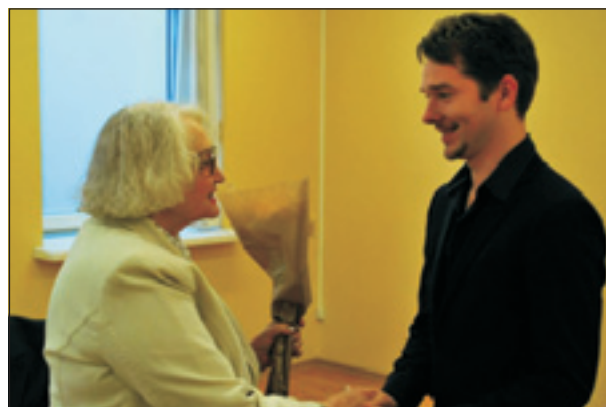
der Śnieżko, dobrze znany również w Polsce. Przedstawił w ogólności działalność kulturalną polskiej mniejszości na Litwie, potem przeczytał wybrane wiersze z kilku swoich tomików. Jeden z nich otrzymałam z miłą dedykacją.

Zabrała też głos pani Apolonia Skakowska, także poetka, ale również znana działaczka, organizatorka wielu wydarzeń kulturalnych na Litwie w ramach Centrum Kultury Polskiej na Litwie im. St. Moniuszki, m.in. Międzynarodowego Festiwalu Poezji Polskiej i Polonijnej.

Po tym wiersze z kilku moich tomików czytał mój mąż, a atmosfera wzruszenia ogarnęła uczestników spotkania. Większość z nich stanowiła grupa młodych twórców, ale już publikujących swoje teksty w czasopismach, w Internecie oraz posiadających wydane tomiki. Po lekturze wierszy – długie rozmowy, wymiana tomików. Zdjęcia z tego ciekawego spotkania organizatorzy umieścili na swojej stronie internetowej.

Niektórzy obecni na spotkaniu poeci bywają w Polsce, biorą udział w konkursach literackich i w różnych imprezach, a najbardziej wyróżnioną jest młoda poetka Marzena Mackoić, która otrzymała w 2013 r. nagrodę UNESCO z okazji Światowego Dnia Poezji; jej drugi tomik poetycki wydało w Polsce Wydawnictwo Książkowe IBIS.

Na zakończenie pragnę podkreślić wielce przyjazną atmosferę i niezwykle gościnne przyjęcie ze strony gospodarzy spotkania – młodych poetów wileńskich, o których i my powinniśmy pamiętać.



Irena Stopierzyńska-Siek i Jarosław Kaplewski w Wilnie

Fot. Janusz Siek

Benefis serialu *Czarne chmury* w Pustelni Złotego Lasu w Rytwianach

Malarze zrzeszeni w Stowarzyszeniu Artystów Plastyków Świętokrzyskich w Kielcach są zauroczeni Ziemią Świętokrzyską. Tu żyją i tu tworzą. Utrwalają pędzlem piękne pejzaże, zabytki,



Władysława Szproch

starą architekturę. Czynią to indywidualnie lub zbiorowo, pracując na zorganizowanych plenerach malarskich. Szczególnym miejscem, które upodobali sobie artyści, jest Pustelnia Złotego Lasu w Rytwianach. To tutaj odbywają oni malarskie plenery od kilku już lat. Przyjeżdżają na zaproszenie ks. dyrektora Wiesława Kowalewskiego o różnych porach roku. Ich prace powstałe na plenerach ozdabiają wnętrza pokamedulskich cel, kaplicę, refektarz, sale konferencyjne, korytarze i Galerię Kamedulską. To już ogromna kolekcja obrazów, zgromadzonych w jednym miejscu w/w stowarzyszenia.

Dwa tegoroczne, letnie plenery zostały celowo zaplanowane przed Benefisem 40-lecia serialu *Czarne chmury*, gdyż w planach ks. dyrektora Wiesława Kowalewskiego był nie tylko dwudniowy benefis, ale też muzeum tego popularnego polskiego serialu. Do tych planów

księdza – pasjonata serialu, malarze podeszli z wielkim zaangażowaniem i z sercem. Prawie przez miesiąc malowali „kadry” z IV i X odcinka serialu *Czarne chmury*, gdyż właśnie te odcinki nagrywano 40 lat temu w Pustelni Złotego Lasu w Rytwianach. W tych nietypowych plenerach malarskich wzięło udział ośmioro malarzy ze SAPŚ w Kielcach. Byli to: Elżbieta Jabłońska ze Starachowic, Andrzej Jamski ze Starachowic, Jadwiga Kotlarz ze Staszowa, Dariusz Napora ze Starachowic, Aldona Ostatkiewicz z Legnicy, Władysław Sadłocha ze Staszowa, Maria Skrobacz z Połańca i Władysława Szproch – wiceprezes SAPŚ z Kielc. Pokłosiem plenerów jest pięknie wydany katalog, opracowany przez Elżbietę Jabłońską. Podczas tych dwóch pobytów malarzy w PZL w Rytwianach powstało kilkadziesiąt prac malarskich. Są to portrety serialowych bohaterów, scenki rodzajowe i postacie z filmu, malowane w naturalnych wielkościach na drewnianych sklejkach. Obrazy zawisły w Muzeum Serialu *Czarne chmury*, a postacie, rozstawione na placu przykościelnym pozują turystom do zdjęć.

Drugi plener malarski trwał aż do benefisu. Pracowite były te ostatnie dni, a nawet godziny



Postacie namalowane przez Aldonę Ostatkiewicz i Władysława Szproch



Pisarki z kieleckiego Oddziału ZLP Irena Paździerz, Władysława Szproch, Anna Błachucka i Kazimiera Szczykutowicz

przed uroczystościami, gdyż na prośbę ks. dyrektora Wiesława Kowalewskiego malarze zaaranżowali i urządzili ekspozycję w Muzeum oraz współtworzyli artystyczną oprawę dwudniowych uroczystości.

28.IX.2013 – dzień pierwszy benefisu

Benefis zaplanowany na 2 dni zaczął się wczesnym rankiem 28 września. W tych wczesnych godzinach dość pogodnego poranka pracowała telewizja polska i inne media. Odbyło się 6 wejść „na żywo” na antenę TVP z terenu PZL. Całość koordynowała i prowadziła znana dziennikarka telewizyjna – Anna Popek. Każde wejście na antenę TVP odbyło się z innego miejsca pustelni. Od rana przyjeżdżali kolejni zaproszeni goście, a wśród nich aktorzy: Leonard Pietraszak – odtwórca roli płk. Dowgirda, Maciej Rayzacher – odtwórca roli kapitana Knothe, Elżbieta Starostecka – odtwórczyni roli Anny Ostrowskiej, z mężem Włodzimierzem Korczem, Stefan Szmidt – odtwórca roli Błażeja – rajtara, z żoną,



Malarze w muzeum

aktorką Alicją Jachiewicz, Andrzej Chrzanowski – odtwórca roli Hansa – rajtara, Jerzy Małałowski i Małgorzata Konic – żona nieżyjącego reżysera (zmarł w roku 2010). Tu warto zauważyć, że w serialu zagrało 84 aktorów, a przy produkcji pracowało 8 osób. Do dziś żyje tylko 32 aktorów i troje producentów.

Pierwszego dnia benefisu goście zwiedzili hutę szkła Tadeusza Wrześniaka. Tu zostali obdarowani pięknymi wazonami, potem pojechali do Sichowa, gdzie zwiedzali bibliotekę i dom Radziwiłłów. Po obiedzie oprowadzał ich Stefan Dunin-Wąsowicz, właściciel dworu, jednocześnie wnuk Zofii i Krzysztofa Radziwiłłów, ostatnich przedwojennych właścicieli majątku. Po tej interesującej wycieczce i powrocie do pustelni odbyła się powitalna uroczystość w kościele. Ks. dyrektor Wiesław Kowalewski przedstawił przybyłych na benefis gości, podziękował



Ks. dyr. W. Kowalewski wita gości, wśród których są m.in. Leonard Pietraszak, Elżbieta Starostecka i jej mąż Włodzimierz Korcz

sponsorom, malarzom, pracownikom pustelni i ROT-owi w Kielcach za współpracę i pomoc w przygotowaniu tak wielkiej uroczystości. Odbył się też interesujący wykład prof. Mirosława Nagielskiego z Warszawy nt. historycznych uwarunkowań i tematyki serialu.

Po tym odczycie otwarto Muzeum Serialu *Czarne chmury*, umieszczonego nad boczną nawą kościoła, gdzie w czasie kręcenia scen filmowych znajdował się refektarz. Pomieszczenie to wyremontowano dla celów muzealnych. Uroczystego aktu otwarcia, w blaskach fleszy i kamer, dokonali aktorzy przecięciem symbolicznej wstęgi. W muzeum zgromadzono liczne pamiątki związane z serialem, m.in. fotel, puchary, kielichy, świeczniki, części garderoby, kosę,



Władysława Szproch i jej obrazy



Aldona Ostatkiewicz przy pracy



Drzewko sadzi Leonard Pietraszak

fotografie, wycinki prasowe, listy, autografy aktorów, dawne sprzęty gospodarcze. Ściany przyozdobiono obrazami powstałymi na plenerach malarskich, wykonanych przez malarzy ze Stowarzyszenia Artystów Plastyków Świętokrzyskich w Kielcach.

Po otwarciu muzeum wszyscy goście przeszli do Ogrodów Kamedulskich, gdzie wyznaczeni goście posadzili blisko 30 młodych dębów. Tak powstała unikatowa Aleja Gwiazd. Tu każdy aktor ma grawerowaną tabliczkę ze swoim imieniem i nazwiskiem. Przy sadzeniu drzewek pomagali leśnicy.

Pierwszy dzień benefisu zakończył się Wieczorną Biesiadą. Aktorskim wspomnieniem z „planu”, dowcipom, żartom, opowiastkom nie było końca. W biesiadzie uczestniczyli też malarze, władze wojewódzkie, powiatowe, gminne, sponsorzy oraz liczna rzesza dziennikarzy z całej Polski, gdyż o Pustelni Złotego Lasu było w tych dniach bardzo głośno w mediach. Sobotnia impreza trwała do późnych godzin nocnych.

29.IX.2013 – dzień drugi benefisu

29 września (niedziela) odbyły się główne uroczystości benefisu. O godz. 10.30 rozpoczęła się uroczysta, koncelebrowana Msza Św. w intencji zmarłych i żyjących aktorów oraz producentów serialu *Czarne chmury*. Na telebimie wyświetlano zdjęcia tych, którzy odeszli. Po Mszy Św. aktorzy przeszli po czerwonym dywanie do łoża honorowej, skąd oglądali to, co działo się na scenie głównej oraz obok niej. Imprezę prowadziła dziennikarka telewizyjna Anna Popek. Na telebimie prezentowano sceny z filmu, nagrywane w pustelni. Przed sceną pojedynkowali się rycerze z Bractwa Rycerskiego Zamku Szydłów, młodzież odgrywała scenki nawiązujące do filmowej trupy teatralnej, inna grupa popisywała się pięknymi układami tanecznymi (z Formacji Tanecznej KLEKS ze Staszowa). Na scenie koncertował zespół Contra Bellum, prezentując muzykę sarmacką i staropolską. Porywającą laudację na cześć twórców serialu wygłosił aktor Andrzej Seweryn, który po zakończeniu części oficjalnej prawie przez godzinę rozdawał autografy.

Po krótkiej przerwie rozpoczął się koncert pięknej muzyki filmowej w wykonaniu Królewskiej Orkiestry Symfonicznej z Wilanowa. Gromkimi brawami nagradzano występy solistów,



Laudację wygłasza Andrzej Seweryn

którzy śpiewali m.in. piosenki Anny German. Podziwiano operowe głosy małżeństwa: Natalii i Krystiana Krzeszowskich. Całość uroczystości odbywała się na błoniach przykościelnych.



Ryszard Pietruski jako wachmistrz Kacper Pilch i Leonard Pietraszak jako pułkownik Krzysztof Dowgird

Malowała Aldona Ostatkiewicz



Nagrodę za konkurs fotograficzny odbiera Władysława Szproch

Benefisowi towarzyszyły dwie imprezy: Bieg przełajowy na 3 km o szablę płk. Dowgirda i konkurs fotograficzny ukazujący miejsca związane z filmem. Miło odnotować, że w tym konkursie II miejsce zajęła pisząca te słowa.

Benefisowi towarzyszył kiermasz naturalnych produktów zdrowotnych i leczniczych „Leśna Apteka”. W imprezie wzięło udział kilka tysięcy osób. To była wspaniała impreza promująca nie tylko Pustelnię Złotego Lasu, ale całą Ziemię Świętokrzyską.

*Tekst i zdjęcia:
Władysława Szproch*



Rycerski pojedynek



Rycerze z Szydłowa

Nasze Plenery Literackie

Stanisław Nyczaj

Przedwiośnie w Kołobrzegu-Podczelu

Naszym zapobiegliwym staraniem, zwłaszcza latem w Staszowie, ale też dużym organizacyjnym wysiłkiem przyjaciół z Kołobrzegu: Barbary (niestrudzonej animatorki) i Mariana (poety i prozaika) Jedleckich, przygotowywane są i finalizowane co roku, lubiane przez stałych uczestników i cenione szerzej w kraju (dobre wieści i opinie rozchodzą się szybko!) plenery literackie, w których, prócz pisarzy, również chętnie uczestniczą plastycy, muzycy, jak i – świetnie czujący się wśród twórców – zamiłowani bywalcy spotkań literacko-artystycznych.

Już same przygotowania to długi, żmudny proces wielu konsultacji i logistycznych zabiegów. One rozgrzewają atmosferę, wypracowują program, w którym muszą być uwzględnione i dyskusje problemowo-warsztatowe w gronie uczestników oraz indywidualne pisarza z krytykiem literackim, i występy publiczne promujące naszą twórczość (w szczególności popularyzujące nowo wydane książki) w bibliotekach, centrach kultury, szkołach, kawiarniach, sanatoriach, a nawet w kościołach po mszach. Przeważnie – kiedy wyczuwamy, że byłoby stosowne, bo odbiór widzów-słuchaczy jest wspaniały – spotkaniom towarzyszą kiermasze z autografami. Dbamy przy tym o interludia instrumentalno-wokalne i swoistą scenografię rozwieszanych obrazów, grafik, rysunków. Wszystko to absorbuje, pochłania wiele energii i czasu. I nie ma w tym, co piszę, przesady. Jako komisarz większości plenerów, doświadczam tych – skądinąd przyjemnych – obowiązków w komponowaniu rozmaitych zdarzeń, i skoro się na ogół udają, nie narzekam. Żałuję tylko, gdy przy znacznym organizacyjno-programowym wkładzie Państwa Jedleckich i moim osobistym, mamy uczestników zbyt mało, jak na przedsięwzięty rozmach.

W tym roku plenerowy cykl rozpoczął się 5-dniowym spotkaniem w Kołobrzegu-Podczelu 1–5 marca w pensjonacie „Bukowina” z salą kawiarnianą, gdzie już wcześniej gościliśmy. Dopisali z kręgu twórców (przy wsparciu



Stanisław Nyczaj, Marian Jedlecki i Piotr Bednarski występują w kołobrzeszkiej kawiarni „Adabar” Fot. Jadwiga Jaśkowiak

kilkorga fanów): Jadwiga Jaśkowiak z Lublina, Alicja Patey-Grabowska z Warszawy, Aleksandra Petrusiewicz i Ewa Wojtasik ze Szczecina, Maria Szafran ze Świebodzina, Stanisława Żak ze Złocień. W spotkaniach w kołobrzeszkiej ratuszowej kawiarni „Adabar”, na miejscu w „Bukowinie”, w Miejskiej Bibliotece Publicznej, pensjonacie „Mona Lisa”, jak również w katedrze i przytulnym kościółku na Podczelu (gdzie po mszy tłum młodych i seniorów zafascynowanych metafizyką poetycką pozostał na całą jeszcze godzinę!) uczestniczyła też w zmiennym składzie grupa ze Stowarzyszenia Kołobrzeskich Poetów, z której nieodstępnie i z animującą emocją wspierał nas Piotr Bednarski, autor wydanego w ubiegłym roku w oficynie Adama Marszałka wyboru poezji *Żywioł wszelki*.

Alicja Patey-Grabowska wyznała, iż podjęła się swoistej misji w krytycznoliterackiej, promującej poetów i prozaików prezentacji na łamach bydgoskiego „Akantu” i z poszerzeniem w „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim”. Zadanie, wiadomo, niełatwe, ale jakże dla nas obiecujące! Bo oto żadna ważna publikacja nie przejdzie mimo, bez echa w dostępnej w EM-PiK-u i na portalu internetowym prasie literacko-kulturalnej. Alicja otwiera przed nami swój ulubiony tom *Oda do ciała*, czyta wiersze i mówi z zalem do pragnących wyjednać egzemplarz bez względu na cenę:

– Zostało mi niewiele z nakładu [LSW, 1998], więc może, kochani, posłuchacie jeszcze tych:

Poczęcie (I)

Nie znają się jeszcze
a już w łonie czasu
kielkuje zamysł
Człowieka

Jeszcze obracają się
wokół swoich osi
A już Przeznaczenie
podszeptuje im drogę
ku sobie

Jeszcze ona
zielonym pękiem
a już śni
owoc

I oto zetknięcie
twarzą w twarz
aż do zadziwienia

Stopiły się
dwie świetliste kule genów
by począł się dziedzic
pokoleń

Ballada o genach

W moich żyłach
płynie krew
zamierzchłych przodków

Naga Ewa
przy ognisku
warzy strawę
I maczugą
dławi okrzyk
woj kosmaty

W moich żyłach
rwący potok ludów – plemion
Przemieszanie w tyglu ras
jak wywar w kotle

Skąd te kości policzkowe
kolor oczu?
Ciemne włosy
gesty miękkie
spadek – Po kim?

Jaka piękność średniowiecza
dała życie.
Czyja rozpacz
Czyje szczęście
Czyja miłość?

Oto mówię
Oto myślę
ich gestami

Za kotary
mroku snu
przebija światło

Widzę twarze
Twarze przodków
w lustrze oka

Na szczęście, mam parę egz. jej najnowszego, wydanego w Kielcach, zbiorku *Rozum i serce* (2010), ułożonego z wierszy miłosnych i trenów powstałych po bolesnej stracie męża Jana Stefena, wybitnego naukowca-genetyka, który lubił, jak mu czytała te wcześniejsze o miłości.

Mamy swój wieczór lirycznych zwierzeń. Słuchamy Ewy Wojtasik. Przykro jej, że tym razem może być tu z nami niespełna trzy dni.

Nieczęsto tam powracam

Wybacz,
nie pamiętam za bardzo
twoich pieśczoł śmiałych.

Pamiętam
soczyste brzoskwinie
jeszcze pachnące sierpniem
i fioletowe wrzosi
goniące się z babim latem.

Nieczęsto tam powracam.
Ty już zapomniałeś.
Myślę, że z tamtej jesieni
coś w nas też pozostało.

Wspominam
brzozy wokół domu,
ganek wychodzący do lasu,
długie wieczory
oplecione dawnych mistrzów muzyką,
nasze rozmowy o książkach,
czy warto raz jeszcze je czytać,
noce za krótkie na miłość,
pośpiesznie wypijane
mocne poranne kawy.

Nieczęsto tam powracam.
Ty już zapomniałeś.
Wiem, że w tamtych drzewach
coś z nas też pozostało.

Zakładam ogromny kapelusz,
płaszcz wiatrem podszyty, parasol,
myślę o tamtej burzy,
kiedy mnie jeszcze kochałeś,
tuliłeś delikatnie,
strach i ból wyciszając.

Nieczęsto tam powracam.
Ty już zapomniałeś.
Dzisiaj jednak wierzę,
że w każdej burzy
też z nas coś pozostało.

By wigilia była najpiękniejsza

Grafitowe niebo błękitniało.
Śnieg przydawał jasności.
Przestraszone świtaniami gwiazdy
zbyt wcześnie spać poszły.
Księżyc powędrował gdzieś w gości.
Sen się budził pomału,
jeszcze niedospany.
Biały puch
wciąż padał, prószył,
ulice przykrył, otulił domy,
drzewa przystroił.

Boże Narodzenie czekało cierpliwie,
aż ludzie przygotują
serca i dusze.
Tylko grudzień
wybierał choinki, świeczki,
piekielne pierniki,
wyszukiwał ozdoby, orzechy,
by wigilia była najpiękniejsza.

Jadwiga Jaśkowiak wertykuje niespokojnie kartki zeszytu. Przyjechała ze wstępną, jak zastrzega, wersją poematu. Waha się co do tytułu, ale w końcu wspólnie przekonujemy się, że najlepiej pasowałaby formuła: *Kosmogonia miłości* – taka poetycko-filozoficzna. Obiecujemy sobie o całości podyskutować szczegółowiej. Fragment jej był już w poprzednim numerze „SKL”, zatem obecnie wybieram inny:

Kosmogonia miłości (Fragment)

On niczym napięta struna
ruszył, gdzie stary dąb,
jakby poprzec chciał słowa czynem.

Rozedrgane wibracjami ciała,

targane energią,
wzbudzało nieznaną siłę,
a z nimi zachwyty i grozę.

Nie przeczuwał takiej mocy w sobie,
która przywróci wspomnienia,
wskrzesi żądze utajone w przeszłości.

Gdzież cierpienie pogrzebał?

– Co się ze mną dzieje? – spytał
sam siebie, zdumiony,
gdy żądze, nieposkromione,
niczym węzowisko,
wynurzyły się z ukrycia,
by zagrozić miłości drogę.

– Rozgorzeje bój?! – wołał –
w tym zmaganiu ostatecznym
na śmierć i życie?

Lecz tego nie wiedział,
póki nie musiał się zmierzyć
z samym sobą.

Gdzież te ukryte emocje?

One pierwsze ostrym sprzeciwem
zagroziły Mu drogę,
aż dusza i ciało
ścierpły z przerażenia i lęku.

Żądy już nie odczuwał,
bo zmysły były przy Nim,
choć pożądania
tliły się przyczojone.

Ale kiedy wyjrzały
lęki przeszłości,
zadrzał oszołomiony.
Czyżby miało być aż tak gorąco?

Znienacka
w dawnym doświadczeniu
ujrzał uludę lęku,
co wznieca emocje
i burzy iluzje umysłu,
co maluje wewnątrz obrazy –
wzywające oszustwa?

W triumfie oswobodził miłość
roztapiającą żale,
zaciskającą dotąd krtań, która
nie wpuszczała oddechu do płuc.

„Kimże jest ten, kto kocha?” – pomyślała.
„Czy tym, kto najgłębiej czuje

serce, zmysły, umysł,
całe ciało...?”.

– Jak wytrzymać takie napięcie,
i nie utracić mocy?
Wystarczy! – niemal wykrzyczał
wdzięczność, co go ogarniała.

Wtedy poczuł w sobie przestrzeń,
jakby pustym był dzbanem.
I znów wezbrała w nim moc.
Teraz pewien, że zginie,
że energia wypali go do cna.

Lecz tak się nie dzieje.

Tylko oddech rytm zwalnia,
wysyła do płuc całą
życiową energię.

Ale słuchamy też fragmentu dłuższego opowiadania Aleksandry Petruszewicz (także poetki i autorki książek dla dzieci). Rozmawialiśmy przed paroma godzinami o Ciekotach, Żeromskim, Szklanym Domu... Ucieszyła się z przypomnienia miejsc, jakie kiedyś, przed laty mogła poznać i na trwałe zapamiętać. Właśnie akcja opowiadania przenosi nas w Świętokrzyskie (odsyłam do fragmentu w dziale TWÓRCZOŚĆ).

Stanisław Nyczaj

Teresa Nietyksza

„Wszystko, co we mnie otwiera ten pejzaż” (O plenerze w Kazimierzu Dolnym)

Wzgórza mnie wzięły białe w swoje posiadanie
(*Stanisław Grochowiak*)

Kiedy wracam do wspomnień pleneru (1.06 – 8.06.2013) w Kazimierzu Dolnym, nachodzą mnie cytaty z *Liryków kazimierskich* Grochowiaka. Co czuli i mogliby powiedzieć poeci – uczestnicy tego pleneru, trudno mi odgadnąć, tym bardziej że to sprawa bardzo indywidualna. Może kiedyś napiszą?

Niewątpliwie, zostanie i po naszej bytności ślad. Natomiast, dobrze się stało, że tym razem organizatorzy pleneru, Barbara i Marian Jedlecy, ulokowali nas w wyższych partiach Kazimierza Dolnego – „Na Sadybie”. Miało to zdecydowanie



Spotkanie literackie w MBP w Kołobrzegu. Od prawej: Maria Szafrań, Piotr Bednarski, Grażyna Perlińska, Alicja Patey-Grabowska, Jadwiga Jaśkowiak, Stanisław Nyczaj Fot. Paweł Nyczaj

swój urok, bowiem codziennie mijaliśmy ruiny zamku, który budził refleksje, gdy tak malowniczo wznosił się obok drogi prowadzącej nas do urokliwych pomieszczeń położonych wśród świerków i zagród, jakby w najprawdziwszych dzikich górach. Schodząc, mijaliśmy starą Farę, aby dalej już zejść na kazimierski Rynek.

Dom na polanie wśród zieleni rozmaitych drzew, otoczony barwnym ogrodem, zapewniał nam miłe „posiady” przed nim, jak również w miłym wnętrzu, gdzie witały nas przysmaki, często niespodzianki, wyczarowane przez córkę Barbary i Mariana, Agnieszkę Milewską. W tym ustroniu każdy ranek i wieczór witał nas inaczej.

Mogę podzielić się własnym odczuciem i nastrojem, który ilustruje wiersz-sonet, zrodzony w tych okolicznościach.

Księżyc w Kazimierzu

Księżyc o którym napisano wierszy
Tak wiele, że i mój się w nich zagubi –
Wzniósł się wysoko przy muzyce świerszczy,
Jako że księżyc tę muzykę lubi.
Przez dłuższą chwilę przeglądał się w Wiśle –
Wspominał czasy, które przeminęły;
Posprawdzał nadbrzeżne zamknięte spichrze
I na Góry zajrzał, gdzie wszystko usnęło.
Nad ruiną zamku westchnął po raz trzeci,
W Rynku na próżno chciał znaleźć zwierciadło
Tylko pies żelazny oczami świecił,
A lichy skryło się przed nim i zbladło.
W końcu w moje okno zajrzał przez świerki –
Gdy śniłam miłość króla do Esterki.

Być może ten liryczny nastrój powstał już w pierwszym dniu pleneru, kiedy to tematem zasugerowanym przez organizatorów były

utwory mówiące o miłości do kobiet, mężczyzn i całego świata. Sprzyjała temu również majowa aura. I już w dniu następnym, w czasie spotkania w kawiarni u Sarzyńskich, zaowocowała biesiadą literacką pod nazwą „Kobieta jak poezja rozkwita wiosną”. Spotkanie prowadził Stanisław Nyczaj, podkreślając walory nowych edycji poetyckich, które ukazały się ostatnio w Oficynie Wydawniczej „STON 2”. Ukazała się również interesująca proza Jana Rychnera z Warszawy, jak też wyszły opowiadania Jadwigi Jaśkowiak z Lublina zaopatrzone w tłumaczenia na język angielski. Jadzia Jaśkowiak zdradziła (ale nie do końca), że pracuje nad poematem, który ma się ukazać pod tytułem *Kosmogonia miłości*. Spotkanie urozmaicił występ-recital autorski Wandy Stańczak z Warszawy w ramach jej kabaretu „Pół serio”.

3 czerwca w herbaciarni „U Dziwisza” odbył się wieczór poświęcony twórczości Włodzimierza Kłaczyńskiego. Autor znanego (ekranizowanego) *Popielca* i pięciotomowego cyklu powieściowego *Miejsce* rozmawiał z licznym gronem przyjaciół i wielbicieli jego twórczości w przededniu zbliżającego się jubileuszu 80-lecia urodzin. Włodzimierz Kłaczyński zadziwia niezwykłą umiejętnością przedstawiania w sposób porwijący spraw i wydarzeń, szczegółów, czasu, dając bogaty obraz indywidualnych ludzkich zachowań w miejscu takmu bliskim i znanym od najmłodszych lat. Przedstawił postać i losy bohatera tak niezwykłego, że długo nie możemy się z nim rozstać. Tej prozy się nie zapomina.

Szczególnie udane były spotkania w Nałęczowie. Najpierw w kawiarni pałacowej odbył się koncert Wandy Stańczak. Ciekawie również zaprezentował się Jan Rychner, a Grażyna Kowalska wystąpiła w roli prawdziwej tancerki (wydała tom wierszy pt. *Tancerka*) oraz, jak zawsze na zakończenie, został odśpiewany zbiorowo „przebój” *Wybaczenie poetom* autorstwa Wandy Stańczak. Warto przypomnieć choćby fragment tego wiersza-piosenki:

Wywrócone kieszenie
żaden grosz nie zabrzączy
za ostatnie złotówki
mają tomik swych wierszy
życie twoje i moje
w metaforach szeptane
wykrzyknikiem milcząco
gdzieś w tawernie nad ranem

Wybaczenie wybaczenie wybaczenie poetom
że słony ma smak czasem wódka czy sok
gdy mocno uwiera ten tłok pod powieką
od zmroku po świt i od świtu po zmrok.

Następne spotkanie miało miejsce w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Nałęczowie. Pozwoliło ono zaprezentować się wielu autorom. Prowadzone przez Alicję Patey-Grabowską, w większości nawiązywało do tematu miłości w szerokim pojęciu określanym najczęściej: „miłość niejedno ma imię”.

W plenerze, prócz mnie opolanki, uczestniczyli: Barbara Białowąs z Warszawy, Agnieszka Hajec z Wrocławia, Stanisława Jarmakowicz z Bolesławca, Jadwiga Jaśkowiak z Lublina, Włodzimierz Kłaczyński z Mielca, Grażyna Kowalska z Warszawy, Henryk Morawski z Białobrzegów, Bernadetta Mazur z Wrocławia (sympatyk), Jan Rychner z Warszawy, Wanda i Ryszard Stańczakowie z Warszawy, Elżbieta Wodała (grafik-florotypistka) z Wrocławia, Aleksandra Zamorska z Wrocławia.

Komisarzem pleneru był Stanisław Nyczaj, konsultantem i gościem specjalnym – Alicja Patey-Grabowska. Stanisław Nyczaj podjął temat „Poezja wobec natury i cywilizacji”, jak również prowadził na bieżąco konsultacje indywidualne z uczestnikami. Alicja zaś, dzięki swoim zjawiskowym wierszom i niezwykłej prezentacji, pozwalała słuchaczom zaznać prawdziwych literackich przeżyć.

Barbara Białowąs przypomniała swój ostatnio wydany tom *Lustra*, w którym zachęca odbiorców do uważnego przyjrzenia się sobie. Ale wśród tych niełatwych ludzkich dylematów przebija optymistyczna i jakże młoda myśl, którą sprecyzowała już wcześniej, a śpiewana jest przez młodzież z zespołu „A MY TACY”:

Przyjmij życia wyzwanie,
aby iść własną drogą.
Jest szczęściem – zasłuż na nie!
Jest hymnem – wyśpiewaj go!

Stanisława Jarmakowicz przyjechała z Bolesławca z nowym tomem poetyckim *Głębia ciszy*, który pragnęła zaprezentować. Bardzo pięknie czyta swoje utwory (może to umiejętność nabyta w toku wieloletniej pracy w szkole), lubi też malować. Na czwartej stronie okładki wcześniejszego tomu *Dotyk czasu* zamieściła następujące słowa: „Sztuka / chimeryczna / Skrzydlata / Szlak dziki nieprzetarty / A ja krzyczę w zachwycie /

Eviva... / Eviva l'arte". Z tego tomu jest wiersz *Muza i Duch Gór*, który chociaż narodził się w innym miejscu, to bardzo jest właściwy dla naszego plenerowego nastroju:

Duch Gór na mnie też rzucił urok
Razem z muzą wśród poetów posadził
Kielich czasu podań – wypiłam
Rozprawiając ze współbracią czeladzi
O poezji prozie satyrze
Muzyce jak zalotna dziewczyna

Henryk Morawski, poeta i regionalista z Białobrzegów, w czasie spotkań autorskich opowiadał o jakże interesujących swoich poszukiwaniach gniazda rodowego Sienkiewiczów. Przybliżył również postać płk. Czachowskiego, bohatera powstania styczniowego, którego upamiętnił w swojej twórczości. Przedstawił swoje nowe wiersze, w których brzmi czystym głosem nuta patriotyczna. Oto fragment jednego z nich:

I niech rym prosty Ojczyzna – blizna
nie będzie jedynie figurą z wiersza
ale splecanym bez końca długim
znakiem herbowym rodem z Czarnolasu
modlitwą żarliwą z Katechizmu Bełzy
i serca nakazem z Hymnu Krasickiego
(*Ojczyzna*)

Zainteresowanie budziło, co z satysfakcją pragnę odnotować, *Sto dwadzieścia sześć haiku* mojego autorstwa, w pięknej graficznej szacie Elżbiety Wodały. Jej oryginalne florotypie znakomicie komponują się z japońską formą wiersza i tematyką związaną z porami roku i naturą.

Stała uczestniczka naszych plenerów, ulubienica i autorytet dla wielu przyjaciół, Aleksandra Zamorska z Wrocławia, mimo różnych dolegliwości wdrapała się na „górkę”, aby podzielić się nowymi wierszami oraz dobrą informacją o ich druku w „Pomostach” – Dolnośląskim roczniku literackim Oddział SPP we Wrocławiu. Ilość zamieszczonych wierszy i pochlebna recenzja to prawdziwy sukces. Oto jeden z tych wierszy:

Jeszcze w powietrzu ślad jaskółki
i ślad po kropli na kamieniu

Jeszcze się sypią płatki kalin
jak płamki jasne na strumieniu

A ja chcę schwytać co nietrwałe

i ulatuje w zapomnieniu

Smukły w powietrzu ślad jaskółki
nikły ślad kropli na kamieniu
(*Schwytać*)

Ileż to rzeczy wydarzyło się w ciągu jednego tygodnia! Oczywiście był też spacer statkiem po Wiśle. Chętni mogli przeprawić się promem na drugi brzeg i odwiedzić Janowiec.

Artyści malarze wciąż stoją przy rozstawionych obrazach na Rynku, więc jest co oglądać. Cyganki przy studni obiecują przepowiedzieć najważniejsze wróżby, na każdej ulicy zaprasza galeria pełna wyrobów artystycznych, na straganach piękne kapelusze...

Tradycyjnie zaopatruję się w nowy kapelusz i żegnam Kazimierz. Wszyscy żegnamy się, myśląc o powrocie.

Teresa Nietyksza

Stanisław Nyczaj

Piąte staszowskie lato literackie

Piąte już – co zaświadcza, że staszowskie spotkania plenerowe mają już swoją tradycję, utrwaloną w dwu almanachach sumujących dorobek z edycji 2009–2011. Najnowsza spełniła się bardzo pomyślnie w okresie od 27 czerwca do 4 lipca br. z rekordową liczbą, w niektórych dniach dobiegającą do 30 uczestników. Była chyba nawet najbardziej z dotychczasowych profesjonalna z uwagi na liczbę i poziom popołudniowych i wieczornych spotkań literackich. To nie wymysł programowy, po prostu aż tyle wszyscy zapragnęliśmy, mając sobie wzajem wiele do przekazania. Dobry poziom prezentacji i dyskusji gwarantowały osoby legitymujące się dużym twórczym dorobkiem i zarazem doświadczeniem.

Mnie jako komisarzowi przyszedł w sukurs krytyk literacki, Janusz Termer, mający w ręce mocny atut: nową książkę z redagowanej przeze mnie serii „Portrety Literackie” pt. *Zobaczyć rzeczywistość...*, będącą uwieńczeniem pracy nad twórczością Włodzimierza Kłaczyńskiego, rozpoczętej na plenerze w roku ubiegłym. Refleksja nad książkami została przez obydwu rychło

wzbogacona o odwołania do doświadczeń życiowych, które stały się źródłem inspiracji i same w sobie kryły ciekawe sytuacje i problemy. Powstała rozmowa-rzeka z wirami powikłań historycznych i społeczno-zawodowych, tj. na styku z profesją lekarza weterynarza, który lecząc nie zatracił wrażliwości na dolę „braci mniejszych”.

Alicja Patey-Grabowska dzieliła się spostrzeżeniami z lektur tomów poezji i prozy, na których opierała swoje promocyjne przeglądy w „Akanicie” i „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim”, będące zwięzłą charakterystyką i oceną z zachętą dla czytelników.

Cieszyły mnie wypowiedzi Magdy Węgrzynowicz-Plichty, prezeski Krakowskiego Oddziału ZLP. Odległość między Krakowem a Kielcami maleje i nadto razem łatwiej będzie nam sprostać zwłaszcza niełatwemu wyzwaniu (zakopiańskich Posiadów Literackich „U Szyborskiej” w Astorii wynikłych z naszej inicjatywy).

Z dopołudniowych plenerowych objazdów Ziemi Staszowskiej dzień po dniu (dzięki staraniom Benedykta Koziela – prawdziwego gospodarza, umiającego zjednywać niezmiennie dobrą wolę Urzędów: Powiatowego, Miejskiego i Gminnych w terenie, Staszowskiego Ośrodka Kultury, Zespołu Szkół im. S. Staszica, w którego internacie wygodnie mieszkaliśmy i smakowicie żywili) wiele byłoby do opowiedzenia.

Słuchaliśmy przebogatej w różnorodności tematyki i formy (od wiersza lirycznego do poematu) poezji Romualda Bielendy z Kielc, Jadvigi Jaśkowiak z Lublina, Giny Jusięgi z Krakowa oraz Moniki Mazur z Radomia (prezentujących jednocześnie swe malarstwo i grafikę), Alicji Patey-Grabowskiej z Warszawy, Ireny Stopierzyńskiej-Siek z Warszawy, Kazimiery Szczykutowicz z Kielc, Zofii Walas z Ostrowca Św., Magdaleny Węgrzynowicz-Plichty z Krakowa, Marii Włodno z Kielc, Ewy M. Wojtasik ze Szczecina, Jarosława Kaplewskiego i Dawida Krajczyńskiego z Wilna, a na spotkaniu finałowym z udziałem władz i współorganizatorów pleneru pięknego programu wokalnno-muzycznego opartego na utworach Benedykta Koziela w wykonaniu duetu staszowskiego: Janusza Izbińskiego (śpiew) przy akompaniamencie fortepianowym Kamila Kondka – kompozytora.

Oto wiersze poetów z Wilna:

Jarosław Kaplewski

miasto

bieg
szklanych olbrzymów
wśród stojących przechodniów
samochodów
autobusów tramwajów
miasto się spieszy

ciepły oddech wiosny
tysiące słońc w oknach
i kolorowych kropli nieba
miasto się cieszy

wodospad
szklanych łez
na pustą jezdnię
oskałpowane marzenia

wybuch bomby podczas maratonu
miasto milczy

sen o jawie

mówię sobie że jestem
słowikiem pieścącym krople rosy swoim śpiewem
rumiankiem na stole zapomnianej staruszki
i zapisuję z Chronosem swoją białą kartkę

śnie
że jestem malcem nauczonym gry w szachy
któremu wciąż
brakuje pół posunięcia
by ograć Fortunę

rano myślę
jestem małą falą
sflumioną przez trzciny

Daniel Krajczyński

* * *

Nie wchodź na jezdnię moich szalonych myśli,
Wyrwaj cię stąd bez powrotu.
Zamiast ruchliwych ulic bezludnej wyspy
Ujrzysz cichutki park za kolczastym płotem.

Niepotrzebne Ci są spacerunki pod deszczem mych wspomnień
Tych, bez śladu, przelotnie minionych.
Powiedz, co dzisiaj zostało po nich
Prócz lśniącej tęczy do niebios i pod stopami błota?

Ale jak idziesz już ze mną nad jeziora mych marzeń,
To nie rzucasz słów swych na wiatr, jak do wody kamyków...
Czy warto po każdym spotkaniu zapominać twarze?
I czy musimy wszystkie drzwi po sobie zamykać?

* * *

Chodzę drogą skalistą
A Myśli głęboko w obłokach
Jak ja nienawidzę
W jasnych obłokach grzmotu!
Depczę ostatnie liście
Wiersza się ścielą wersy
Ale... jeszcze nie dzisiaj
Wysłę je tobie w kopercie.



Elżbieta Strzałkowska oraz poeci z Wilna: Daniel Krajczyński i Jarosław Kaplewski Fot. Magdalena Węgrzynowicz-Plichta

Sporą dawkę dobrej prozy zawdzięczamy Włodzimierzowi Kłaczyńskiemu z Mielca, Irene Paździerz z Kielc, Elżbiecie Strzałkowskiej z Gdyni, Zbysławowi Śmigiełskiemu z Bytomia – powieściopisarzom i nowelistom.

Nie zabrakło, naturalnie, satyry i aforystyki, w czym brylowali Elżbieta Jach ze Skarżyska Kościelnego (twórczyni spichlerza regionalnego) i Wawrzyniec Marek Rak (pochodzący z pobliskiego Gnojna obecny mieszkaniec Győr na Węgrzech i animator życia kulturalno-artystycznego Polonii Węgierskiej).

Wszelako żaden komentarz nie odda tak wiarygodnie naszych przeżyć, emocji i refleksji, jak mogą wyrazić to poezja i proza. Przedstawiam je tu na razie we wstępnym, skromnym wyborze, nim włączę między okładki kolejnego almanachu.

Dla przykładu, Romuald Bielenda zapisał w swej kronice poetyckich wędrówek takie oto strofy:

Romuald Bielenda

W dolinie rzeki Kacanki

Człowiek
zawsze sięgał gwiazd
nawet
gdy najężdżał

Wiązownica Mała
posiadłość
w dolinie rzeki Kacanki
dar zasług Pogodina
od Paskiewicza

Tu piękno
może zagłuszyć sumienie

Przywiślański Kraj
znaczył wiele dla zaborcy
nobilizował
usprawiedliwiał zbrodnie!

Aleksander Pietrow
krewny Pogodina
oswaja marzenia
pojednania narodów
politykę zwaśnionych

W pamięci historii
czas i pieniądze
znaczą wiele i niewiele
gdy idea zacna

W Ossali Adama Bienia

Ossala –
wieś zamknięta wrotami biedy
wyboistą drogą

Tam tylko Ziemia i Niebo
równe wszystkim
wyglądały
koleiny losów

Stamtąd Adam Bień –
mąż stanu
jeden z żywych
z procesu „Szesnastu”

Córka Hanna
oprowadza po Domu Pamięci
Ojczyzna w jej ustach
łzą skrapla uczucia
które jakby co

dopiero wyszły

Wiszą i leżą wszędzie
pamiątki
zaludnionych wspomnień
oskarżają
zranione twarze
niepotrzebnych wojen
i tych szesnastu
jeszcze przed Łubianką
pozujących do ostatniego zdjęcia

Oblicza rodzinne

W Klimontowie
po klasztornej siedzibie Liceum
imienia Brunona Jasińskiego
zaprawione dziury w murze
świadczą o istnieniu
znanego pisarza

Nową szkołę błogosławi teraz
Ledóchowska Urszula

Na grobie ojca
lekarza Jakuba Zysmana
zawsze świeże kwiaty
upiększają jego wnętrzem
katolicki cmentarz

W internackiej świetlicy przywitała nas wystawa młodych plastyków – uczniów po 3-letnich warsztatach malarskich pod kierunkiem



Iwona Półtorak: *Maki*

staszowskiego artysty Józefa Juszczyka. Dwie adeptki – Barbara Pruś i Małgorzata Wawryk – miały już pierwsze sukcesy w konkursach plastycznych. Nasze plenerowiczki-malarki Barbara Obara i Iwona Półtorak ze Skarżyska oraz wspomniana wyżej Monika Mazur, zwróciły uwagę na

inną jeszcze spośród zaprezentowanych z grupy „Iluzja”: Martynę Kozłowską, uczennicę II klasy Technikum Informatycznego w Staszowie. Podszedłem bliżej widząc, że Monika notuje:

– Ona jest utalentowaną, dobrze zapowiadającą się plastyczką. Ma już pewne wyrobienie w technikach malarskich, rysowniczych, a nawet rzeźbiarskich. Bazuje na wyobraźni. Podobają mi się dwie prace: *Maska* i *W poszukiwaniu szczęścia*. *Maska* to ciekawe studium gry, jaką powadzimy ze światem zewnętrznym, przywołuje na myśl frazę z tekstu Stachury:

*Życie to jest teatr, mówisz ciągle, opowiadasz;
Maski coraz inne, coraz mylne się nakłada;
Wszystko to zabawa, wszystko to jest jedna gra
Przy otwartych i zamkniętych drzwiach.
To jest gra!*

Drugi z obrazów przedstawia ciemny las, pełen mrocznych drzew ze snującą się pośród nich ciemną, smutną postacią. Uwagę przykuwa znajdujący się na pierwszym planie, oparty o drzewo, złożony, tęczy w barwach parasol. Widz może różnie interpretować tę malarską wizję. Postać szuka swej własności albo przedmiot ten pozostawił ktoś inny i wkrótce tajemniczy człowiek go znajdzie... Poszukiwanie szczęścia trwa, należy tylko dobrze się rozglądać, bo nie wiadomo, za którym smutnym drzewem rozkwitnie tęcza.

Przysłuchiwali się tej ocenie wilnianie, zainteresowani też sztuką. Musieliśmy jednak poczekać, aż się oswoją i odkryją. Zachęceni w przeddzień wyjazdu wieczorem przez Alicję Patey-Grabowską, zaczęli recytować z pamięci wiersze w większości rymowane, czym nas – obstających raczej przy białych, nasyconych obrazową metaforą bądź refleksyjnymi prozajizmami – zaskoczyli i ujęli.

Zawsze z sentymentem dla miejsc i jakże życzliwych nam osób – starosty staszowskiego Andrzeja Kruzela, burmistrza miasta i gminy Romualda Garczewskiego, dyrektora Zespołu Szkół Izydora Grabowskiego i kierowniczkę Internatu Ewy Maj, dyrektor SOK-u Katarzyny Ciepeli i jej zastępcy Dominika Rożka, dyrektor staszowskiej Biblioteki Publicznej Ewy Cygan – i z poczuciem uczciwie spożytkowanego czasu wyjeżdżaliśmy do swoich domów, żegnając się „do zobaczenia niebawem!”. Ale tym razem Irena Paździerz – po spacerze alejkami i mostkami nad rozlewiskiem

Czarnej – miała powody również do smutku. Przesłała mi uzasadniające go opowiadanie, którym zegnamy się do lata 2014 roku.

Stanisław Nyczaj

Irena Paździerz

Kaczki w Staszowie

Niedaleko internatu przy Koszarowej płynie rzeka Czarna. Idąc do miasta trzeba przejść przez most.

Zatrzymuję się, patrzę w dół. Kaczki pływają po rzece. Jedna duża, widać, że matka, bo grzecznie podążają za nią kacząta. W szeregu, jedno za drugim. Żadne się nie przepycha, nie usiłuje wyprzedzić kaczek siostry czy braciszka, aby być bliżej mamy. Ludzie powinni brać z nich przykład. Matka ciągnąca rozwrzeszczanego malca, powinna mu kaczki pokazać. Zgodna gromadka. Tak też powinno być u ludzi. Kaczki pływają w dół i w górę rzeki. Mogłabym tak na nie patrzeć nie wiadomo dokąd, ale o szesnastej jest spotkanie literackie w piwniczce SOK-u. Nie mogę się spóźnić, a kaczki, o ile znam ich zwyczaj, nie zechcą się ze mną zaprzyjaźnić, kiedy nie przyniosę im czegoś do jedzenia.

Nazajutrz wybieram dłuższą drogę na Rynek, ale sympatyczniejszą. Tu nie ma samochodów ani spalin, najwyżej nieostrożny rowerzysta może mi zagrażać. Idę kawałek między płotami, a potem wąski tunel rozszerza się i jestem na otwartej przestrzeni. Stawy, a wokół nich wybrukowane ścieżki. Rowerzystów jest mało, nie muszę uważać, aby któryś na mnie nie najechał. Za to za stawami jest kanał, a tam staszowskie kaczki. Jedne pływają, drugie grzeją się w słońcu i przeciągają leniwie w nadbrzeżnych trawach. „Na pewno są głodne” – wpada mi do głowy myśl, bo ja już taka jestem, że na tatrzańskich ścieżkach porozstawiałabym słoiki z miodem, aby misie mogły się posilić. A że potem mogą atakować turystów, którzy im miodu nie dostarczą, to inna sprawa.

Na Rynku kupuję bułki dla kaczek. Staję na brzegu i rozdzielam prowiant. Nie mam pojęcia, czy równo, bo kaczki wszystkie są takie same, a jest ich bardzo dużo. Napływają z jednej

i drugiej strony. Wszystkie głodne, każda szybko połyka znaleziony kasek. Jest w tym rywalizacja, ale nie ma agresji. „Znalazłaś, znaczy że byłaś szybsza. Następnym razem nie dam się prześcignąć”. Tak zapewne myślą kaczki, bo gdyby inaczej, jedna drugiej z dzioba by wyrwała zdobyty kawałek. Trwoniałaby czas na walkę, podczas gdy inne by się najadały.

Spełniłam dobry uczynek. Nakarmiłam głodnego.

Nazajutrz kupiłam więcej bułek. Biedne kaczusie, były takie głodne. Chyba nikt ich nie nakarmi, skoro z taką ochotą pożerały bułkę.

Dochodzę do kanału, a nad brzegiem wyleguje się pies. Rudy, czyli wredny. Bezcelnie patrzy na mnie kaprawymi ślepkami, ale ja w nich widzę ironię. To niby pies, ale zachowuje się jak lis-Przechera. Coś mi tu nie pasuje. Rozglądam się za kaczkami, a kaczek nie ma. Daleko od ścieżki kilka się wyleguje w trawie, a blisko pływa tylko jedna. Najwyraźniej pies o lisich zapędach do uśmiercania drobiu przypomniawszy im o niebezpieczeństwie. A może ktoś go wyszkolił, aby dostarczał mu dziczyzny? Teraz pies uznał, że wszystkie kaczki są jego i nie ma potrzeby, aby ktoś je podtaczał.

Rzucam kaczce kawałki bułki, ale zjadła połowę i odpłynęła. Pies popatrzył na mnie z wyższością. To on stoi na straży kaczek gromady. Jak zechce, upoluje sobie jedną, a może nawet dwie, a ja tu jestem przyjezdna i jakim prawem wtrącam się do jego kaczek?

Pozostałe bułki zaniósłam do internatu. Trudno, na kolacje je zjem, ale jest ich za dużo, więc podzielę się pieczywem.

Irena Paździerz

Teresa Nietyksza

Słoneczne Międzywodzie

*Chwalimy wieczór za poezję,
nie rozumiejąc,
czym tak naprawdę ona jest.
(Stanisław Nyczaj)*

To fragment wiersza Staszka Nyczaja pod tytułem *Ta słodka nieświadomość*, bowiem przyjechaliśmy do Międzywodzia, aby tropić poetyckie ślady w niejednym długim wieczór, a przewodził nam Stanisław Nyczaj (poeta, wydawca, krytyk literacki, prezes Kieleckiego Oddziału ZLP).

Plener literacki trwał od 18 do 28 sierpnia 2013 r. Uczestnicy zjechali z różnych stron Polski. Witani byli, jak zawsze serdecznie, przez Barbarę i Mariana Jedleckich w willi „Wiktoria”, gdzie zapewniono nam dobre warunki, a przy tym... dziesięć dni wspaniałej, słonecznej pogody!

Trzeba mieć dużo szczęścia, aby przez cały pobyt nad naszym pięknym, acz kapryśnym, morzem świeciło słońce. Więc dni mijały na plaży, kąpielach, spacerach brzegiem morza i na opalaniu. Była też wycieczka do Świnoujścia.

Pierwsze spotkanie zorganizowane zostało w pięknie położonej kawiarni „Na Wydmach”. Wieczór ten poświęcony był morzu. Prowadzili Stanisław Nyczaj z Ewą Wojtasik. A ja przedstawiłam kilka wierszy, w których obecny jest temat morza:

Nad morzem

Wielkie są tej plaży Elizejskie Pola
wieczna wędrówka
Wczoraj twój cień
miał ten sam zarys

Światło latarni jak oko Boga
przejmuje lękiem

Nie trwóż się Eurydyko
bo Orfeusz w podziemnym przejściu
odwróci głowę

(Z tomu *Cień z oczu*)

Ewa Wojtasik przyjechała ze Szczecina. Jej poezja określana bywa jako liryka miłosna; wybrałam fragment wiersza *W Ustroniu Morskim*:

Kończył się słońca zachód urokliwy
wachlarz tęczy powoli zanikał,
Tylko ostatnie świetliste smugi
pląsały lekko na spokojnych falach
i jagodowym niebie.

Ptaki z wiatrem odleciały,
morze wtułało się pieszczotliwie
w piaszczystą plażę

(Z tomu *Ptaki błękitne*)

A za oknami jaśniała poświata zachodzącego słońca nad morzem i było właśnie tak jak w przytoczonym fragmencie.

Staszek Nyczaj przywołał inne morze, w jakże urokliwym wierszu *Ze spaceru nad morzem*:

Ledwie wywinąłem się z objęć glicynii
i wychylnąłem spomiędzy cyprysów,
wybiegło mi naprzeciw ostrą bryzą
morze z nazwy Czarne,
a po daleki horyzont całe szmaragdowe.

Ozdrowieńczą tą barwą zatrzymaną w oku,
powróciwszy, wszystkich obdarzyłem wokół.

(Z tomu *Przedążyć pęd Ziemi*)

Już ta relacja wystarczająco dużo mówi o tym, jak szeroki i bogaty jest temat morza, bowiem w tradycji literackiej zawsze było i jest obecne, i wielu autorów podejmowało ten niezgłębiony do końca (jak morze) wątek.

Jacek Natanson z Warszawy, autor intrygujących powieści, tym razem przyjechał ze zbiorem wierszy pt. *Erotyki*. Niech się wypowie jednym z nich:

Mołodyco

W twojej twarzy
Są stepy i burzany
Bujne zboża na czarnoziemach
Brunatniejące jak twoje oczy
Twoje wargi dotykają moich
Pałą jak szaleją
Nie daj zapomnieć o Potopie i Ogniu

Z Warszawy przyjechała też Krystyna Guranowska-Stolarz ze swoim nieodłącznym szkicownikiem. Rysunki jej cieszyły się dużym powodzeniem. Bardzo udany był szkic wizerunku naszego komisarza Staszka Nyczaja. Poza tym Krystyna lubi pisać humoreski, ot tak, na poczekaniu w różnych okolicznościach, najczęściej zabawnych. Nimi więc urozmaicała nasze spotkania. Zamierza coś zrobić w najbliższej przyszłości z nagromadzonym materiałem.

W plenerze wzięła też udział artystka plastyk Barbara Pasierb-Jeziarska z Gdyni, która przybliżyła nam swoje malarstwo.

Przyjaznym okazał się dla lirycznych spotkań lokal „U dwóch rybaków”. Tam przedstawiła nam swoje wiersze nagrane przez zespół „A MY TACY” Barbara Białowás z Warszawy. Słuchaliśmy tych realizacji wg scenariusza autorki wraz z innymi wierszami. Warto podkreślić, że Barbara ma za sobą występ w warszawskim teatrze „Kamienica”. Autorka podejmuje tematy społeczne

i moralne, boli ją nasza rzeczywistość. Spójrzmy na mały fragment wiersza *Chaos*:

Gdy gubią się racje znaczeń
słowa odstają od rzeczy,
nie zwąc ich już po imieniu,
to sens wtedy się niweczy.
W bełkocie nowożytyka
nie można odróżnić śmieci.

(Z tomu *Lustra*)

Henryk Morawski z Białobrzegów na swoim spotkaniu przedstawił bardzo interesujące penetracje wokół postaci wybitnego dowódcy powstania styczniowego Dionizego Czachowskiego. W swoich poszukiwaniach dotarł do wypowiedzi mężów stanu, m.in. Józefa Piłsudskiego, i pisarzy takich, jak Stefan Żeromski, jak też weteranów wyrażających się z zachwytem i dumą o Dionizym Czachowskim. Sam Henryk poświęcił cykl artykułów związanych z pamięcią o dowódcy powstania. Odkrył nam również taką ciekawostkę, że Dionizy Czachowski był ciotecznym bratem Fryderyka Chopina.

Henryk Morawski ma w przygotowaniu zbiór opowiadań, z których jedno przedstawił na spotkaniu.

Elżbieta Strzałkowska z Gdyni, autorka powieści *Rejsy Penelopy*, *Dekalog miłości* i zbioru opowiadań *Niebiescy motocykliści*, w chwili obecnej pracuje nad książką, która ma mieć tytuł *Czekając na Odysa*. Jak widać, pisarka nie odchodzi od uprzednio podejmowanych tematów, a pragnie je kontynuować w innym aspekcie. Powieści Strzałkowskiej to nie tylko wątek marynistyczny, ale przede wszystkim głęboko psychologiczny portret kobiety – żony marynarza, współczesnej Penelopy, to również zwierzenia kochającej żony, której można współczuć, ale i można jej zazdrościć.

Aleksandra Petruszewicz ze Szczecina była z nami krótko. Zdążyła jednak przeczytać swoje opowiadanie, które wzbudziło wystarczające zainteresowanie, aby o nim wspomnieć.

Przedstawił nam swoje wiersze Marian Jedlecki. Ukazały się one w „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim”. Podobno w wydawnictwie „STON 2” czekają na przygotowanie do druku. Stanisław Nyczaj pracuje nad ich wyborem, gdyż uzbierała się ich imponująca ilość. Być może

na następnym plenerze będziemy mogli je zobaczyć i przeczytać. Na razie fragment wiersza

Możliwe jutro:

[...]
tymczasem –
jeżeli ci opowiem
o możliwym jutrze
to będzie wtedy
kiedy chleb nieobecny
a wszystko inne w proch
choć to – Zawsze –
Czasu nie skruszy
pozostanie milczenie jutra
co milczeniem będzie

w każdy Czas
możliwe jutro

Miłą niespodzianką było spotkanie z Różą Czerniawską-Karcz (poetką, prezeską Szczecińskiego Oddziału ZLP), która ze swego bogatego dorobku poetyckiego zechciała się z nami podzielić wybranymi wierszami.

Wieczory były piękne i długie. Właśnie dopadła nas sierpniowa pełnia i niepokoila nasze serca. Niezależnie od wieku, sierpniowe „spadające gwiazdy” i pełnia przypominają czas jakichś spełnionych życzeń. Dlatego na zakończenie przywołać muszę *Erotyk* Alicji Patey-Grabowskiej, który mocno mnie chwycił za serce:

Bądź pozdrowiony w domu moim
kielich dłoni gotowy do gościny ciebie
i paznokcie – błazenki układne
do ciągłej wesołości

Bądź pozdrowiony w domu moim
oto wargi służebne i ramiona proszą
spocznij oczekiwany
rozgość się jak w sobie

Już dyskretnie rzęsy zasłaniają oczy
i włosy klękają przed tobą w pokorze

(*Oda do ciała*)

Jak to dobrze, że na naszym plenerze mogliśmy być blisko tak wykwintnej poezji.

Teresa Nietyksza
Zdjęcia: Mirosław Strzałkowski

Międzywodzie, sierpień 2013



O literaturze rozmawiają: Barbara Białowąs, Barbara i Marian Jeleccy, Krystyna Łoczewska, Elżbieta Strzałkowska, Henryk Morawski



W stylowym barze „Saba”. Od lewej: Alicja Patey-Grabowska, Elżbieta Strzałkowska, Barbara Pasierb-Jezierska



Na wycieczce w Świnoujściu. Od lewej: Stanisław Nyczaj, Barbara Pasierb-Jezierska, Mirosław Strzałkowski, Krystyna Guranowska-Stolarz, Elżbieta Strzałkowska



Teresa Nietyksza, Alicja Patey-Grabowska, Aleksandra Petruszewicz, Krystyna Guranowska-Stolarz, Barbara Białowąs, Stanisław Nyczaj



Barbara Pasierb-Jezierska, Henryk Morawski, Teresa Nietyksza



Elżbieta Strzałkowska i Krystyna Guranowska-Stolarz

Sponsor

Nagle się okazało, że państwowe wydawnictwa już nie będą wydawać książek autorów współczesnych, bo po prostu nie mają pieniędzy. Redaktorzy pewnej znanej krakowskiej oficyny, gdzie jeszcze w PRL miałem złożone i przyjęte do druku wiersze, napisali mi, że nie mają pojęcia, kiedy się zbiorek ukaże, nie wiedzą także, czy w ogóle to nastąpi. W gazetach pisano, że na wszelkie kłopoty najlepszy jest sponsor. Znaleźć tylko bogatego gościa, sponsora, a można spełnić wszystkie marzenia, także wydać książkę. W księgarniach ukazała się właśnie pozycja nikomu wcześniej bliżej nieznannej miejscowej autorki, która dzięki sponsorom wydała zbiór wierszy, wzbogacając naszą literaturę regionalną.

Zajrzałem do księgarni i zobaczyłem bogato wydaną książkę w formie wierszy, wychwalających zalety krajobrazowe naszego regionu. Okładka twarda, papier kredowy. Przy tym jakaż imponująca lista sponsorów, chyba ze dwadzieścia bogatych firm, których siedziby, wyłożone marmurem, mieściły się przy głównej ulicy naszego miasta.

Takich książek ukazało się więcej. Ale po przemarszu tych dziwnych autorów i negatywnych recenzjach w prasie pozostała spalona ziemia. Żadna firma nie chciała dać ani grosza na wydanie jakiegokolwiek książki, w obawie przed krytyką i ośmieszeniem. Sami się nie znali na poezji, zaufali lipnym opiniom wewnętrznym, nie byli jeszcze odporni na namolność, a także natręctwo różnych nawiedzonych. A potem wpadli we wściekłość, że zostali wykorzystani, oszukani. Od tej pory zaparli się – ani grosza na żadne tam wierszydła!

A więc na tym polega kapitalizm – zastanawialiśmy się z żoną – że kto bogaty albo znajdzie sobie sponsora, ten wyda bzdury w postaci bogato zdobionej książki, a następnie zaleje nimi księgarnie? A inny poeta nie będzie wydawał nic, choćby w PRL publikował w Wydawnictwie „Czytelnik” i w miesięczniku „Twórczość”?

W kraju nastąpiła wymiana pieniędzy. Mój ojciec jeszcze w PRL wygrał na Państwowej Loterii samochód, enerdowskiego wartburga. Sprzedał



Rys. Danuta Jaroszyńska-Ziach

go pewnemu partyjnemu bonzie, a uzyskane w ten sposób pieniądze złożył na książeczce PKO. Teraz niewiele mógł za to kupić.

Na ulicach pojawili się nagle bezdomni, żebracy i kloszardzi. Poeta Bohdan Bogdan głośno protestował. Pisał wiersze skierowane przeciw nowemu porządkowi, ale nawet dla SLD był zbyt radykalny. Panowała powszechna akceptacja dla nowego ustroju, choć już na murach pojawiły się wielkie napisy „Komuno, wróć”. Wybuchła też niechęć do kleru i pojawiło się inne hasło: „Księża na księżyc”. W prasie trwała zażarta dyskusja: czy pułkownik Kukliński był zdrajcą czy bohaterem?

Jeden z kolegów, artysta plastyk z zawodu i powołania, powiedział mi, że zna pewnego bogatego gościa, który chce sponsorować literaturę. Chętnie mnie z nim zapozna. Z opowieści podekscytowanego przyjaciela wynikało, że facet zaczął dorabiać się majątku jeszcze w PRL, eksportując na Zachód taną polską siłę robo-

czą, której płacił w złotówkach, a sam zgarniał wypłatę w dewizach. A teraz właśnie „rozwiął skrzydła”, jak o nim mówiono.

Poszliśmy z wizytą do nowobogackiej willi na przedmieściu. Biznesmen cały czas opowiadał, jak bardzo jest już zamożny, a jak wielką fortunę zamierza zgromadzić w przyszłości dla siebie oraz dwóch małych pociech. Jego żona milczała, podawała do stołu albo śmiała się piskliwie. Dla pięcioletniego synka gospodarz domu miał przygotowany wielki szklany sółj, prawie tak duży jak sam dzieciak, i co chwilę ostentacyjnie wrzucał do środka monetę pięcioletową. Sółj był już zapełniony do połowy. To miał być prezent dla delfina na urodziny. Biznesmena bawił widocznie brzęk monety upadającej na stos innych, choć potomek rodu niewiele sobie z tego robił.

Potem dzieci poszły spać. Gospodarz zapowiedział film dla dorosłych. Włączył modne wówczas wideo z jakimiś obrzydliwymi niemieciami pornosami w oryginalnej wersji językowej. Robiło mi się niedobrze, dlatego nie tknąłem kawioru, o oślizgłych ślimakach nie wspominając. Tylko zimna wódka była smaczna, więc się nie ograniczałem, mimo psyknień żony.

Więszszego buca niż nasz gospodarz jeszcze w życiu nie spotkałem. Jego dowcipy były poniżej wszelkiego poziomu. Kolega plastik patrzył na niego z uwielbieniem, niemal z otwartymi ustami, jak ludzie w Medziugorie, którzy zobaczyli Matkę Boską. Rechotał z jego wulgarnych komentarzy do oglądanych filmów, a gdyby tylko mógł, to pewnie by mu natychmiast wszedł w tyłek, bez wazeliny.

– No co tam ostatnio nabazgrałeś, kolego? – zapytał mnie obcesowo gospodarz, czkając przy tym głośno.

– A nic takiego, co mogłoby pana zainteresować – odburknąłem niegrzecznie.

– Jak sobie chcesz – odpowiedział biznesmen ze znudzoną miną i wrzucił do stoja kolejną pięcioletówkę.

Zaczęliśmy się żegnać. Z ulgą opuściłem ten dom. Nawet wymówki kolegi plastyka, że zepsułem sobie taką świetną okazję, nie robiły na mnie wrażenia.

Już miałem dać sobie spokój ze sponsorami, ale zaczęło być głośno o przedsiębiorcy budowlanym, Krzysztofie P. Nie było dnia, żeby nie gościł na łamach miejscowej gazety albo w regionalnej rozgłośni radiowej czy stacji telewizyjnej. Fotografii, wywiady, omówienia.

Oto media miały przypadek człowieka sukcesu. Krzysztof P. wykupił podupadające socjalistyczne przedsiębiorstwo budowlane i uczynił z niego firmę przodującą w Polsce. Zamówienia sypały się jak z rękawa. Krzysztof P. stał się sławny, często bywał z przyjacielską wizytą u biskupa, spotykał się z prezydentem miasta i wojewodą. Wspierał akcje charytatywne, fundował nagrody. Człowiek sukcesu, żywy przykład, że kapitalizm działa.

Ale dla mnie to był przecież po prostu Krzysiek, kolega z jednej klasy, z Liceum imienia Stefana Żeromskiego (bo u nas wszystko było nazwane imieniem Żeromskiego albo Sienkiewicza, z racji jego bytności w niedalekim majątku – Oblęgorku).

Żona mówiła: – Zadzwoń do Krzysztofa, cóż ci zależy? Może pamięta szkolne lata i pomoże ci wydać książkę?

Zebrałem się w sobie i zadzwoniłem na jego domowy telefon. Nie był utajniony. Krzysiek oczywiście pamiętał wszystko, wspominał szkołę, a zwracał się do mnie per „Dyzio”, bo takie przezwisko miałem w klasie. Co do dotacji na książkę, to kazał przyjechać do siebie, do biura, które mieściło się na przedmieściu, w okazałej budowli.

Pojechałem autobusem. Przy wyjeździe z miasta zobaczyłem na skwerku innego mojego kolegę, rzeźbiarza i poetę, Jurka. Stał obok wielkiego kamienia, w którym miał pewnie zamiar zaraz rzeźbić. Pogoda była piękna. Słoneczna, ciepła jesień. Widziałem, jak mój przyjaciel zdjął marynarkę i w samej koszuli, z krótkimi rękawami, zapalił papierosa.

W biurze Krzysztofa przyjęto mnie ciepło, dostałem kawę, ale szef nie miał czasu. Przeprosił telefonicznie. Umówiłem się na następny dzień. Kiedy wracałem autobusem, rzeźbiarz Jurek leżał na swojej marynarce, jedną nogę założył na drugą, palił papierosa. Patrzył w bezchmurne niebo.

Następnego dnia miałem poczucie déjà vu. Przez okno autobusu widziałem, jak Jurek rzeźbiarz wolno zdejmuje marynarkę. Pogoda była przepiękna. W biurze kawa, ciastko i tak dalej.

Powiedziałem sobie, że więcej nie pojedę do biura mojego przyszłego sponsora, ale uległem żoninej perswazji. Do trzech razy sztuka. Padało, było pochmurnie. Jurek rzeźbiarz stał pod okapem pobliskiego kiosku „Ruchu”. Palił papierosa, patrząc ponuro na sterczący przed nim głaz. W biurze szef mnie przyjął. Gadaliśmy o szkole, wspominając różne hece, a w tym cza-

sie na wielkim monitorze za plecami Krzysztofa wyświetlały się notowania giełdowe.

Księgowy firmy miał jakieś wątpliwości z dotacją na tomik wierszy. Znów wszystko się przedłużało. Aż zniecierpliwiony Krzysztof sięgnął po portfel do wewnętrznej kieszeni marynarki i wręczył mi umówioną kwotę. Resztę miał zapłacić drukarni po wydaniu książeczki.

Kiedy wracałem autobusem, przestało padać. Jurek rzeźbiarz z dłutem i młotkiem uwijał się przy wielkim piaskowcu. Wyłaniała się z niego kobieca postać, co poznałem po biuście.

Na wieczór promocyjny mojego nowego zbioru wierszy w Klubie Twórczym przyszło kilka osób z naszej klasy, z liceum „Żeromszczaka”, jak go nazywaliśmy pieśczośliwie. Spotkanie było kameralne. W PRL na podobnych imprezach można było zobaczyć tłumy. Był też Jurek rzeźbiarz i pani Helena, moja ukochana pani profesor od polskiego z liceum. To dzięki jej zachętom oraz niezłomnej wierze w mój talent nie porzuciłem pisania. Niedługo potem zachorowała na Alzheimera. Jurek rzeźbiarz kilka lat później zmarł na guza mózgu.

Mój sponsor nie mógł przyjść na spotkanie.

Jego przedsiębiorstwo rozwijało się bardzo burzliwie. Zaczął dwie prestiżowe budowy w stolicy. Nagle, w jednej chwili banki przestały go finansować, inwestorzy wycofali zamówienia. Firma zbankrutowała. Chodziły słuchy, że to polityczna zemsta. Sam zainteresowany nie potwierdzał ani też nie zaprzeczał.

W prasie trwała wielka kłótnia: czy pułkownik Kukliński był zdrajcą, czy bohaterem?

Zdzisław Antolski



Miłość

cóż znaczy życie bez miłości
jest jak łąka bez kwiatów
drzewo bez liści
ogród bez owoców

jak tę utraconą odzyskać
jak ją sobie
na nowo zaskarbić
jak dogonić marzenia

A jednak przyszła

skoro nie było miłości pierwszej
jakże więc może być ostatnia

a jednak przyszła
cicho niepostrzeżenie
kiedy zdawało się
że wszystko we mnie
puste już i wymarłe

przyszła i swoimi barwami
wypełniła moje wnętrza

świeci teraz jak gwiazda
i nieomylnie prowadzi

Przepowiednia

I chociaż nie wierzę
w żadne cygańskie wróżby
to została mi w pamięci
ta jedna
„Jeszcze ci wyraźniej słońce zaświeci
i to w niedalekiej już przyszłości” –
mówiła Cyganka

zapamiętałem choć bez wiary
i dziś po latach
przepowiednia się spełniła

poznałem miłość
najprawdziwszą
i tę ostatnią

Początek

My dzieci Wielkiego Wybuchu
Ludzie Błękitnej Planety
Z prostoty słowa wyluskani
Ze ścieżek Homera
Z cudu Czerwonego Morza

Zawsze i teraz gnani na Wschód
Obdarzani wszami i głodem

Nicość ogolona na zero
Wyróżniona i uskrzydłona
Karnym batalionem

My nigdy niezagojone rany
Brnęliśmy przez krwawe błota
Z widokiem Golgoty na medaliku
Śpiewaliśmy o piaskach Mazowsza

Ludzie siwaków
Nieustannie sprzedawani
Składani w ofierze
Wciąż płonące główne

Kto z prochu wyciągnie?

Kto z takiego błota
Ulepi ponownie?

Dziwna rzeka

Wszystko tańczy
Śpiewa wodospadem
Babim latem dziewanną
Współczujące i pełne wigoru

A wokół wszechświat
Ciemność głęboka żadnego echa

Nieznana nam rzeka
Płynie przez człowieka

W szafliku ludowości

Ryszard Miernik
to jakby sam Pan Bóg
w skalniaku namaszczeń
świętokrzyskich pisarzy
W nim –
świętki wystruganych
myśli
dla Ziemi
przeoranej
od skamielin po gniazdo
bocianie –
obserwacyjnego punktu
świętokrzyskiej
ludowości

Kielce, 20.10.2009

Wieczór małych ojczyzn

Bożenie Piaście

Jesień
wsluchana w skarżyskie legendy
barwi obrazy przeszłości
odwrócone

w akwenu Rejowa

Cienie zadumania
słowami pieśni
jednoczą ludzi

małych ojczyzn

Owiany legendą dęb
tu przywołany
oddaje hołd

poezji wieczoru

Skarżysko-Kamienna – Rejów, 01.10.2007

Cel – Marlena Zynger

Jesteśmy spóźnieni
ja i ty
i tego roku wiosna –
nie od nas zależna
Marlena Zynger –

Ewa Bartkowiak z domu Marczevska
szokując
otwiera każde drzwi
niweluje wszelkie progi
z wpiętym we włosy
Złotym Piórem Poezji
Jej poezja
nie czerpie z leśnych ech
rodzinnego Suchedniowa
nie nawilża słów
bursztynową zielenią
nie zanurza pióra
w krystalicznej wodzie
potoków
którymi rozpaloną głowę chłodził
poeta i rzeźbiarz
Ryszard Miernik
Nie wsłuchuje się w tętno
tej Ziemi
metryką nie chce wracać
do tej Ewy z domu

Staszów – Światowy Dzień Poezji – 4.04.2013

Adwentowe myśli

Nim kolęda zaświeci
pierwszą gwiazdę na Niebie
i wytyczy drogi
Nim oczy wypatrzą
niewinność
co w koronie bólu
odmieniła świat
Zasiądźmy za rozmownym stołem
jeszcze bez opłatka i sianka
Wejrzyjmy w biel Świata
co zatrzęsło
majestatem pychy

Kielce, 09.12.2007



Rys. I. Nyczaj

Anna Błachucka

1. W lustrze Wiernej Rzeki^{*)}

Przy pierwszym do niej podejściu uciekły
ze mnie w pośpiechu wszystkie ważne słowa
i dały susa w aksamity, plusze
traw wczesnych. Rzeka podgrywała sobie

z nieporadności mej – jawnie i szumnie.
Dumna swą misją udoskonaloną
szlachectwem czynu skrywania
na wieki wieków – oddanych jej skarbów,

ani na mgnienie nie wstrzymała biegu.
Barwne motyle zdradziły kryjówki...
Speszona słowa podeszły do brzegu

i zanurzały nóżki i ogonki
liter w wiosennie śpiesznej rześkiej wodzie.
Wiersz spijał pierwsze krople powitania.

^{*)} Wierna Rzeka – nazwa rzeki w woj. Świętokrzyskim
znana z powieści S. Żeromskiego

2. W zatoczkach Wiernej Rzeki

Pora najwyższa już na zaręczyny
wierszy z kwiatami. Potniejące łąki
kuszą woniami, a ciepłe wieczory
ślą pocałunki zwiewnym metaforom.

Jan Święty śpieszy z uświęceniem wody.
Pierzchają wszelkie zwodnice, utopce.
Wietrznice wyjąc, wieją na „Czubatkę”,
a piekielnice kryją się w „Piekietku”.

Słońce dogrzewa baseny zatoczek.
Ponure chmury pośpiesznie zrzucają
ciemne okrycia. Takie rozebrane

pierwsze się kąpią. Za nimi maluchy...
Przed nocą przyszły śpiewne „Bochenianki”.
„Wierna...” poniosła w świat pieśni i wianki.

3. Jesienne dumania Wiernej Rzeki

Radość mierzona pojemnością koszy
zjeżdża do spizarni, piwnic i silosów.

Pola i łąki do snu się sposobią.
Rzeka, jak strażnik, sen ukrywa jeszcze

pod powiekami nabrzeżnych szuwarów.
Czasami kajak się jeszcze odważy
przepłynąć, aby złapać złoto liści
w oko kamery. A czasami dzieciak

niepomny mamy ostrzeżeń zanurza
tylko jedną nóżkę i z zimna się trzęsie.
Czasem poeta zatrzyma tu myśli

i bierze półmrok rzeki w swoje wiersze.
A rzeka zlicza dni roku. Skwapliwie
wiedzie krople w wieczne ustalenia.

4. Zimowe wspomnienia Wiernej Rzeki

Rzeka zapadła w białe szale brzegów
i okulary lodowe zakłada.
Półsennym wierzdom, pochylonym olchom
cały czas o czymś, o kimś opowiada.

Pamięta morze ognia, w którym miasto
tonęło niczym kamyczek w jeziorku.
Do dziś zatoczek uszy przechowują
huk dział, kul świsty i jęki ranionych.

Tyle lat przeszło, a rany tej bitwy*)
ciągle obmywa woda Wiernej Rzeki
i wiedzie w zbawczy las duchy powstańców.

Tyle lat przeszło, a wody tej rzeki
szemrzą o losach Ojczyzny i o tych
którzy tu dla Niej życie poświęcili.

2012

*) Bitwa pod Małogoszczem 24 lutego 1863 roku.

Anna Błachucka

Nie pytaj o jutro

Z okna na okno. Wciąż inne widoki.

Dzień w dzień dostaję jakiegoś kopniaka.
Powala mnie, jednak z trudem podnoszę się
i kopię własne życie. Taka niewinna zabawa,

bo nie jestem gwiazdą z ciemnych galaktyk.
Gdzieś tam wisi półka coraz bardziej bezludna.
Tyle listopadów i wszystkie podobne do siebie,

więc zabierz mnie stąd. Zabierz gdziekolwiek.
Poza zgiełk. Poza chaos. Wyprowadź z ciemności.
Przecież można żyć i w ciszy. Chyba byłoby inaczej,

bez hałaśliwych miast, zatłoczonych ulic, blokowisk.

Zostaw mnie gdzieś na łąkach, na skraju światła
i odejść. Zostaw mnie z bogami, między pieśniami,
aż poczuję przestworza i dzień, którego nie stracę.

Zapiszę go w pamięci, otworzę przestrzeń.

* * *

Gdzieś wciąż ukryta jest radość
Może za czereśnią pod którą siedzimy przy stole
albo za niewidocznym widnokregiem

w miejskim rozgardiaszu
rozpędzone tramwaje zagłuszają
krzyk srok i wron

nie jesteś Faustem a ja Małgorzatą
i chyba już nie tęsknimy za żadnym ze światów
Kiedyś któreś z nas odnajdzie swoją drogę i ciszę
nieuwierającą pod wykoślawionymi żebrami

nadal nie wiemy czy pomoże nam Bóg
w zrozumieniu tajemnicy naszej golgoty

gdzieś jednak istnieje radość światła
nawet w deszczowym lecie

Repertuar

Jeśli świat jest teatrem
kurtyna zbyt często idzie w górę
jakiś anonimowy dramaturg
coraz to nową pisze tragedię
jeszcze nie oswoiliśmy się z jedną
a już reżyser szykuje kolejną

czy nie spowszednieje nam taki repertuar
i czy słowo tragedia nie stanie się
pustym dźwiękiem

Ślad

Nasz przodek z prawieków
był artystą gdy na skale jaskini
utrwał kamiennym dłutem
swe łęki i niepokoje

to on pierwszy sięgnął wyżej
ponad doczesne bytowanie

mijanie wieków nie zredukowało
niczego z człowieczej wspólnoty
kopalne ślady w muzeach
zbliżają nas tylko do siebie

a widok artysty
pochyłego nad sztalugą
to tylko współczesna wersja
tamtego z prawieków

Światy

Jakby nam tego świata było mało
stworzyliśmy jeszcze wirtualny
uciekamy z jednego w drugi
nie wiedząc który z nich lepszy

i tak pomiędzy nimi krążąc
zapominamy jeszcze o tym
niemal abstrakcyjnym innym świecie
do którego nieodwołalnie
wszyscy się kiedyś przeniesiemy

Sprzyjają nam tylko ogrody
drzewa w nich zasadzone
kwiaty i ścieżki wydeptane

ławka drzemiąca w zieleni
i zieleń sama co tysiąc ma barw
i tysiąc odcieni

sprzyjają nam tylko ogrody
czy świeci słońce
czy pada deszcz

Design

Dziś nie wystarcza już rzecz sama w sobie
spełniająca oczekiwaną funkcję
nasz estetyczny gust domaga się
coraz to lepszej formy
sztab ludzi głowi się jak zaspokoić
ten wyrafinowany smak

ale na targu w małym miasteczku
możemy jeszcze spotkać
stare żelazko na duszę
i nagle jak ptak przyfrunie ku nam
nasze zgrzebne dzieciństwo
takie proste i takie piękne

Rozważania

„Wolałbym za parobka służyć na cudzej roli
u biednego chłopca, co ledwo się może utrzymać,
niż tu panować nad wszystkimi, co znikli ze świata.”

jakże smutne są słowa Achillesa
wystarczą za niejedną poetycką strofę
o naszym przemijaniu

któż w obliczu śmierci nie wybrałby
nawet najbardziej nędznego żywota
gdybyśmy tylko wybierać mogli

lęk przed nieznanym idzie z nami
poprzez wieki i tylko on
tak naprawdę nas łączy

wiem że na nic mi się zdadzą takie rozważania
zwłaszcza gdy za oknem tak pięknie świeci słońce

Gdy cierpi i pogrąża się w bólu
cynicznie niesolidarne ciało
domaga się swoich praw

czując że nie chce być jednością
chętnie wzięłaby z nim rozbrat
lecz zbyt jeszcze silne zbyt witalne

ustępuje więc i kryje się w jego wnętrzu
samotna i nieszczęśliwa

Ziemia

Nasza planeta tak niewielka
a skurczyła się jeszcze bardziej
mamy ją w swoim zasięgu

zniknęło pojęcie antypodów
bieguny dawno już zdobyte
dach Ziemi osiągnięty wielokrotnie

a w wirtualnej przestrzeni
jednym kliknięciem trafiamy
do najdalszych zakątków

skoro tak oswojona
dlaczego jesteśmy na niej zagubieni
i ciągle szukamy swojego miejsca

czy Ziemia jest już dla nas za mała

Duet

Nastały pochmurne dni
i nawet wierny cień
towarzysz mojej drogi
odszedł bez słowa

pójdę teraz z jesienną szarugą
lepiej pasuje do mojego wnętrza
stworzymy niebywały duet
z melancholii smutku i mgły

Z przygotowywanego do wydania tomu *Niewygaste
znaki zapytania*

znajomość

Chwila
mija mnie
jak przechodzień
na ulicy
bezbarwny
nie do zapamiętania
czasem
jednak
jak dziewczyna
w kolorach słońca
wiosną latem
roześmiana
oglądam się
gdy mijam ją
powoli
wymieniamy uśmiechy
czy spotkamy się jeszcze...
chyba nie...
na pewno nie...

13.04.2013

Chemia

słowa są wywoływaczem
w którym zanurzamy
myśli
powoli
w procesie chemicznym
wyłaniają się kontury
liter
układają się w ciąg
kótek lasek kropek
kresek ogonków zawijasów
mniej lub bardziej
kształtnych
przytulają się zwarecie
lub odsuwają
na odległość
znaczeń...

czasem
uda się wywołać
piękne zdanie...

13.04.2013

Starość zaczęła się wczoraj...

(Fragment powieści)

Całkiem wyraźnie pamiętam tamtą letnią noc, dwunastego sierpnia. Mgła nadsiadła pośpiesznie od strony jezior. Wracalem samochodem z Gryfic do Warszawy, do domu. Ledwo minalem łobez, wjechałem w kompleksy leśne, prosto w biel. Natychmiast pojawiło się uczucie lęku.

– Boję się mgły – powiedziałem do siebie. Włączyłem wycieraczki, żeby oczyścić przednią szybę z wilgotnej pary. Nie lubię jeździć po ciemku. W światłach samochodu z trudem rozróżniałem przemykające przez szosę zające.

Jeden jedyny raz, ponad dwadzieścia lat temu, przejechałem zającą. Zdarzyło się to w drodze do Buska-Zdroju. Był wczesny wiosenny wieczór. Do dziś pamiętam, jak daremnie dociskałem pedał hamulca, i tuż potem miękki odgłos uderzenia o karoserię. Zatrzymałem się i wysiadłem z samochodu. Zając leżał na szosie i przebierał tylnymi łapkami. Górną część ciała miał bezwładną, ani na chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku. Zmusił mnie wtedy do poszukania kamienia na poboczu. Z zamkniętymi oczami uderzyłem zającą w głowę. Potem szybko wróciłem do samochodu, nie oglądając się za siebie.

Nigdy nie zapominałem oczu tego zwierzęcia i gwałtownie przebierających tylnych łapek. Nie udało mi się uwolnić od tamtego wspomnienia. Stale do niego powracam – zazwyczaj gdy najmniej się tego spodziewam.

Usiłowałem otrząsnąć się z nieprzyjemnego uczucia. Zając, który nie żyje od dwudziestu lat, może mnie prześladować, ale mi nie zagraża, pomyślałem. Lepiej uważać na to, co mam przed szybą samochodu.

W tylnym lusterku widziałem ciemność. Byłem sam we mgle. Za niespełna pięć godzin będę w domu.

Na chwilę poczułem się lepiej. Jutro podejmę decyzję, co dalej robić. Porozmawiam z profesorem z Centrum Onkologii. Zawsze jest jakieś rozwiązanie – tego nauczyło mnie życie. Teraz też musi się znaleźć.

Wyciągnąłem dłoń i w ciemności wymacałem radio. Samochód wypełnił głos, który opowiadał o nowych odkryciach w dziedzinie leczenia nowotworów. Słowa przepływały, nie docierając do mojej świadomości. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia nad ranem. We wstecznym lusterku wciąż było ciemno. Mgła stopniowo gęstniała. Mimo to docisnąłem pedał gazu. Z każdym kilometrem coraz bardziej oddalałem się od Gryfic. Być może moje obawy są bezpodstawne? Staralem się uporządkować myśli.

Jak to się zaczęło? Zwyczajna rozmowa telefoniczna z prośbą o pomoc w związku z poważną chorobą. Nadal

pamiętam głos w słuchawce, łamiący się chwilami głos kobiety, dla której czas jest na wagę złota.

Kilka dni później – wieczór był jasny i ciepły, idylliczny. Nad krzewami żywopłotu unosiły się chmary drobnych muszek. Ze spryskiwaczy tryskała delikatna wodna mgiełka. Zaparkowałem toyotę na wyznaczonym miejscu parkingowym, w cieniu korony drzewa. Po wyjściu z auta wdychałem zapach świeżo skoszonej trawy, grillowanego mięsa i zmierzchu.

Przeszedłem wąską dróżką i otworzyłem żelazną furtkę, której przydałoby się nasmarowanie zawiasów. Żwir chrząścił pod moimi stopami. Wszedłem po kamiennych schodach i zadzwoniłem do drzwi. *Bim-bom* – głęboki, czysty dźwięk, jak w średniowiecznej katedrze. Chwilę trwało, zanim otworzyła drzwi. Musiała przejść kilka pomieszczeń.

Zerknąłem na zegarek; dochodziła siódma.

Była ubrana w szlafrok, jej siwe włosy były mokre. W ręce trzymała kieliszek koniaku. Nie powiedziała ani słowa, patrzyła tylko na mnie smutnymi oczami, odzwierciedlającymi stan jej duszy.

– Jasiu? – powiedziała w końcu, jakby właśnie wpadła na to, kim jestem. – Jasiu? To naprawdę ty? Tak bardzo na ciebie czekam!

– Tak jest! Moja obecność u ciebie jest odpowiedzią na twoje wezwanie.

Postarzała się. Zawsze myślałem o niej jak o osobie od dawna dorosłej, być może „dojrzała” jest słowem, jakiego szukam, ale swój wiek traktowała zawsze z elegancją, młodzieńczą godnością. Kiedy ją poznałem, wiązała swoje kręcone blond włosy w dwa śliczne kucyki, nosiła obcisłe spódnice i czarne rajstopy kabaretki. Jednak i jej czas nie oszczędził. Na wąskiej twarzy, z której błyskały ku mnie pełne zmęczenia oczy, widać było zmarszczki, układające się we wzór starości. Kruche, trzęsące się dłonie przywodziły na myśl łapki pisklęcia. Między pasmami siwych błyszczących włosów prześwitywała skóra. Przekrzywiła głowę.

– Minęło prawie pół wieku od naszego ostatniego spotkania – powiedziała wyczekująco. Jej głos był delikatny, troskliwy. Uśmiech pozostał ten sam, to samo spojrzenie, ale wydawało mi się, jakby wypłowiata.

Kiedyś byłem w niej zakochany.

Przesunęła się nieco w bok, by wpuścić mnie do środka.

Mieszkanie wyglądało tak, jak je zapamiętałem: duże, przeładowane meblami, ciemne i wypełnione mieszkanką ciężkich zapachów. Pokój za pokojem. Drzwi otoczone sze-

rokami framugami, sufity pokryte sztukateriami. Na licznych komodach i półkach poustawiano małe figurki w scenach przedstawiających ważniejsze wydarzenia biblijne. Na ścianach wisiały grafiki i kolorowe akwarele sygnowane nieczytelnymi podpisami. Na wiklinowych krzesłach siedziały pluszowe misie oraz lalki o martwych, porcelanowych twarzach. Być może właśnie w ten sposób Jagoda zatrzymywała dzieciństwo, o którym nie chciała rozmawiać. Przeszliśmy przez mały salonik, który nazywała biblioteką. Żyrandol wesoło odbijał świetlne refleksy.

Jej pokój wyglądał dokładnie tak, jak sobie go wyobrażałem. Przepelnione książkami regały, mahoniowe biurko, kartonowe pudełka, globus. W miejscu, w którym kiedyś musiała stać czarna maszyna do pisania, teraz rozpierał się komputer nowej generacji.

– Moja jaskinia – powiedziała zakłopotana.

Z okna rozciągał się widok na jabłoniowy sad oraz na ogród sąsiada, który zgarniał liście do ogniska. Dym wciskał się przez otwarte okno do mieszkania.

W jej oczach widać było zmęczenie.

– Koniaku? – spytała.

– Przyjechałem samochodem.

Jagoda przyniosła karton z sokiem jabłkowym i szklanekę, do której nalała napój, po czym wróciła na swoje krzesło. Odpalała jednego papierosa od drugiego. Odchyliła się do tyłu, masując sobie kąciki oczu opuszkami palców. Podniosła kieliszek z koniakiem w moim kierunku; odwzajemniłem toast.

Odezwała się znów:

– Jako młoda, dopiero rozpoczynająca pracę w szkole osoba nauczyłam się, że z pewnymi rzeczami nie opłaca się walczyć. Walka z wiatrakami, wiesz. Akademickie siły i prawdy. Naukowe dogmaty. Nie musiałam ich rozumieć, nie musiałam ich lubić. Ale wiedziałam, że pewne rzeczy są większe niż ja. Po prostu pewne rzeczy są większe, niż możesz sobie wyobrazić.

Nie byłem pewien, do czego zmierza.

– Wierzysz w Boga? – zapytała.

– Tak. – Moja odpowiedź jej nie zaskoczyła. – Zresztą nieważne. Z pewnością rozumiesz, że chrześcijanie wierzą w Boga, nie ogarniając Jego wszechmocy.

Rozmowa zesłała na tor, który mnie dezorientował. Coś było nie tak. Czuję to. Nie odważyłem się jednak zapytać.

Popatrzyła na mnie, uśmiechając się krzywo. Dobiegający gdzieś z zewnątrz warkot elektrycznej kosiarki zamilkł. Dopiero teraz, gdy zamilkł, zdałem sobie sprawę z hałasu. Cisza wypełniła pokój.

Wspaniały zegar ścienny wybił z powagą dziewięć razy.

– Uważasz, że jestem stara? – spytała.

Nigdy jej nie okłamałem. Dlatego nie odpowiedziałem na pytanie. Wiek to tylko punkt w czasie. Ująłem ją delikatnie za rękę.

– Jaguś, co się z tobą dzieje?

– Prosiłam cię, żebyś przyjechał, bo potrzebuję pomocy – powiedziała, powstrzymując łzy. – Znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że bardzo poważnie traktujesz wszelkie przyrzeczenia.

Emocje w jej głosie i spojrzeniu przeraziły mnie. Jakby chciała mi ofiarować klucz do życia wiecznego przed rozplynięciem się w chmurze dymu i iskier. Oczywiście nic takiego się nie stało. Jagoda pochyliła się nad stołem, wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa. Włożyła go do ust. Usłyszałem trzask zapalanej zapalniczki. Podpałała sobie papierosa i charakterystycznym ruchem zgasiła ją, wrzucając do popielniczki.

Głęboko się zaciągnęła. Trwała przez chwilę w milczeniu. Patrzyła gdzieś niewidzącymi oczami. Po czym smutno westchnęła.

– Jestem chora – powiedziała, tak po prostu. – Rak. Już od kilkunastu miesięcy. Cieszę się każdym nowym dniem.

Wzięła ją za rękę. Jakbym trzymał zimną rączkę śpiącego dziecka.

– Lekarz mówi, że twarda ze mnie sztuka – powiedziała.

– Bardzo cierpisz?

Wzruszyła ramionami w geście, który mógł być zarówno potwierdzeniem, jak i zaprzeczeniem. – Głównie duchowo. Bezsensowność, stany lękowe. To jest straszne.

Ścisnąłem jej rękę.

– A więc o to chodzi. Wykorzystam wszystkie swoje możliwości, żeby ci pomóc. – zapewniłem.

Odprowadziła mnie do drzwi, cały czas trzymając rękę na moim ramieniu. Stała w drzwiach, patrząc na mnie, gdy pośpiesznie wychodziłem.

Została przyjęta do Centrum Onkologii. Operacja. Kilka-dziesiąt dawek chemioterapii. Wszystko na nic – w tej walce uległa chorobie. Rak pokonał Jagodę.

Nie mogłem pogodzić się z tym faktem. Byłem pewny, że jej życiu nie zagraża realne niebezpieczeństwo, że nie ma podstaw do lęków. Wykręcałem numer telefonu szpitala, łączyłem się z lekarzem, aby w rezultacie dowiedzieć się, któryś raz z rzędu, że pacjentka śpi spokojnie, ale nic już nie mogą zrobić. Za późno zgłosiła się na leczenie.

Brakowało mi jej. Wieczorami od czasu do czasu rozmawialiśmy przez telefon, komentując to, co dzieje się na świecie. Czasami komentowała mnie samego i zaśmiewała się, nazywając mnie szczęściarzem. Zresztą nie myliła się, miałem i mam szczęście. Mówiłem to już wcześniej.

Wspominam ciepło, z sentymentem, spotkanie, które odbyliśmy czterdzieści dziewięć lat temu! Jakże wtedy wszystko było inne.

Czekała na mnie w kawiarni, przy stoliku nakrytym kolorowym obrusem. Nie poznałem jej przez kłęby dymu, póki nie pomachała mi ręką.

Przedarłem się przez wrzeszczący tłum i wcisnąłem na miejsce między Jagodą a nietrzeźwym typem śpiewającym pijacką piosenkę. W centrum Wrocławia było kilkadziesiąt kawiarni i restauracji. W wielu z nich bywali wyłącznie turyści. Miejscowi mieli swoje tajemne miejsca. Przywołaliśmy kelnera, wymachując banknotem. Jagoda zamówiła dwa jasne piwa, które szybko wypiliśmy.

Samochody mijaly nas niczym metalowa rzeka. Świetlne neony reklamowe załamywały się na krawędziach witryn. Wzięła mnie pod rękę, rozmawiając ze mną po drodze, wypełniona pewnością siebie wynikającą z zobaczonego w lustrze odbicia, rezultatów wielu godzin spędzonych na makijażu. Miała na sobie cienkie czerwone pończochy, czarną spódnicę i czerwoną bluzkę pod krótką aksamitną marynarką. Mogłem jedynie fantazjować o bieliźnie. Pasek małej torebki biegł przez piersi na skos. Włosy wiązała gumką w koński ogon. Była szczupła. Miała niesamowicie długie, ostre i pomalowane na kolor ciemnej czerwieni paznokcie. Zawsze uważałem, że paznokcie są niezwykle zmysłowe. Nie mogłem przestać gapić się na nie ani wyobrażać sobie, jakie to uczucie poczuć je na swoich plecach.

W Rynku znajdowała się restauracja Ratuszowa, znana z dobrej kuchni i stałych cen. Jeśli chce się zaprosić piękną kobietę na dobry posiłek, trzeba zdecydować się na to, co najlepsze. W przeciwnym razie można ponieść spektakularną klęskę.

Zaproponowałem Jagodzie, by zamówiła sznyceł po wiedeńsku z frytkami i szparagami w sosie beszamelowym. Na przystawkę wzięliśmy sandacza w galarecie, którego polecił nam bardzo elegancki, uprzejmy kelner.

Gdy kelner zapisał zamówienie, zapalił świece i wycofał się, Jagoda oparła łokcie na stole, złożyła ręce i popatrzyła na mnie. Z powodu panującego w restauracji półmroku i padających na moją twarz cieni, które maskowały rumieniec, a także dlatego, że takie drobnostki zapewniają mi pewną ochronę, odważyłem się zażartować.

– Wiem, czemu się ze mną umówiłaś.

Moje słowa zaskoczyły ją. Wyprostowała się.

– Tak?

– Tak.

– Po prostu jestem ciekawa, co się z tobą działo przez te lata, od naszego ostatniego spotkania.

– A po drugie?

– Nigdy dotąd nie spotkałam nikogo takiego jak ty.

– Fakt, w to na pewno uwierzę.

– Nie zrozum mnie źle. Mówię w pozytywnym znaczeniu.

– Aaa, dzięki.

– Nie poddajesz się łatwo.

– Myślę, że „uparty” znaczy mniej więcej to samo.

Mruknęła coś i spojrzała na mnie.

– Masz dziewczynę?

– Obecnie nie – nieco skłamałem. – A ty jesteś z kimś?

– Nie, teraz też nie. Ale oczywiście miałam już stu facetów! – przez sekundę wahała się między śmiechem a desperacją. Na szczęście śmiech zwyciężył.

Siedziałem bez słowa. Jagoda popatrzyła mi w oczy; próbowałem odwzajemnić jej spojrzenie, ale nie było to łatwe. Wyglądało to tak, jakbym za czymś nerwowo wodził oczami.

– Jesteś inny niż wszyscy – powiedziała.

Przyniesiono przystawkę. Zjedliśmy w milczeniu.

Dopiero gdy kelner podał danie główne, napełnił kieliszki winem, życzył nam smacznego i znów wycofał się w ciemność, do swej kryjówki przy kuchni, Jagoda ożywiła się. Przez dłuższą chwilę patrzyła na mnie, na przemian uśmiechając się i przygryzając dolną wargę. Nabiła na widelec szparaga, włożyła go do ust.

Szukałem w myślach jakiejś romantycznej frazy, czegoś, co rozluźniłoby atmosferę i usunęło zakłopotanie.

Jagoda mnie ubiegła:

– Myślisz, że studia na wojskowej uczelni to dobry wybór?

To nie była specjalnie romantyczna uwaga, ale i tak lepsza niż ciężka cisza.

– Tak, to była przemyślana decyzja.

Jagoda zaśmiała się cicho:

– To takie dziwne wyobrazić sobie, że przecież miałeś życie wolnego człowieka, bez tych wszystkich ograniczeń wynikających ze służby w wojsku.

– Życie, życie. Ja też tak to odczuwam. Ale znaleźliby się tacy, dla których takie życie wcale nie jest dziwne – stwierdziłem.

– Co działo się z tobą przez te lata? Opowiedz mi o sobie! Opowiedziałem. Szybko poszło.

Za oknem Wrocław rozblęsnął tymczasem milionem świateł. Wypiła wino. Mój kieliszek nadal był w połowie pełny. Po jej oczach poznałem, że jest nieco podchmielona. Nalała sobie jeszcze wina, z szafy grającej popłynęła piosenka Paula Anki *Diana*. Poczułem lekkie ułtucie nostalgii. Zamknąłem oczy i odpłynąłem we wspomnienia.

– O czym myślisz?

Otworzyłem oczy, patrząc na nią w milczeniu.

– Czujesz się czasem samotny? – zapytała wicherząc mi włosy.

– Zdarza się.

– Nie mam na myśli – sam. Chodzi mi o samotność!

– Czasem.

– Kiedy byłam mała, czułam się najbardziej samotną istotą na świecie. Nigdy nie miałam matki, zmarła przy porodzie. A ojciec, on... – upiła z kieliszka.

– Co z nim?

Wzruszyła ramionami.

– Zawsze był daleko. Równie dobrze mógłby być po prostu miłym wujkiem. Dlatego tak bardzo chciałam mieć kogoś tylko dla siebie.

– Naprawdę miałaś stu chłopaków?
 Jagoda zachichotała.
 – Nie wyczułeś w moim stwierdzeniu drwiny?
 Przytuliła się do mnie, objąłem jej ramiona lewą ręką.
 – Czasem go nienawidzę z głębi duszy! – westchnęła.
 Odwróciła się w moją stronę, patrząc na mnie badawczo.
 Nasze spojrzenia się spotkały.
 – Tak się cieszę, żeśmy się spotkali – powiedziała.
 – Dlaczego?
 – Bo cię lubię. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty. Kto byłby zawsze sobą, w każdych okolicznościach. Kto ma w dupie cały świat. Jesteś wyjątkowy.
 Jagoda pochyliła się i pocałowała mnie.
 Wyjrzałem przez okno. Przy chodniku stała źle zaparkowana taksówka z przyciemnionymi szybami. Wbiłem widelec w szparaga.
 – Smakował ci sznycel?
 – Przepyszny!
 Wyszliśmy.
 Nieczęsto zdarzało mi się spacerować ulicami Wrocławia, obejmując piękną dziewczynę. Właściwie nieczęsto zdarzało się, bym w ogóle obejmował jakąś dziewczynę.
 Powietrze było ciepłe, ciężkie, naelektryzowane. A może to ja taki byłem. Puszczając oko do mijających nas samochodów, do dziewcząt. Oparty o budkę telefoniczną siedział żebrak, na wpół śpiąc. Jagoda wsunęła rękę do tylnej kieszeni moich spodni. Skorzystałem z okazji, by objąć jej ramiona.
 – Cieszę się, że cię spotkałem – powiedziałem. Przebiegliśmy przez ulicę na czerwonym świetle, zatrąbił na nas samochód. – Naprawdę się cieszę – powtórzyłem, przyciągając ją do siebie.
 Nagle Jagoda zatrzymała się, machając ręką. Nie wiedziałem, o co jej chodzi, rozejrzałem się dookoła. Przy chodniku zatrzymała się taksówka. Kiedy Jagoda odwróciła się do mnie, zobaczyłem tzy w jej oczach.
 – Przepraszam – powiedziała. – Dziękuję ci za miły wieczór, jesteś naprawdę słodki. Przepraszam!
 Zatrzasnęła drzwi auta. Otworzyłem usta, by coś powiedzieć, ale nie mogłem znaleźć żadnych słów. Poleciała coś taksówkarzowi, nie słyszałem co. Skinął głową, samochód przyśpieszył. Jagoda nie obejrzała się. Taksówka zniknęła za rogiem. Zdezorientowany stałem na chodniku, gapiąc się na ruch uliczny.
 Stałem i stałem – długo...

20.10.2013

Jan Chruśliński

Literackie poszukiwanie siebie

Twórczość Jana Chruślińskiego (autora kilku książek, długoletniego członka Warszawskiego Klubu Przyjaciół Ziemi Kieleckiej), choć ma głównie charakter wspomnieniowy, nacechowana jest walorami literackimi. Widać to szczególnie na przykładzie najnowszej powieści *Starość zaczęła się wczoraj...*, z której drukujemy tu fragment. Ukazuje ona stany psychiczne, emocjonalne i duchowe człowieka chorego na raka. Oryginalność jej polega na tym, że bohater (czytaj: także autor) nie oczekuje na starość, która ma nadejść w bliżej nieokreślonym czasie przyszłym, ale poszukuje jej początku w konkretnym czasie przeszłym. Innymi słowy, Janowi Chruślińskiemu chodzi o to, by poszukać początków swej starości. Stąd też niebanalny, wieloznaczny tytuł.

Akcja powieści nie dzieje się w jakimś rozliczeniowym świecie wspomnień. Codzienne życie swojego bohatera umiejscowił „w ładnym mieszkaniu na drugim piętrze na obrzeżach Mazowieckiego Parku Krajobrazowego, w centrum kraju”. Opisy stanów emocjonalnych rozpoczął od wodzenia wzrokiem po urokliwym krajobrazie mazowieckiego lasu, wchodząc powoli i bezwiednie w czas przeszły.

„Ogarnia mnie uczucie nieważkości i sennaść. Szmyry w mieszkaniu utrzymują się na granicy rzeczywistości i majaków, nie pozwalając jednak zasnąć. Na obrazy z przeszłości nakładają się twarze rodziny i znajomych. Ich głosy docierają do mojej świadomości jakby z innego wymiaru”.

Autor w sposób interesujący i niebanalny zestawiał wydarzenia dziejące się w czasie teraźniejszym na to, co się wydarzyło kiedyś. Poprzez różnego rodzaju skojarzenia, przypomnienia stworzył niezwykle metafory, czyniąc z powieści momentami prozę poetycką.

J. Chruśliński zdaje sobie sprawę, że zmiany w psychice, w widzeniu świata nadchodzą z upływem lat i są rezultatem ładunku doświadczeń i przeżyć. Choć zmienia się nieco widzenie świata, zmieniają się odczucia i emocje. Choć od środka jest się wciąż niepokojąco młodym, to rezygnacja przychodzi powoli, z oporami i w bezsilnym buncie.

W puencie swego dzieła, wsuwając rękę pod ramię żony, przytulił ją do siebie. „Młodość nasza była różna, ale za to «starość, która zaczęła się już wczoraj», mamy wspaniałą! Objąłem ją serdecznie ramieniem i pocałowałem w policzek” – zwierza się bohater-narrator-autor.

Powieść kreuje ludzkie życie jako przygodę intelektualną oraz wędrówkę ku mądrości życiowej, ku pełni człowieczeństwa. Autor przeciwstawia się polskiemu stereotypowi starości, który utożsamiany jest z wizją kłęski. Nie chce, by o starości mówiło się jako o zniedołężnieniu, schorowaniu, potrzebie korzystania z pomocy innych.

Andrzej Piskulak

Anna Fornal

Debiut

W stronę sztuki

zabrakło numerków w szatni
krzesel w sali
wypełnionej
podziwem i wzruszeniem
bo jak w greckim dramacie
w tym samym miejscu
i w tym samym czasie
spotkały się
talent i młodość

i szły
w stronę sztuki

Moje marzenia

mój pokój jest malutki
lubię go
bo
mieszkają w nim
też
moje marzenia
ale
nie mieścimy się razem
więc
kiedy ja wchodzę
one wychodzą

Kolejny dzień

rozkwiecona mirabelka
rozstłonecznione forsycje
kasztań tuż przed maturą
domofon
kilka telefonów od i do
prośba o pomoc
sprawy niezłatwione
jedna w toku
nadzieja
czekanie na
przypomnienie o
powód do radości
nowe doświadczenie

stara dolegliwość
pośpiech
drzemka
zapach kawy z kardamonem
Wariacje Goldbergowskie
zmierzch w deszczu
jasność myśli w ciszy
wspomnienie

mija kolejny dzień

Przed snem

przed snem sprawdzam
czy zamknięte są drzwi
czy gaz wyłączony
czy na drodze mlecznej znaków nie zmieniono
czy czarnej dziury ktoś nie załatał
czy gama eolska półtonu nie zgubiła
czy tulipany w wazonie wtuliły się w siebie
czy senny pomruk męża już haftuje ciszę
czy za oknem jest ten sam widok
czy ta w tafli lustra to ja
a potem ciszy słucham
nikt nie woła

Po co

staram się wszystkich zrozumieć

- polityka co kłamie
 - księdza co celibat łamie
 - księgową co robi przekręty
 - i tego co wyklęty

 - rodziców co o dzieci nie dbają
 - staruszków co to się kochają
 - młodych co ćpają i piją
 - i tych co się nie myją

 - samotnego co marzy
 - szalonego co nie tak kojarzy
 - sąsiada z góry co podsłuchuje
 - sąsiadkę z dołu co obgaduje

 - i tych wesołych, radosnych
 - i tych co byle do wiosny
- staram się wszystkich zrozumieć
tylko po co...

* * *

Kiedy śpisz wdychając powietrze tykami pojemności
Naparstka – siedzę w przerwie między drzewami w miejscu
Gdzie kiedyś płynął strumyk i nosiłem cię w ramionach
Przez sad zielonych jabłek. Przez morze traw w czysty
Piasek. Jak Scorescu z domu księżnę Borghese –
Kiedy przychodziła noc w poprzek nieba płynęły wysokie
Poszarpane chmury. Przyglądałem się tym chmurom wlokącym
Po niebie księżyc. O poranku nocne okno schodziło ze ściany
Za nim lodowa łąka (plaża o tej porze roku) nad którą
Trzymałaś czoło wysoko. Twój profil rysował się ostro
Na tle morza. W pobliżu przewróconej do góry dnem łódki
Twoje stopy biegnące deptają wszechświat. Strzelam z łuku
Do bursztynowych obłoków. O zachodzie słońca piasek
Staje się błękitny. Mówiliśmy o wolności gwiazd
Nad którymi swobodnie świeci czyściec –
(gwiazdy są jak diamenty wtopione w litą skałę)
Wieczność osaczyła dworzec kolejowy. Nad parowozem
Dymy białe jak pościele wonne (snem pachnące)
„szyny się nigdzie nie kończą”
Tylko cień Atlantydy jak most przerucony ponad kawałkiem
Świata (który zniecka się zapadł) cokolwiek się zdarzy
Mamy rok dwa tysiące trzynasty bierzesz kąpiel morską
Zamkniemy oczy ziemi. Ciemność szczelinę wydrąży
W przestrzeni (zwinie liście paproci) zieleń
Wyjdzie młoda na wiosenne zaloty

* * *

*Ja
Neandertalczyk
Porwę cię
Przez Czas!*

(K.M.Sieniawski)

W sieci gwiazd z oczami Saskii van Uylenburgh żony
Rembrandta. W ogrodzie Villi Borghese i piazza di Siena
Jak w tęczęwce twojego oka skaczą świerszcze –
Podążam za twoim wzrokiem. W morzu dwie czarne skały
Jak rybie szkielety na piasku. Porwę cię przez Czas
W poszumie żagli (nas lot nad przepaścią w strugach
deszczu – śpiewało najdalsze morze o żółtym gajowcu)
(bylina z rodziny wargowych o liściach sercowatych)
Na wzgórzach porośłych trawą skrzypce grały
Teraz patrzę na symetryczne części twojego ciała
W pokoju żółtym jak jaskry i mleczce oczy Saskii

Spoglądają źrenicami. Prze4suwają się ze środka tęczęwek
Do jej bosych stóp potoczył się księżyc. Tej nocy spadł
Śnieg. Na twój sen zimowy – pola w niebieskim śniegu
(jak na znaczku który naklejasz na list) leśna rapsodia
Szturmująca niebo żywiczną ciszą. A ty na chmurze białej
Jak wapienny sarkofag królowej Egiptu. Płomienie wrzosów
Pną się ku górze. Siedzę z królem Salomonem w psalterzu
Wrzosowisk. Za nami słychać kroki nieśmiertelnych bogów
Ja Neandertalczyk przyglądam się ślimakowi wędrującemu
W trawie (za chwilę schroni się w swoim świecie z kamienia)
Białym i gładkim w kształcie jaja synogarlicy
Dotykam jedwabistej skóry kamienia. Wracam w morza
Wylękniony sen. Widzę ryby pokryte czarnymi pasmami
Zasuszonych wodorostów i białe skrzydła napowietrznej
Mewy. Statek pijany – ostry nóż korsarza

* * *

Zrozumieć wszystko bez zrozumienia siebie
Kierkegaard

Oczy ptaków były jak szklane kamienie –
Drzewa uwięzione w przestrzeni (korzenie pnie kwiaty owoce)
Wyschnięte drzewo pęka. Rzeka odpływa i piękno jej brzegów
Staje się elementem przeszłości. Smugą srebrnego światła
Na but wiejących zboczach wzgórz. Mgławicą Andromedy
Zrozumieć wszystko bez zrozumienia siebie (być ciągle
Na początku światła. Zakreślać koła nad drzewami wiadomości
dobrego i złego) jak dnie zatopione w czasie. Pustynie
Lotnych piasków kołyszące horyzont. Oaza która jest

[początkiem

I końcem. Zawieja śnieżycą po których nie można przewidzieć
Drogi. Znika z oczu. I znów zakrywa się szczelną zasłoną
„przejdź nie przechodząc, można nie przejść wcale”
Oczy ptaków za drzewami pachną nasłonecznionym

[powietrzem

Ty – wiązki promieni przeniosłaś przez dziesiątki wiosen
Przechodząc po ścieżkach labiryntach róży. Widzę owal twojej
Twarzy. Masz w oczach morze. Błyskawic grzebień –
Potykam się o cień drzewa. Opada ze mnie deszcz godzin
Zimowych. A w strunach żył zmierzch lazuruowy –
Na skraju (oceanu) pustyni zapadła czarna gęsta
Noc. Z czarnego kłębka odwinęta. Kiedy nadszedł
Świt – piasek był barwy śmietankowej
I był przy tym połyskliwy. Węże podnosiły
Wysoko głowy i wabiły cienkimi zielonymi
Języczkami. Zapachniało zielenią i wodą

Limeryki

Sławny softys z Wąchocka,
oczekując świata końca,
wszedł do klasztornej piwnicy
i przy pełnej szklanicy
...dobrze mu było bez słońca!

*

Była dziewczyna w Baćkowicach,
która kochała się w rękawicach.
Miała ich wiele,
na co dzień i na niedziele.
Paradowała w nich po ulicach.

*

Pewien chłop z podkieleckiej wsi,
co noc o ogromnej babie śni.
Bo jego żoneczka,
cienka jak niteczka
...a on (choć raz) z pulchniutką by...

Aforyzmy

Kto się boi Boga, nie powinien się bać końca świata.

*

Jaki chłop w dzień, taka baba w nocy!

*

Minusy – rozebrane plusy!

*

Potęga miłości, to miłość do kwadratu.

*

Tak prawdy jak i kłamstwa, w morzu nie utopisz,
w ziemi nie ukryjesz.

Fraszki**Sesje samorządów**

Gadu, gadu – do obiadu.
Po obiedzie – jakoś będzie...

Komentator

Nie odchodzi od laptopa
– śledzi, komu by dokopać!

Jesiennie

Krople deszczu unoszą niebo
rzucają oburącz
w niski horyzont
pusty korytarz echa
na poduszce gęstej mgły
ptak jak cień przeleciał
woda szeleści
szeleszczą pluski jak liście bluszczu
rozpięte na płotach
i tylko smutne twarze w deszczu
rozwierają się z wolna jak dym
a wieczorami rodzą
snów kolorową jasność
minionego lata zaszuszonego
w płatkach w książkach
gdzie widać najdalszy brzeg żalu
oderwany od mokrej gałęzi szelestu

Wspomnienia

Miasto moje ujrane
przez różowe szkło
wspomnień
stare obrazy płyną
utartą ścieżką chmur
te krajobrazy wiszą
na rzęsach i drżą
płyną jak lzy starą ścieżką
miniaturowe postacie dalekie
o całe powietrze
o tabun obłoków i przeszłych dni
płyną przeze mnie ulotnie
w kulach puszystych jak kot
rosną we mnie lata
w glorii marmurowych tablic
gdzie czas zbyt szybko
na drobne się rozmienia

Groteska

Dzień będzie biały wspaniały
wypukły
jak kolejne odbicie w lustrze

W alejach snów pustych
z filigranu co się potłukły
grom się nagle stoczył
drgnął nieboskłon w przerażone oczy
rozpadł się w uwiędłe białe kwiaty
nagle zwinięte w strachu
przerażone i sztywne
w głębi odbicia lustrzanego
zadziwionych oczu

Skośny cień wyszedł nagle z lustra
wzrok odchodzi w smutki obosieczne
w kręgi zegarów
w wierszy białych lament
gdzie odkupienie za jedno
ziarnko piasku
strzaskanego słowa kryształki

Widma przeszłych dni

Za krawędzią przeszłego Czasu
wszystkich dni miesiący
brodę przez świat siwy
odbijam się o szyby godzin
jak owad brzęczący
o pory roku spływające
wszystkie naraz
jak deszcz przez smutek szyb
gdzie widać drzewo drogę
i uschnięte liście klonów
brnę w nie coraz dalej
w pejzaż co w wyobraźnię
miętko wsiąka
w koronkowy motyw obrazu
gdzie słyhać idące obok mnie
rozkołysane echem
smukłe widma przeszłych dni
w rozdwojonych wrotach Czasu

Marian Jedlecki



Kolaż I. Nyczaj

Kolędy i pastoralki

1. Bóg się rodzi
Cały świat śpiewa pieśń

Nadzieja nadzieja
Śnieżna zawieja

Stroi się Bogu wieś
Stroi się Bogu las

W ten czas, w ten czas
stajesz się inny:
z winy niewinny, z winy niewinny

Nadzieja nadzieja
Śnieżna zawieja

Trwoga trwoga
Którędy ta droga?
Tam gwiazda świeci
Tam narodziło się Dziecię

Strzela w niebo fajerwerk nad miastem
Zasłania zasłania Gwiazdę

Tam gwiazda świeci
Tam narodziło się Dziecię

Nadzieja nadzieja –
Cały świat śpiewa pieśń

2. Narodził się Jezus w mieście złym
Lęka się Maryja

Maryjo Maryjo
Ukryj Jezusa, ukryj go

Nie ukrywaj go między nami
Ukryj go między bydłętami
Pomiędzy nami człowiek nieduży
Bogu nie służy

Lęka się Maryja
Maryjo Maryjo
Ukryj Jezusa, ukryj go

Przykryj chusteczką, przykryj gałązeczka
Nie zauważą Dziecka, nie lękaj się

Zło mija, zło mija
a z nim zły człowiek mija
nie lękaj się

Nie lękaj się
Śpiewaj Jezusowi i graj:
luli luli laj, luli luli laj

3. Jezus maleńki w kołysce
Jezus maleńki pogodny
Wokoło czas zbrodni

Ratuje Maryja Dziecko
Ratuje ucieczką

Ubiegła Maryja z Jezusem w cień drzewa
I zagrał im dzieciom i słowik zaśpiewał
I przeszła obława

Maryjo Maryjo
Ta ziemia wokoło niczyja
Pozostań z Jezusem na ziemi niczyjej Maryjo

Jezus maleńki pogodny
Maryja mu śpiewa i las
i czas, ten świata chór: czas

Śpiewa mu las
Śpiewa mu czas
Maryja mu śpiewa do snu:
i lu li lu
i lu li lu

4. Betlejem Betlejem
Wiatr od Betlejem wieje
niesie nadzieję

Na niebie na niebie Gwiazda
Na ziemi Jasność

Koło za kołem
Słowo po słowie
Już się kłaniają Jezusowi
posłowie królowie
i lud niemy

Jezusie Jezusie
Tyś Boże Dziecię
Bóg Cię na rękach matki niesie

Uśnij syneczku uśnij
płacze Maryja

Uśnij maleńki Ty
Noc mija noc mija
ociera Maryi łzy

Kołysze kołysze świat:
Światło i wiatr, światło i wiatr

5. Jezusie Jezusie maleńki śpij
Lulajże lu lulajże li

Śpiewa Ci noc: lulajże lu
Ona pół świata kładzie do snu
Śpiewa Ci matka: lulajże li
Niech Ci Dziecino sen Twój się śni

Lulajże lu lulajże li
Lulajże la
La la la li li la la la

Synku Dziecino wieki przeminą
A świat Ci będzie śpiewał i grał
Jakbyś się miał
Jakbyś się miał narodzić znów

Lulajże lu lulajże lu

Jezusie Jezusie maleńki śpij
Lulajże lu lulajże śnij

6. Ta kolęda ta kolęda
Jezusowi na święta
A mnie przy kolędzie
jak będzie tak będzie

Przy kolędzie świat mój
Jezusowi kolędo kolęduj kolęduj

Kołysz się kolędo kołysz
Masz na kołysanie – śpiewanie
Na kolędowanie – czas
Na drogę gwiazdę i kolędny strój
Kolęduj kolędo kolęduj, wędruj

Kołysz się kolędo kołysz
Żyję jak mogę i tak jak chcę
Kołysz mnie kolędo kołysz
w tym kolędnym śnie

W tym kolędnym śnie
Pana Boga śnię
Pana Boga śnię

Przy kolędzie świat mój
Wędruj kolędo, kolęduj, kolęduj...

7. Jezusie Jezusie
jeszcze maleńki
Jeszcze za wielki jeszcze za wielki
dla Ciebie ten świat

Choć już wiadomo
Z woli swej Ojca i nie dla chwały
Ty się masz spełnić dla świata cały

Świat jest już w Tobie:
w przepaści zła droga i światło
Nie będzie łatwo

Dzban wodę nosi aż zbraknie ucha
Świat jest bez ucha

Jezusie Jezusie jeszcze maleńki
Jeszcze za wielki jeszcze za wielki
Dla Ciebie ten świat

W przepaści zła Maryi łza
W przepaści zła droga i światło
Nie będzie łatwo
Nie będzie łatwo

8. Cicho najciszej
Maryja Jezusa kołysz

Cicho cicho
Wiatr mu powiewa rozwiewa
Wieści ze świata złe
Cicho mu śpiewa: le le
Nie będzie źle

Cicho bydlęta muczą
Wycisza się noc jej moc
Wiatr już nie huczy nie hula
Zło się rozczuła
i ginie ginie w dolinie

Cicho najciszej
Dolina się kołysz
Wycisza się noc jej moc
Wiatr już nie huczy nie hula
Zło się rozczuła
i ginie ginie w dolinie

Dolina się kołysz
Cicho najciszej

9. Nieś kolędo pieśń

Nieś kolędo pieśń
Z dobrej wieści wieść
z dobrej nowiny

Tak Jezusowi jak i każdemu
że nie jest nikim
jeden drugiemu

Niech przy kolędzie
Zmienia się wszędzie
Co jest w obłędzie

Niech się wyzbędzie
Ze zła obłudne zło
(oko za oko ząb za ząb)

Kolędą jest to nasze wędrowanie
śpiewanie i granie
i granie
i granie

Tak Jezusowi jak i każdemu
Że nie jest nikim
jeden drugiemu

Niech przy kolędzie
Zmienia się wszędzie
Co jest w obłędzie

Nieś kolędo nieś
Z dobrej wieści wieść

10. Cud cud w dolinie
Na połoninie chatka
A w chatce czapka
A w czapce Dziecina
Syn z Boga
Radość nadzieja i trwoga

Kłaniajcie się Jemu Narodzonemu
Narodzonemu w ubóstwie
W tej chatce pustej

Maryja z Jezusem w barłogu
usłużna Bogu
I Józef usłużny przejęty
jeszcze nie święty

Jeszcze o cudzie na połoninie
wieść nie dotarła do miasta

Skąd ta na niebie jasność
Skąd ta nad połoniną gwiazda

11. Na święta na święta
Na drogę dla ciebie ta kolęda

Ta gwiazda gwiazda na niebie
to matki łza
Tę światłość światłość z gwiazdy płomienia
dla osłonięcia matka ci tka

To życie twoje z gwiazdy jest wzięte
Jest niepojęte
jak ty i ja

Ta gwiazda gwiazda na niebie
to matki łza
Tę światłość światłość z gwiazdy płomienia
dla osłonięcia matka ci tka

To życie twoje z gwiazdy jest wzięte
Jest niepojęte
jak ty i ja

Na święta na święta
Na drogę dla ciebie ta kolęda

12. Nie wierzą nie wierzą w Nazarecie
że narodziło się z Boga dziecię

Pytają pytają Maryję
Czyje to dziecko czyje

Zwiastował anioł Maryi Syna
dla wybawienia
z grzechu poniżenia

Nie wierzą nie wierzą w Nazarecie
Że narodziło się z Boga dziecię

Niesie Maryja Jezusa
na rękach przez miasto
Bóg rozprzestrzenia za nimi jasność

13. Kolęda i pastorałka
w kolędzie chałka:

Dla bezdomnego –
z chleba proszonego
Dla głodnego każdego –
Bóg jeden wie z czego

Artystom – chałkę przeźroczystą
Taką i dla dramaturga –
niech się bawi w demiurga
Dla hołoty z ziarna żyta –
hołota władzy się przyda
Dla władzy dar królewski od kuma
co się z kumem pokumał

Kumanie kumanie – wieszowanie świętowanie
aby kumowie byli weseli
jako w niebie anieli

Jezusowi sianko na noc
na dobranoc
jako i nam
jako i bydlętom

Niech przemówią w święta bydłeta
przejęte swym i ludzkim losem
by wysłuchał je Bóg i poseł

Jezus przytula się do sianka
Budzi go ta pastorałka

14. Chu chu chu
Hoc hoc hoc
Hyc hyc hyc
Raz dwa trzy trzy
tak zło się chytrzy

Ucho przy uchu
nos przy nosie
węszy zło czego nie ujrzy nie słyszy
Ukrywa się w ciszy
przed Tym co się narodził
który po ziemi chodzi
i uczy miłości

Hoc hoc hoc
ściemnia się noc
Ściemnia ją zło jak może najmocniej
by ukryć się w ciemności
przed Tym co się narodził
który po ziemi chodzi
i uczy miłości

Hyc hyc hyc
W nic się zamienia zło
Zamienia się w nic by nie być widoczne
przed Tym co się narodził
który po ziemi chodzi
i uczy miłości

Li li li
 Dzieje się świat o jakim się nie śni
 Jezusie Jezusie
 zło nie śpi

15. Hej k o l ę d a k o l ę d a
 Nie ucz się na błędach

Ucz się od rzeki która ucieka ucieka
 przytrzymując się brzegów i źródeł
 Ucz się od rzeki

Przed kolędą ucisza się noc i dnia krzyk
 abyś abyś usłyszał
 w sobie wszechświat
 Ucz się od ciszy

Przed kolędą klęka
 i żołnierz i panienka
 matka z dzieciątkiem na rękach
 Ucz się od matki która klęka

Ucz się od ciszy co wycisza noc
 i dnia krzyk
 od rzeki która ucieka ucieka
 przytrzymując się brzegów i źródeł
 Ucz się od matki z dzieciątkiem na rękach

Ucz się od matki która klęka

Henryk Jachimowski



Fot. Arkadiusz Szostak

Genetyka

udajemy siebie
 patrzymy na własne zdjęcia
 na fotografii sprzed stuleci
 oglądamy rozproszoną materię
 dopiero tworzącą galaktyki
 i wszędzie widzimy nasze twarze

zapisane w błyskach gwiazd
 w obłokach i słońcu
 w surowych obliczach prababek
 młodych rodziców
 w miłościach zapomnianych i najzarliwszych
 i w naszych legitymacjach

dziś
 udajemy siebie
 jutro
 udawać będziemy własnych prawnuków
 a prawnukowie będą udawali nas

każdy łudzi się że jest
 był zawsze albo będzie

tego nie wyjaśni
 żaden dowód osobisty
 ani akt zgonu

Przed podróżą

podróż zaczyna się we mnie powietrze
 sposobi się do skrzydeł

metalowych słońce ich nie stopi
 choć będzie bliżej a niebo
 niebieskie bardziej mróz dokoła lot
 wbrew naturze wyrzekam się

ziemi lecz nie ucieknę od prawa
 grawitacji – zaczyna się we mnie
 podróż lęk lot zostawiam

wszystko na ziemi wszystko
 biorę ze sobą przebiję
 widnokrąg burzowe
 odległości – zaczyna się mój lot w głęb
 samego siebie zbyt wczesny

Nadzieja

Zabierz mnie nad
czarną wodę
zabierz mnie
nad Czarny Staw

siedzieć w mieście
już nie mogę
za dużo się kłębi spraw
urzędowych papierkowych
rodzinnych i innych

staniemy hen!
na hali
troski halny przewieje
otoczy nas chmur korona

może tam wśród
zielonej ciszy
namiętność nas usłyszy
zbliży
nagłym pożądaniem
przeleci krzykiem rozkoszy
ponad granie

zabierz mnie
nad czarną wodę
zabierz mnie
nad Czarny Staw

tam jasne
obłoki miłości
może splotą nas
wrócimy odmienieni
w przyszłość zapatrzeni

zabierz mnie
nad Czarny Staw

Zaradna

(Fragment powieści)

Nie chciałam siedzieć już więcej w tej cholernej kasie na widoku, gdzie każdy, nawet Jurek mógł mnie zobaczyć. Mama miała rację, nie nadaję się do byle jakiej roboty. Postanowiłam zadzwonić do faceta, który „znów coś może”. Zgłosiła się centrala Komitetu Miejskiego PZPR. Niełatwo było uzyskać połączenie z towarzyszem Hirshfeldem, lecz moje usilne błagania i zapewnienie, że to niecierpiąca zwłoki i poważna sprawa prywatna jakoś przekonały telefonistkę.

– Dzień dobry. Nazywam się Marta Bodzioch. Jestem córką Krystyny Bodzioch. Nie wiem, czy pan pamięta moją mamę, ale ona ciepło pana wspomina...

– A ile pani ma lat? – przerwał mi nagle wystraszony towarzysz.

– Ja? Mam dziewiętnaście. Prawie dziewiętnaście – poprawiłam się. – Ale mnie tylko chodzi o pomoc w uzyskaniu odpowiedniej pracy. Mama mówiła, że lubi pan pomagać ludziom, zwłaszcza młodym i ambitnym.

– No tak – towarzysz wyraźnie odetchnął. – Trzeba stawiać na młodych. Nasza partia zawsze stawia na młodych. Musimy się spotkać, żeby pani mogła zaprezentować mi swoje zdolności i kwalifikacje, a wtedy porozmawiamy, co tam u mamusi. Może jutro o szesnastej? Tu u mnie. O tej godzinie już jest tutaj spokój. Przepustka będzie na panią czekała na portierni.

Rano, do pracy, naciągnęłam swoje lakierowane, długie czarne buty, mimo że dzień zapowiadał się raczej upalnie. Co tam – pomyślałam. – Najwyżej ściągnę je w kasie. Miałam w szafie uszyty przez sąsiadkę jednoczęściowy biały kombinezon, szorty plus góra, rozpinany z przodu na suwak, ostatni krzyk mody, tak zwany overoll. Mama popatrzyła, jak się ubieram i uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Widzę, że mądrzejesz. Coś sobie załatwiłaś? Do tej głupiej kasy chyba tak nie idziesz? – spytała.

– Powiem ci, jak wrócę. Trzymaj za mnie kciuki. Miałas rację. Ta kasa to nie dla mnie.

Pocałowałam jej spoconą twarz i wyszłam z domu, kołysząc biodrami jak modelka. Punktualnie o szesnastej odebrałam od umundurowanego portiera przepustkę i długimi, pustymi korytarzami udałam się do wskazanego gabinetu. Przed drzwiami miałam chwilę zawahania. Poprawiłam włosy, zwilżyłam językiem wargi, a serce łomotało mi jak oszalałe. Może zawrócić? – pomyślałam. Ale co powiem na portierni? Przepustka musi być podpisana. Nagle drzwi gabinetu otworzyły się przede mną i elegancki starszy pan, pachnący ostrą wodą kolońską, uprzejmym gestem zaprosił mnie do środka.

– Śmiało, proszę – powiedział uśmiechając się, a jego czarne oczy błysnęły jak ślepią wilka. – Taką piękną córeczkę ma moja znajoma i ją gdzieś ukrywała. Dobrze, że cię mama do mnie przysłała. Mama pamięta, że ja jestem porządny facet i jak coś obiecuję, to załatwiam. Chciała być kierowniczką w Konsumach, to była. No, potem trochę się zrobiło zamieszania. Ale należało tylko spokojnie przeczekać i znów jest wszystko pod kontrolą. My starzy przyjaciele musimy się wspierać. A co Krysia teraz robi? Taka zaradna, energiczna kobieta pewnie też dobrze wylądowała?

– Mama miała wylew – zaczęłam szybko. – Jest na rencie. Jest nam ciężko, więc ja muszę znaleźć pracę. Chciałam studiować, ale muszę zarabiać, bo tata... Wie pan o tacie?

– Wylew? W tak młodym wieku? Och, to bardzo przykre. Nie wiedziałem, że Krysia ma męża. To co z twoim tatą? Żyje? – zapytał jakby od niechcienia, sadowiąc się wygodnie na kanapie, a ja wciąż stałam przed nim.

– Żyje, ale od dawna nie pracuje. Tata ma psychozę i często jest w szpitalu. Też ma małą rentę.

– Och, bardzo mi przykro, że tak los się z wami obszedł. Może jakoś temu złu zaradzimy, chociaż tacie to nawet partia nie pomoże – zaśmiał się jakimś dziwnym chichotem, ale mnie to nie rozśmieszyło. – Ja jestem człowiekiem bardzo wrażliwym – kontynuował, zorientowawszy się, że być może przesadził. – Usiądź tu koło mnie. Musimy się bliżej poznać, jeśli mam ci pomóc – wziął w obie ręce moją zimną ze zdenerwowania dłoni i pociągnął mnie w swoją stronę.

Nie opierałam się zbyt mocno, tylko wyminęłam jego kolano i usiadłam obok. Wypielegnowaną ręką zaczął gładzić moje włosy. Spuściłam głowę, a on chwytając mnie za podbródek, podniósł moją twarz ku górze. Przyglądał mi się z obu stron i widać oględziny wypadły pomyślnie, bo po chwili powiedział:

– No to mi Krysia zrobiła przyjemność. Pamięta, że jestem esteta. Jesteś śliczna. Twoja matka też była niczego sobie, ale ty masz lepszą figurę i bardziej subtelne rysy. Ja umiem to docenić. To co tam z tą twoją pracą? Co ty umiesz robić takimi ślicznymi długimi paluszkami? Na pewno możesz nimi zrobić mi przyjemność, jeśli zechcesz.

– Zdałam maturę. Mam prawie same piątki. Dobrze radzę sobie z językami. Chciałam iść na handel zagraniczny, ale na razie tata załatwił mi pracę w kasie PKP. Mało płacą i to jest nudne, i nie dla mnie.

– Z taką buzią, mogłabyś właściwie wcale nie pracować i tylko studiować. Kilku moich znajomych też doceniłoby twoją urodę. A rodzice jakoś sobie poradzą.

– Nie. Tak nie mogę. Gdyby tata się dowiedział...

– No, tak. Taty lepiej nie denerwować.

– To mówisz, że interesuje cię handel zagraniczny? Pewnie marzą ci się podróże?

– O, tak, bardzo chciałabym podróżować.

– A chcesz ze mną jechać na wczasy do Bułgarii?

– Nie będę miała jeszcze urlopu i tata...

– Tak, wiem. Taty nie należy denerwować. Jesteś już dorosłą dziewczynką i możesz zmienić tatusia na mniej nerwowego. Mogę być twoim tatusiem. Chcesz? Będę dla ciebie czuły i dobry, jak będziesz grzeczna oczywiście. Na początek pocałuj tatusia – towarzysz Hirshfeld nachylił się nade mną i dysząc przypiął się do moich warg.

Poczułam od niego zapach alkoholu. Coś w duchu podpowiadało mi, że w tym momencie powinnam uciekać, ale miałam wciąż niepodpisaną przepustkę. Wiedziałam też, że jak ucieknę, nie załatwię nic. Naprawdę, miałam jeszcze nadzieję, że skończy się na całowaniu.

Beata Kępińska (ur. 1951 w Łodzi, absolwentka filologii Uniwersytetu Łódzkiego) – powieściopisarka, także poetka zam. w Baszowicach k. Nowej Słupi – opublikowała w Wydawnictwie Zys i Spółka dwie książki: *Sielsko i diabelsko* (2011) i *Zaradna* (2012) z dużym zainteresowaniem przyjęte przez czytelników. Niedawno (4-5 października) uczestniczyła w II Festiwalu Literatury Kobiecej w Siedlcach, na którym w konkursowej kategorii czytelniczek zajęła trzecie miejsce wśród 74. nominowanych tytułów, co jest dużym sukcesem.

W tym roku została przyjęta w poczet Związku Literatów Polskich do Oddziału w Kielcach. Serdecznie gratulujemy!

Twórczość swą prezentowała m.in. w kieleckim WDK, podczas pleneru literackiego w Ustroniu Morskim (w 2 poł. września br.), w ostrowieckiej Galerii Fotografii.

Red.



Prezes Stanisław Nyczaj wręcza Beacie Kępińskiej legitymację członkowską ZLP
Fot. Andrzej Piskulak



Beata Kępińska (druga z prawej) wśród nominowanych autorek odbierających nagrody II Festiwalu Literatury Kobiecej
Fot. Michał Kępiński

Kiduszowy kubek

Tel Awiw 1978

Kochana Adelciu!

Zapewne jesteś zaskoczona moim listem, ale był w Izraelu nasz szkolny kolega Tazio Drewnowski i przekazał mi Twój adres. Przez te wszystkie lata nie wiedziałam, gdzie mieszkasz i co się z Tobą dzieje. Minęło tyle czasu, urosły nam dzieci, a ja w myślach wciąż mam trzynaście lat i obraz moich ostatnich urodzin przed wojną. Czy pamiętasz, Adelciu, dzień moich urodzin?

Akurat było święto Chanuka. Codziennie zapalaliśmy jedną świeczkę, na drugi dzień następną i tak dalej aż do ósmej. Pamiętasz Chanuka gelt? My dzieci dostawaliśmy od dorosłych pieniążki. Ty też dostałaś. Na dworze ziąb, deszczowo, ale w domu ciepło i przyjemnie. Graliśmy bączkiem – drejdlęch i jedliśmy smaczne placki ziemniaczane. Takie same jadłam u Ciebie. Dostałam dużo prezentów. Zgodnie z tradycją rodzina i sąsiedzi posyłali sobie wzajemnie talerze i koszyczki z owocami, słodyczami i ciastem, zwanym miszloach manot. Do tego dużo ciasteczek „Hamanowe uszy” – czy pamiętasz ich smak?

Byłaś mi jak siostra. Teraz też tylko tak o Tobie myślę, choć jesteśmy obie już bardzo dorosłe. Moje dzieci, Rosa i Oskar, znają Cię doskonale z moich wspomnień. A przecież to już tyle lat...

Na pewno nie wiesz, Adelciu, że ja ciągle myślę o Polsce i naszym ukochanym Różanie. Moja córka, Rosa – właśnie na pamiątkę naszego miasteczka nosi to imię. Postąpiłam tak jak moi rodzice, którzy na wspomnienie tego, że Twój kraj pozwolił osiedlić się ich przodkom, nazwali mnie Pola (od Po-lin – tak nazywają Żydzi Twoją, a właściwie naszą Ojczyznę – Polskę). Po-lin po hebrajsku znaczy: tu odpocznij, w domyśle: Żydzie Tułaczu. Jak rozmawiam ze znajomymi, twierdzą, że chociaż dobrze żyło się nam w Polsce, to jednak dopiero teraz, w Izraelu, jesteśmy u siebie. Cieszy nas, że mamy własną Ojczyznę i nigdzie stąd już nie musimy wyjeżdżać.

Na początku trudno znosiłam tutejszy klimat. Brakowało mi tych różańskich czterech pór roku, a szczególnie zimy. Jeszcze dziś zamykam oczy i wyobrażam sobie, że wciągam w nozdrza mroźne, rześkie powietrze.

Pamiętasz, Adelciu, nasze wspólne zimy? Zjeżdżaliśmy na sankach z okolicznych pagórków. Jak nie mogliśmy doczekać się chwili, kiedy zamrznie nasza ukochana Narew. Ścigaliśmy się z kolegami ile sił. Często do zmierzchu, bo w zimie wcześniej zapada. Zawsze podziwiałam naszych mistrzów za szybkość. Nikt wtedy nie miał łyżew. Rekordy

bili Tazio Drewnowski i Srulek Zysman, a z dziewcząt Ryfka Kruger. Szczęśliwie przeżyli wojnę i spotykamy się czasem, chociaż mieszkają dość daleko. Często, szczególnie wieczorami, wspominam letnie zmierzchy nad Narwią, jej zapach, rechot żab, odgłosy świerszczy, woń tataraku i nawet komary w mojej wyobraźni nie są tak dokuczliwe, jak wtedy...

Kochana, muszę już kończyć. Za dużo tych wspomnień jak na jeden raz. Jutro wstaję wcześniej do pracy, a tak się rozmarzyłam. Ściskam serdecznie Ciebie i Twoich Bliskich.

Pola Keller

– Istvan, pospiesz się, proszę, nie możemy spóźnić się na lotnisko! Samolot z Tel Awiwu wylądowuje o 8.30, a do Warszawy mamy dziewięćdziesiąt kilometrów, dwie godziny jazdy. Jest tak duży ruch, że odnoszę wrażenie, iż większość warszawiaków wyjeżdża dziś na wakacje na Mazury. Wszystko przez te remonty dróg. Dobrze, że w końcu się za to wzięli. Ilekroć przyjeżdżaliśmy do mamy, to zawsze przeklinaliśmy polskie drogi. Na Węgrzech uporali się z tym problemem już dawno.

Ciekawe, czy od razu rozpoznam Różę. Jest w moim wieku, a na przysłanej przez nią fotografii bardzo przypomina swoją matkę. Też jest blondynką o jasnych oczach. Tylko jej twarz jest pogodna, a w twarzy matki znajdują jakieś nieokreślony niepokój.

Ciekawa jestem, jak wypadnie to nasze spotkanie. Czy będzie zadowolona z pobytu w Polsce? Czy spełnią się jej oczekiwania? Myślę, że ona też jest ciekawa, jaka jest rodzina przyjaciółki szkolnej jej matki.

– Poczekaj, jeszcze tylko zabezpieczę kwiaty (nasz znak rozpoznawczy – białe i czerwone goździki). Mam nadzieję, że dojadą w dobrym stanie? Nie ma zbyt dużego upału, to pewnie będzie dobrze.

Nie spodziewałam się, że wraz ze śmiercią mojej mamy otworzy się kolejna tajemnica z jej życia. Chyba to za mocne określenie, ale zawartość jednej z szuflad w moim rodzinnym domu popchnęła mnie do działania w kierunku zupełnie nieoczekiwanych. Po pogrzebie robiliśmy z moim bratem porządki w starych dokumentach. Między innymi natknęliśmy się na niewielkie pudełko. Była w nim paczka listów adresowanych do mamy aż z Tel Awiwu. Wprawdzie kiedyś wspominała, że nawiązała z nią kontakt koleżanka z lat szkolnych, Pola Keller, ale wtedy nie przywiązywaliśmy do tego wagi. A one były sobie bliskie jak siostry! W jednym z listów, kiedy u nas był kłopot ze zdobywaniem podstawowych artykułów, pani Pola zaproponowała nawet, że przyśle jej i mojemu bratu Tomkowi zaproszenie do Izraela i jeśli zechcą, to znajdzie

im jakąś pracę! Wiedziała od mamy, że ja wysłałam za męża i wyjechałam na Węgry, do kraju mojego męża Istvana.

Na listach leżało małe zawiniątko – jakiś dziwny kieliszek? Szklaneczka? Zrobiony chyba ze srebra, pokryty wyrytymi w nim tajemniczymi wzorami. To właśnie on zaintrygował mnie i zmusił do dalszego działania.

Listy były różne – dłuższe, krótsze, ale zawsze emocjonalne i pisane piękną polszczyzną, nigdzie nie znalazłam ani jednego błędu ortograficznego. W trakcie lektury tych listów spostrzegłam, że są pełne tęsknoty za latami młodości i za Różanem.

... „Pamiętasz, Adelciu, naszą wycieczkę szkolną z księdzem prefektem do Zakopanego? Jakie wrażenie zrobiły na nas Tatry? A Morskie Oko i Mnich stojący nad nim? Rodzice nie bardzo chcieli się zgodzić na mój udział w tej wyprawie – ale dzięki temu, że przysłaś do nas z księdzem prefektem przekonać ich, aby zmienili zdanie – udało mi się być z wami. Później już nigdy więcej taka okazja się nie nadarzyła...”

Zawsze byłam wszystkim ciekawa. Dlatego dość często zostawałam na waszych lekcjach religii i nawet odważyłam się ją, Żydówka, od czasu do czasu zadawać pytania księdzu prefektowi. On chyba troszkę mnie lubił? Jak myślisz? Dzięki tym lekcjom dobrze znałam zwyczaje i tajemnice dotyczące świąt katolickich.

Pamiętam swoją radość, jak ubierałam choinkę bożonarodzeniową z Tobą i Twoją siostrą, i wzruszenie, kiedy z Twoją Rodziną dzieliliśmy się opłatkiem. Czulałam się wtedy jak ten wędrowiec, na którego czekało dodatkowe nakrycie na stole. Potem wszyscy szliście do kościoła na pasterkę (tak się ta msza nazywa, prawda?). Wcześniej Twój Tata wraz z Tobą odprowadził mnie do domu, bo rodzice nakazali mi wrócić do dziewiętej. Myślę, że Ty też dobrze czułaś się z moją rodziną w nasze święta? Ja nigdy nie czułam się obca wśród Was...”

... „Adelciu, pamiętasz aleję różaną wzdłuż nadrzecznego bulwaru? Ciągnął się ten barwny i odurzający zapachem szlak od stacji aż do mostu. Ileż tam było brzęczących pszczół! Wieczorami łapaliśmy chrabąszcze do butelek, potem porównywaliśmy, kto ma ich najwięcej. Chłopcy zawsze byli w tym lepsi od dziewczynek...”

... Czy jest jeszcze nasz amfiteatr? Odbywały się tam uroczystości związane ze świętami państwowymi: 3 Maja i 11 Listopada. Śpiewaliśmy patriotyczne pieśni. Zawsze dławilo mnie w gardle, gdy śpiewaliśmy wszyscy i dzieci, i dorośli: *Witaj Maj – 3 Maja Pierwszą Brygadę*. Jakaż ja byłam dumna, że jestem Polką, i że mogę być razem ze wszystkimi. Tylko mój dziadek miał wątpliwości, czy powinnam brać w tym udział. On zawsze tęsknił za Ziemią Obiecaną, Erec Israel...

A dla mnie to było takie odległe i takie nie moje. Mój świat to był właśnie Różan i wszystko, co z nim związane. Szczególnie wiosną, jak zakwitały sady – każde drzewo miało swój zapach: Ty lubiłaś zapach grusz, a ja – jabłoni.

Kochana, pamiętasz różowe i granatowe plamy na chodniku prowadzącym do kościoła? Kiedy z drzew morwowych opadały owoce? I znowu – ja lubiłam białe, a Ty słodsze, granatowe. Po opuszczeniu Różana (nie chcę pamiętać tamtego czasu – uratowała mnie znajomość waszej religii i dobrzy ludzie. Niech ich pamięć będzie wieczna!) w październiku 39 roku już nigdy i nigdzie ich nie jadłam. Czasem siał mi się też dorodne kiście porzeczek. Tu ich nie ma...

Zawsze zachwycały mnie kwiaty w waszym ogrodzie, nasz był zdecydowanie mniejszy. Opowiadam moim wnukom szczególnie w Święta Sukkot, jak z moją koleżanką budowałyśmy z gałęzi szałas i wcale nie w celach religijnych, tylko żeby schronić się przed letnim upałem. Twoja mama na obiad wynosiła nam ugotowane młode ziemniaczki posypane koperkiem: Tobie ze słoninką, a dla mnie z masłem. Byłam jej wdzięczna za to, że pamiętała o naszych zakazach religijnych. Do tego dostawałyśmy zsiadłe mleko – pyszności!

Adelciu, muszę wspomnieć o jeszcze jednej kulinarnej ciekawostce. W moim i Twoim domu była wspólna potrawa. Moja mam mówiła o niej kugel, a Twoja – rejbak. Jakież wspaniałe smak i aromat miała ta zwyczajna, a jednak nie całkiem zwyczajna babka upieczona z tartych ziemniaków. Różniła się tylko tym, że Twoja mama dodawała do surowego ciasta skraweczki mięsa, a moja gęsi tłuszcz. Obie rodziny zajadały się tym przysmakiem...”

Po przeczytaniu tych listów poczułam ogromną sympatię do tej małej Poli, przyjaciółki mojej mamy. Jak mocna musiała być między nimi więź, skoro pomimo zawieruchy wojennej i długoletniego oddalenia przetrwała tyle lat. Szkoda, że mama już nic mi o niej nie opowie – a Pola aż w Izraelu... Może uda mi się nawiązać dobry kontakt z Różą? Chciałabym.

No i jesteśmy na lotnisku. Zdążyliśmy. Mamy jeszcze trzydzieści minut do przylotu samolotu. Niepokoję się, jak wypadnie to nasze spotkanie. Jak się Róży spodoba nasz dom i rodzinne miasteczko jej matki. Wprawdzie obecny Różan różni się od tego, jaki pozostał w pamięci mamy Róży, ale zachowały się zabytki – XIV-wieczny kościół i XIX-wieczne forty – oraz ogólny charakter miasteczka. Pamiętam, że w dzieciństwie moja babcia, Halina Godlewska, pokazywała mi zegarek marki Delbana, kupiony na kilka lat przed wybuchem wojny u pana Kellera. Była dumna, że mimo upływu lat, w ogóle się nie spóźnia, jak to prawdziwy szwajcarski zegarek.

Dość historii. Już wracam do rzeczywistości. Ciekawa jestem, jak wypadnie nasze dzisiejsze spotkanie, spotkanie kolejnych już pokoleń, córek: Poli Kellerówny i Adeli Godlewskiej: Róży i Zofii.

Samolot już wylądował.

Po dłuższej chwili pokazali się pasażerowie. Oczekujących dość dużo. Dobrze, że mamy kwiatki. Niektórzy trzymają karty z wypisanymi na nich nazwiskami, ktoś macha

biało-czerwoną choraągiewką. Trzymam w ręce fotografię i szukamy z mężem w tłumie Róży.

Jest. Też już nas zobaczyła. Okazało się, że świetnie mówi po polsku, bez żadnego akcentu. Od razu poczuliśmy do siebie sympatię. Obiad w domu prawie mam gotowy. Staralam się wybrać w stosownej literaturze coś odpowiedniego, co jednocześnie sprawi jej przyjemność i co na pewno zna z opowiadań mamy. Zjedliśmy w ogrodzie przy stole pod starą jabłonką. Chłodnik i faszzerowane kurczęta bardzo jej smakowały.

Po obiedzie chwilę odpoczęliśmy i wybraliśmy się na spacer. Chciałam jej pokazać nasze miasteczko. Na sąsiedniej ulicy przed domem krzątał się pan Tadeusz Drewnowski. Mieszka w Warszawie, ale wakacje spędza w Różanie.

– Jaka ty jesteś podobna do Poli! Na długo przyjechałaś?

– Na kilka dni. Cieszę się, że mogę pana poznać. Po powrocie opowiem mamie.

– Panie Tadeuszu, zapraszam Pana na jutrzejszy obiad, na drugą. Chętnie posłuchamy pańskich wspomnień. Róża jest pielęgniarką, pracuje w szpitalu. Twierdzi, że jej mama jest nieuleczalnie chora... na Różan...

– Choćby to moje imię... Mama ciągle nazywa mnie Różyczką, a moje koleżanki, jak byłam mała, dziwiły się, co to za imię. Rosa tak, ale Różyczka? W końcu uprosiłam ją, że w domu owszem, ale jak przyjdą koledzy, to muszę być Rosa. W dzieciństwie mama opowiadała nam polskie bajki i to tylko po polsku. Uczyła nas języka. Wymuszała wręcz, że w domu będzie panował tylko język polski, dla nas – trudny... Śpiewała nam polskie piosenki, a my w żaden sposób nie mogliśmy z bratem pojąć co znaczy: „w popielniku... iskiereczka mruga”.

– Rosa, chodź coś ci pokażę. To są listy od Twojej mamy. I ten pisany przez Ciebie. Muszę przyznać, że wzruszyła mnie ich przyjaźń. I, jak Ty mówisz, choroba Twojej mamy na Różan. Zobacz, mam tu jeszcze taki przedmiot. Co to jest?

– Przecież to kidszowy kubek! Takie są w każdym żydowskim domu. Właśnie nadarza się okazja, aby opowiedzieć Wam o szabasie i całej uroczystości, która zaczyna się ceremonią kidsz, po hebrajsku uświęcenie. Na szabas należy przygotować stół nakryty białym obrusem, kielich napelnyiony winem, dwie chałki lub bochenek chleba, osłonięte złożoną na pół białą serwetką. Dwie chałki symbolizują porcje pokarmu cudownie zsyłanego w każdy piątek Żydom na pustyni, po wyprowadzeniu ich przez Mojżesza z niewoli egipskiej. Wracając do uroczystości: mężczyzna (po ukończeniu trzynastego roku życia) przygotowuje świece, kobieta – matka, odmawia nad nimi błogosławieństwo – w ten sposób witając szabas spełnia najważniejszą powinność religijną. Kidsz, czyli błogosławieństwo wina, odmawia ojciec. Następnie wypija tyk i podaje kielich uczestnikom, na końcu kobietom. Ten kubek jest wykonany ze srebra, ale może być też z metalu, ze złota, jak również z kryształu. Zdobie je

ryta dekoracja roślinna lub z motywami architektonicznymi. Akurat na tym są elementy roślinne i bramy Jerozolimy, ale może być też Arka Noego lub Grób Racheli.

– Witamy, panie Tadeuszu! Właśnie pokazuję Róży, jak się okazuje, ważny przedmiot rytualny. Przed chwilą wytłumaczyła mi, jakie jest jego znaczenie. Od momentu, kiedy otworzyłam szufladę, myśl o nim nie dawała mi spokoju. Czuję, że jest czymś ważnym. Okazało się, że tak...

– Zosiu, jest on ważny też i dla Róży, ale na pewno jeszcze ważniejszy dla jej mamy, Poli. Dziwisz się, skąd on u was? Jest to smutna pamiątka ponurych czasów. Wiesz o tym, że po napadzie Niemców na Polskę, już na początku października, okupanci stwierdzili, że nasze miasteczko musi być wolne od Żydów. Tak to nazwali. Nastąpił sądny dzień. Wypędzili wszystkich Żydów z Różana. Mogli oni ze sobą zabrać tylko bagaż podręczny. Zebrali ich na Rynku. Przechodziłem akurat koło domu rodziców Poli – dziś już go nie ma, w tym miejscu po wojnie wybudowano ośrodek zdrowia. Chciałem zamknąć kołyszącą się furtkę i zobaczyłem na ścieżce ten przedmiot. Nie wiem, do czego służył, ale wiedziałem, że Twoja mama, Zosiu, bywała w domu u Poli i przyniosłem go tutaj, do tego domu. Dałem Adeli ten kubek, a ona przytuliła go do serca, jak gdyby to była Pola i popłakaliśmy się. Nie, nie wstydzilem się, że płaczę. W końcu zmuszono nas w brutalny sposób do rozstania się z naszymi sąsiadami i kolegami. Jak większość dzieci musieliśmy szybko wyrosnąć.

– Różyczko, sądzę, że teraz jego miejsce będzie w Izraelu. Po siedemdziesięciu latach powinien wreszcie powrócić do właścicielki, do Twojej mamy.

– Jak to dobrze, Zosiu, że Twoja mama z takim pietyzmem go przechowała.

– Popatrzcie państwo, wspomnienia mojej mamy ożywają; na przykład opowiadała nam, że nad posesją Adeli od wiosny do sierpnia przelatywały bociany, takie właśnie jak ten. Czy wiecie, że przez parę lat, kiedy byliśmy mali, zawsze we wrześniu jeździliśmy z rodzicami w dolinę Jordanu i oglądaliśmy bociany? „Może są wśród nich i te z Różana”, mówiła półgłosem mama, a tata, który również urodził się w Polsce i do wojny mieszkał w Białymstoku, też miał dziwnie błyszczące oczy. Opowiem jej, jak wróce, że było tak, jak nam opowiadała. Ale, ale Zosiu, nie widzę tego dębu, który obok waszego domu posadził twój dziadek, kiedy urodziła się Adelka!

– Niestety, gałęzie dębu powaliła potężna wichura, która szalała dwa lata temu i trzeba było go ściąć. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale po kilku miesiącach odeszła moja mama...

– To przykre... Mam więcej szczęścia, bo mogę jeszcze spełnić ważną prośbę mojej mamy. Zawiozę jej kwitnącą gałązkę róży z bulwaru nad Narwią.

Anna Klonowska

Patynowe Klucze

W kredensie na strychu
pokryte patyną
oczekują śladów
swego właściciela
opuszczonych zamków
duże i siermiężne
do steranej furtki
nigdy nie otworzą
dzikiego ogrodu

bardzo ważne kiedyś
z pamięcią cyfrową
niepotrzebni stróże
przedawnionych czeków
bezdomych klejnotów
a te dwa kluczyki
złączone obrączką
wspominają czasy
pachnącej torebki
jedwabnej kieszeni

tylko słowa klucze
ożywione dźwiękiem
otwierają pamięć
i zawsze mają miejsce
na ważnym haczyku

Słowa – Klucze

Na pięciolinii
klucz wiolinowy
kreśli melodię
tamtego tanga

słowa magiczne
czarują mocą
budzą wzruszenia
słowa szeptane
kluczają sekretnie
słowa uśmiechy
jak letnia łąka
słowa rzucone
porwane wiatrem
bezwolne
i zagubione
nigdy nie wrócą

Odlot na zielone pastwiska

Wkręceni w tryby życia, spieszymy się,
spieszymy... bo bez nas świat się zawali.
W owym sur-amoku już się ledwie dyszy.
Ale pędzisz z innymi,
kręcisz się na karuzeli zdarzeń:
telefony, działanie, żale, pretensje, utarczki.
I lęk o bliskich, o Polskę, o świat cały.
Ktoś cię dosięga szpilą słowa.
Bolą czyjeś żałosne decyzje
– nieudolność to czy zła wola?
Poraża własna bezsilność,
lecz bronisz zawzięcie
swej prawdy, poglądów i zasad.
A ŚWIAT WALCZY O NASZE DUSZE.
Wokół jałowość i płycizna –
marność nad marnościami.
Gorycz bezsensu.

Dość! – mówi twój Anioł Stróż –
Wejdz w siebie i usłysz głos z góry!
Powala cię i obezwładnia.
Wyłącza taśmę szumu,
odcina maszynę biegów i zacietrzewienia.
Oddalasz się zatem, oddalasz,
choć jeszcze coś trzyma. Cierpisz.
Anioł powoli cię dźwiga
z krainy absurdu i chaosu
w zagajnik beczyny i ciszy.

Ludzie mówią: Depresja. Niemoc.
Czyżby? – A może to odlot zbawienny
na zielone pastwiska?

Fruwające szczęście

Było tu przed chwilą,
ale uleciało,
przepędzone
przez trzmiela czarnych myśli.
Można szczęście przywołać,
choć trzmiel wciąż buczy obok.

Czemuż to w nas
ten trzmiel tak uparcie
brzęczy?

Modlitwa

*„Uczyłeś mnie samotnym,
Panie”.*

Roman Brandstaetter

Doświadczyłeś mnie
cierpieniem,
Panie.

Jestem jak drzewo
bez liści,
pacierz bez amen,
modlitwa za zmarłą,
bez prośby
o światłość wiekuistą,
żeby Jej świeciła.

Stałem się ułomny.

Jedno wspólne –
Jej i moje serce,
podzieliłeś wyrokiem swoim,
na martwe i żywe.

Martwe jest już szczęśliwe.
Żywe – wciąż cierpiące.

Martwe – widzi wyraźnie.
Żywe – ociemniałe.

Proszę Cię, Panie Boże,
żeby przyszła do mnie,
kiedy płaczę nocą.
Do piersi przytuliła,
czule powiedziała:
„Nie płacz, synku,
przecież jestem z Tobą”.

Kielce, 1–4 marca 2013

Grzech

Mogłem
zapalić świecę,
modlić się,
nie pozwolić Jej odejść.

Mogłem,
ze łzami w oczach
wykrzyknąć:
„Nie zostawiaj mnie!”.

Nie robiłem tego.

Bezradny, milczący,
razem z Nią
bałem się,
umierałem...

Przeto, Panie Boże,
zasłużyłem na karę
za ciężki grzech
zaniechania.

Kielce, 5 marca 2013

Odchodzenie

Jeszcze
jeden oddech,
spojrzenie na sufit...
A może w Niebo?

Chociaż
trzymam Cię mocno,
wymykasz się
z moich ramion

w nieskończoność
mojego bólu i tęsknoty,

do wieczności
swojego żywota.

Kielce, 5–6 marca 2013

Krzysztof Kupiec

Rynek

Na świecącym rynku
zbierała marzenia
z niknących sztucznych ogni

Do studni wrzuciła grosz na szczęście
więcej nie było potrzeby
jeśli gdzieś mieszka raj –
przybędzie

Z brukowych rowów
w wielkim mieście
zbierała mikrony wspomnień
z fragmentów zgniłych liści

Nie miała nic prawie
prócz świata kataryniarza
i pulsującego serca
które zmęczyły kroki

Może jeszcze na pierniku
zapali świeczkę
na kolejny rok życzeń

* * *

*Źródło snów
Anioł rozpostarty na ścianie
chwije kolorami, skrzydłami...
(Kazimiera Iłakowiczówna)*

Na moim pierścieniu srebrny
stróż milczący
w skulonych stópkach
oszukuje mrok

Snopy gwiazd trzyma
w jednej dłoni na prezent
W drugiej serduszek
niczym implant –
tak na wszelki wypadek
gdy zatopione pustką miasto
zacznie umierać w komorach
kloszardowych kartonów

Spoglądam na jego
opuszczone powieki zielonych oczu

i masuję obolały kręgosłup trosk
by nie odpadł z metalicznego
zmęczenia

Wiersz

Dziś wiersz nie przyszedł
Wersy nie wysuszyły kałuży
Strugi deszczu zagościły
na zimnej szybie
rozmywając odbicie złudzenia

Może wiersz narodzi się
na liściu wtulonym
w igliwiu nostalgii poranka
i uleci z wietrznym listonoszem

Powróci z zefirkiem
lirycznego rozkochania

Dorota Kwoka (ur. 1966 w Tyczynie) – poetka, dziennikarka, malarka, recytatorka – jest animatorką życia kulturalno-artystycznego w Rzeszowie, gdzie mieszka, i podkarpackim regionie. Od 2008 r. występuje na scenie często wraz ze Stachem Ożogiem (wykładowcą w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego), prezentując licznych poetów. Jedną z form dokumentacji tych działań są nagrania CD, ostatnio, prócz podkarpackich, także poetów świętokrzyskich: Benedykta Koziela, Stanisława Nyczaja. Opublikowała tomiki poetyckie: *Otwieranie róży i Jestem* (2008), *Na skrzydłach wiatru* (2009), *Za progiem* (2010), *Zamknięte w kufrze* (2011), *Wodospadem* (2013 ze wstępem Jana Tulika). Za swą działalność otrzymała w 2011 r. nagrodę Marszałka Województwa Podkarpackiego.

W tym roku została przyjęta w poczet członków Związku Literatów Polskich do wybranego przez nią Oddziału w Kielcach. Serdecznie gratulujemy!



Prezes Stanisław Nyczaj wręcza Dorocie Kwoce legitymację członkowską ZLP. Obok Włodzimierz Klaczyński Fot. W. Szproch

Fałszywi świadkowie

Fałszywi świadkowie
sprzedają przyjaciół
za trzydzieści srebrników
Nie patrzą w oczy „przestępcy”
który oświadcza
Jestem niewinny
Wysoki Sądzie!
Sąd jednak nie stanął
na wysokości zadania
i skazał niewinnego
człowieka
Fałszywi świadkowie
chodzą z oczyma
wpatrzonymi w ziemię
i myślą o swoich
czynach
które parzą ich
jak wulkaniczna
lawa

Poeta

z nim jest coś niedobrego
mówi do siebie
śmieje się
płacze
modli się do kwiatów
w ogródku
wieczorami liczy spadające
gwiazdy
do lasu chodzi na koncerty
nie je bułki z masłem
lecz karmi nią
dzikie kaczkę i łabędzie
ludzie mówią
to wariat
trzeba go zamknąć
w psychiatryku
a ja tłumaczę im
że on nie jest niebezpieczny
dla otoczenia
on jest kwintesencją
poezji
to metafora
w ludzkiej skórze

Polityka

polityka zeszła na psy
myśli zmęczone
słowa zmęczone
karawana idzie dalej
piasek w oczy szczypie
człowiek człowiekowi
wilkiem
syreny krzyczą
na trwogę
wyścig trwa
do mety kręta
droga
biegacze dostali
zadyszki
padają trupy
wyścig trwa
nienawiść zabija
jak morowa zaraza
poległych nikt nie
liczy
ważne zwycięstwo
za wszelką cenę
umarł król
niech żyje król
poeci piszą elegie
i hymny pochwalne
karetka pogotowia
oznajmia
na cztery strony
świata
że w drodze
do szpitala
umarł na zawał
czterdziestoletni
mężczyzna

Kielce, 5 listopada 2013

W bezsenną noc

W bezsenną noc
leżałem w ciemnym
pokoju
jak głąz

przy polnej drodze
Myślałem o życiu po życiu
Nagle usłyszałem jęk
karetki pogotowia
Pod moje przymknięte
powieki
wdzierał się
piekący ból
umierającego
Odruchowo opuszki palców
mojej prawej dłoni
delikatnie położyłem
na tętnicy promieniowej
i liczyć zacząłem tętno
Było przyspieszone
Syrena karetki pogotowia
umilkła za oknem
a ja trzymałem nadal
rękę na pulsie

W pogoni za

W pogoni za
Wielką Niewiadomą
idziemy serpentynami
życia
pewni zwycięstwa
ale na drodze naszej
ciągle wyrastają
mury
zasieki
i głębokie rzeki
a gdy jesteśmy
już blisko celu
nagle
zatrzymujemy się
bo serce już nie to
a nogi odmawiają
posłuszeństwa
i stajemy
jak Święty Emeryk
w podróży
na Święty Krzyż

Wątpliwi bohaterzy

Wątpliwi bohaterzy
płacić sobie kaźń
za wątpliwe czyny

których świadkowie
nie żyją
Na piersiach dźwigają
wątpliwe krzyże
zasługi
Na akademiach z okazji
siedzą w pierwszych
rzędach
z dumnie podniesioną
głową
Wychodzą na trybunę
aby z pożółkłych kartek
odczytywać swoje
bohaterstwo
którego dowody
zginęły z archiwów
w niewyjaśnionych
okolicznościach

Limeryki

Pewna malarka zamiast panoramy
Wystawiła na wernisażu puste ramy.
Ale nie był to żaden hit,
Lecz zwykły artystyczny kit,
Którym się zachwycają panowie i damy.

*

Polska noblistka Szymborska Wisława,
Której niezaprzeczalna sława
Rozbrzmiewa od Europy do Ameryki,
Oprócz wierszy pisała też limeryki,
Bo reakcji czytelników była ciekawa.

*

Pewien geriatra, świeć nad jego duszą, Panie,
Zmarł biedaczysko niespodziewanie.
Ale w głowie się nie mieści,
Że zmarł mając lat czterdzieści.
Tego starsze panie nie są zrozumieć w stanie.

*

Słynny kucharz w Grand Hotelu
Przyjaciół miał wielu
Za granicą i w kraju,
Bo zaśląnął z devolajów.
Brawo, brawo, przyjacielu!

*

Znana kobieta lekkich obyczajów
Buszowała po całym kraju
I zarażała panów syfem i hifem,
Dając im przyjemności liche
Oraz wątpliwą drogę do rajów.

*

Pewna puszysta pani
Schudnąć nie mogła za nic.
Nie pomogły żadne cholesterole,
Dopóty żarcie stało na stole,
Bo jeść mogła bez granic.

*

Na nudystów plaży
Nikt się nie odważy,
By przysłowiowy
Listek figowy
Zakrywał chociażby część twarzy.

*

Pewna modelka, anorektyczka,
Była chuda jak tyczka.
Mało jadła, nie smakowało jej wszystko,
Tak że zostało z niej tylko nazwisko
I podobna była do smyczka.

*

Chińczyk Li Pen z Szanghaju
Zdziwienie budził w całym kraju,
Bo namiętnie grywał w pokera.
Rzekł mu przyjaciel Wu: cholera,
Przez pokera nie pójdziesz do raj.

*

Antka Kowalskiego ciotka
Wygrała milion w totolotka.
Co zrobić z fortuną, nie wiedziała
I wszystkie pieniądze siostrzeńcowi dała,
A on stuknął się w czoło i rzekł: Idiotka!

*

Kłócili się megalomani czas długi,
Który ma z nich większe zastugi.
Pierwszy mówi: To w głowie się nie mieści,
Ja napisałem książek czterdzieści.
A drugi na to: Ja mam największe w banku długi.

*

Psychoterapeuta, który powinien leczyć dusze,
Znosił ogromne katusze;
Bo terapia jego na nic się nie zdała,
Gdyż dotyczyła nie duszy, lecz ciała.
Fakt ten płazem mu nie uszedł.

*

Pan Artur, Polak z Nebraski,
Oglądał zakazane obrazki.
Śmiały się z niego dzieci,
Że ogląda takie śmieci.
A on na to, że nikomu nie robi łaski.

Prometeusz i Sobaka

Człowiek był dość wysokim blondynem. Ćwierć wieku temu o znacznie bardziej niebieskich oczach młodzieńca, pies płowy, chudawy a piękny. I niezbyt duży, jednak dziki, zatem Stwórcą jego panem? Gdy już było po wszystkim, rozstali się poróżnieni; pies mógł unieść ludzką bez troskę. Przyszła także śmierć, lecz znacznie wcześniej, nim człowiek palił nocą mdłe światło w ceglanej chatce składnicy drewna, słęcząc nad klawiaturą komputera. Dziki pies, który po wypadku Nory poczuł się tu samodzielny, spał przy opustoszałej budzie, gdyż nie śmiał wejść ani do niej, ani do niewielkiego biura. Obok niepiękną aromatyzowały mrok dudy szaraka będące trofeum przywleczonym z lasu osaczającego składnicę drewna.

Drukarka komputera wydała miesięczne zestawienie partii drewna stosowego, przeznaczonego dla krajowych i zagranicznych odbiorców, rozbite na pule wagonowe sześćdziesięcotonowych węglarek. Dokument spoczął na stosie innych, zaś człowiek ziewnął, a może westchnął – zanim iglaste oraz liściaste drzewa stały się drewnem dłużyc i papierówki lub żerdzi czy stojaków przeznaczonych do kopalń albo najtańszym opałem – powalono je na zrębach niczym łany zbóż.

Tymczasem dziki pies bez imienia także westchnął pod gwiazdami. Przyszedł tu, gdy Nora miała cieżką i został w składnicy. Jadł z miski suki, która go przepędzała, gdy wówczas była blisko, lecz pozostawały w komitywie, kiedy miska była pusta. Dla inteligenta dziki pies był tylko bastarodem, ale chłopci – będący znawcami skundleń – doceniali jego piękno oraz elegancję ruchów. Za sprawką tych przymiotów Norę zabrała śmierć. Psy działały w zespole i prześcigały się w zajadłości, oszczekując przejeżdżających rowerzystów, usiłując kąsać toczące się opony pojazdów przywożących drewno. Droga prowadzącą wzdłuż składnicy jechał wówczas ciągnik z jałówką w dwukołowym boksie. Psy atakowały, zaś traktorzysta tak się zachwyił gracją dzikiego psa, że Nora zginęła pod kołami przez niedopatrzenie. Dziki pies czuł przy niej, szczerząc kły białe jak płatki narcyzów i trzeba było go wypłoszyć strumieniem z węża służącego do mycia pojazdów, aby drwale mogli zakopać Norę.

Powozący ciągnikiem chłop przyszedł do chatki biurowca i rzekł ze zbiełałą twarzą:

– Przykro mi...

– Mnie też – odrzekł człowiek i wyszeptał: –
Psia mać...

Jan Lechicki

Potem chłop postawił na biurku butelkę bimbru i szklanki z grubego szkła uderzyły jedna w drugą jak oręż, choć pito na ugodę.

– Wziąłbym tego drugiego na łańcuch – rzekł chłop – aby samemu nie było mu tutaj smutno. Żona podsunie tłuste kaski, mleko do picia.

Człowiek zastanowił się chwilę i odpowiedział, jakby dziki pies był jego własnością:

– Dam! Jednak trudno go złapać. Dziki, nie podchodzi blisko.

– Zostawię wór na psa – odpowiedział chłop.

– Cóż... – odezwał się człowiek po chwili – człek chciałby przywłaszczyć sobie to, co łśni! Udał się Bogu pod tym względem?

– Inaczej źle z nami! – rzucił chłop i wyszedł, aby wrócić z worem.

Wtedy człowiek dodał:

– Okolica wydaje się niebezpieczna... Ogrom rozżarzonego Słońca. W otchłani Jowisz niby zegarowa bomba, wokół straszny mróz! Jesteśmy podpatrywani, rozważa się kary.

– I nie wódz nas na pokuszenie – wyszeptał chłop. – Kim jest naprawdę, czego chce? Gdy mija noc, chcę obuchem podobijać cienie, lecz boję się... ugodzić.

– Dzień i pan Hyde... – westchnął człowiek. – Noc okrutna dla takich, jako wytworny sir Danvers Carew. Noc...

I palił mdłe światło w ceglanej chatce biura, by wnet odłożyć nocną pracę i wyjść w chłód oraz mrok przed mrowaną chatkę.

Na kilku hektarach złożono parę tysięcy metrów przestrzennych papierówki w stosach, a dłużyce w mygłach. Pachniało drewnem kopalniaków, odartych z kory przez bryłową fińską korowarkę. Zaciągało olejem napędowym od wystygłych ciągnikowych silników, jaśniały brzoźowe kłody przeznaczone na sklejkę. Tak wyglądała roślinna trupiarnia, którą człowiek kierował z przykazania losu. Dalej strzępiły się w mroku czubki drzew osaczającego składnicę lasu, a przy rampie kolejowej jedyne toru boczny godził w niebo wysięgnik dźwigu chwytakowego i czasem chybotliwie przemknął nietoperz. Natrętnie powtarzało się zawołanie sowy pójdzki, w oddali grał czasem puszczyk. Księżyc już zaszedł i Droga Mleczna mgławiła się nadzwyczaj jasno, koło niej łśniła Wega, a z drugiej strony Altair dawał słabsze światło. Spojrzenie człowieka podążyło ku bliskiemu już wschodowi Słońca, gdzie za skupioną gromadką Plejad ukrywał się nasycony oranżem Aldebaran, rywalizujący blaskiem z żółcią Kapelli. Po przeciwległej stronie wtórował cytrynowy Saturn i słabo perliła się łuna miasteczka. Nagle firmament zacięła smuga meteoru, a człowiek gwizdnął z podziwu. Wówczas zbudził się dziki pies i, ziewając, wydał skowyt aprobaty, bowiem już przywykł do dystansowanej obecności człowieka. Po chwili rozległo się warknięcie, już

znad patrochów szaraka. Słuchacz wzdrygnął się, jakby uderzyła weń zła wróżba i wrócił do ceglanej chatki.

Kiedy feralnego dnia ukończył marsz ku drwalom, którzy bawili się w grabarzy, Nora spoczywała już w dole.

– Czemuś wykopał mogiłę tak głęboką? – zapytał najniższy drwal najwyższego drwala.

– Zaraz to naprawię – żartował dotknięty: – Niech jej ziemia lekką będzie.

– Teraz... – mówił jeden z drwali – nie odróżnia światła od ciemności. Jakaś jednorodność pobratania. Ze wszystkim. Gdzie powidoki?

– Boże drogi – rzekł stróż – powinny być proste i zrozumiałe, lecz ileż krętych, jakby unikały celu. Na końcu czeka dół. Czasem sęp albo kruk wyniesie w trzewiach pod niebo...

– Nigdy! – rozsierdził się najniższy drwal. – Garść piachu przykryje wieczność. Tam spokój?

– Tam jednorodność pobratania – rzekł drwal, który już mówił o tym.

– Tragiczna – mruknął dozorca i umilkł na chwilę: – Będę wywiedziony w pole? Elizejskie...

– Takie myśli – stękał najwyższy drwal zakopujący grób – biorą się z lekkiego życia dozorców. Z czytania książek na służbie. I z twojego pijaństwa.

– A kto tu wylewa za kołnierza?! – odezwał się milczący dotąd człowiek, będący kierownikiem składnicy drewna.

Chór drwali parsknął i zahuczał śmiechem.

– Dobry był pies – najniższemu zebrało się na wspominki – choć czasem dziwny. Zaciekle ganiał wróble i kawki, jeśli były nisko, bo jadały z psiej miski. Nie mógł wlecieć za... skrzydlatymi. Dopiero teraz?

„Patrzenie, dziki pies!”, „Piękny pies na pogrzebie” – zaszemrał chór drwali, a ktoś rzucił przypuszczenie, jakoby dzikus chciał rozpanoszyć się w składnicy po śmierci Nory. Wtedy człowiek postanowił go schwytać i oddać traktorzyście. Dlatego po odłożeniu nocnej pracy wzmacniał się bimbrem czekając za biurkiem, by dziki pies się rozbudził, a promienie niedzielnego poranka już zaczynały dotykać istnień oraz przedmiotów.

Wreszcie człowiek – po alkoholowym kurażu – wstał zza biurka, wyszedł i rzucił dziukiemu psu ciut kaszanki. Ten zeżarł i przeciągnął się z lubością, nim podszedł do plasterka pasztetówki leżącego bliżej chatki. Później zjadał kawałki salcesonu i połówki serdelków, dążąc ku drzwiom, lecz nie wszedł, choć wabiono go kolejnym smakołykiem. Wtedy człowiek skoczył z ukrycia, podniósł kaskę i udawał, że zajada, czujnie wypatrując u psa oznak smutku. Później ujął ośliżę dudy szaraka, skąd czmychnęły z bzykiem łśniące plujki, już ogrzane rannym słońcem. Tak oto psie trofeum znalazło się za progiem przedsiönka, zaś czworonóg zaraz przy nim, aby odzyskać. Wówczas ukryty człowiek zatrzasnął drzwi. Dziki pies był w pułapce przedsiönka. Sprężył się, stając

przeciw niespodziance oraz człękowi, lecz zaraz umknął do kąta. Wtulił się weń i wytrzeszczył ślepią na ścianę, aby nie patrzeć w stronę człowieka, który przykucnął obok, górując nad niewielkim psem. Drżał – łagodne ciepło głosu drażniło go, niepokojąc wnętrze i skórę.

Tymczasem człowiek na głos zastanawiał się – spoglądając na psa – czy życie ludzi oraz wyższych zwierząt nie jest psychicznym wynaturzeniem materii tworzącej Wszechświat. Jednocześnie wyciągnął dłoń w próbie pogłaskania dzikiego psa, lecz ów chwycił ją zębami, ale nie ugryzł, w ostatnim momencie rezygnując z gwałtownego zwierania szczęk. Przez długą chwilę człowiek powierzał jego paszczy swą praworęczność, ścisząc głos. Wydawało się, jakby stwierdzał, iż nie jest ważne pochodzenie piękna – niebieskie, ziemskie czy z otchłani – a przybłąda był w oczach wieśniaków jego uosobieniem, jako zgrabny kundel. Człowiek wysunął dłoń z paszczy i chyba dodał szeptem, jakoby nieważne było czy pies jest gwiazdą, czy popiołem mroku. Wyraźniej mrużąc o przeznaczeniu idącym za człowiekiem niczym pies. Mogły to być reminiscencje „Hymnu do piękna” Baudelaire’a, zaś dziki pies – który chyba spodziewał się napaści – jakby nieco uspokoił się, strzygąc uchem do melodii głosu ciemieńczy.

Przyszedł dzienny dozorca; ten z nocnej zmiany miał wolne ze względu na nocną biurową pracę człowieka. Słyszał przez otwarte okno, jak przybysz rozsiada się na ławeczce pod ścianą, kładąc obok wino i książkę.

Człowiek z cicha zawołał portiera, pies drgnął:

– Dostałem go! Gdzie worek na psa, od traktorzysty?

– Pochowaliśmy w nim Norę – odrzekł stróż.

Człowiek ociężale dźwignął się i otworzył drzwi, wypuszczając dzikiego psa. Po chwili wyszedł za nim, półprzymkniętym spojrzał na dozorcę i szepnął:

– Moja wina...

Ten jakby zrozumiał, tym bardziej że nie całkiem trzeźwy człowiek osunął się przed nim na kolana i pochylił głowę. Dzikie psy z oślizłymi patrochami w zębach na zawsze oddalał się truchtem do lasu i im bardziej niknął, tym istotniejszy stawał się w swej legendzie pozostającej wśród ludzi. Stróż natomiast usiłował postawić człowieka na nogi, przekonując z cicha, aby wstał z klęczek. „On był niczyj – mówił – więc nic się nie stało. Przecież Nikt istnieje. Nie wierzysz mi?...”.

Zbigniew Leoniak

Apostrofa wigilijna

Choinko moja Kolędo moja
Moje drogie kochane twarze
Moje zielone pachnące gałęzie
Moje wielkie zimowe przestrzenie
z polami omotanymi białym wichrem
białą zaspą i białym obłokiem

wróćcie do mnie śpiewem Anioła
płonącą Gwiazdą
zapachem jabłek
owiniętych w zastygły upał lata

Choinko moja Kolędo moja
Moje drogie kochane twarze
Moje zielone pachnące gałęzie
Moje sosny i stawy
z dziecięcych snów i leśnych powidoków

wróćcie do mnie
światłami dalekich widnokresów
i łańcuchem pokoleń
łączonych północą i śpiewem

Rzeszów, 2013

Między światłem a cieniem

Zatrzymałem się nad Twoim śladem
Zatrzymałem się nad śladami Twoich
skrzyptków harmonistów aniołów skrzydlatych

Zatrzymałem się nad szeptem Twoich Frasobliwych
uważnie łowiących nasze troski i zmartwienia

Ale jak frasunek pogardę bezsilność
zamienić w bukiet nut
w jasny otwarty dzień?
Jak lęk ukotłosać w trwodze?

Rzeszów, 15.09.2013

W Kraju moim

W Kraju moim Słońce zachodzi
opuściły Złotowłose Kraj mój
za chlebem

W Kraju moim Słońce zachodzi

Srebrnowłose modląc się
kaszę w garnkach liczą

W Kraju moim Słońce zachodzi

a w Ciemnościach
Słowiki śpiewają

Wyrok śmierci

I szłam umartłą Aleją
I Gwiazdy szły ze mną
nocą kwietniową mroźną
i wysoką
a drzewa zastygły
w Ciszy obnażone

Mówią, że one żyją i umierają stojąc
w miejscu swym
na Ziemi

a ludzie...
Ludzie, wszyscy skazani na Śmierć

niewinnie...

miejscu nieprzypisani na Wyrok Śmierci



* * *

tyle pereł co niemiara moja
dno nieba wypełniło się sakwami chmur
srebrników deszcze

marczą dusze rozstaje maligny
rozwija się z kłębowiska snów świt

przyptywy zachodzą światłem
powidoki myśli konstelacje
wieczne syczenie ogrodu
manna szczęścia

wydostać się tylko jabłkiem
co w ucieczce do nieba
znów przyciąga ziemię

ocean bez widnokregu

* * *

jabłka dobrego i złego spadają
w obojętność
zdziczały nie ma kto smakować
pestki sensu kielkują
wezbranym kwiatem

* * *

przekwitają pазie królowej
pustynie rosną w nieskończoność
do magmy chmur
maligny pokuszenia
nad rozsypanym dotykiem
po wyspy brzegi
gniazda owijają drzewa
rośnie nów
pusty w środku
mija noce pełnią

Modlitwa

Przywróć mi Panie z dawnych lat
smak wody z dzbana w żniwny czas
ciszę ukrytą w łanach złotych
co dojrzewają we mnie wzruszeniem

Daj znów usłyszeć ojca głos
co ciągle żyje w jego liście
niechaj przeniknie cmentarne marmury
i do raj u utraconego przeniesie

Otwórz szeroko niebieskie wrota
przed moją młodziutką Matką Wojenną
niech choć raz jeden powie do mnie: „dziecko” –
gdy biec będziemy ze szczęściem pod rękę

Niech się zapatrzę w ich uśmiech tkliwy
kiedy dech wstrzymam i na kolanach
będę stawiać jasne światełko przed nimi
i gdy będę im śpiewać hymny strzeliste
za tarczę ich modlitwy co mnie chroni w czas próby

Sentymentalne marzenia

*Serce mi się wciąż wrywa do rodzinnych – moich stron
(Lucjan Rydel)*

Ach – gdyby tak choćby raz jeszcze zobaczyć
tamte twarze kochane i gesty znajome
dom szczęścia ujrzeć skryty w wiśni okolu
posłuchać jak szumią tamte brzozy i szuwały
jak zboża miękko się kładą pod kosą żniwiarza
klekot bocianów podziwiał i żab rechotanie –

Zachwyć się koncertem ptaków na leśnej polanie
z gruszą na miedzy nagadać się do woli
i zachłysnąć zapachem ziemi świeżo zaoranej –

Ach – posłuchać znowu głosu sygnaturki
przyjaznego gwaru szkoły niezapomnianej
modlitwą żarliwą otworzyć cmentarne kamienie
i zapłakać ze szczęścia słysząc głosy kochane –

A zwłaszcza głos jedyny – mojej Mamy Wojennej
i Ojca – filozofa co mnie uczył tak pięknie
że do nieba każdego dojść można przez ziemię –

a potem hymn zaśpiewać o mym *genius loci*
co mnie wciąż przenosi do krainy szczęścia:
do mojej ziemi świętej – rodzinnej arkadii.

Dopóki żyje matka...

Dopóki żyje Matka – wciąż na ciebie czeka
po grudach i burzach –
domek przytulny z rozkochanych dłoni
w których tak słodko smakuje wzruszenie –

Kiedy umiera Matka
gniazdo roztrzaskane spada z domowego drzewa
przerazone ptaki kołują ogłupiałe
jak rażone piorunem
bo światła domu zgasły i drzwi zawarte na głucho
znaki pogubione – i nic nie jest jak wczoraj –

Została tylko wierna pamięć i bezradne pytanie:
– Dlaczego?! –
poranione ptaki rozpierzchły się wokół
karmią się wspomnieniami – rodzinnymi zdjęciami –
chciałyby powrócić lecz znaków zabrakło
więc błądzą zmylone wciąż pytając o drogę

Dopiero światła Wigilii i biały listek opłatka
gromadzi wszystkie ptaki przy pustym krześle
co wierzą święcie że Mama stamtąd do nich
powróci –
połamie się opłatkiem i sercem na dłoni
i tym swoim – jedynym Matczynym uśmiechem
zabliźni wszystkim skrzydła połamane –

Więc pamiętaj zawsze że póki żyje Matka
rośnie w tobie co dzień jak chleby
z Jej dzieży
dług dożywotni – nie splacisz go nigdy –
za dar winnicy który zwie się ż y c i e m



Kolaż I. Nyczaj

Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych (Fragmenty poematu)

10.

Porządek. Do niego musisz się przyłożyć
przed odejściem. Przejrzeć wszystkie szuflady.
Wyjąć listy, porzucone wiersze, zapisane plany.
Starannie je posegregować, by w stosownej
kolejności ujrzały ogień. On jest niezwykle
pomocny w nauce powściągliwości.

Śmierć potrzebuje celebracji.

Jeśli już zostawiać coś, to tylko prochy słów
po sobie, po sobie prochy.

11.

Do tej pory uznawali cię
za bałaganiarza? – zaprzecz. Posprzątaj
po sobie. Nie zostawiaj ich z tym problemem
Nie pisz słów pożegnań i nie rzucaj na wiatr,
to byłoby rażącą niekonsekwencją.
Niepotrzebnym wołaniem zza mór i widnokręgów.
Niech to będą prochy.
W ten sposób bądź. Czysty jak nigdy.
Do pierwiastka.

12.

Znacznie gorzej jest z szufladami w internecie. Ta sprawa
domaga się interpelacji i rozwiązania. W końcu śmierć ma
być zupełna. Nieodwołalna.

13.

Znalazłeś już kamień filozoficzny, alchemiku?
I nikt cię nie uprzedził, że trzeba uważać,
o co się prosi? A pomyślałeś, jak śmiertelne
może być zmęczenie od ciężaru uczynków?
Jak dobrze, że ja to nie ty.
Stanę oko w oko z dożgonnością.
Zapomnę o nucie tęsknej i pierwszym
żdźble łakomej wiosny. Te potrafią
wprawiać w błęd. Leżałam oparta o trawę.
Pachniała zapowiedzią i wilgocią. A moje ręce były
takie majowe.

I przyszło potem; wywietrzało powietrze,
łąka stanęła w bieli. Teraz wciąż tylko kwitnie zimą
i po kolana brodzi.

Człowiek żyje obrazem, bez niego się gubi.

14.

Jesteś już klasykiem. Ale czy wiecznym,
takim wzdłuż i wszerz, i po zawsze?
Między nami pozostały po tobie słowa przemienione
w ciało. W nich ukryłeś swój cień, który
do niczego ci już nie jest potrzebny.
Jak te buty w ostatniej drodze.
Cień między słowami – a wiesz, to pasjonująca gra
w chowanego. Ale teraz już nie milcz tak lapidarnie.
Mów choćby wierszem, czego się dowiedziałeś
na tym najlepszym z zaświatów,
poeto z Szetejni i z Berkeley?
Czy to TAM przeniosła się miłość, na którą na ziemi
nie starczało czasu?
(...)

17.

Od rana przeglądałam klisze fotograficzne sprzed trzy-
nastu lat. Klatka po klatce. Szukałam w nich życia. Potem
nawijałam je na palec i tworzył się rulon. Negatyw ma to do
siebie, że więcej w nim interpretacji. Wszystko zamienia się
miejscami. Co było światłem – jest cieniem. Co było ciałem –
ciałem nie jest. A te jej ręce ubrudzone w glinie na celuloidzie
są takie białe. Jakby ich wcale nie było. Ludowa rzeźbiarka
od cudeniek obrosłych w skrzydła i siedmiu boleści już trzy
miesiące temu, mój Boże –
A chciałam o niej napisać jak o żywej.
(...)

19.

Ale gdyby dwa końce dowolnego fragmentu kliszy foto-
graficznej (może nawet nadzwyczaj krótkiego filmu) udało
nam się lekko przekręcić i skleić „na odwrót” i gdy w rękach
będziemy już trzymać Wstęgę Möbiusa, czy czas będzie
chodzić nieskończenie i wciąż jedną stroną po wytyczonym
torze? A właśnie, herbata, miałam ją zrobić. Wyparzę
wcześniej imbryk, zanim w trzy palce chwycę suszu (to mój
sposób). Zielone wiórki same się odmierzą w koszyczku
między kciukiem, wskazującym i środkowym. A może by
tak dosypać jeszcze jedną porcję? Babcia Stefania nigdy nie
piła naparu z liści, które wygrzewały się w chińskim słońcu.

20.

Lecz doprawdy negatyw jest i jest odwróconym zapisem tego
samego ruchu ręki, tego pokoju. Nawet godzina na ściennym

zegarze wskazuje dziesiątą dziesiąć jak na wywołanym zdjęciu. Prawdopodobność można zbadać metodą prostą: nałożyć na siebie negatyw i pozytyw. Dwa światy równoległe, które nie mogą żyć bez siebie. Lecz to tylko fotografia, tylko fotografia, a my przecież o śmierci.

(...)

22.

Tak, śmierć zaczyna fascynować, gdy już nabieramy pewności, że da się ją jakoś przeżyć.

(...)

26.

Albercie, czy rozwiązały ci się wszystkie wzory?
I czy czas w nich jest? Ten Heraklitowy czynnik *panta rhei*,
przez który wszystko, co u nas pachnie, pąsowieje,
trwoży się i boli, trzeba pomnożyć albo podzielić.

Tobie uwierzę. Nawet

jeśli mi do ucha szepniesz, że duch też ma płęć.

A moje wzgórza na tę wieść spleoną.

27.

Wzdragam się na myśl, że czas TAM mógłby być nieużyteczny. I nadmiar uczynków trzeba by nieść. W wieczność. Taka alchemia bez menzurek, oparów i ognia. Z odnalezionym kamieniem filozoficznym (tak, kamień – to morfem celny). Nauka noszenia kamieni nie pójdzie w las.

(...)

39.

Rozpalmy stopy ze słów. *Ars bene moriendi*.

Wyczyścimy buty, które nam założą. *Ars bene moriendi*.

Położymy im głowy na krochmalne poduszki. I nam położą.

My, chagallowscy rekruci.

Śmierć potrzebuje oprawy.

Stoi się długo. Więc różanopośladka kroczy przez skąpe godziny. Przyzwyczajenie wygasa wolniej niż życie (a może się mylę). *Consuetudo altera natura est*.

(...)

42.

A jeszcze wczoraj tu był człowiek. Potwornie kastał, co cię doprowadzało do szału. I nie pomagały już żadne syropy, nawet z kwiatów białych bzu czarnego. Potem kładziesz mu głowę na krochmalną poduszkę i wzuwasz buty w ostatnią drogę. *Ars bene moriendi*. Bo jeśli wszystko jest powtórzeniem i nie jest po raz pierwszy... Czajnik przeraźliwie piszczy, muszę wyłączyć wodę.

Elżbieta Musiał

* * *

Szafę z lustrem od zawsze
pamiętam
ileż rzeczy może ona zmieścić
pięknych tragicznych zabawnych

Można je wyjmować
przymierzyć przypomnieć
i przez okno lustra
wychylić się
w przeszłość

Wiersze

Tylko niepokój wydłuża się
jak nos na starość
wiersze są coraz krótsze

Przychodzą przed nocą
i odlatują rankiem

jak niezapamiętane sny

Garść

Weź się w garść tak często radzą
(gdy czujesz że nie masz garści)
wsadzają na łódź samotną
i spychają w morze

Jeśli je przepłyniesz
poznasz nowe lądy
tropikalne burze
i deszcze
poznasz spokój życia
i sztukę układania
wszystkiego po kolei

tak by wspomnienia
kiedy się wygładzą
przymierzać
jak sukienkę
której czas przeminął

Spacer z Kawafisem

Nie dziw się mojemu szaleństwu
Kawafisie
(wiem na Aleksandrię trzeba zastrzyżyć)
że żyję w innym czasie
cóż to może znaczyć
kiedy jak dziecko
w gościnie tu jestem
Mały zakątek jest całym światem
szczęściem wędrówka długa do Itaki

zgłębiam twoją „księgę”
i wiecie mnie ona
w czas daleki
jednakowo bliski

W Kazimierzu nad Wisłą

Staszкови Nyczajowi

Jak sieć pajęcza szarość fal obleka
Leciutki podmuch wiatru łagodnego;
A na po złotą promień słońca czeka,
Aby dopełnić rysunku wodnego.
Jak się tu błękit wspiał ponad obłoki!
A biały piasek nuci pieśń Ojczyźnie.
Na drugim brzegu, ustawiony bokiem,
Zamek w Janowcu wśród zieleni mignie...
Smukłych drzew liście zielone beztróska
Powtarzają koncert, co wybrzmiał w Farze
Cichym szelestem, wiosny nuty niosą
Szepczą i szepczą o kolorach zdarzeń.

A mnie tu wystarczy siedzieć w zapatrzeniu –
Z twarzą ukrytą w kapelusza cieniu.

Ciepłe Deszcze

Idę boso ulicami Miami Beach
(tutaj nikt niczemu się nie dziwi)
Przemoknięta
do ostatniej suchej nitki
Moje stopy cieszą się
jak w czasach dzieciństwa
gdy robiły masło w piasku
po burzy

Na Florydzie
jest ostre słońce
i ciepłe deszcze
dwie tęcze dziś były nad oceanem
Tylko serce

Mówią że po dwóch latach
to przechodzi

W Drodze do Kazimierza

Czy trzeba wieść samotność tak daleko

A gdyby tak
zostawić gdzieś po drodze
jak kapliczkę w polu

Niechby sobie powstała pod niebem
niechby ją wiatry wysmagały
i deszcze

przesiąknęła
cierpką ziemią

pobyła śmiesznym
strachem na wróble

Errata

Myślę że moja dusza
pójdzie do nieba
po długiej szpalcie
sięgającej ziemi

Pan Bóg powita mnie
uśmiechem
stroskanego Wydawcy

– Ileż to puściłaś duszyczko
błędów w życiu
– Będzie ich sporo

Erratę zrobią
na Ziemi

Teresa Nietyksza

Rozmowa z morzem

Opowiem morzu swoją historię –
myśli otwierają się w przestrzeń...

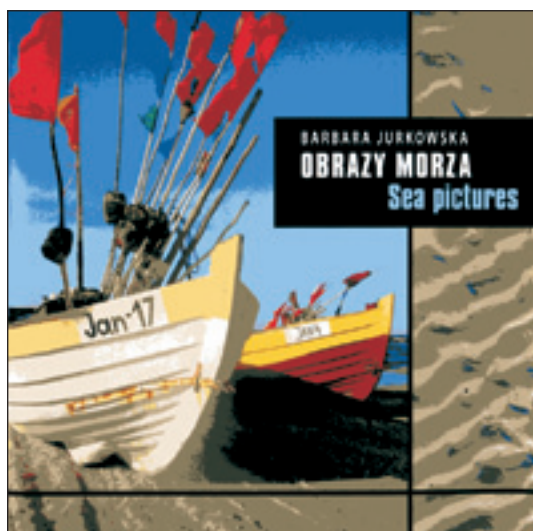
Opowiem o radości
która jak bursztyn
w codzienności
utkwiła.

Opowiem głębinie o smutku
łzach
i żalu co nie odchodzi
z wiatrem czasu.

A morze
zakładkami fal
zaznacza opowieści
i szumi-gada
wciąż o sobie.

Zimą

Czerwienieją wierzby
na wydmach
śnieg pobielił plażę
sepia traw
i ciemna zieleń
leśnej ściany sosen
to jedyne kolory
wśród szarości dnia.



Do ciebie

Kraj twój słyszę twoimi uszami,
twój widnokres twoimi oczami.
Idziesz tak jak ktoś, kto bardzo kocha.
Kiedy marzysz tęcza w twoich włosach.
Obłaskawiasz i kamień i wilka,
gdy dłoń swoją na mej ręce kładziesz
i zamykasz się w sobie jak szpilka,
kiedy ból się na tobie chce sprawdzić.

Bądźmy...

Żonie

Póki ciała nasze siebie się nie wstydzą,
póki możemy bez zgrzytów wymawiać nasze imiona,
póki tylko siebie chcemy widzieć,
póki każdą myślą dzielimy się na pół,
póki dzień osobno może być Golgotą,
póki umiem podawać ci kwiaty,
póki pragnę dla ciebie najdroższych brylantów,
póki odnajdujemy siebie w każdym słowie,
póki nosimy jedną gwiazdę w oczach,
póki dźwigamy samotność we dwoje,
bądźmy, najbliżej – siebie.

28.01.2010



Autor z żoną Barbarą

Żarliwy niepokój

*Pamięci Władysława Hasiora
w 85-lecie Jego urodzin*

– Ogień – powiedziałeś – jest materią
maksymalnie uruchamiającą wyobraźnię.

I

Te Twoje *Płonące sztandary*
ze snów o „błękitnych nadziejach” –
jakżeż łopotałyby żarliwie
nad wydzwigniętym z korzennej ziemi
Słonecznym rydwanem w Södertälje!

A *Płonąca Pieta* z Kopenhagi? –
mogłaby tu żalić się nad gorzkim
zamysłem *Przez płonące łąki łez...*

Oto *Ptaki ogniste* w szczecińskim
parku znad Jasnych Błoni,
strzeżonych przez czujne *Orły*
i te nieulekłe koszalińskie
Ptaki płomiennej wdzięczności.

Wciąż widzę Twe *Płonące drzewo* –
nie z łuny zachodzącego słońca,
lecz z golgoty strwożonej wyobraźni.

II

Wszystko, zda się, zapamiętałem
z tego, co mówiłeś, w czas odwiedzin,
przy ulubionych „herbatkach z prądem”,
obmyślając swój kolejny album.
Niby wszystko – a nadal powracam
do tamtej zakopiańskiej pracowni,
gdzie ekran wybuchał wizjami
z wędrówek płonących gwarem miast.

Każdy slajd brałeś w dłoń niczym skarb.

W pracowni i galerii obok
nawet druty, sprężyny, łańcuchy
z rupieciarni-wysypisk codzienności
splatały się w domyślne kształty,
walcząc o każdy flesz oka
z trefiającymi się manekinami.

Ta kukła na pokaz w laurowym
wieńcu z trumiennych ozdób –
ma na czole plastikową różę,
a na piersi telewizyjny ekran
jako tacę z poćwiartowanymi
lalkami przy talerzu ze sztukami!

Lustro wzmaga zapalczywy pośpiech
do zabawy w wyszywanie charakteru
to znów w nalot bombowy – po którym
niemy strumień w potok krwi się zamienia.

III

Pod dygocącymi od lęku moimi
współprzymkniętymi powiekami
tli się wciąż – zadziwiony pięknem grozy –
nieostygły w bezradnej trwodze
cierpki dreszcz Twej hipnotycznej magii.

2013



Popiersie Władysława Hasiora w Alei Sław na Skwerze Harcerskim
w Kielcach
Fot. Wikipedia

Żona psychopaty (Fragment powieści)

1

Nie może się już cofnąć. W drzwiach stoi uśmiechnięta pani Alina. Z każdego kilograma jej tęgiej postaci emanuje przyjazne ciepło i wyrozumiałość dla świata, szczególnie dla dzieci, dlatego jest idealną nianią dla małego Tomka, który Ignie do niej jak do rodzonej babci, a nawet bardziej, bo babcia wpada od czasu do czasu, jak właśnie teraz, jakże niefortunnie, bo od razu dostrzega mężczyznę, stojącego obok kanapy. Co za niemiła niespodzianka! Śnił się jej kilka dni temu i się wyśnił.

Chłopczyk podbiega do niej uradowany z tupotem skórzanych trzewików. Ona schyla się, przytula go i całuje, a gdy dziecko uznaje, że wystarczy tych czułości, odrywa się od niej, biegnie do mężczyzny, obejmuje go za nogi pod kolanami i zadziera do góry główkę. Mężczyzna jest zachwycony, jest wzruszony i spogląda z uśmiechem na kobietę, czy ona widzi tę scenę, czy docenia. Ten śliczny chłopczyk łączy ich jak most dwa brzegi rzeki, jak deszcz niebo z drzewem. Ma w sobie geny obecnego tu mężczyzny i przybyłej kobiety. Zmienisz to? Ich wnuczek, który o niczym nie wie i nigdy się nie dowie.

Elektroniczny zegar na czarnym szkle kuchenki wyświetla jedenastą zero, zero.

2

Spotkali się jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku. Na listach przebojów Radia Luxemburg królowali wówczas Rolling Stonesi, Beatlesi i Doorsi.

Gdy pchnęła szklane drzwi Empiku i rozglądała się niepewnie po zadymionej sali, podniósł się natychmiast z niskiego fotela. Był wysoki, z bujną czupryną, miał na sobie sztruksową marynarkę z zamszowymi łatami na łokciach. Nieźle wyglądał, ale ona lepiej. Dziewczyny od razu czują takie rzeczy.

– Majka? – zapytał ciepłym, niskim głosem.

– Edward? – Dziewczyna w niebieskim sweterku uśmiechnęła się. Usiedli naprzeciwko siebie przy niskim stoliku.

– Nic się Paweł nie chwalił, że ma taką ładną siostrę. – Przyglądał się jej bezceremonialnie. – Napijesz się czegoś? Może pepsi, kawy? Mają tu dobrą kawę – wskazał na swoją szklankę wypełnioną w jednej trzeciej czarnym płynem. – Może ciastko?

– Poproszę kawę.

Rozmawiali długo. Zajmująco opowiadał o swoich znajomych, pracy, o swojej pasji teatralnej. Z każdym kwadransiem imponował jej coraz bardziej. Grał w amatorskim teatrze studenckim Pod Jaszczurami. To znaczy już zrezygnował, ale do niedawna jeszcze grał. Ma tam mnóstwo kumpli, spotykają się nadal, może w każdej chwili wrócić. Pewien reżyser, wymienił jego nazwisko, które i tak nic Majce nie mówiło, więc ten bardzo znany reżyser zaproponował mu przejście do zawodowego teatru, jednak się nie zdecydował. Cztery lata ciężkich studiów i dobry zawód wobec niepewnego losu aktora? Musiałby podjąć eksternistyczne studia aktorskie, zacząć inne życie. Po namyśle zdecydował, że nie rezygnuje z wyuczonego zawodu ekonomisty, a teatr pozostanie jego szlachetną pasją.

Majka została przyjęta na wydział geografii Uniwersytetu Jagiellońskiego, niestety, nie dostała akademika i poczuła się nagle w wielkim mieście bardzo osamotniona. Jej przyjaciółce z liceum, Zosi, zabrakło kilku punktów, by dostać się na medycynę. Na szczęście brat Majki przypomniał sobie o koleźce z czasów studiów, który mieszkał i pracował w Krakowie. Spotkał go przypadkiem rok wcześniej i to gdzie! W Warszawie, na jakiejś kursokonferencji ekonomistów. Wymienili się numerami telefonów do swoich zakładów pracy, nie sądząc, by kiedykolwiek im się na coś przydały. Paweł nie wyrzucił jeszcze ubiegłorocznego kalendarza i znalazł numer telefonu do kolegi, który od razu obiecał, że rozejrzy się za jakąś niedrogą stacją w pobliżu uczelni.

Podeszła kelnerka i przesypała z ciężkiej szklanej popielnicy niedopałki na głęboki talerz z niedojedzonym kawałkiem sernika. Leciutki

obłoczek radioaktywnego pyłu uniósł się nad stolikiem i mimo woli odchylił do tyłu głowy, by odczekać, aż opadnie.

Załatwił jej stancję w nowym bloku, w pustym na razie mieszkaniu, do którego miała się sprowadzić za kilka miesięcy rodzina spod krakowskiej wsi. Właściciel codziennie dojeżdżał do zakładu, w którym Edward był kierownikiem jakiegoś działu. Zajęła maleńki pokój z nowo poznaną koleżanką z roku. Joaśka przyjechała z Rzeszowa. Dogadały się w pięć minut.

Łączyła je ta sama radość, że wyrwały się z rodzinnego domu i rozpoczną niezwykle studenckie życie w Krakowie. I tak było. Nic a nic nie zawiódł ich Kraków – zaczarowana dorożka, zaczarowany koń, Piwnica po Baranami, Demarczyk i Grechuta, krakowski deszcz i mgła. Ze względu na skromne kwoty przysyłane z domów na utrzymanie, raczej musiały zadowolić się deszczem i mgłą. No i za darmo mogły napatrzeć się na czarne dorożki. Raz tylko spotkały na Rynku Piotra Skrzyneckiego w otoczeniu artystów spod „Baranów” i miały o czym opowiadać w Kielcach i Rzeszowie. Majka zabrała z domu praktykę i sprawiało jej dużo radości odkrywanie tajemnic aparatu. Była samoukiem, ponieważ ojciec zmarł, kiedy chodziła jeszcze do podstawówki i niewiele zdążyła się od niego nauczyć.

Zabierała aparat na ćwiczenia terenowe z geografii fizycznej i hydrogeografii, i jedyna z roku dokumentowała je zdjęciami. Była bardzo dumna, kiedy fotografie źródeł bijących w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej ukazały się na wystawie w „Żaczku”. A do tak wielu atrakcji studenckiego życia niemal od pierwszego dnia dołączyła się wielka miłość. Na razie nieodwzajemniona, ponieważ Majce szkoda było czasu dla jednego chłopaka. Z Aską prowadziły intensywne życie studenckie; zajęcia do południa, obiad w studenckiej stołówce na pół, to znaczy drugie danie, bo zupę i chleb można było wziąć za darmo, potańcówki w akademiku, nowe znajomości, spotkania, rozmowy do pierwszej w nocy. No i oczywiście nauka, by zbyt szybko nie zostać wyrzuconą z tego pięknego świata. Co sobotę biegly na ubawy do „Rotundy”, „Pod Przewiązkę” lub „Żaczka”. Na drugim roku dostały akademik w sześciopokojowym pokoju. Piętrowe żelazne łóżka, wysoka szafa z wciąż otwierającymi się drzwiami. Edward je zreperował. Bo wciąż kręcił się wokół niej – dzwonił,

czekał pod akademikiem, odchodził potulnie ze zwieszoną głową, jeśli Majka nie miała czasu.

Taki obrazek. Na korytarzu stoją krzesła i szafki z pokoju numer szesnaście. Dziewczyny z tego pokoju i z sąsiednich zaglądają do środka, gdzie Edward na kolanach wiórkuje parkiet klepką za klepką. Dokładnie i metodycznie. Nawet sięga daleko pod łóżka. Później zmiata, ściera resztę pyłu w wilgotną ściereczkę, a następnie pastuje. Wychodzi na papierosa. Dziewczyny przynoszą mu kawę w pękatym kubku. Któraś z dziewczyn kładzie na parapecie herbatniki. Jedna, taka z końskim ogonem, z sąsiedniego pokoju, przynosi na talerzyku jajko w majonezie i kromkę chleba. Wszystkie dziewczyny zazdroszczą Majce. „Ale masz szczęście”, mówią i patrzą rozmazonym wzrokiem na faceta, który froteruje aż do połysku parkiet, przesuając się na szmatach w tył, w lewo, w prawo i do przodu.

To cudowne być tak kochaną, uwielbioną, stać się dla kogoś tą jedną, jedyną. Czuje się przy nim jak wyjątkowa istota, której on pragnie jedynie usługiwać. Szkoda zmarnować tak wielką i piękną miłość. Więc w którymś momencie jej serce robi ten niezbędny obrót o kilka stopni. Pokochała nie samego Edwarda. Zakochała się w jego miłości.

Teresa Opoka



Bądź gotów

Szukam zegara
Specjalnej produkcji
Niech wolniej
Wyznacza godziny

Szukam kalendarza
W którym dni i miesiące
Toczą się bez pośpiechu
Z gwarancją wiarygodności

Szukam filozofa
Niech powie
Z pełnym przekonaniem
Co myśli o przeznaczeniu

Bądź zawsze gotów
Nie ufaj nikomu
Prędkość w nogach
Daje pewną szansę

Gdzie jesteś

Gdzie jesteś Bogdanie
Diabli cię porwali
Czy baby zaciągnęły
Na siano w stodole

Miałeś poukładane
Dobre myśli w głowie
Trzeźwiałeś od świtu
Po samo południe

A tu dzbany puste
Kto dziś z próżnego
Wódeczkę naleje
W wesołe kieliszki

Gdzieś się chłopie zapodział
Na antypodach cię szukają
Nie ma z kim pogadać
Duch beztroski przyćmiony

Jeszcze wczoraj go widziano
Z Miernikiem w oberży
Dwa borsuki z żalu się zapili
Za tym co już nie wróci

Szukajcie psu braty
Samogon się warzy
Na jutro stypę rychtują
Krewni znad Świśliny

Jakie jest życie

Próbowałem go wymyślić
Inną mu dać fabułę
Biegło swoją ścieżką
Bez mego udziału

Kiedyś planowałem
Że wszystko będzie inaczej
Strasznie się myliłem
Tak mało zależy ode mnie

Wierzę bez granic i obiecuję
Że jeszcze się z nim porachuję
Niektóre rzeczy naprawię
Potrzebuję kilka dni w zapasie

W modlitwach mam oparcie
Klątwy też się przydadzą
Wszystko razem jak się złoży
Stanę na nogi

Oj życie każdy ma swoje
Można go przyjąć jak leci
Lub odrzucić z rozmysłem
Ono i tak zrobi co zechce

Przykryłem go derką
Jak rączego rumaka
Zaśmiało się w oczy
Barwą łąkowych mleczy



Rys. I. Nyczaj

Poeta i historia

Spadają pomniki
Zmieniane imiona ulic
Politycy unoszą się ku niebu
skróceni o głowy

Tylko poeta
niezmiennie piszący o miłości
spowity w cień –
Bezpieczny kokon
w tajfunie
Historii

Oko w oko

Czyha
na każdym miejscu
i o każdym czasie
nawet łono matki
nie jest bezpiecznym gniazdem

cień jastrzębia
od kiefka
aż po dorodne drzewo

I nie pomogą grymasy
i maski na twarz

A kiedy staniemy oko w oko
tylko czyste ręce
tarczą

Zaduszki

Poległym

Jak wskrzesić tych, co są już oddechem
żółknących liści, krwawym płaczem słońca?
Już i wspomnienia zatarty czystą barwą,
jak tabliczki z nazwiskiem, które zjadła rdza.

Pałą się znicze w święto umarłych,
ich cienie idą szeregiem przez myśli,
ukwiecone dla nich, dzisiaj otwarte,
– ulice żyjących.

Okno

Szła wolno po wybrukowanej ulicy. Była blisko centrum. Jeszcze zakręć w lewo i prosto pod górę. Dojdzie. Musi dojść. Podróżna torba coraz bardziej jej ciążyła. Jest jeszcze słaba. Za dużo krwi z niej uszło. Nie zdawała sobie sprawy, że będzie jej aż tyle. Może powinna poprosić Beatę, aby jej pomogła, ale ta wariatka boi się krwi. Musiała radzić sobie sama. I teraz też.

Przystanęła. Delikatnie postawiła torbę na chodniku. Zajrzała do środka. Śpi. To dobrze. Żeby się tylko nie obudził, żeby wytrzymał jeszcze trochę. Że też musieli klasztor Klarysek postawić na najwyższym wzgórzu. I kościół. Chcieli, aby wszyscy ich widzieli z daleka. Niedowartościowani czy co?

To okno życia zrobiły przy jednej z głównych ulic, aby w razie czego łatwiej było złapać dziewczynę, która zostawi w nim swoje dziecko. Po co ta obłuda. Niby anonimowo przyjmuje się niechciane dzieci, a tak naprawdę chce się wszystko załatwić zgodnie z pojebanym prawem. Ale może jej się uda. Nikt oprócz Beaty nie wiedział, że jest w ciąży. Przydała się jej oponka na brzuchu i dodatkowe kilogramy. Nikt nie podejrzewał.

Przyciemnione latarnie rozświetlały ulice romantycznym półmrokiem. Akurat na tyle, aby komuś w zęby dać i uciec nie będąc rozpoznany.

Skręciła w Kościelną i rozejrzała się, czy nikt za nią ani przed nią nie idzie. Ulica była pusta. Nikt w miasteczku o tej porze nie zapuszczał się na wzgórze. Puby znajdowały się bliżej jeziora i o tej porze nieliczni klienci dopijali ostatnie piwo. Z pewnością żaden z nich nie będzie szedł w górę, gdzie jest kościół Klarysek, a za nim miejski park, bo i po co.

Zrobiła kilka kroków i przystanęła. Torba z dzieckiem była coraz cięższa. Nie nabrała jeszcze sił po porodzie. Minęło tylko trzy dni.

Solidnie się do niego przygotowała. Obserwowała od dawna domki w ogródkach działkowych. Wiedziała, które są regularnie odwiedzane, a w których od dawna nikt nie był. Sprawdziła. Wybrała dobrze. Domek lekko zaniedbany, ale z wersalką, kiblem i wodą. Przyniosła trochę swoich rzeczy. Dla siebie i dla dziecka.

Postanowiła, że swojemu dziecku zapewni najlepszy byt, jaki potrafi w tej chwili mu dać. Zostawi go w oknie życia. Wiele jest bezdzietnych małżeństw, które ucieszą się, że dostaną bezimienne dziecko, do którego nikt nie będzie wnosił prawa. Będą go kochali, i, ma taką nadzieję, wychowają na dobrego człowieka.

Przystanęła, bo znowu poczuła, że ma nogi jak z waty i nie może dalej iść. Przykucnęła, a potem usiadła na chod-

niku opierając się plecami o nierówną elewację. Odsunęła suwak przy torbie i popatrzyła na dziecko. Piękne nie było, ale wiedziała, że żaden noworodek urodą nie grzeszy. Patrzyła na niego obojętnie. Niedługo spotka kogoś, kto będzie go kochał jak ona. Oddaje go, wyrzeka się go, bo bardzo go kocha. Jakie życie miałby z nią? Druga klasa liceum. Najlepsze stopnie z przedmiotów ścisłych. Wygrana w olimpiadzie matematycznej. Szansa, że wybierze najlepsze studia. Ojciec już rozmawiał ze swoim przyjacielem w Amsterdamie. Miejsce już teraz ma zaklepane. I co? Miałaby to wszystko zmarnować, bo na osiemnastce Żanety wypłała za dużo i było jej wszystko jedno, z kim jest w łazience. Zapamiętała tylko mokrą umywalkę, z której cały czas się ześlizgiwała. Potem leżała na łóżku i wymiotowała. Nie mogła znaleźć swoich majtek. Kto pomagał jej się ubrać? Nie wiedziała dokładnie. Mógł to być Dżerzi, ale również Hiro, którego nienawidziła. Chyba nie jego jest to dziecko?

Dziecko zaczęło się krzywić i przekręcać głowę z prawa na lewo, jakby czegoś szukało. Zrozumiała, jest głodne. Wyjęła je z torby i przystawiła do piersi. Natychmiast zaczęło ssać. Było to niemiłe uczucie. Wydawało się jej, że dziecko ma zęby i ją gryzie. Ostatni raz go karmi. Może dlatego sprawia jej ból. Podświadomie dociera do niego, że chce go zostawić i mści się na niej.

Dziecko ssało i przysypiało. „Cholera, nie może się od razu najeść. Nie ma czasu. Jeszcze ktoś ją zobaczy i koniec. Nie uda się”.

Dzwony na kościelnej wieży wybiły drugą. Wzdrygnęła się, a dziecko spało w najlepsze. Włożyła je znowu do torby. Jeszcze dwieście metrów i będzie przy oknie. Odsunie cicho szklane szyby, szybko wsunie torbę i ucieknie. Musi się udać. Słyszała, że kilku się udało. Może i jej nie złapią.

Nie spodziewała się, że jak odsunie szybę, odezwie się dzwonek. „A to porąbane świętoszki! Zastawiły pułapkę”. Nie miała czasu, aby dłużej się zastanawiać. Wstawiła torbę do okna i zaczęła uciekać. Była przerażona. Dzwonek wyprowadził ją z równowagi. Chciała biec szybciej, ale nogi jej się plątały, jakby ich miała tyle co stonoga, a nie dwie. Wreszcie dopadła do skrzyżowania w Wielkopolską. Zatrzymała się i zza węgła obserwowała klasztor. Okna życia nie było widać, ale wydawało jej się, że ciągle słyszy płacz dziecka. Zatkąła uszy palcami.

Nie pamięta, jak doszła do działek, odszukała „swój” domek i padła na łóżko. Była wykończona i głodna. Beata miała jej przynieść jedzenie, ale nie przyszła. Widocznie coś ją zatrzymało albo nie mogła się z domu wyrwać. Nie chciała zawracać sobie tym głowy. Zjadła suchą bułkę, popiła wodą mineralną i natychmiast zasnęła.

Wydawało się jej, że śpi kwadrans, najwyżej pół godziny. Ktoś natarczywie dobijał się do drzwi. „Przecież są otwarte. Nie muszą w nie tak walić”. Podniosła się

z wersalki, ale zachwiała się i musiała przytrzymać stolika, aby nie upaść.

— Co się dzieje? — spytała spod wólpzymkniętych powiek.

— To my pytamy, co się dzieje.

Otworzyła szerzej oczy i zobaczyła dwóch policjantów w czarnych uniformach i baseballówkach na głowie.

— Otrzymaliśmy doniesienie, że ktoś obcy tutaj się kręci. Uciekał z domu?

— Nie — odpowiedziała przeczesując rękami włosy.

— To co tutaj robisz?

— Po prostu wynajęłam ten domek na kilka dni. A co? Nie można?

— Z właścicielami to uzgodniłaś?

— No pewnie.

— A wiesz, kim są właściciele tej działki?

— Zenobia i Władysław Zalewscy.

— Ona kłamie — odezwał się ktoś z tyłu. Dopiero teraz dostrzegła starą kobietę, która usiłowała wepchnąć się pomiędzy policjantami i wejść do środka. — Dobrze znam państwa Adamczyków. To ich działka. Ostatnio nie przychodzą, bo pan Marian dostał wylewu i jeszcze nie doszedł do siebie.

— Jest pani tego pewna?

— Najzupełniej — oburzyła się kobieta. — Ta tutaj grubaska jest od kilku dni, ale też przychodziła tutaj druga z włosami do pasa. Myślałam, że to znajome państwa Adamczyków, ale jak nic na działce nie robiły, tylko siedziały w domku, pomyślałam, że to jakieś narkomanki i zadzwoniłam.

— Nie biorę narkotyków.

— Tak zawsze się mówi — kobieta przesunęła się w przód i spojrzała z naganą na Dagmarę.

— Zabieramy cię na przesłuchanie.

— Ale ja nic nie zrobiłam.

— Ubieraj się. Powiadomimy rodziców. Jesteś pełnoletnia?

— No pewnie — prychnęła niczym kotka. — Rodziców już nie obowiązuje prawo pilnowania mnie. Mam osiemnaście lat. Mogę robić, co mi się podoba.

— I wlatywać się do domków w ogródkach działkowych?

— A mogłabym tu trochę posprzątać? — spytała ciszej — spakować swoje rzeczy.

— Ubieraj się — powtórzył. — Po przesłuchaniu przyjdziemy tu z tobą i zabierzesz co twoje. Musimy sprawdzić, czy tu nie było jakiejś meliny.

„Znaczy się wpadłam — pomyślała zaciskając zęby. — Beata zaważyła. Mówiłam jej, żeby wyniosła worek z zakrwawionymi rzeczami, a ona się brzydziła. Powiedziała, że jak się dziecka pozbędę, sama to zrobię. — Worek stał wciśnięty w gałęzie głogu. Może na zewnątrz nie będą sprawdzać”.

Dobrze wszystko zaplanowała. Siedziała długo przy komputerze i wszystkiego się dowiedziała. Nawet jakaś połoźna włączyła się na czacie i sporo się o niej dowiedziała. Chyba

nawet ją polubiła, bo gdyby bliżej mieszkała, pomogłaby jej urodzić. Wiedziała, że musi zatrzeć za sobą ślady. Kupiła ze dwadzieścia ręczników w Chińczyków. Folią owinęła wersalkę, aby nawet kropla krwi jej nie pobrudziła. Nawet zużyte pieluchy jednorazowe spakowała do worka. Gdyby Beata wczoraj przyszła, zmusiłaby ją, aby go zabrała.

Nie odpowiadała na pytania policjantów, którzy przesłuchanie zaczęli już w samochodzie. Wie, że to nielegalne, ale wydawało się im, że jak od razu przyduszą małą, to wszystko im wyśpiewa.

W komendzie zostawili ją samą w pokoju i przekręcili zamek w drzwiach. Siedziała chyba przez trzy godziny, po wejściu nie spoglądała na zegarek i potem nie wiedziała, jak długo tu jest. Wiedziała, że takie procedury stosuje policja, aby zatrzymanemu puściły nerwy. Nie z nią te numery. Ona tak łatwo się nie ugnie. Żeby tylko nie znaleźli worka. Nie raz się słyszy, że policja dokonała przeszukania byle jak.

W końcu drzwi się otworzyły i zajął ten sam policjant, który eskortował ją na komendę:

– Jesteś głodna? Przyniosę ci coś do jedzenia. Co chcesz? Kanapek od mamusi ci nie dostarczę, ale może być coś z McDonalda.

– Wszystko mi jedno. Nie dajcie mi zjeść śniadania. Muszę napić się kawy.

– OK. Wszystko ci dostarczymy.

– Kiedy zaczniecie mnie przesłuchiwać?

– Poczekaj jeszcze trochę. Mamy mnóstwo roboty. Wszyscy muszą czekać.

Po piętnastu minutach zjawił się ponownie. Miał w firmowej torbie McDonalda hamburgera, frytki z ketchupem i w niewielkim papierowym pojemniku kawę. Aromat parzonej kawy doleciał najszybciej do jej nozdrzy i z zadowoleniem pociągnęła nosem.

– Wszystko jak trzeba załatwiłem? – spytał nie czekając odpowiedzi, bo zaraz powiedział takim tonem, jakby Dagmarze współczuł: – Już wiemy. Przeszukaliśmy domek na działce i... – specjalnie zawiesił głos – ... znaleźliśmy worek ukryty w krzakach. Lepiej dla ciebie będzie, jak się od razu przyznasz. Co zrobiłaś z dzieckiem?

– O żadnym dziecku nic nie wiem. Jeszcze raz powtarzam, poszłam na działki, bo mam dość rodziców. Chciałam przez kilka dni od nich odpocząć. Rozwiedli się ze cztery lata temu, a ojciec, jak trochę popije, przychodzi do nas i robi awantury. Raz całuje matkę po rękach i mówi, że nikogo na świecie nie kocha, tak jak ją, a innym razem robi awantury. Pieprzony prezes. – Spuściła oczy, jakby to wyznanie dużo ją kosztowało.

– Dlaczego nie chodzisz do szkoły?

– Nie chodzę? – zdziwiła się. – Opuściłam tylko dzisiejsze lekcje, bo mnie zatrzymaliście. Więcej nieobecności nie mam. Był długi weekend.

– Tak... – policjant podrapał się po głowie. – A co powiesz o zakrwawionych ręcznikach w worku i zafajdanych pieluchach. Według ciebie to nie twoje rzeczy?

– Niestety, nie moje. Ktoś je musiał podrzucić, a mnie się obrywa. – Odpowiadała na pytania z taką precyzją i bez cienie emocji, że młodszy aspirant łapał się na tym, iż zaczął jej wierzyć.

– Pojedziemy do szpitala. Musi cię przebadać lekarz, aby stwierdzić, czy rzeczywiście nie urodziłaś dziecka.

I stało się to, czego najbardziej się obawiała. Policji można wciskać niestworzone rzeczy, ale lekarz... Z nim nie wygra. Wiedziała to od razu.

Lekarz wyszedł razem z nią na korytarz i powiedział głośno do policjantów:

– Dagmara Stańczak trzy dni temu urodziła dziecko. Najprawdopodobniej sama. Nie mogę stwierdzić, czy był to żywy noworodek czy nie.

Powiedział to tak głośno, że parę osób stojących przy rejestracji odwróciło się. Z daleka dostrzegła biegnącą matkę. Ręce miała rozłożone, jakby kogoś chciała złapać albo nie mogła utrzymać równowagi. Przypominała jej Spidermana. Nawet miała płaszcz w takim samym kolorze.

– Coś ty najlepszego zrobiła! – krzyknęła tak głośno, że mury szpitala odbiły kilkakrotnie słowo „zrobiła, robił, biła”. – Ukrywałaś przed nami, że jesteś w ciąży. Ty zdiro!

Dagmara instynktownie cofnęła się i przywarła do ściany. Tego jej brakowało. Rozhisteryzowanej matki. „A gdzie tatuś? On też jest potrzebny, aby oboje mnie zlinczowali”.

Policjant zachował zimną krew. Widocznie nie raz widział rozwścieczone mamuski, bo zasłonił Dagmarę i nie pozwolił matce zbliżyć się do niej.

– Radzę, żeby się pani uspokoiła. Córka jest zatrzymana i my odpowiadamy za jej bezpieczeństwo.

– Gdybym ją sprąła, zaraz by powiedziała, co zrobiła z dzieckiem – powiedziała ciszej nie spuszczając wzroku z Dagmary. – Morderczyni. Matko Boska Przenajświętsza. Moja córka! Moja córka! Taki wstyd!

– Proszę usiąść i się uspokoić. Zabieramy pani córkę na Kruszelnickiego. Jeśli pani chce się czegoś dowiedzieć, proszę tam zadzwonić za jakiś czas.

– Samą ją nie zostawię. Pojadę z wami.

– Niestety, nie może pani. Przepisy na to nie zezwalają. Córka jest dorosła i będzie przesłuchiwana bez pani udziału.

Dagmara znalazła się znowu w tym samym pokoju, w którym zamknięto ją rano, ale tym razem nie kazali jej czekać. Wraz z nią wszedł policjant, który towarzyszył jej w szpitalu.

– Teraz chyba nie będziesz się wypierać. Gdzie jest dziecko?

Nie odpowiedziała.

– Twoje milczenie nic nie da. Wcześniej czy później je znajdziemy. Przyznasz się, oszczędzisz pracy wielu osobom.

Gdzie je zakopałaś? A może jest w śmietniku. Ostatnio stało się to niemal modne. Uczennica rodzi dziecko i się go...

– Neeeeee! – krzyknęła tak głośno, że nagle poczuła, jakby krtań przerzynało jej jakieś ostre narzędzie. Zakrztuściła się i zaczęła kasłać.

– Napij się – policjant podsunął jej szklankę z wodą. – W takim razie powiedz, co zrobiłaś z dzieckiem.

Znowu nie odpowiedziała.

Cały plan, jaki obmyśliła, zawalił się. Chciała urodzić to dziecko, nie wyobrażała sobie, że może je usunąć. Nie dlatego, że kościół tak mówił. To była jej prywatna decyzja. Urodzi. Odda komuś, kto nie może mieć swoich dzieci. Czy ksiądz nie mówi, że wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami? Przyjmując jego słowa za prawdę, nie ma znaczenia, że jej dziecko nie wychowa biologiczna matka, tylko taka, która go pragnie, a nie może urodzić. Jej syn będzie kochany. Wychowają go na dobrego człowieka, a ona kiedyś w przyszłości zapomni o tym, co jej się przydarzyło. Skąd mogła wiedzieć, że prezerwatywa pęknie. Taki szajs produkują.

– No i co? Namysliłaś się? Powiesz, co się stało z dzieckiem?

W tym momencie drzwi się otworzyły. Do pokoju wszedł drugi policjant i szepnął coś do ucha przesłuchującego.

Została sama. Zastanawiała się, czy się przyznać. Wtedy jej plany legną w gruzach. Będą ją namawiać, żeby dziecko zatrzymała, a ona dla swojego synka miała inny plan. Na pewno lepszy od tego, gdyby z nią został.

Po pół godzinie wszedł ten sam policjant, który ją przesłuchiwał i położył przed nią cztery niezbyt wyraźne zdjęcia.

– Poznajesz siebie? – spytał krótko.

Na zdjęciach była ona, kiedy po raz ostatni karmiła dziecko. Nie miała pojęcia, że przystanęła akurat naprzeciwko kamery zamontowanej na ulicy.

– Czy to ty? – powtórzył.

– Ja – zwiesiła głowę.

– Co było dalej?

– Zostałam dziecko w oknie życia. Czy nie tak powinienam postąpić? – podniosła głowę i spojrzała hardo na policjanta. – Co innego mi zostało? Wychowywać dziecko na rok przed maturą. Jakie ja mu życie mogłabym dać? Uczennica. Bez pieniędzy. Mieszkająca tylko z matką.

– A ojciec dziecka?

– Niech pan nie będzie śmieszny. To był typowy wypadek. Nie pamiętam, jak kolo miał na imię. Prezerwatywa była do dupy. Koncern produkujący takie badziewie powinien pozwać o alimenty. Tylko że musiałabym mieć miliony, aby z nimi wygrać. A gdybym je miała, swoje dziecko wychowałabym na królewicza. Wspaniała szkoła, wspaniałe wykształcenie. Za pieniądze mógłby nawet Harvard skończyć, a wcześniej ja. O czym my mówimy. Najlepsze, co mogę mu dać, to rodzinę, która pragnie dziecka i moje czy swoje będzie kochać. – Zwiesiła głowę – I wszystko żęście

zepsuli. Teraz będzie zajebista afera. Pochwalicie się prasie i telewizji skutecznością. Pokażą mnie jako wyrodną matkę, a ja chciałam jak najlepiej dla swojego dziecka.

– Nie martw się – chciał poklepać ją po ramieniu, ale cofnął rękę. – Pojedziemy do klasztoru. Oficjalnie złożysz zerzeczenie się dziecka i będziesz wolna.

– A moja matka? O niej pan nie pomyślał. A siostrunie? Będą mi wmawiać, że powinienam dziecko zatrzymać, nie oddawać do adopcji. Nie da się tego ukryć. Całe miasto będzie o tym mówić. Przecież tu się nic nie dzieje, więc jak uczennica z liceum, najlepsza uczennica w klasie, urodziła dziecko, to trzeba o tym mówić co najmniej miesiąc. Wszyscy będą mnie oceniać. Jestem wyrodną matką, bo oddałam dziecko do adopcji. Czy nie tak to wszystko będzie wyglądać?

Wyszli z pokoju. Kątem oka dostrzegła matkę. Zerwała się z miejsca i krzyknęła za nią: – Dagmara!

Nie odwróciła się. Wiedziała, że policjanci powiedzą jej, że nie jest dzieciobójczynią, ale dziecko zostawiła u Klarysek.

Nie pomyliła się. Nie skończyli jeszcze rozmowy z siostrą przełożoną, gdy do klasztoru wtargnęła jej matka.

– Dagusiu! Nie możesz dziecka oddawać byle komu. Może ci ludzie będą się nad nim znęcać. Zabierz go. Daj go mnie. Wychowam go. Zobaczysz. Jeszcze kiedyś mi podziękujesz.

– To moje dziecko – warknęła odwracając się do niej. – Zrobię to, co uważam za słuszne, a ty mi w niczym nie przeszkodzisz. Wystarczy, że moje życie zamieniłaś z ojcem w piekło. Swojego dziecka nie dam zmarnować.

– Zastanów się, co robisz. Proszę cię.

– Gdzie są te papiery, podpiszę je. Wierzę, że siostry będą miały wpływ na adopcję. Powierzą mojego syna komuś, kto naprawdę na niego zasługuje.

Irena Paździerz



Grafika Moniki Mazur

Uciezka

(Fragment opowiadania *Świętokrzyska kropla szczęścia*)

– Kim jest ta kobieta? Nie mówi gwarą – zwróciłam się do medyka, patrząc ze zdumieniem na choć jeszcze młodą, to bezzębną wieśniaczkę.

Siedziała wyprostowana w zniszczonej, starej bluzce i spódnicy podobnej do stroju pani Marianny. Regularne rysy ogorzałej twarzy i blond włosy z tyłu głowy splecione w warkocz, wskazywały na pokrewieństwo z moim towarzyszem.

– Jest po małej maturze w liceum Żeromskiego, tu, w Kielcach. Rzeczywiście uzdolniona. Píše bardzo piękne pamiętniki. To moja starsza siostra, Hela. A Stefek to nasz brat, inżynier rolnik. Mieszka w Warszawie – prawie szepcząc odpowiedział i rozejrzawszy się, spytał:

– A jedzenie to jakieś macie?

– Bedzie, bedzie. Zbysiu ryby łowi, a Zosia już wodę wazy – odpowiedziała Pani Marianna.

– Ryby? A jest tu rzeka? – zapytałam pana Jacentego.

– Iii... Cymu mo nie być, ino to je potoczek jaki abo strumyk. Pod chałupą zaro, kej dzewa widać – odpowiedział gospodarz.

Teraz już wiedziałam, co tak tajemniczo szemrało za rzędem drzew. Strumyk. Biegący obok blondynek krzyknął:

– Rybów nie befo! Moze kej nie kej befy, ale casu nie befo. Som raki!

Po chwili wielkie wiadro, wypełnione po sam czubek parującym wrzątkiem i rakami, znalazło się obok Pana Jacentego.

Pan Jacenty z wprawą precedzał raki i gorące wrzucał do dużej glinianej misy, usadowionej na środku stołu. Pani Marianna kroić na skos duże pajdy chleba i kładła do drugiej misy. Zapanowało ogólne poruszenie, ale nikt nie rzucił się do jedzenia pierwszy. Czekali na mnie. Nigdy dotąd nie jadłam raków. Nie wiedziałam, co zrobić. Moje zmieszanie było widoczne:

– No, pokaz panince jak ma robić – zwrócił się do medyka ojciec, a ja poczułam przyptyw sympatii do pana Jacentego. Zresztą polubiłam go od początku.

– A może pan mi pokaże – poprosiłam.

– Iii – zmieszał się i popatrzył na mnie.

– Proszę! Proszę, niech pan mi pokaże – kietowałam.

Pan Jacenty sprawnie ująwszy w palce gorącego różowego stworka, zaczął z pomocą jedynego na stole dość sfatygowanego aluminiowego widelca wydobywać ze środka białą bryłkę rakowego mięska i podawszy mi, polecił biesiadnikom:

– Jedzta juz, bo zimne bedom.

Zaczął się regularne pospolite ruszenie paruanastu rąk biegle pędzących do cedzaka z rakami. Ten zaś zanurzał się w wiadrze po wciąż nowe porcje tych wspaniałości. Przestałam się brzydzić i pałaszowałam raki razem z wszystkimi, aż do ujrzenia dna.

Była to swoista uczta, bez odrobiny alkoholu, gdyż medyk na wstępie zakomunikował, że jego narzeczona jest prawdziwą abstynentką. Poza rakami, chlebem i koszem wiśni, nie było nic. Zajadałam się: w prostych warunkach, ale pośród cudownie ciepłych, pogodnych ludzi. Były przyśpiewki i żarty, co więcej: nikt nikogo nie obrażał, nie dokuczył nawet. Zdziwiająco, bo uczta była długa i okazje do różnych nastrojów się trafiały także. Wzajemne docinki biesiadnicy kwitowali nieprzeciętnymi ripostami: pełnymi humoru i aluzji, trafnymi i dobrotliwymi, co z kolei wywoływało huczne salwy śmiechu, niesione echem gdzieś hen, dalej. Może przez pole pana Jacentego, pełne krasnych maków i kākoli, a odbite o ściany starego, niewiele różniącego się od chat chłopskich dworku w Ciekotach, wracało do moich uszu przed zaśnięciem.

Pożegnaniem „Z Bogiem dzieci, dobranoc”, pani Marianna zakończyła biesiadowanie. Wkrótce znalazłam się w jednej z dwu izb, w starym małżeńskim łóżu, na wypchanym słomą sienniku, okryta pierzyną powleczoną w pościel pachnącą łąką i wiatrem. „Gdzie śpią pozostali? Tak ich przecież dużo, a oddali mi do dyspozycji jedyną izbę do spania? Bardzo biedni, ale jak pogodni i inteligentni, co za bystrość umysłu i znakomite poczucie humoru. Żeromski wiedział, co mówi – Jacenty przekazał tej zdziwiającej rodzinie dobre geny”, myślałam zasypiając.

Świt jeszcze nie rozgościł się na dobre, a mnie z pięknego snu wyrwały jakieś chrobotania przemieszczające się z miejsca na miejsce. Zaczęłam się więc wsłuchiwać, myśląc że to przygotowania do obrządzania domowych zwierząt, które czekają cierpliwie w obórce. Leniwie się przeciągnawszy, chciałam wykonać „przewrót na drugi bok”, gdy wtem, nad samą moją głową, w ścianie – usłyszałam jakiś przeraźliwie brzmiący pisk dyszkantem, nie do powtórzenia.

Usiadłam. Spojrzałam w stronę odgłosów. Między dwoma belkami nad moją głową: gniazdo obrzydliwie gołych myszy.

Znieruchomiałam. Głos zastygł mi w krtani. Nie mogłam z siebie wykrztusić słów: „Ratunku, nie! Ratunku, ja nie chcę!”.

Krzyczałam głośno, cała drżąc ze strachu, ale nikt nie przyszedł mi z pomocą. Nie mógł. Nikt nie usłyszał głosu grzęznącego głęboko w tchawicy.

Dalej na wprost sztywna, wstałam po cichutku i stojąc w tym samym miejscu, zaczęłam sięgać po kolejne części garderoby. Ubrana, błyskawicznie złapałam torebkę i podróżny neseser, po czym wciąż struchlała, skierowałam się do drzwi. Nie zaskrzyphiały, kiedy je otwierałam. Teraz, przeskakując zgrabnie smacznie śpiącą na podłodze rodzinę, uciekałam przez otwarte na oścież drzwi wyjściowe z gościnnego domu.

Biegłam, nawet nie zauważywszy porannej rosy. Chłód jej kropelek powoli mnie otrzeźwiał. Wrócił rozum. Nauczona wczorajszym doświadczeniem zdjęłam szpileczki i pończochy, podwinęłam wysoko spódnicę i przez nikogo nieścigana wolno szłam do przystanku autobusowego, tym razem zgrabnie omijając osty i pokrzywy.

Miałam dużo czasu. Nie chciałam myśleć o tym, co się będzie działo w rodzinnym domu medyka po odkryciu mojej nieobecności.

„Taki afront temu porywaczowi nie zaszkodzi. Nie powinien mnie zaskakiwać takimi żartami, nikczemnie okłamując swoją rodzinę. Żal mi jednak pana Jacentego. On uwierzył w sztuczki swojego synalka, a do tego mnie polubił”, deliberałam, wolno pokonując zachwaszczoną miedzę.

„Jeśli medyk przyzna się rodzinie do kłamstw, to wyjaśni moją ucieczkę, bo przecież o nie-szczęsnym incydencie z myszami nie wiedzą. Mnie wybaczą, a on będzie miał nauczkę na całe życie”, pocieszałam się, pomału żegnając najcudowniejszy i najnaturalniejszy zakątek szczęścia na ziemi.

Jaskrawo świecące słońce mocno nagrzewało łąkę. Była już prawie sucha. Zboczyłam z miedzy i weszłam między miękko poddające się kłosa traw i kolorowe kwiaty. Które zerwać i zachować na pamiątkę niespodziewanie przeżytych emocji? Które z nich zasługują na honor powierzenia i zasuszenia w ich niezwykłych ciałach moich tajemniczych myśli, wyobrażeń i wzruszeń wywołanych przypadkową tu obecnością, wypełnioną szczęściem tak krótkotrwałym? Które?

Przede mną morze kwiatowych główek, falujące kolorami i aromatem. Odurzają zapachem złociste podbiały, a fioletowe dzwonki kokietują krojem kielichów. Różowość firletek miesza się z barwą stokrotek. Intryguje swymi nakrapianymi, dziurkowanymi liśćmi, barwą i intensywnością pięknej woni, najczęściej po drodze widziany dziurawiec, zwany świętojańskim ziele. Spośród wysokich traw się wychylają główki różnobarwnych astrów i białych pachnących krwawników, a rzucająca się w oczy czerwoność maków polnych króluje tu swą ostrością barwy.

Jakież one wszystkie piękne!

Zerwałam po jednym z każdego gatunku. W maleńkim bukietiku pachniały w mojej torebce przez całą drogę do każdej z cioć, budząc niezwykłością zapachu zainteresowanie współpasażerów. Pachniały nawet pięć lat później, kiedy to zawieszona nad łóżeczkiem dziecięcym witały swym delikatnym zapachem moje największe, do dziś trwające szczęście, nowo narodzonego synka – Mieszka Michała – owoc małżeństwa z owym arcyciekawym medykiem, późniejszym specjalistą chirurgiem i doktorem nauk medycznych.

Niedawno, przebywając na plenerze literackim, zorganizowanym na Ziemi Świętokrzyskiej, w przeuroczym Staszowie, odwiedziłam grób rodzinny pana Jacentego. Wśród wielu pochowanych tu członków tej miłej rodziny jest także ów medyk, który wiele lat temu powiedział swojej rodzinie: „Ona będzie moją żoną, innej nie będzie”. Dotrzymał słowa. Zabrał je tu razem z zapachem owego bukietiku, wypełnionego moim dawnym, króciutkim szczęściem, spowodowanym przez jednego z synów tej nieodtworzalnie pięknej kieleckiej ziemi.

Pamięci mojego męża, Mieczysława –

Aleksandra z Robakowskich Petrusiewicz

Sierpień 2013

Mój poetycki tysiącletni kręgosłup duchowy

Na Święty Krzyż wspinam się jako połączenie eremity, legendarnego pielgrzyma – Emeryka i świętego Emeryka, który podarował klasztorowi na Łyścu Czcigodne Relikwie Drzewa Krzyża Świętego.

Słupkami wierszy rozgrzebuje świętą górę w poszukiwaniu korzeni literackich regionu anonimowych autorów pieśni łysogórskich. W załomach gołoborzy poszukuję prawiecznego lelenia – ducha łysogórskiej ziemi, który nawrócił się na jelenia – anioła świętokrzyskiego. Odkrywam, że *Kazania świętokrzyskie* i *Lament świętokrzyski* kilka wieków po ukrzyżowania Boga są takie współczesne i takie dzisiejsze... Wreszcie odwiedzam świętokrzyskie kazamaty, z których do historii literatury pukał Sergiusz Piasecki – kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy, dźwigający swój rodzinny krzyż prawosławny, więzienny krzyż, Święty Krzyż.

Jako poeta-pielgrzym wspinam się na Święty Krzyż – mój tysiącletni kręgosłup i mam nieodparte wrażenie, że rośnie we mnie mnóstwo tutejszych drzew. Cała niegdysiejsza ogromna prawieczna puszcza świętokrzyska. Ten wiekowy Święty Krzyż rozciąga się od nasady moich pleców aż po podstawę czaszki. To ten ponadtysiącletni kręgosłup, którego tak na dobrą sprawę nawet nie znam, kieruje ruchami mojego ciała. To on przekazuje polecenia, które staram się wydawać swoim stopom i nogom, by właśnie szły w wyznaczonym kierunku, by uczestniczyć w tej samotnej, mojej codziennej – milenijnej pielgrzymce.

O! Jak trudno jest dźwignąć zniechęcone bólem licznych cięć operacyjnych ciało, które pozbawione zwinności, ciężkie i bezwładne buntuje się przeciwko takim poleceniom. O! Jakże trudno dźwigać poharataną bliznami grzechów duszę. Muszę dodać, że wyrosły we mnie także wiekowe świętokrzyskie drzewa odporne na bóle lędźwiowe, kręgosłupowych, no i tego krzyża, który muszę dźwigać. Czasami udaje mi się go rozprostować.

Dlaczego się tu wspinam? Czy w ten sposób pragnę odkryć swoją duszę? Czy tylko chodzi o własną duszę? Chodzi oczywiście także o duszę tego regionu, tego mistycznego miejsca, czy jak chcą inni, magicznego krajobrazu z całą jego historią i dramatem. Pragnę pomiędzy jodłami tworzącymi ośnoję lasu odkryć tu i ówdzie drzewa, które rosną w nas: rozłożyste buki, klony i jawory, a nawet rzadki dziś, a pospolity dawniej modrzew...

Pragnę pomiędzy tymi olbrzymami leśnymi odkryć podścielisko moich przemyśleń, mojej kontemplacji, czyli miękkie mchy, rozłożyste paprocie, szałwie, konwalie i trzmieliny. Pragnę zadurzyć się w kępach kwitnących róż polnych, otrzeć się o tarninę. Ja tu byłem przecież zawsze. Takie wrażenie nieodparcie pojawia się, gdy tak patrzę na ten kamieniogrzmot, spływający od strony klasztoru prosto do mojego serca.

Pielgrzymuję krokiem wijących się pod stopami rozłożystych paproci, szałwi, konwalii, trzmielin i mchów wydeptanymi przez wieki szlakami. Tu w świętokrzyskim krajobrazie próbuję poukładać sobie teorię i mistykę własnego życia.

Tu na prawiecznej świętej górze chodzi mi przede wszystkim o oczyszczenia siebie z dotychczasowego grzesznego siebie samego. Bo gdy się jest na takiej Górze, koniecznie musi pielgrzymowi duchowemu o coś chodzić. Choćby o zapoczątkowanie zmieniania siebie.

[...]

Wspinam się tu z nadzieją i głęboką wiarą, że uzyskam zupełny odpust swoich grzechów. Zpełny odpust dotychczasowego życia. Tak postanowił bowiem papież Benedykt XVI, że w milenijnym roku taki odpust można uzyskać właśnie tu, na Świętym Krzyżu. [...]

Wymawiam, zatem słowa swoich wierszy, będących modlitwami. Słowo po słowie z wiarą, że w ten sposób ma ona wpływ na zmianę mojego życia. Ale co z tego, że się przekształcę w anioła, gdy otaczających ludzi będzie to drażnić. A nawet już drażni... No właśnie, co środowisko moje na to? Wiem jedno, że nie jestem w stanie zmienić ludzi, wśród których żyję i pracuję, i zmagam się sam ze sobą. Nie jestem w stanie ich zmienić, a nawet nie mam prawa tego czynić. Nie chcę bowiem być dewotem, bigotem, hipokrytą, obłudnikiem, który swoim różańcem pragnie wyrządzić krzywdę innym. Nie wolno przecież wzywać Pana Boga nadaremno. Mogę jednak zmieniać warunki, w jakich żyję. I uczynić wszystko, co tylko mogę uczynić, na co mi pozwalają inni.

Odruchowo powtarzam słowa postanowienia i patrzę jednak przenikliwie na to gołoborze obramowane od góry z boków i od dołu zwartym lasem, niegdyś borem, podszytym wijącą się czernicą. Jarzębiny czerwone wyrwyją się z lasu

na wyścigi, by wdzierać się w to kamienne oczko niewodne. Ten niezliczony kamień na kamieniu i „na kamieniu jeszcze jeden kamień”, jak w tytule powieści u Wiesława Myślińskiego, to prawdziwe tajemnice prawiecznej duszy. Pojawiają się natchnionych myśli, jak większe i mniejsze ostrokan-ciaste głązy pokrywające pozbawioną drzew nagłą przestrzeń. Spiętrzają się głązy jeden na drugim. Spiętrzają się myśli jedna na drugiej. Przyodziane są gdzieś tam skąpo porostami, które skradają się w kierunku lasu, pełząc całymi latami po ich chropowatej powierzchni. Czasami wśród nich, jak żagle samotne, pojawiają się trójkątne liście paproci. Wszystko tak płynie w kierunku lasu, by tu kamienie mogły się przyoblec w mech, a nawet w paprotkę i rozchodnik wielki.

A ja jestem jednym z tych prawiecznych i tajemniczych kamieni. Istne gołoborze myśli ogarnęło mnie całego. Wspinam się jednak wyżej. Czego ja tu szukam? Na co liczę? Na zdjęcie ze swoich pleców własnego krzyża na Świętym Krzyżu? [...]

Teraz utkwitem w ziemię pod stopami wzrok i pilnie wyszukuję wzrokiem właśnie może tej stalówki, którą przed wojną znalazł przemysłnik Sergiusz Piasecki i z więźnia awansował na pisarza. Wypatruję, zatem pod stopami tego czegoś niepozornego, prawie niezauważalnego, ale jakże ważnego... Takiej własnej, ukrytej gdzieś w szczelinach kamiennych, myśli będącej jak właśnie ta wyżej wspomniana stalówka, którą pisał i relacjonował na chwałę Bożą i zbawienie swoje własne życie,

a za atrament służyła mu własna krew zmieszana ze śliną i popiołem.

Pielgrzymuję wraz z powyższymi przemyśleniami i wizjami nie tylko w dniu tak uroczystym, jak Jubileusz Tysiąclecia, choć tak naprawdę żaden poważny badacz dziejów nie zna daty początków tego niezwykłego sanktuarium. Ale ani ja, ani żaden z kilkudziesięciu tysięcy pielgrzymów tym się nie przejmuję. Cieszymy się, że Ojcowie Oblaci w końcu przyjęli oficjalną datę. I tego się trzymamy. Nie zmienia to, bowiem faktu, iż początki klasztoru sięgają początków państwowości polskiej i że ten ośrodek miał wówczas znaczenie duchowe, kulturotwórcze i gospodarcze.

Dla nas, dobrowolnych pielgrzymów, obchody tysiąclecia, czy wcześniejsze, czy też późniejsze, to w tej chwili wydarzenie o znaczeniu cywilizacyjnym i duchowym i historycznym, a przede wszystkim bardzo znaczące dla chrześcijaństwa polskiego i światowego.

Bywali tu przed wiekami królowie, i wielcy dostojnicy, i jak głosi wieść, a przede wszystkim legenda, wspinali się tu pieszo i w szatach pokutnych, prosząc Boga o pomoc w rozwiązywaniu trudnych spraw naszego Państwa. Relikwie Krzyża Świętego adorowali z pokorą i samotnie.

Rozmyślałam tak sam sobie samotnie ze świadomością, że po śmierci sążeni będziemy indywidualnie za naszą miłość, a właściwie brak miłości... A moja poezja to nic innego, jak miłość zaklęta w słowa!

Andrzej Piskulak



Świerk

Za tym oknem
obecnie świerk czubaty zamasyście
i zależy:
gdy powstaje on – maleje,
gdy się kładę nieba więcej mi przestania.
Od lat trzech w tym miejscu się znaczymy.

On wciąż rośnie i zielenią błękit rozgałęzia,
a na górze przyszłością szyski.

Patrzę tam i obok,
czasem w obłok,
za malutka żeby dotknąć szczytu świerka.
Piszę
i on znika między sobą, mną, wyrazem i tobą.
Rozczapierzam gałązki?
Nie – palce:
łapię za słowo...

Muszę stwarzaniu
słowem zaufać:
nie osiągnę szyszek.

Hiroszima

Jest XXI wiek, a my wciąż mamy głowy
jak ze średniowiecznych portretów:
z ciekawością za drobne pieniądze oglądamy
[egzekucje publiczne
aktorów na ekranach,
wciąż walczymy
z gripą (wojny niby daleko),
a namiętności można rozkiełznać w ramach
[programów TV,
choć kto dziś kojarzy co to jest kiełzno: żołnierze
[fruwają nie galopują.

Eatherly leciał i
powiedział:
„go ahead”.
Tylko.
Aż dwa słowa.
Dwa słowa wypaliły myśli, spopieliły twarze.
Umierali popromiennie.

Zwycięzcy nie rozumieli,
jak bardzo po-wiedział,
jak bardzo chciał być dla nich winnym.
Wypowiedzieć im człowieczeństwo.

Prowadzę jesienią

Sunę, snuję szarość szosy szeroką,
wzdłuż drzew już bezlistnych: kolorowych rytmem
[konarów,
rozproszona
w mglistej poświacie jesiennej.

Unoszą mnie fale radiowe:
odbieram zachłannie muzykę Chopina
jak okup za pobyt na ziemi.

Niesiona powietrzem w oponach,
rozedrgana membranami w uszach,
poza granice wzruszeń
i zapach róż w Nohant,
kołysana dążeniem,
widzę przeszłe pola i drzewa,
chmury wtedy rozwiane...
ukojona znikalnością poboczy
jestem zachwytem.

Muz oko – muzyko!



Dorota Kwoka z Utą Przyboś na malowidle 3-D w Krośnie

Haiku

Nieustraszona
gładko męża zwycięża
am-bitna żona

*

Bywa udręką
gdy baca kury maca
niewprawną ręką

*

Satyryk cięty
zaśpiewa czasem basem
aż pójdzie w pięty

*

Panienką jest wciąż
choć bogata w lata
pragnie wyjść za mąż

*

Pycha nas gubi
nawet pawia nie zbawia
nikt jej nie lubi

*

Nie trza nagonki
starczy sama reklama
do ich Biedronki

*

Rzadkością cnota
brał nas dziw skąd tyle dziw
już nie dziwota

*

Teść pszczoły chowa
gdy brak miódka w spodku to
żądli teściowa

*

Robota stoi
bo baca lecząc kaca
owiec nie doi

*

Nie lada gratka
gdy w pokoju w spokoju
kochasz bez świadka

*

Kto w gminie żyje
ten z gminem wódkę z winem
nagminnie pije

*

Kowalczyk jak chart
pędzi goni w sto koni

przykuta do nart

*

Roz-wódką chrzczony
wierny Franek kochanek
nie chce znać żony

*

Dziewki nie chciałem
choć śliczna apetyczna
bo kupczy ciałem

*

Zrobiły panie
po troszku choć bez proszku
publiczne pranie

*

Szukaj rozwiązań
taktownych polubownych
bez zobowiązań

*

Lubimy panny
łase gołe wesole
po wyjściu z wanny

*

Gdy czuję wenę
to w zapale się palę
i zwęglam tremę

*

Poza podwórzem
pies szczeka na człowieka
podszyty tchórzem

*

Chcąc mieć kontakty
artysta aktywista
maluje akty

*

Spięte mostami
brzegi rzeki na wieki
są sąsiadami

*

Pełen godności
bez kobiety niestety
codziennie pości

*

Myśl o pogrzebie
i Boga proś o litość
gdy chcesz być w niebie

*

Akt darowizny
gołe ale wesole
danie golizny

Meandry losu (Fragment powieści)

Samochód pędził z dużą prędkością po asfalcie i zbliżał się do celu podróży. Tylko duża spostrzegawczość sprawiła, że Jakub zdążył odczytać napis na tablicy informujący, że właśnie wjechał do miasta. Zwolnił. W czasie jazdy miał też czas przemyśleć to i owo, aby na miejscu mieć już gotowy plan działania. Ruch na szosie i w mieście jeszcze o tej porze w niedzielę był niewielki. Spojrzał na zegarek w tablicy rozdzielczej – dochodziła ósma, a on mijał już pierwsze zabudowania osiedlowe, kierując się prosto na południe, dokładnie na przeciwległy kraniec miasta. Teraz po 40 latach z pewnym niepokojem myślał o miejscu, które już dawno opuścił na dobre, a z którym łączyło go tak wiele wspomnień. Myśli jego dręczył jeden niewielki prozaiczny problem: czy aby trafi bez przeszkód na miejsce? Czy pozna po tylu latach. To było tak dawno – pomyślał i machinalnie zatrzymał się na świetle przed skrzyżowaniem. Przez chwilę wzrok jego spoczął na dobrze zapamiętanej wieży Bramy Krakowskiej. W promieniach bladego jeszcze słońca wydała mu się nieco mniejsza i bardziej podniszczona niż ta, którą zapamiętał.

Po zmianie światła ruszył raptownie przez skrzyżowanie i skręcił w prawo obok Katedry, kierując się na Bronowice i potem w stronę Majdanka. Po prawej mijał dawny kościół parafialny z wieżą w kształcie baszty.

Ostry pisk opon i samochód zatrzymał się na poboczu wąskiej asfaltowej szosy u celu podróży. Jakub zgasił silnik i powoli wysiadł z samochodu, na lekko uginających się nogach. Wzrok zatrzymał na niewielkim jednopiętrowym budynku, pokrytym szarobiałym tynkiem, stojącym kilkaset metrów od bramy głównej Obozu na Majdanku. Zachował się jeszcze w niezłym stanie – zauważył. Ogrodzenia już nie było ani żadnych śladów po drzewach owocowych i zabudowaniach gospodarczych. Dookoła pusta przestrzeń porośnięta trawą, żadnych śladów przeszłości.

Wolnym krokiem zbliżał się do budynku, jakby w obawie, że odżyją dawne wspomnienia, może nieco wygładzone przez upływający czas.

A jednak dotrzymałem słowa, że tu kiedyś powrócę – pomyślał. Kiedy był już pod drzwiami wejściowymi, ostrożnie wyciągnął rękę i nacisnął klamkę. Nic. Ponownie... i nic. Nacisnął mocniej i popchnął z całej siły, aż drzwi ustąpiły powoli odkrywając swoje wnętrze. Spojrzał w przód i wykonał nieporadny krok do wewnątrz. Poznał natychmiast korytarzyk i uchylone drzwi do kuchni. Wówczas poczuł, jak krew zaczyna mocniej pulsować w żyłach, poczuł ciepło na skroniach, a w uszy wdarł się ten sam dobrze zapamiętany głos Stasi:

– Jakubie, tyle razy prosiłam, abyś wreszcie poszedł spać. Jakby grochem o ścianę, w ogóle mnie nie słuchasz. Już bardzo późno, pora spać, już do łóżka – ponagliła.

– Tak, tak, już idę – i pędem pobiegłem do małego pokoiku. Po przebraniu w piżamę schowałem się pod pierzynę. Do moich uszu dobiegały odgłosy krzątania z kuchni i głosy rozmowy Stasi z Hieronimem. Najpierw słychać było skrzypnięcie drzwi, a następnie głos Stasi:

– Idę do komórki, zaraz wracam, podaj mi lampę.

– Zostawiłem na szafce w przedpokoju – powiedział Hieronim i poszedł po nią, a następnie zapalił zapalniczką. – Nafty wystarczy, dzisiaj dolewałem. Proszę – podał jej zapaloną lampę naftową.

Stasia wyszła zamykając za sobą drzwi. Założyła ten swój ulubiony ocieplany kubrak i...

Zaległa zupełna cisza, tylko smuga żółtawego światła sączyła się przez szparę przy podłodze, tworząc ciepłą plamę na deskach podłogowych i dodając więcej brązu do barwy ciemnego orzecha, na którą pomalowana była podłoga. Stasia szła z wiadrem paszy, aby obrządzić trzódkę chowaną na własne potrzeby – na czarną godzinę, jak lubiła często mawiać.

W pewnej chwili zauważyła, że drzwi wejściowe do małej komórki obok, które były zawsze zamykane na niewielką kłódkę, były tylko przymknięte. Czyżby Hieronim zapomniał je zamknąć w dzień? – rozejrzała się za kłódką. Ale jej nie znalazła. Pewnie gdzieś tu musi być, potem poszukam. Jak wrócę zapytam go, co się z nią stało – pomyślała.

Zdziwiona, przyświecając sobie lampą naftową weszła do środka. Postawiła wiadro na klepisku, wolną ręką odgarnęła ceratową zasłonę w wejściu do drugiej części komórki i zajrzała do środka. Oczom jej ukazał się niespodziewany i przerażający widok. W słabym świetle lampy naftowej zobaczyła wiszących trzech mężczyzn.

– O Jezu! – krzyknęła przerażona i głos jej ugrzązł w gardle. – Ratunku – powtórzyła nieprzytomna ze strachu i rzuciła się pędem w stronę domu. To nieprawda, ja chyba śnię – powtarzała w myślach. – To nie może być prawdą... – Wbiegła do domu blada, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Ostry dźwięk i głośny tupot nóg w przedpokoju wyrwał mnie z półsennej zamyślenia. Usłyszałem jej wołanie:

– Hieronim, o Boże! Chodź szybko! – wykrzykiwała nerwowo Stasia. Pospiesz się, chodź, chodź. To nie do wiary – powtarzała roztrzęsionym głosem. – Chodź, sam to zobacz, szybciej na litość boską, szybciej!

Słyszałem bieżący, odgłos kroków i zaniepokojony głos Hieronima:

– Co znowu, co się stało, mów szybko! Zaczekaj chwilę, zapalę drugą lampę.

– O Boże, o Jezusie! Nie mogę w to uwierzyć – na wpół szlochając Stasia wybiegła ponownie z domu, a za nią trzasnąwszy drzwiami Hieronim.

Zerwałem się na równe nogi i w kilka sekund stałem już przy uchylonych drzwiach od pokoiku, nasłuchując ciekawie odgłosów dochodzących od strony podwórza. Stasia w tym czasie poprowadziła Hieronima do komórki, żeby pokazać mu przerażające odkrycie. Zatrzymała się na moment stając bokiem, tak aby Hieronim mógł wejść pierwszy. On nagłym ruchem odsłonił wiszącą plandekę, która stanowiła rodzaj przesłony w wejściu do drugiej części komórki i po chwili stanął jak sparaliżowany. Na plecach poczuł lekki dotyk drżącej dłoni Stasi i zimne mrowienie. Niepewną ręką poświecił, przysunął bliżej lampę naftową i oniemiał z przerażenia. W słabym świetle lampy zobaczył, że na belce pod sklepieniem wisi trzech mężczyzn – za nogi, głowami w dół. Powieszono ich na rzemieniach podobnych do tych, jakie stosowane były przy uprzęży dla koni. Byli okrutnie pobici i już nie żyli. Na klepisku widniały zastygłe kałuże krwi. Ciała w pobrudzonych i podartych ubraniach zwisały bezwładnie, zeszywniałe i martwe już od co najmniej kilku godzin. Twarze mieli wykrzywione cierpieniem z zadawanego im przed śmiercią bólu. Dwaj z powieszonych, na wygląd nieco starsi, mieli poobcinane palce u obu dłoni. Ręce zwisały bezwładnie poza głowę, splecione w nadgarstkach sznurem.

Hieronim spojrzał w bok i dojrzał rozrzucone palce obok kałuży krwi. Miał wrażenie, jakby ktoś je celowo rozrzucił na klepisku. Ten widok był ponad jego siły. Mieli na sobie mundury, ale nie był wówczas w stanie rozróżnić jakie, tym bardziej że były częściowo podarte i niekompletne. W słabym świetle naftowej lampy widok był jeszcze bardziej koszmarny. Hieronim poczuł nagły skurcz żołądka i natychmiast odwrócił wzrok. Tej nocy napatrzył się na wiele ludzkich tragedii i widział też wiele pomordowanych ludzi. Ten widok jednak go zszokował i poczuł nagły, prawdziwy strach. Czuł zimne mrowienie na plecach i lekkie drżenie nóg. Strach.

– Co teraz zrobimy? – wyszeptał do stojącej obok i drżącej Stasi. – To jakiś senny koszmar, to nie może być prawda – powtarzał do siebie. – Nie mam głowy, co teraz można zrobić? – zwrócił się do Stasi.

– Zostawmy, chodźmy do domu. Może Niemcy obserwują? Jeszcze na nas spadnie jakieś nieszczęście – powiedziała.

Szybko oboje wycofali się z komórki i wyszli na zewnątrz, a Hieronim starannie przymknął drzwi, pozostawiając je bez klódki. Zresztą nie myślał teraz o klódce, lecz o tym, co potem może się zdarzyć i co dalej robić.

– Tylko nie mów co widzieliśmy Jakubowi i Zuzi – powiedziała Stasia wracając do domu. – Jeszcze się dzieciaki wystraszą... – dodała.

– Dobrze, Stasiu, staraj się opanować. Taka tragedia pod naszym dachem, to niesłychane. Jak mogli to zrobić i kiedy to się stało? – pytał głośno Hieronim. – Musiało się to wydarzyć po południu, kiedy byliśmy w mieście, aby zawieźć Jakuba na badania do przychodni na Morsztynowie – stwierdził.

– Tak, tak, nie było nas dobrych kilka godzin – powtórzyła półszeptem Stasia wbiegając do przedpokoju.

Ubrania wierzchnie zdjęli w pośpiechu i w milczeniu. Będąc już w domu, Stasia nie mogła przez jakiś czas dojść do siebie. Mówiła szeptem do Hieronima, przy tym strasznie jąkała się i nie mogła opanować drżenia rąk. Spojrzała machinalnie w moją stronę i pobladła jeszcze bardziej, widząc jak wpatruję się z pytającą i niepewną miną w ich oboje. – Jakubku – wykrztusiła słabym głosem – a ty co tak stoisz w kuchni? Jeszcze nie śpisz, kochanie? Idź już do pokoiku i połóż się, jest bardzo późno.

Spojrzała na zegar wiszący na ścianie. Wskazywał prawie północ. Głośno powiedziała zwracając się do nas:

– Tak, to już prawie północ, pora spać.

– Coś się stało? – wystraszonym głosem zapytałem Hieronima siedzącego na krześle przy oknie i równie jak Stasia zmienionego i pobladłego na twarzy.

– Nic, nic, jutro ci opowiem, a teraz zmykaj do łóżka – odpowiedział.

– Ja chyba tej nocy już nie zasnę – wyrwały się słowa z ust Stasi. Ale opanowując się, powoli wstała i odprowadziła mnie do pokoiku. Przytuliwszy dała buziaka na dobranoc i okryła pierzyną. Popatrzyła z czułością na śpiącą obok Zuzię. Wstając z klęczek wykonała ruch ręką, jakby ocierała łzy. Zapamiętałem dobrze ten moment i byłem pewien, że płakała. Wychodząc, cicho zamknęła za sobą drzwi.

Tej nocy oboje nie mogli zasnąć i długo jeszcze rozmawiali szeptem, próbując znaleźć jakieś wytłumaczenie tego, co widzieli i zastanawiając się, co czynić dalej.

– Zostawmy to do jutra – zaproponował Hieronim. – Postaraj się zasnąć – zwrócił się do Stasi. Sam nie wierzył w to, co mówił, bo jakoś i jemu nie było do spania. Jak sobie uzmysłowił, to ofiarami mogli być jeńcy wojenni lub złapani w pobliżu partyzanci. Zamordowali ich w zabudowaniach, z nami przecież nie musieli się liczyć – rozmyślał próbując znaleźć jakieś wytłumaczenie. Przez całą noc rodzice nie wychodzili już z domu. Nad ranem słyszeli odgłos kroków, szmery i rozmowy niemieckich żołnierzy. Podjechał jakiś samochód, usłyszeli głośną pracę silnika, domyślili się, że pewnie ciężarowy, obawiali się jednak podejść do okna i spojrzeć. Przyszło im na myśl, że w tej sytuacji najlepiej udawać, że nikogo w domu nie ma. Po jakimś czasie nastąpiła zupełna cisza. Około południa dopiero oboje postanowili

obejrzyć jeszcze raz to miejsce przy świetle dziennym. Kiedy ostrożnie zajrzeli do komórki, już nie zastali ciał zamordowanych mężczyzn. Ich zwłoki zostały wywiezione przez Niemców w nieznanne miejsce, a może nawet bezpośrednio do pobliskiego krematorium. Od rana trzech umundurowanych Niemców patrolowało ich posesję i rejon drogi. Ale do domu na szczęście nie weszli.

* * *

Niespodziewanie, wręcz natarczywie, jakiś męski głos wyrwał mnie nagle z głębokiego zamyślenia i przez krótki moment próbowałem przejść do rzeczywistości, uświadamiając sobie, gdzie obecnie jestem.

Nieznamy mężczyzna w umundurowaniu strażnika stał obok mnie i ze zdziwieniem na twarzy wpatrywał się uporczywie we mnie. Poczułem się niepewnie i nieco zażenowany.

— A co szanowny pan tutaj tak wypatruje? — usłyszałem jego donośny głos. — Czego pan tu szuka, tu zabronione wchodzić!

— Wszedłem na chwilę, po wspomnienia — odpowiedziałem. — Jestem przejazdem — wyjaśniałem dalej strażnikowi, kierując się jednocześnie do wyjścia. — Niczego tutaj nie ruszałem. O! takie sobie odwiedziny, by wspomnieć przeszłość — dodałem.

Strażnik nie ukrywał zdziwienia i jakby lekko zaskoczyła go moja odpowiedź. Był ubrany w mundur, jaki noszą pracownicy straży przemysłowej w dużych zakładach chronionych. Pewnie strażnik z Muzeum Majdanka — pomyślałem podchodząc do zaparkowanego samochodu.

Machnął niecierpliwie ręką, jakby chciał mnie odpędzić stąd jak najdalej. Siedząc już w samochodzie, powiedziałem przez okno głośno w jego stronę, tak żeby usłyszał:

— Dawno temu mieszkałem tutaj z rodziną. To miejsce widziało już niejedno — dodałem. — Dla mnie ten dom, bardzo cenny, jest jak pomnik przeszłości. Dobrze, że jeszcze tu stoi, pewnie kiedyś go rozbiorą. Do widzenia!

— Do widzenia panu — odpowiedział.

Samochód ruszył, a ja przez lusterko wsteczne widziałem zdziwioną minę strażnika, który jeszcze długo stał na poboczu, patrząc za oddalającym się w stronę głównej szosy autem. Musiałem wracać.

Jan Rychner

Barbara Maria Sierakowska

Jeszcze nie wiem

I kamień by skruszał od soli też
I lodowiec by stopniał,
Super Nowa by się zrodziła w eksplozji
Żarliwych błagań...

I co?

Nic się nie zmieniło

Ha ha ha

On to wciąż parias

Na marginesie tekstu życiem pisanego

He he

Samotny niezidentyfikowany obiekt...

Ludzkie Ufo, starością zdeformowane

Hi hi hi

Wszyscy mu robią łaskę

Dają jałmużnę swego czasu

Drogocennego... Bo w telewizji serial

Ważny mecz, randka, pora drzemki

Ja też nie zawsze mam czas,

Dla niego

Nie zawsze... Bo niedomyty, bo zapomniał

Gdzie jest... Bo taki powolny...

Ja tylko

Jeszcze nie wiem

Gdzie we mnie, w nich...

Homo sapiens

Na obraz i podobieństwo stworzony?...

Kielce, 29 kwietnia 2011

Z cyklu: Naigrawaszki

Polski cyrk

Cyrk się nie może obejść bez błazna,

Który w antraktach publiczność bawi.

I my go mamy, każdy go z was zna —

Z grecka po polsku... Poślem^{*)} się wabi.

Kielce, 2 listopada 2011

^{*)} tu wstaw dowolne nazwisko

Przebudzenie

Przystanęła przy czarnej, lśniącej płycie grobowca. Krótki majowy deszcz pozostawił na niej świeże ślady w kształcie grubych łez. Zza chmur wyrzało słońce i spijając wilgoć z czarnej tafli, rozpraszało cienie otaczające myśli młodej kobiety. Maj, niezmienny król życia, po raz kolejny rzucał wyzwanie śmierci. Panoszył się w jej gospodarstwie, wystrzelając wśród nagrobków rozwichrzonymi kępami trawy, kokietował świeżością liści na drzewach, wesołym szczebiotem ptaków.

Adriana uśmiechnęła się i dotknęła chłodnego medalionu nagrobnego, z którego patrzyły na nią oczy matki – radosne, filuterne, zuchowate. Zdecydowanie nie harmonizowały z panującą tu aurą wiekiowego pokoju. Adriana miała wrażenie, że rozchylone w uśmiechu usta za chwilę wydadzą z siebie serię słów, nacechowanych humorem i pogodną rubasznnością. Taka właśnie była matka. Trudno się było smucić i zadręczać codziennymi problemami w jej towarzystwie.

– Przepraszam cię, mamo – wyszeptła młoda kobieta. – Wiesz, za co... Jeszcze raz serdecznie cię przepraszam. To już dziesięć lat, mamo...

Tamten maj sprzed dziesięciu lat przyniósł ze sobą miłosne zauroczenie i tchnienie śmierci. Tak ekspansywny i pełen witalności miał przecież nad prawami umierania tylko pozorną kontrolę. Kiedy zrealizowały się miłosne pragnienia Adriany, brutalnie zajrzała jej w oczy perspektywa śmierci matki. Zainteresował się nią wówczas najprzystojniejszy chłopak w ogólniaku. Rozkochał ją w sobie, uwiódł, owinął wokół palca. Witła kolejne dni półprzytomna ze szczęścia. Nie mogła się doczekać chwili, gdy po skończonych lekcjach pofruną jego samochodem do lasu, zaszyją się gdzieś w zielonej niszy i zespółą w jedność w bezmiarze czułości, tęsknoty, pożądania. Wyniki edukacji trochę na tym ucierpiały, zakochanym nie groziło jednak powtarzanie klasy i to ich w zupełności satysfakcjonowało. Rozpoczynający się dramat rodzinny ostudził nieco miłosne zauroczenie Adriany. Matka trafiła do szpitala, a diagnoza okazała się dla męża i córek przerażająca. Rak płuc. Sama chora póki co nie zdawała sobie sprawy ze stanu swego

zdrowia. Kiedy poczuła się chwilowo lepiej, zadbała o poprawę samopoczucia całego oddziału szpitalnego. Jej gromki śmiech rozbrzmiewał w salach i na korytarzu. Bawiła, kogo mogła, pikantnymi dowcipami, opowiastkami, humorystyczną interpretacją szpitalnej rzeczywistości.

Jednak panosząca się w jej organizmie choroba coraz drastyczniej dawała o sobie znać, wyciszyła salwy śmiechu, odebrała chęć do beztroskiego trajkotania, zamieniła oczy w pełne grozy przepaście. Cygańska uroda matki dodatkowo eksponowała jej gaśnięcie. Tak piękna kiedyś śniada cera przybrała barwę niemal czarną. Chemioterapia nie przyniosła pomyślnych rezultatów. Matka kurczyła się pod kołdrą, popielala, nikła. Z czasem uśmiech w jej oczach zgasł na zawsze, wypełniały je łzy. Mówiła mało i półszepem. Oddalała się od najbliższych, czując własną i ich bezsilność. Adriana odrętwiała ze strachu i chronicznego przygnębienia. Próbowała wypłakać swój żal w ramionach Łukasza, ale jego zdawało to niecierpliwic, nawet irytować. Nie był widać nastawiony na współcierpienie z ukochaną, jego egoistyczna młodość domagała się konsumpcji uroków życia. W końcu zaczął jej unikać. W dziewczynie narastał bunt. Dlaczego jej trzydziestoosmioletnia matka umiera? Dlaczego dzieje się to w chwili, kiedy życie ofiarowało jej tyle cudownych, oszałamiających doznań? Dlaczego to wszystko zostało jej nagle odebrane? Wśród bólu rozrastało się uczucie bezsilnej wściekłości skierowane przeciwko umierającej. Musiała tyle palić? To pewnie przez to ten rak płuc... Kopciła jak nawiedzona, a teraz odbiera rodzinie siebie, niszczy młodość córek, wpędza je w emocjonalną matnię... Miała ochotę wykrzyknąć to wszystko temu skurczonemu bezradnie pod kołdrą ciału, którego było coraz mniej. Nie odważyła się jednak. Często kładła się na żółtkącej trawie za domem i szarpiąc ją garściami płakała głośno, wyła, skomlała żałośnie jak szczeniak. Za to na pogrzebie matki nie uroniła ani jednej łzy. Jakby gniew, bunt, męka zamieniły ją w głaz. Miała wrażenie, że ich wszystkich nienawidzi. Przygarbionego i szarego na twarzy ojca, wybuchającej co chwila spazmatycznym

łkaniem Karoliny, lamentujących krewnych, posępnych żałobników, zatrzaśniętej w trumnie matki. Uczestnicy ceremonii pogrzebowej byli przekonani, że zażyła leki uspokajające i stąd to oszołomienie.

– Lepiej się wyplakać, dziecko, lżej będzie – ciotka Barbara pogładziła ją po włosach.

– Możesz się, ciciu, ode mnie odwalić? – wysyczała przez zęby.

Ciotka na chwilę osłupiała, po czym ostentacyjnie opuściła mieszkanie szwagra, rezygnując z konsolacyjnej konsumpcji.

Spółeczność wiejska coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że po pogrzebie matki w Adrianę wstąpił diabeł. Mało, że nie nosiła czarnych ubrań, to jeszcze zaczęła się wyzywająco malować i jak wariatka latała po dyskotekach. Warczała na każdego, kto usiłował ją upomnieć. Rzucając się w wir życia, Adriana pragnęła uciec od lęku przed ostatecznym przeznaczeniem człowieka. Widząc agonię najbliższej osoby, niemal osobiście doświadczyła fizyczności śmierci i wciąż czuła we wnętrzu jej lodowaty oddech. Zapragnęła za wszelką cenę bronić się siłami młodości przed wizją bólu, brzydoty, destrukcji. Poza tym wciąż czuła zapiekły żal do matki. Jakby tamta, umierając, chciała jej zrobić na złość, wciągając ją w dołujący krąg życiowej ohydy. Jak na ironię sięgnęła po papierosy, podobnie jak zrobiła matka, kiedy straciła maleńkiego synka, urodzonego w dwa lata po wydaniu na świat Karoliny. Koleżanki z rodzinnej miejscowości zaczęły się od Adriany odsuwać, przerażone jej uczuciowym otępieniem, wyzywającym cynizmem, wulgarnością. Nic sobie z tego nie robiła. Jej przyjaciółką została teraz Kamila, repentka z licealnej klasy, obnosząca się wśród młodzieży z luzackim stylem życia. Dumna ze swojej urody lalki Barbie zaczęła chłopaków na ulicy, kokietowała co młodszych i przystojniejszych pedagogów, pozwalając się uwodzić i sponsorować zamożnym lowelasom z miasteczka. Adriana nie posunęła się tak daleko w nierespektowaniu norm moralnych, jednak przebywając stale w towarzystwie Kamili, nabierała ironicznego dystansu do świata i ludzi. Zepchnąwszy w podświadomość cierpienie i tęsknotę za matką, uciekała przed ciszą. Szukała poczucia bezpieczeństwa w hałaśliwej muzyce, zgiełku miasta, wybuchach śmiechu przyjaciółki, tanich komplementach podpitych chłopaków. Nauczyciele

nie widzieli szans na to, by miała zdać maturę, jeśli w ogóle zostanie do niej dopuszczona. Ze świata tandetnej rozrywki powracała do domu. Najczęściej późnym wieczorem. Ignorując ojcowskie spojrzenia spode łba i pełne napastliwych oskarżeń słowotoki młodszej siostry, brała prysznic i zapadała w twarde, krzepiący sen, wolny od majaków, panujący lojalnie nad wszystkim, co w sobie stłamsiła.

Aż nadeszła noc odmienna od innych. Z kokonu snu wyłonił się obraz matki. Była zupełnie niepodobna do wysuszonej, odzianej w granatową garsonkę zlodowaciałej istoty, boleśnie odcinającej się od białego atlasu wyściełającego wnętrze trumny. Miała na sobie letnią żółtą sukienkę w słoneczniki. Śniada cera tryskała zdrowiem. Czarne oczy rozświetlał smutny półśmieszek.

– Czemu to żałoby po mnie nie utrzymujesz? – zapytała ze skargą w głosie. – Czemu to latasz po całych dniach z tą głupią koleżanką, a ojca i siostrę masz za nic? Nie kochasz mnie już, Adriano? Oj, dziecko, dziecko... – dodała, jakby pragnąc się usprawiedliwić, że niepokoi córkę.

Rano ojciec niemal doznał szoku na widok Adriany z głośnym szlochom wydobywającej z szafy czarną bluzkę i czarne spodnie.

Wyjęta z torebki okazały znicz. Odszukała zapaliki. Światło rozkwitło ciepłym blaskiem na czerni nagrobnej płyty.

– Mamusiu... nastąpił znaczny postęp w medycynie. Gdybyś była moją pacjentką, wyrwałabym cię śmierci – wyszeptana, ocierając chusteczką wymykające się spod powiek łzy. Jaka szkoda, że ona ciebie nie pozna... Że będzie mogła kochać tylko pamięć o tobie. Już wiadomo. To dziewczynka. Zosia. Tak jak ty – Adriana położyła dłoń na zaokrąglonym brzuchu. – Nie martw się, mamu... Już od dawna nie palę.

Wyszeptana krótką modlitwę i ruszyła w stronę cmentarnej bramy. Zanim ją przekroczyła, przystanąła, odwróciła się i objęła spojrzeniem czarną płytę grobowca, rozświetloną pomarańczowym kwiatem płonącego na niej znicza.

– Kocham cię, mamu – powiedziała.

Danuta Skalska

Karuzela luster

Gdy się urodziłam, mieszkaliśmy w domu, który był jednocześnie Zakładem Fryzjerskim: w jednym pokoju męskim, w drugim damskim. Oboje rodzice byli fryzjerami. Na ścianach wisały wielkie lustra. Mój świat odbijał się w nich niebem i zmieniającym się bez przerwy obrazem. Wszystko było ruchome i błyszczało. Ludzie się uśmiechali, ale wchodzili i wychodzili. Dni kręciły się na karuzeli luster. Mama i Tata byli w środku – i odbywali jakiś dziwny taniec. Dotykali włosów na coraz to innej, obcej głowie. Lustra miały dużo oczu i nie można było ich dogonić. Pieściły mnie jakieś obce, coraz to inne kobiety siedzące z tyłu Mamy. Mama cały czas w lustrze kręciła i rozkręcała loki, a potem układała włosy w misterne fale. W pokoju damskim było pełno pary i bulgotało, cały czas panowała atmosfera pośpiechu.

Postać Mamy była świetlista. Ja szybowałam z rąk do rąk, ponad głowami w dziwnych hełmach z rurek. Gdy zaczynałam płakać przerażona, podchodzono ze mną bliżej Mamy w ramie. Wyglądałam jak mały smutny królik przycupnięty do złoceń. Mama w lustrze była zimna i uciekała z miejsc, w których była jeszcze przed chwilą. Wiem, bo dotykałam powierzchni i próbowałam ją nawet polizać. Bardzo chciałam przekroczyć granicę kryształowego lodu, by dotrzeć do środka jakiegoś ciepła. Kiedy wzdychałam tęsknie, srebro blatu parowało. Czasem wyrывałam się bawącym, nawet Babci. I przez cały dzień byłam zajęta szukaniem Mamy.

Kiedyś przywieziono jeszcze więcej luster. W kącie pokoju stanęła nowa toaletka, wielokrotnie odbijająca w swoich skrzydłach ruchy i gesty wszystkich postaci znajdujących się w pokoju. Byłam zrozpaczona, błędząc za ruchomymi obrazami nieprawdziwej, lustrzanej Mamy.

Później nauczyłam się oswajać błyski odbić. Podążałam za nią, trzymając mocno w dłoni rąbek jej prawdziwego fartucha. Gdy umiałam już dobrze chodzić, zaczęłam je nawet razem z nią przenikać. A żeby móc kontrolować nasze odbicia, dostawiałam stołeczek i próbowałam pomagać, nieudolnie rozkręcając loki. Zerkałam, czy jesteśmy razem w lustrze i czy Mama się do mnie uśmiecha. Wierciłam się przy tym, bardzo przeszkadzając. Aż pewnego dnia dostałam zakaz wstępu do Zakładu. Miałam się bawić z Babcią w kuchni. Położyłam się

na łóżku w trzewikach. Zlekceważyłam czytanie bajek, demonstracyjnie odwracając się plecami do Babci. Zaciskałam mocno powieki. Babcia zaczęła udawać, że płacze. Wtedy wyrzuciłam z siebie głośne słowa:

– Idź i powiedz Mamie, że umarłam!

Zawisła ciężka cisza. Wstrzymałyśmy oddechy. Potem Babcia wyszła. Wróciła razem z Mamą i zaczęły mnie obie całować i przytulać. Potem mi tłumaczyły, że buduje się nasz nowy dom i że wszyscy musimy się poświęcać, a rodzice bardzo dużo pracują, żeby na niego zarobić.

Dorastałam czekając na szczęście. Życie jeszcze nie raz bywało karuzelą, a miłość odwróconym odbiciem.

Małgorzata Spychaj z Ostrowca Świętokrzyskiego – poetka i prozautorka (nowelistka) – związana od wielu lat z Klubem Literackim „Aspekt” przy ostrowieckim Miejskim Centrum Kultury.

Wydała tomiki wierszy: *Talia, Czas drogi i miejsca, Image, Cisza mówi*, tomik opowiadań z pobytu w Nowym Jorku *Kopciuszek na Manhattanie* i zbiorek wspomnieniowo-satyryczny *Fotografia myśli*.

W bieżącym roku została przyjęta do Związku Literatów Polskich – Oddziału w Kielcach. Serdecznie gratulujemy!



Prezes Stanisław Nyczaj wręcza legitymację członkowską ZLP Małgorzacie Spychaj (z lewej). Obok Zofia Walas Fot. Andrzej Piskulak

D e b i u t

Morze i Zwierciadło

Przyjdź do mnie, do mego wnętrza wśród rozchwianych stolików.
 Krzesel absurdu wrywanych z trzeszczących podłóg.
 Wyrwij mnie, oczu nie zamykając ze spojrzenia.
 Zaśpiewaj wraz ze mną moje monotonne pieśni.
 Rزتaczaj lustro i pragnienie z niebieskiej porcelany.
 Ze szkła Mary, oceń mą esencję, krwawą i gorzką.
 Ze smakiem boskich poczynań, pozostań ulubioną postacią
 Z ulubionej książki. Bohaterką namiętnych wzruszeń.
 Księżyc podaruję Tobie z tachmaniarskich Galerii.
 Powiedz: Czy się mam zatrzymać? Czy tylko podarować Ci
 Całe malarstwo i widmowe Freski o Zachodzącym Słońcu?
 Gdy długo wpatruję się w samotność lustra.

Poeta wędrujący w głąb stuleci

Konrad Stawiarski ma 30 lat i mieszka w Kaniowie w gminie Zagnańsk. Pisze wiersze. W konkursie literackim zorganizowanym wiosną br. w gminie Zagnańsk przez Kielecki Oddział Związku Literatów Polskich jego utwory zostały zauważone przez jurorów.

Zajmując się przez prawie 30 lat pisaniem recenzji utworów poetyckich, rzadko zdarzało mi się pisać o tak niezwykłych wierszach, jakie stworzył Konrad Stawiarski. Są one zarazem esejami, traktatami o literaturze. Ich autor, posiadający nadwrażliwość poetycką i niezwykłą wyobraźnię, jest zarazem skromnym i cichym człowiekiem. Ma też dużą wiedzę na temat literatury polskiej i światowej. Jest wszechstronnie czytany.

„W moim pisarstwie kieruję się najwykleszą zasadą treści samej w sobie. Napisałem moją własną interpretację *Morza i Zwierciadła* na wzór wybitnego poety angielskiego Wystana Hugh'a Audena. Mówi ona, jak u Joyce'a, o wędrowce i podróży w głąb stuleci, traktuje o miłości do świata i ziemskich zauroczeń cudami wszechświata” – napisał autor do mnie w korespondencji mailowej.

Andrzej Piskulak

Wilno

wczorajsze Wilno
 starannie odtwarzane
 w muzeach
 i gablotach uczelni znamienitej
 w salach, gdzie historia sięga
 w przeszłość zapominaną
 dokumenty tajne
 sojusze i umowy zerwane
 po wygranych
 lub przegranych bitwach
 ugody niełatwe

w innych salach
 zbroja połyskuje
 jak nowa, gotowa
 na rycerskie boje

zostawmy historię...
 gdzie jest Ostra Brama?

tam spieszą pielgrzymi
 pozostawiając na potem
 kościoły wspaniałe
 – te twierdze zbrojne łaską
 w pobożność przyodziane
 nieba dotykają ich wieże
 i dzwonnice...

już widać Ostrą Bramę
 z obrazków dobrze znaną
 na jej piętrze ciasna kaplica
 i niezwykły wizerunek
 tutejszej Księżnej Pani
 w ciężkiej złotej koronie
 a jej smukłe dłonie
 na piersi skrzyżowane
 wyrzekły się berła i ostony
 czym więc kraj litewski chroni?
 modlitwą i mocą swego Syna...

tłoczą się przed Jej oblicze
 grzeszni synowie i córki
 o darowanie win proszą
 i błogosławieństwo
 z uwagą tych szeptów
 jak matka wystuchuje

swoich łask nie skąpi
cuda prowokuje...
lecz co to
z uliczki do Niej prowadzącej
ciszę i skupienie
skutecznie wyptożyło?
czy to gromada żaków błaznuje?
przekrzykując się ze śmiechem
skacząc na jednej nodze
czy paziów z zamku
nadmierna swoboda?

lecz i na nich Pani
spogląda łaskawie
wyrosną, zmądrzeją
i czynem się wsławią...

na Wzgórzu Gedymina
historia przerwana opowieść
na nowo rozpoczyna...

nad spokojną Wilią
i na siedmiu wzgórzach
dawniej puszcza porośłych
teraz miasto okazałe
stolica!
więc jest wszystko
co państwo podtrzymuje
urzędy najwyższe
sztandary i pieśni
i uniwersytet z czasów
króla Batorego
mądrego władcy Obojga Narodów
co dobrodziejstwami
hojnie obdarzał
Litwę i Koronę



Kolaż I. Nyczaj

Babie lato

zaplątało się na koniuszku lata
frywolnie snuło nić białą
poddane powiewom chłonęło promyki
zaczepiło źdźbło zeschłe
kolce tarniny bielą oplątało

powietrze nasycone suszą
iskrzyło niosąc wonny bukiet
barwy dzikie wino

a lato (babie) delikatność pajęczą unosi
razem z liśćmi co drzewa zgubiły

nagie ściernisko
bocian zbiera ziarna zagubione
porzuciwszy łąki
chyli się słońce
jakby cześć oddawało światu dojrzałemu
i jakby żegnało barwy tkając nić białą
przed snem

w białych wrzosach zgubiło się
plącząc biel w biel
dywan biały napęczniał
wyrzeźbił przestrzeń białą
pośród pni białych brzoźowego lasu

nań spadły żółte liście
zbiór złotych lata chwil

igra światło z marzeniem
wiatr podrywa szybuje
babim latem liśćmi
jak snem unosi mnie

iskrzy jesiennym dniem

* * *

kiedy tak pada i pada
wśluchuję się w szepty –
strużki wody liśćmi
w narastającej wilgotności
słońce gdzieś za kotarą chmur
bezszykownie wysyła promyki

jedynie głębia dnia
przyjmuje je w rozproszeniu

aż przygarbiły się gałęzie
kolory kwiatów rozumieją prysznic
prostują dostojnie stelaże łodyg

z płatków skapuje
nadmiar wody
jak czas w dotyku zegara
przelewa się

wsiąka w ziemię
tylko kalendarze zbierają kartki
zdarzeń zapiski – pamiętniki

człowiek prowadzi
zostawia ślad na czas
gdy jego czas wsiąknie w ziemię

Szeleszcząco

spadły już słowa lata
liśćmi szeleszczą
(polszczyznę podobno szeleszcząca mowa)
trawa przyżółkła
zwarzona przymrozkiem

ogółocone z liści korony
unoszą ramiona ku słońcu
oczekując uwieńczenia

ciepło mówionego słowa
nie przemija

W ryzach

świat brył świat cieni
otacza nas zewsząd
a my cieniem zniewoleni
płasko widzimy cztero-wymiar

po płaszczyźnie bezpiecznie
poruszać się warto
wiemy – świat nasz kulisty
lecz potęgę czwartą
co trzyma w ryzach
choćby Mleczną Droge
znamy z programów
wzorów matematyki

wpatrzeni w płaskość
własnego obrazu
mierzymy Ziemię
własnymi krokami
czasem jednak spoglądamy w górę –
światło przyciąga
wszechświat jest niedosiężny
jak myśl –
co może człowiek
zrównany czasami z gwiazdami

Wschodzące słońce łamią fale

ująć w dłonie światło dnia
gdy pomarszczona droga przed
fałdy fal łamią promienie
na poziomie zero

przypomina doskonałość figura
bez kantów rogów wierzchołków
wnętrza jasność łagodzi
wszelkie nierówności świata

dzień – jasny ułamek widoku –
próbować profilowanie

Wsteczne myśli

serca ogniste na nagrobkach
w źrenicach płomyk chybotliwy
łzy się kręcą w kącikach oczu
i ruch zamiera

pamięć rozjaśnia mroki śmierci
całe rodziny na przyjęciu
przy płycie zastawionej
chryzantemami i zniczami

tęsknota w grupie
ogrzana blaskiem

krzyże dźwigają Chrystusowe rany
ludzie donice z chmurami kwiatów
milczą niektórzy w cmentarnej ciszy
znicz zapalany pamięć rozpala
myśli wsteczne
ujmuje w rodzinne ramy

Kazimiera Szczykutowicz

Drewnomilczenie

Dwie Babunie

Starością zrosnięte
Kosturami chorób podparte
Topornie losem wystrugane

Tam gdzie się kończy jedna
Druga się zaczyna
Drewno – staruszki
W jednym kawałku wierzby
– Ot syjamski przypadek
Rzeźbiarskiego dłuta

Stworzone dla j e d n o ś c i
Dla sensu dla istoty trwania
A nie dla bezsensu
Drewno – zapomnienia

Dwie Babunie

– Historia zielonej przeszłości
I próchniejącego jutra



Dwie Babunie – rzeźba Władysławy Szproch

Druga klasa

Odjeżdżały we mnie pociągi
W różne strony marzeń
Z dworców o zatartych już
Rozkładach kalendarzy

Podróżowałam z biletem ryzyka
(zawsze w drugiej klasie)
Po bezdrożach zdarzeń
Wysiadałam na stacjach „przypadek”
Z ciasnych korytarzy losu

Dziś już nie pamiętam
Dziś już nie ma to znaczenia
Dlaczego się nie przesiadłam
Na pierwszą klasę życia

2012.08.31

Dziulanka



To nie Opaliński owdowiał
To tyś wieczną wdową
W żałobnym kornecie
Nieszczęsną pokutnicą
Za odwagę miłości
Uwięziona pod kluczem
W gablocie zakrystii

Śmiertelna twoja cera
Lecz żywa wciąż legenda

Twoje ciało bez życia
Bez jednego nerwu mimiki
A oczy nadrealne
I realna czerwona żyłka

Na białawej gałce
Od patrzenia w ciemność
I realne blade usta
Jak realny był mezalians
Popelniony przez męża

Gdyby ci drgnęła chociaż powieka
Byłoby więcej grozy i chłodu
Niż w grobowej krypcie
Twojego magnata
Pod kaplicą św. Romualda
.....
Przez twoje oczy
Zajrzałam w zaświaty
W beczasowość
Miłości
I
Śmierci

2012.07.13

Emdwa

Nigdy nie zamieszkałam
Nie za(dom)owiłam się
Ja się tylko
O s i e d l i ł a m
W betonowej klatce

Jestem usi(e)dlona
W nie(moim) bloku
Gdzie za ścianami
Obce mi planety
Niby-prywatności
Zblokowanych sąsiadów

Tu nie zakorzenia się
Pokoleniowa tradycja
– Opierzone ptaki
Wyfruwają z gniazda

Jestem bez(dom)na
Jestem o s i e d l o n a
Nie mieszkam na ziemi
Mieszkam w chmurach

Mieszkam w sobie

2012.09.03

Baśń

Zaczaruj mnie raz jeszcze
Do komnat serca wprowadź
Nasyć na nowo ich pięknem
Ukołysz swoim tętnem

O moim przebudzeniu nie myśl
W tej baśni jest królewicz
Rozbudzi moje zmysły
I odczaruje sny

Zacumowane myśli

Spędzasz sen z moich powiek
Rozbudzasz wspomnieniem
Miłość jest kwestią wiary
Darzę cię nią jeszcze

I chociaż grzęzniesz
Zapuszczając kotwicę
W mieliźnie stałego lądu

Ja wciąż we wszystkich portach świata
Poszukuję ciebie

Mów tylko o sobie

Nie opowiadaj mi o innych
Nie zasnuwaj ich cieniem swej postaci

Nie inscenizuj zaćmień
Przecież nie jesteś faraonem

Nie upadnę przed tobą na kolana
I nie zacznę błagać o jasność

Co najwyżej
Zacznę patrzeć na ciebie
Przez zadymione szkieleto

Władysława Szproch

List Jeana D. zarządcy włości X de Fonteleblue do markizy Jannette A.

(przełom XVIII i XIX wieku)

Dostojna i Droga Pani! Piszę list, który winien być nienapisany,
Nie w nadziei, że go ukryjesz wśród pachnących zakamarków
Twojego buduaru. Raczej, że go spalisz na płomyku świecy,
Albo na kominku, na którym, jak tuszę, Twoja leniwa sługa
Edith, wzniciła ogień. Te rozpustne dziewczki, zaiste, pozwalają sobie
Zbyt wiele – rubaszne śmiechy, likier cytrynowy, a nawet niekiedy
Mówienie sprośnych dykteryjek, nieprzystojne gesty. Doprawdy,
W dobroci swego serca jesteś zbyt łaskawa i, wybaczyć, co mówię,
– za bardzo się dajesz wodzić pospólstwu.

Czerwcowe ćmy dobijały się do mdlawych latarni,
Jak gdyby chciały zgłębić sens istnienia, jakby nie wiedziały,
Że każde – ich i nasze – podąża do śmierci. Nikt jej nie pragnie,
Ale ku niej idzie. A ja pomyślałem, że właśnie w tej chwili
Już mógłbym umrzeć. I że pragnę tego.

Albowiem kiedyś poszła nieco chwiejnym krokiem
Alejką wśród cyprysów, kiedy się zachwiałaś
I usiadłaś w altance – a może opadałaś –
Między bezwstydnym faunem i gołą Wenerą
(a wino było dobre, z przedniego rocznika)
I gdy Cię podtrzymałem – oparłaś swą główkę
Misternie utrefioną, na moim ramieniu.

I zasnęłaś. I Twoje intymne chrapanie
Brzmiało mi jak organy mistrza Corneliusa,
Gdy lekko podchmielony zagra przy nowennie.
A ja czułem woń włosów. Twoich kruczonych włosów,
Tylko lekko zmierzwionych. A moje ramiona
Rwały się, by Cię objąć. Tylko pocałunek
Na Twym czole złożyłem. Na pochwałę wina,
Tego (rocznik był zacny), co skłonił Twą głowę,
Na me posłuszne ramię. Wybaczyć mi, Markizo.

Moja Dostojna Pani! Bo po cóż to komu,
Że właśnie o tym piszę. Lecz to sprawa nosa.
Nosy są – jak wiadomo – wydatne, znikome.
A jednak z różnych nosów swój cenię nad wszystko –
– Jest w nim woń niezmożona. Zapach Twoich włosów.

List Elizy Z. do Anny K.

(Warszawa, 1933 r.)

Nie objęłaś mnie dzisiaj. Znikałaś. Bielizna,

Bluzka i spódniczka zabierały mi ciebie.
Zmierch gęstniał, bo nie jaśniało już
Twoje ciało. Stawała się odwrotność. A przecież
Tworzyłam cię tyle razy. Dotyk po dotyku,
Szelest po szeleście. Westchnienie po szepcie.

Tamte gesty nie były przelotne. Przelotność
Jest jak wiatr bezmyślna. Chociaż może on
Kieruje się inną, niepojętą logiką. Zbłąkany
Stroszy pióra ptakom, nie płoszy ich,
Nawet nie niepokoi. To jest ich dom,
Z otwartymi na oścież oknami.
Lato, senny upał.

Stwarzałam cię w upale. Odgarniałam nieposłuszny
Kosmyk włosów, całowałam dolinkę nad obojczykiem,
Rozpinałam niepodatne guziczki. Oddychałaś.
Czułam w twoim tchnieniu woń mleka i wanilii.
Szeptaliśmy bez słów. Szeptaliśmy się zderzały
Jak miękkie nietoperze. Stwarzałam, stwarzałam
Od szyi do stóp, od burzy do zachwyty.

– Ach, to nienaturalne. Ach, to wbrew naturze –
Mówiłaś z gęstwiny włosów, z rozpadlin poduszki.
– Nie rób mi tego, proszę. Proszę, rób to jeszcze –
Słyszałam znowu i zdawało mi się,
Że to synogarlice gruchają nad domem
W białych drzewach akacji, w lip lepkiem zapachu.
Tak, wszystko jest naturą. Bujne kiście kwiatów,
Pył lecący z drzewa, beztroskie krzyki ptaków,
Twoja pierś uwolniona, uda i omdlenie,
Oczekiwanie i słodycz każdego spełnienia.

Weszłaś wtedy nieśmiało w gęsty gwar „Ziemiańskiej”,
Która raptem ucichła. Lilka się zaśmiała
I opuściła oczy. Gruby Franc jak zwykle
Pogładził wielką dłońią potarganą brodę,
Zamyślony Jarosław dopił resztkę kawy,
A ten pan niewysoki z plamą na policzku
Wił coś Słonimskiemu. I nie ja lecz we mnie
Coś powiedziało „och” Wiedziałam, to ona.

Bzy ledwie zakwitły gdy z Nowego Świata
Poszłyśmy Alejami. Przemknął automobil,
Dorożka się przetoczyła. Przystojny kapitan
Zasalutował dziarsko lekko kłoniąc głowę.
Lecz to był świat zewnętrzny, niemal niewidzialny.
Ten prawdziwy i ważny szedł teraz koło mnie
I dotykał niechcący swą dłońią mej dłoni.

Jesteś z gestów i szepców. Jesteś z kropli potu
Nad górną wargą. Jesteś cała z ciała,

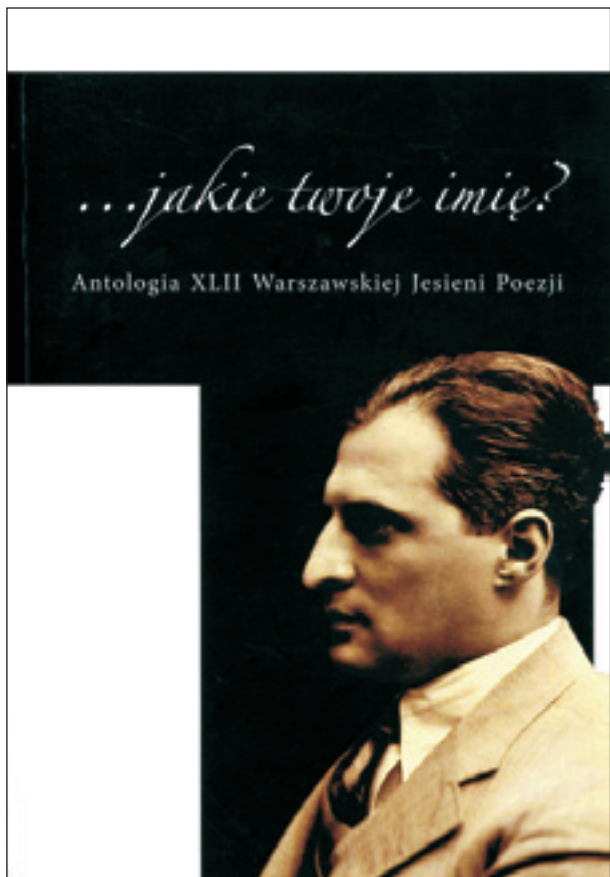
Z protestu i przyzwolenia, febrycznego drżenia,
Krótkiego snu, który spada jak światło księżycy,
Z nagłego przebudzenia w zdziwieniu i wstydzie.

Poznałam cię wielokrotnie. Mało mi tej wiedzy.
Chcę się wciąż uczyć ciebie i błądzić w niewiedzy,
Szukać cię po omacku i tęsknić niezmiernie,
Gdy cię trzymam w ramionach, gdy mnie obejmujesz
Rękami i zapachem. Wciąż czuję na szyi
Twoje bezbronne stopy. Niechby pozostały,
Niech już nie dotkną ziemi niegodnej i grzesznej.

Trzasnęły drzwi. Odeszłaś. I kroki na schodach
Cichną niby zapowiedź koniecznej tęsknoty
I długiego czekania. Idziesz Alejami,
Mijasz zieleń Łazienek Królewskich, dochodzisz
Do drzwi swojego domu. Tam wpadniesz w ramiona
Swojego męża. Nie chcę myśleć o tym,
Co stanie się później.

Och, to obrzydliwe.

Marek Wawrzekiewicz



Magdalena Węgrzynowicz-Plichta

Z cyklu *Safoniana*

Solarny sen

wczoraj wspomniałeś o jaskini
na Krecie niechcący śniłam nas
i chociaż wiem że to tylko sen
to jednak wiedz, że się modliłam,
aby ta noc dwa razy dłużej trwała*)

gdy welon nocy wyspę w ciszę
otula a w jaskini tylko serca nasze –
czule przytulasz mnie –
wiedz jednak że modłę się
by ta noc dwa razy dłużej trwała

słoneczny zegar uparcie
zakrzywia czasoprzestrzeń –
nigdy na Krecie nie ja
to jednak modłę się –
oby ta noc dwa razy dłużej

kiedy tylko znów tobie
przyśni się ten piękny
ze mną solarny sen

Kleis

Aleksandrze Batko

pięknogłosey postaniec wiosny
słowik*) szczęśliwą miłość –
nieważne kiedy i komu
tak przypowieść głosi

Kleis biegnie na targ
nieważne dla kogo i po co –
słowik trelami umiła jej
wyprawę samotną

bose stopy rytmicznie
po trakcie się tłuką
kostur odpędza psy
torba pod pachą kotysze

prostej drogi niewiele –
za każdym zakrętem
kolejny słowik śpiewem
rozwija pąki ciszy

czasem pod słońce
(za śpiewem słowika
zmrużywszy oczy)
w południe popatrzy

westchnie coś sobie
przypomni i dalek
popędzi więziona
w nadziei pryzmacie

zanim przez ostrą
bramę do zgiełku miasta
w uliczek cień wkroczy
gęsty zimny ponury

po raz ostatni spojrzy
za siebie w wysokie niebo
gdzie ptasich przyjaciół
szybują kontury

Exodus

myśli me o was i waszej piękności
już się nie zmienią^{*)}
choć wkoło tandeta i liszaj biedoty
coraz większe kręgi zatacza

tak cicho i podstępnie
zdobywa kolejne twierdze –
od ostatniej wojny nasz los
trędowaty – wędrówka tułacza

myśli me gorzkie jak piołun
już się o was nie zmienią
(łodyga dzikiej róży ostrym kolcem
koniuszek serdecznego palca rani

gdy do wazonu wspomnień
wkładam ją bez przekonania)
kroplą czerwonej krwi zastygają
nad waszej piękności marami

^{*)} Safona – przekład Jadwigi Brzostowskiej

Poziom orła

Gdy decyduję się być sobą
powstaje
przeciwko mnie
prawdziwe piekło.

Nie może mnie pochłonąć,
lecz przynajmniej próbuje.
Nie chce,
żebym osiągnęła
optymalny poziom orła.

Pokój tobie
mój ukochany wrogu,
życzę ci wszystkiego najlepszego.

Jednak wiedz,
że wygram ja,
a ty
będziesz złotym ogniwem
w łańcuchu mojego
szczęścia.

Zdumienie

Jesteś
jedyną
znaną mi osobą,
która
umarła z miłości,
Boże!

Bez drogowskazów

Wkrótce
zostaną usunięte
z autostrady
znaki ostrzegawcze
i informacyjne
jako
pobrzmiwające kaznodziejstwem.

Szczęśliwej drogi!

Pod koniec dnia
chcemy być bogatsi,
mądrzejsi, szczęśliwsi.

Bardziej doświadczeni.

Pod wieczór
nasze granice
powinny być poszerzone,
paliki namiotu przesunięte.

Nalegamy usilnie,
by dzień przyniósł nam zysk,
plony
z poprzednich dni,
pracowitych poranków, zajętych popołudni
podziwianych teraz
w spokojnej porze
wytchnienia.

Atak

Brutalnie,
totalnie,
bez uprzedzenia,
niewidzialną ręką.

Kopytem
spadającym z góry.

Zaczajonym w trawie wężem.
Cieniami wilków.

A gdzie uśmiechnięta kraina jabłek?
Dolina tęczy?

Lecę nad przepaścią oślepiona błyskawicami,
ogłuszona grzmotem.

Nie ma czasu na zasady.

Główne zadanie to
nie zwariować.

Z przygotowywanego do wydania tomu *Słowa prawdziwe*

Wędrownka w nieznane

Majowy poniedziałek. Wieczorem odbieram telefon. Dzwoni Jurek – Jestem na onkologii w Kielcach, biorę chemię.

– Jutro cię odwiedzę – powtarzam kilka razy. O nic więcej nie pytam.

Te konwalie tak pachną, pewnie rosły w lesie, ale czy można kwiaty wnosić do szpitala? W autobusie miejskim niewielu pasażerów, wysiadam na końcowym przystanku. Po drugiej stronie ulicy znajomy taksówkarz krzyczy do mnie na cały głos: – Niech pani nie wchodzi do tej umieralni...

Na długim, przestronnym korytarzu wypełnione ławki i krzesła. Przeważają mężczyźni w średnim wieku. Początkowo trudno odróżnić, kto tu jest pacjentem, a kto nie. Wystarczy jednak tylko rzut oka na ich buty-ciapki, wszystkie wsuwane i nowe. Chorzy mają twarze blade jak szpitalne ściany, a oczy nieobecne. Ciche szepty, ręce ułożone na kolanach, żadnych gestów rozpacz czy przerażenia. Zamyśleni, wygodnie usadowieni wyglądają jak pasażerowie pociągu wybierający się w daleką podróż. Można odnieść wrażenie, że te ostatnie minuty przed odjazdem bardzo im się dłużą.

Cierpienie widać w rozbieganych oczach bliskich i rodzin, którzy przyszli ich odwiedzić. Starsza kobieta przytula dłoń sędziwego mężczyzny do swojego policzka, coś mu tłumaczy, ale jego oczy wpatrują się nieruchomo w przestrzeń, jakby nie rozumiał, co się do niego mówi. Nagle, kiedy podbiega do niego mała dziewczynka i wyciąga rączki, drżą mu pomarszczone powieki, a z oczu płyną łzy. Na ustach pojawia się promienny uśmiech.

Nic, absolutnie nic nie świadczy o tym, że za drzwiami tego szpitala dzieje się **to**. Nawet powietrze jest tu jakby lżejsze i nieprzeziąknięte żadnymi oparami lekarstw, potu, krwi, flegmy, duchoty i mdłych potraw. Naciskam klamkę do jego drzwi. Jurek leży przy oknie, nie wzbudza lęku. W dobrej formie, uśmiechnięty, w uszach słuchawki, w rękach książka. Kiedy mnie zauważył, widzę wykwitające na jego policzkach rumieńce. Chwilę patrzymy na siebie w milczeniu. Najpierw głaszczę go po tysej głowie i obejmuję mocno, bardzo mocno, tak po męsku. Konwalie znalazły miejsce w kubku na szafce szpitalnej obok płyt z nagraniami muzyki poważnej, figurki aniołka, ramek ze zdjęciami wnuczki. Nie widzieliśmy się ponad dwa lata. Jurek na powitanie szarmancko całuje mnie rękę, zdejmuję mi kurtkę i wieszka. Siadam na jego łóżku usłanym gazetami i książkami. Widać, że jest tym speszony i zaskoczony. – Tym, którzy mnie odwiedzają mówię, że nie zarażam – słyszę.

Uparty jak kozioł

Na dwóch kolejnych łóżkach podłączeni do kroplówek dwaj mężczyźni. Patrzą w butle płynu, na ostatnie krople pompowane w nabrzmiałe żyły. Płyn leci niezmiernie wolno, tak wolno, jakby się nigdy nie miał skończyć. Kiedy na dnie już nic nie ma, pojawia się pielęgniarka, za nią na wózku wjeżdżają pojemniki z kolacją.

– Nie smakuje mi szpitalne jedzenie, z domu przywiozłem stoiki z marynowanymi rybkami, a chleb kupiłem w drodze do szpitala w piekarni w Koprzywnicy. Kilka kromek odkroję, zasuszę, to moje ciastka – uśmiecha się.

– Z kim przyjechałeś? Z Tarnobrzega do Kielc ponad setka kilometrów – rozpoczynam rozmowę. – Kierowca z tygodnika mnie przywiózł. Próbowiałem dostać się do szpitala w Rzeszowie, potem do Krakowa, udało się znaleźć miejsce w Kielcach.

Wsluchuję się w spokojny głos Jurka, który krótko, po żołniersku wspomina kwiecień, ubiegły miesiąc. Zwraca uwagę na drobne, ale istotne fakty i przemyślenia.

– Z dnia na dzień opadałem z sił, dokuczał mi kaszel, katar, ból gardła, zdjęcie rtg wykazało zmiany w płucach. Krótko potem dowiedziałem się, że **on** jest drobnokomórkowy, rozsiany i nie ma możliwości go usunąć, a z nim też żyć się nie da. Nikt nie jest przygotowany na taką wiadomość, ale przerażenie minęło. Dziś chcę być świadomy wszystkiego, co się ze mną dzieje. Dobrze, gdy lekarze rzetelnie informują, jak dalej przebiegać będzie leczenie. Czekają mnie 21-dniowe cykle chemioterapii, 3 tygodnie radioterapii. Będę płuł i i rzygał życiem albo wpadnę w euforię. Nie chcę, żeby odgrywano przede mną czarną komedię, chcę wykorzystać pozostały mi czas.

Dowiaduję się jeszcze, że Jurek od kilku lat jest na emeryturze, największą frajdę sprawia mu łowienie ryb. Ma swoje łowisko na tzw. zwalce w zbiorniku wodnym po kopalni. Wiele dorodnych karp, szczupaków, pstrągów tam pływa, dla niego sezon jeden jest za krótki, może dwa... Jurek planuje odwiedzić kolegę w Pucku, popłynąć z nim statkiem. I choć w „Tygodniku Nadwiślańskim” już nie pracuje, łączy i więzy ma z nim gorące. Doradza, podpowiada i trzyma rękę na wszystkim. W końcu ponad 30 lat pracował jako dziennikarz, przez ostatnie 13 lat był Prezesem Spółki Wydawnictwa i jednocześnie redaktorem naczelnym. Teraz czasy coraz gorsze dla gazet, wszyscy czytają internet, ale Jurek jest dobrej myśli. Ma większość udziałów w spółce, zespół redakcyjny to sprawdzeni dziennikarze, bo kiedy trzeba, wszystkie ręce są na pokładzie. Wie jednak, że generatorem zysków w gazecie są ogłoszenia, a nie nawet najlepiej opisane sensacje czy skandale.

Tematu o tygodniku i jego zespole nie dało się podczas tego spotkania przegadać. W tym czasie gdy Jurek rozmawia przez telefon z żoną Jadzią, w mojej pamięci wylaniają się beztroskie lata, kiedy z nim pracowałam w gazecie. To było ponad dwadzieścia lat temu.

Tu i teraz uzmysłowiłam sobie, że to Jurek uczył mnie przez siedem lat w „Tygodniku Nadwiślańskim” dziennikarskiego warsztatu. Rzadko chwalił, częściej ganił. Po pierwszych artykułach, które napisałam, schlebiał mówiąc, że mam iskrę bożą, choć jego zdaniem były to wypociny nienadające się do druku i większość ładowała w koszu. Sam siebie skromnie nazywał dobrym rzemieślnikiem i podkreślał, że każdego można nauczyć pisać do gazety. Tylko że w tej gazecie okazywał się morderczo pracowity, ślęcząc kilkanaście godzin na dobę nad jej redagowaniem, adiacją tekstów, komponowaniem tytułów, śródtytułów, zamieszczaniem zdjęć, ilustracji, ich podpisaniem etc.

Biurko redaktora Jerzego to makiety, popielniczka pełna petów i mocna, fusiasta kawa. A po każdym jego przemyśleniu i decyzji kolejny papieros. Nie oszczędzał nikogo. Mnie zarzucał zbyt kwiecisty styl, powierzchowne traktowanie tematu, a nawet brak umiejętności przy komponowaniu prostej informacji. Nie obśmiewał nikogo, nie plotkował, siadał nad stosem moich karteczek, kreślił, stawiał pytańki, na marginesach czynił uwagi. Bywało, rwałałam na strzępy kartkę za kartką z jego poprawkami, rozkładałam bezradnie ręce i... pisałam od nowa, albowiem iskra boża to było za mało.

Po latach wdzięczna jestem losowi za cnotę pokory i uporu, bo dzięki potajnikom ludzi takiego pokroju jak Jurek, mogłam się twórczo rozwijać i nauczyć pisać poprawnie informacje. Mają one przypominać odwrócone piramidy lub jak kto woli – trójki. I nigdy nie zapomnę, że każda z nich powinna odpowiadać na wszelkie klasyczne pytania, co, kto, kiedy, gdzie, jak, dlaczego.

Przez szpitalne okno oglądamy panoramę Kielc. Podsuwam Jurkowi pod nos zeszytik. Pokazuję mu różne wysokości pisma. – Patrz, to jest nonparel, a to kolonel, no i petit najczęściej używany. Jest jeszcze garmond i cicero. – Zapomniałaś, że jest borgis i brevier. Śmiejemy się głośno. Z sąsiedniego łóżka słychać westchnienie. Wchodzi pielęgniarka w zielonym fartuchu, mierzy gorączkę. Pyta każdego z pacjentów – stolec był? Jurek dowcipnie odpowiada: – Ja go nie widziałem! Znów nie możemy powstrzymać się od śmiechu.

Długo jeszcze wspominamy tarnobrzeszkie imprezy redakcyjne, kiedy większość z naszego zespołu miała tęgie głowy do picia mocnych trunków, co nie przeszkadzało w pogłębianiu wiedzy i pisaniu. Jurkowi umknęło to, jak po jednym z moich sukcesów dziennikarskich niósł mnie na drugie piętro sposobem strażaka i ani razu nie dostał zadyszki.

– A pamiętasz jak mnie chcieli zwolnić z redakcji, a ty powiedziałaś naczelnemu: pożałujecie, jak się jej pozbędziecie? Tego też nie pamiętałam.

Na koniec tej pierwszej wizyty w szpitalu jestem na niego trochę wkurzona i nawet rozczarowana. Uratował mi skórę i zapomniał o tym.

Tuż przy wyjściu Jurek patrzy mi badawczo w oczy i mówi: — Mam nadzieję, że nikogo w życiu nie skrzywdziłem.

Koziolowi w żłobie nie dano

W czasie żadnego spotkania nie dał znać po sobie, że się boi. Opowiadał dowcipy, pacjentów upominał, by nie mówili o chorobach, bo wysysają energię i chęć do życia. Oni zmieniali temat tylko na chwilę, potem najczęściej drzemali lub patrzyli na butle kroplówki, wierząc w ich zbawienną moc.

Łatwe były z Jurkiem rozmowy, siadałam, słuchałam, miał ogromną potrzebę wygadania się. Śledził nowinki w gazetach, słuchał radia, czytał namiętnie książki Janusza Głowackiego. Książki tego autora wypożyczałam mu w bibliotekach. Największe wrażenie zrobiła na nim lektura *Skrzeka* oraz *Moc truchleje*. A to dlatego, że Głowacki pochodzi z wielkiego miasta, lecz przemawia najsilniej do nas przez człowieka ze wsi. Jurkowi te klimaty są bliskie. — Ja oddycham ziemią, a kiedyś ziemia będzie mną oddychać — zwykł powtarzać.

Jurek zdradza mi na ucho (bo lekarze nie mogą o tym wiedzieć), że kuruje się sproszkowaną lucerną. Ta roślina pastewna rosnąca na piaszczystej glebie wzmacnia odporność, zabija komórki nowotworowe, pomaga na sen. Wszystko, co ze wsi, wyzwala siły.

Pytam, co ja mogę przynieść? W czym pomóc?

Na każde spotkanie mam przynosić maślanekę, a jutro kupić papier do ksero. Dziesięć ryz o gramaturze 80. Przekaze je dyrektorowi szpitala, to takie podziękowanie za pobyt i troskliwą opiekę.

Jedziemy z kolegą w czasie pracy (przełożony się zgodził) jego prywatnym autem do hurtowni. Konsultuję przez telefon z Jurkiem rodzaj i cenę papieru. Nie ma takiej ilości, szukamy dalej. Jest, ładujemy. W szpitalu prosimy o wózek, zabierają papier.

Po południu mój pacjent wybiera się swoim leciwym fiatem Uno do domu. Jest bardzo zżyty ze swoim autem, czuje się w nim jak w dobrze skrojonym garniturze. W drodze robi sobie przystanek w Rakowie na udko gęsie i rozprostowanie nóg. Wieczorem dzwoni: — Jestem w Tarnobrzegu.

Początkiem grudnia sypie śniegiem, kontaktuję się z zarządcami dróg i pytam, czy przejezdna jest trasa Tarnobrzeg—Kielce. Wieczorem telefon od Jurka: — Jestem w Kielcach.

6 grudnia zakładam czapkę mikołajkową i rozdaję paczki pacjentom z oddziału onkologii. Jurek dostaje ode mnie czekoladowego Mikołaja, książki i niebieską różgę.

Mam z tego spotkania kilka fotek pamiątkowych. Przy okazji proszę Jurka o zrobienie zdjęć szpitalnej wystawy z wizerunkiem naszego polskiego papieża. Dłużej zatrzymujemy się przy tym najbardziej sugestywnym, z podpisem „Żal odjeżdżać”. Dziwnym trafem przy robieniu zdjęć, na moim aparacie nagrywa się głos Jurka.

Na radioterapii przebywa 3 tygodnie, całe ferie. Liczy na przepustkę, spacerować po Kielcach czy pójść do kina lub teatru. Lekarze nie wyrażają zgody. Zасыpuję go książkami Głowackiego i Zbyszka Masternaka. Za tym ostatnim nie przepada. — Nie lubię nadmiernego epatowania bebechami — podkreśla.

Następne spotkania, maślanki i plotkowanie na tematy własne i cudze. Dzwonimy do wspólnych znajomych, Jurek opowiada wszystkim otwarcie o swojej chorobie. Mojemu mężowi radzi, żeby nie ćmił papierosów. Niepokoi się o Jolę, była dziennikarkę, której mąż zmarł w tragicznych okolicznościach. — A co tam u niej? Słyszałem, że opiekuje się piętnastoma kundlami. Zadzwoń do niej i powiedz, że ją kiedyś zjedzą. Zadzwonisz? — Pewnie się zawiodła na ludziach, stąd szuka przyjaźni u zwierząt — tłumaczę koleżankę.

Mnie też nie oszczędza, gdy opowiadam mu o swojej depresji i demonach, z którymi się zmagam. Dowiaduję się, że szukam tematów zastępczych, zamiast się wziąć za pisanie.

— Nie jest łatwo, Jurek, ja nie żyję z układania wyrazów w zdania. Moja praca jest zazdrosna o to pisanie — śmieje się.

— Nie chce ci się. Możesz przecież pisać wieczorem i w nocy — ostatnie zdanie zawsze należało do niego.

Na rozdrożu

Cieszy się każdą chwilą spędzoną z najbliższymi i nie szuka u nich pocieszenia ani współczucia. Odwiedza córkę w Krakowie, gra w szachy z wnuczkim Michałem. Marzy o tym, żeby za dwa lata przeżywać z nim Pierwszą Komunię Świętą.

— Nie jestem jednak na liście nieśmiertelnych, sprawdzam. Inni też nie są. To zdanie powtarza jak mantrę w czasie kolejnych spotkań.

Pod koniec 2012 roku składam mu życzenia świąteczne i noworoczne. — Cieszymy się z życia w każdym jego momencie. Od niego słyszę, że najważniejsze są zdrowie i przyjaciele, na których zawsze można liczyć.

W styczniu tego roku Jurek przywozi mi do Kielc 10 tomów *Dzieł Gombrowicza* ze swojej prywatnej biblioteki. Nie wiem co mówić. Kartkuję strony książek. — Wpisz mi cokolwiek, proszę. — Mam zdrętwiałe palce, nic już nie napiszę.

Oboje wykazujemy ponadludzkie opanowanie i spokój. Jurek schudł, choroba atakuje coraz mocniej. Mnie po raz pierwszy ból ściska za gardło, w nocy budzę się oblana potem.

Krótko potem dostaję od niego wiadomość, że czuje się gorzej. Jeśli byłaby możliwość, chciałby zgłosić się do szpitala wcześniej, niż w wyznaczonym terminie. Nie zastanawiam się ani chwili. Dzwonię do szpitala, szukam dyrektora. Jestem zdumiona, sekretarka dyktuje mi do niego numer telefonu komórkowego. Dobroć dyrektora chwyta za serce: — Pacjent może dziś przyjechać.

Kilka dni później z Jurkiem rozmawiamy na szpitalnym korytarzu, bo jest zakaz odwiedzin. – Wygląda lepiej niż poprzednio, przybrał na wadze.

Po świętach wielkanocnych opowiada o planach wakacyjnych. Łowienie ryb, wyjazdy do łomży, zaprasza mnie do siebie do domu na ratafię – nalewkę domowej roboty.

28 czerwca dzwonię do niego: – Gdzie jesteś? – Na oddziale paliatywnym szpitala w Sandomierzu.

Zaniemówiłam na dłużej, nie wiem, o co pytać, wreszcie wydukałam: – Jak tam długo będziesz? – Do końca.

– Powiedz znajomym, żeby mnie odwiedzili, chcę się z nimi pożegnać. Zmienia temat. – Był u mnie Włodek Kłaczyński, dał mi swoją książkę. Czytam ją z zapartym tchem, jestem na 50. stronie. Przygotowywałem mu kilka pozycji do druku, robiłem skład, korektę. Mam jakiś żal, że w tej biografii nie wspomniał o tym.

Z Jurkiem umawiamy się na spotkanie po połowie lipca, kiedy wrócę znad morza.

Tak jak chce, docieram do jego znajomych. Kazikowi, z którym Jurek 33 lata temu zakładał „Tygodnik Nadwiślański”, trudno uwierzyć w śmiertelną chorobę kolegi. Pyta o rokowania leczenia. Prawie krzyczę: – To jest jego ostatni przystanek, nie ma ratunku. Nazajutrz Kazik usłyszał od Jurka: – Leżę na łożu śmierci i czekam końca.

5 lipca w telefonie Jurka słyszę głos jego żony. – Zabrałam mu telefon, jest nieprzytomny, a jeszcze wczoraj długo z nim rozmawiałam, nie mogliśmy się rozstać.

Dzień później dostaję sms z Tarnobrzega: – Jurek nie żyje. Dowiaduję się od jego córki, że to stało się o czwartej nad ranem.

Koziół mądra głowa

Minął tydzień po pogrzebie Jurka. Jadę do Tarnobrzega aby porozmawiać o nim z jego żoną, właściwie już z wdową. Znam ten blok i mieszkanie. Niewiele się zmieniło. Dużo książek, bibelotów. Siadam na kanapie. – Akurat jest, no było, to jego ulubione miejsce – mówi Jadzia. Ciężko jej mówić o nim w czasie przeszłym. Nawet jedzenia tyle kupuje, jakby tu był za tą ścianą. Wchodzimy do jego pokoju. Ściany zdobią rodzinne zdjęcia. W regałach książki i setki płyt. Na stole komputer, obok kilka słoiczków wypełnionych sproszkowaną lucerną. W oczy rzucają się zakorkowane gąsiorki z nalewkami i słoje zasypane zielonym agrestem, truskawkami i czereśniami.

Dowiaduję się, że Jurek, z wykształcenia fizyk, idealnie dobierał proporcje nalewek. Jedne miały grzać w zimowe wieczory, inne leczyć i dawać solidny zastrzyk energii. Od wiosny do jesieni, wszystko co owocowało układał warstwami w słojach, zasypywał cukrem i zalewał spirytusem.

– Jadziu, mogę spróbować ratafii?

– To chyba ta – wskazuje na ciemną, do połowy opróżnioną butelkę i przynosi kieliszek do wódki. – Napij się, jest słaba, sama esencja owoców. Ja nie mogę, biorę tabletki, mam nadciśnienie.

– Wydaje mi się, że Jurek na nas spogląda – patrzę wymownie w górę...

Ratafia ma mocny bukiet, jest gęsta i smakuje jak syrop.

Oprócz wyśmienitych nalewek potrafił filetować ryby i przyrządzać je na różne sposoby: ryby w galarecie, marynowane, duszone, pieczone, opiekane z grzybami. Trzecia pasja to majsterkowanie w drewnie. Samodzielnie wykonał zabudowę kuchni, zrobił boazerię w pokojach i na korytarzu, i półki na książki.

– Trudno, oj trudno go było odciągnąć od gazety. Jego myśli cały czas krążyły wokół redakcji. Dosyć, że późno z pracy wracał do domu, to ślezczał w kuchni nad tekstami do północy. Rano niewyspany, nieobecny, poruszał się jak automat. Jak było coś nie tak w redakcji, chodził nabuzowany. Nie zrażał się jednak do ludzi, panował nad emocjami. Pamiętasz przecież nasz dom, był otwarty, tu przychodziły gromady ludzi.

– Jurek nazywał cię dyrektką, ty w domu rządziłaś.

– Bo mu było tak wygodnie. Często wymigiwał się od zajęć domowych, bałaganiał, ciągle gubił i szukał pism i zapisanych karteluszków. Jak go o coś prosiłam, kiwał głową, że nie zapomni. I zapominał. Pracowałam jako nauczycielka, wychowywałam trzy córki. W pewnym momencie zadbałam, żeby im poświęcał więcej czasu i postawiłam na swoim. Kąpał je, karmił oraz organizował im weekendy. Najczęściej zabierał dziewczynki na dworzec kolejowy i oglądał z nimi pociągi i parowozy. W Tarnobrzegu wiedział, o której odjeżdżają pociągi do Nowej Dęby czy Sandomierza. Wsiadał do przedziału z córkami, żeby nie zapomniały, jak wygląda podróż koleją. Wnuków wciągał w to samo. Dziadek Jurka był kolejarzem, zaszczepił mu zamiłowanie do torów, drezyn, wagonów.

– Twoja imienniczka, najstarsza córka Jadzia ma dwóch synków, Inka dwie córki. Asia jest niezamężna. Najmłodsza wnuczka Hania przyszła na świat, gdy dowiedzieliście się o chorobie Jurka.

– Jesteśmy bardzo zżyci ze sobą. Te ostatnie dwa lata jeszcze bardziej nas scementowały. Święta spędzaliśmy wszyscy razem. Jurek najwięcej czasu poświęcał wnuczkom, chciał, żeby go zapamiętały. Z Michałkiem i Kubą grał w warcaby i domino. Dziadek dzień zaczynał od czytania bajek. Helenkę trzeba było poskromić, już o szóstej biegła do niego z książką. Chodził z nimi na spacer, uczył rozpoznawać drzewa, pokazywał na wsi zwierzęta i ptaki. Najlepiej czuliśmy się, i tak jest do tej pory, na mojej ojcowiznie w Jarosławiu. Kiedy wchodzisz na ulicę Wiejską, wydaje ci się, że jesteś na wsi. Sędziwy ogród zachwyca czereśniami, gruszami. Takiego gatunku gruszek, które zasadził dziadek, nie ma już w sprzedaży. Przed oknem jabłoń, rodzi co roku czerwone jabłka, przechowujemy je do

grudnia, tuż obok rosną porzeczki, maliny. Wszędzie panoszą się chwasty i niech tak zostanie. Dalej klony, dęby, modrzewie, soczysta trawa, ot bajkowy świat nie tylko dla dzieci.

Jurka oczarowało to miejsce, lecz w ostatnich dwóch latach coraz rzadziej je odwiedzał. Rodzina nie pozwalała mu na dalsze wypadki, tkwiła w niej czujność, że w każdej chwili może mu się coś stać. Niewesołe myśli krążyły, czas nieubłaganie uciekał, nie można jednak za życia nosić żałoby. Jurek cieszył się wnukami i emeryturą, na którą tak ciężko zapracował.

Jadzia przemawia obrazami: — Nie histeryzował, może stał się bardziej zamysłony? Może odtwarzał, to co za nim? Z tą jego chorobą chodziliśmy pod rękę. Myśmy nie dygotali, nie chowali się po kątach. Nie bawiliśmy się w terapeutów. Nie zadawaliśmy sobie też pytań, dlaczego? Trzeba było się z tą nową sytuacją zmierzyć. Było przerażenie, odchodzenie od zmysłów, ale nieodczuwalne. Dom ma być ostoją spokoju, nie paniki. Choć był taki moment, że i ja znalazłam się w szpitalu.

— W połowie czerwca Jurek czuł się z dnia na dzień coraz gorzej. W szpitalu nie wstawał z łóżka. Przyglądanie mu się sprawiało mi ból. Robiłam cokolwiek, podnosiłam mu głowę, przesuwalam go na bok, dotykałam czoła. Zawsze było lżej, niż tylko płakać, pogodzić się z tym, że to nastąpi, że już NIC więcej nie można zrobić. Córka Inka jest pielęgniarzką, w ostatnich dniach nie odchodziła od jego łóżka. Wiele radości sprawiali mu przyjaciele, znajomi, którzy go odwiedzali. Ostatnią książkę, jaką zaczął czytać, to *Zobaczyć rzeczywistość*. Jest w niej rozmowa Janusza Termera z Włodkiem Kłaczyńskim. Na trzeciej stronie widnieje wpis „Wszystko, co chciałbym Ci napisać, jest banałem”. Sandomierz 24.06.2013 r. Włodek

Jadzia przynosi ostatni egzemplarz „Tygodnika Nadwiślańskiego”. Na pierwszej stronie w górnym rogu czytamy: „Zmarł nasz redakcyjny kolega Jurek Koziół. Wspominamy go na s. 3”.

Po kilku godzinach rozmowy z Jadzią wsiałam do busa z przesiadką w Sandomierzu. Na dworcu, czekając na autobus do Kielc, spotykam dawno niewidzianego publicystę. Wspominamy Jurka, oboje z nim pracowaliśmy. — On był ateistą? — kolega patrzy mi wnikliwie w oczy i szuka potwierdzenia. Odpowiadam z przekonaniem patrząc mu w oczy: — Jurek szukał Boga, długo go szukał... i znalazł, jeszcze za życia. A może to Bóg go odnalazł?

W autobusie otwieram tygodnik. Na trzeciej stronie jest o nim artykuł „Czas go przechytrzył”. Rozpoczyna go zdanie: „Jurek odszedł od nas 6 lipca o czwartej rano, mając zaledwie 67 lat”.

Stronę wypełniają także kondolencje.

„Słowa są zbyt mało pojemne, by wyrazić to, co daje nam życie i zabiera śmierć. Żegnaj Jurku, drogi przyjacielu” — te pożegnalne słowa są ode mnie dla Jurka.

Kielce, październik 2013 roku

Anna Zielińska-Brudek

A Kobieta chodzi...

Nie wiadomo skąd przychodzi i dokąd zmierza. Jedno pewne — życie we wsi jest odmierzane jej krokami i toczy się od wizyty do wizyty tej dziwnej niewiasty. Zaiste dziwna to Kobieta. I choć wielu ze wsi ją widziało, to nikt nie potrafiłby opisać jej wyglądu. Niektórzy z tych, co ją zobaczyli, przechodzili na drugą stronę drogi i już stamtąd nie wracali. A tym, którzy się o nią zaledwie otarli, nigdy nie ukazała się wyraziście. Jawiła im się niczym widmo ze złej bajki. Opowiadali o tym niechętnie, a większość zachowywała się tak, jakby jej w ogóle nie było.

— Ani chybi — Śmierć — mówili jedni, ci odważniejsi, a drudzy — to chyba zwiastunka Złego.

Tego wieczoru ktoś ją widział pod lasem, tam gdzie niedawno postawili te nowobogackie domy. A rano we wsi zawrzało. Jaką staroświecką, pantoflową pocztą, bo przecież nie e-mailem ani też telefonami, bo któż by wydawał na nie pieniądze, skoro chałupa stoi przy chałupie. No to się rozeszło — powiesił się ten młody spod lasu, a powiesił się, bo za dużo ostatnio pił. Robił awantury, a może to ona, ta jego kobieta robiła awantury, bo on pił? — zastanawiała się cała wieś. Ba, nawet się podzieliła: na baby, co były za młodą i na tych chłopów, co byli przeciw niej.

— Puszczala się dziwka, to nie wytrzymał, no to wziął i się obwiesił — mówili niektórzy, zaciągając się papierosami i siarczycie spluwając. I tak gędzili: chłopie w gospodzie, być może, że to już... był pub, a baby po opłótkach, póki ćmok nie zagnał powoli ich wszystkich do chałup.

W dniu pogrzebu, gdy cała wieś poszła na cmentarz, zerwała się straszliwa burza. Nie sposób było odgadnąć, czy to był maj, czy lipiec... a może marzec...? — bo prawie wszystkie liście z drzew zmiotł wiatr, na niebie czarno, na ziemi szaro od ulewy. Gadano potem, że to tak od wdowich łez. A tak po prawdzie, to mało było tych, co tak szeptali, bo reszta gadała, że ten huragan to kara boska na te niewierną kobietę i szkoda, że ten deszcz i ten wiatr... no po prostu udało się jej skryć swój wstyd, ale i tak hańby z siebie nie zmyje.

Długo jeszcze we wsi aż się trzęsło od plotek, domysłów, w końcu ucichło jak zawsze, bo inne już sprawy zaważadnęły ciekawskimi głowami. Wkrótce też i ścieżka do obejścia wdowy zarosła chwastami, a i sama wdowa niezadługo potem wyjechała do miasta w poszukiwaniu pracy i spokoju. Czy znalazła to, czego szukała?

A Kobieta... chodzi po wsi

Ktoś ją zobaczył jak w to upalne letnie popołudnie zmierzała ścieżką prowadzącą nad rzekę.

Gorące lato, rzeka leniwa, jakby spała, a gdzieś z pobliskiego wzgórza dochodzą wrzaski. To kłóci się takich dwóch, oni się zawsze kłócili ze sobą o byle co, a potem znowu razem pili, kłócili i... Ale tego dnia byli wyjątkowo agresywni wobec siebie, choć pili wspólnie bimbler od samego rana, to i tak posprzeczczała się o tę dawno przeżulaną morgę, która niczym jakieś widmo mającyla już tylko w ich pijanych łbach. Przez chwilę szarpali się i popychali wzajem ku urwisku. A potem jeszcze tylko straszliwy krzyk przerażenia – jeden z nich, ten bardziej agresywny potknął się o kamień, zachwiał się i jakby w zwolnionym tempie zsunął ze skarpy prosto w nurt wyjątkowo leniwej tego dnia rzeki. Znudzona monotonią szeroko rozpostarła ramiona i mocno objęła pijaka. I zanim ten drugi, przerażony, sturlał się po zboczu, boleśnie się raniąc, by ratować kompana, już go nie dostrzegł. W sekundę otrzeźwiał, ale tylko rozchodzące się leniwie na wodzie kręgi zaświadczały, że był tu przed chwilą człowiek. Dwa tygodnie szukano topielca i ponoć jacyś przypadkowi wędkarze wyłowili go w niedzielny poranek zamiast ryby, którą planowali na świąteczny obiad. Długo potem nie wzięli rybiego mięsa do ust.

A Kobieta...?

Ciągłe chodzi. Tym razem ktoś ją zobaczył tak jakoś nieopodal starych stodół, zmierzchało już.

Jest wczesna jesień, gorący, upalny wrzesień, wielka szkoda, że zmierzch zapada już tak wcześnie, bo można by dłużej posiedzieć na ganku i pogwarzyć z sąsiadką. W tych okolicach często szaleją burze, ale takiej od pogrzebu samobójcy spod lasu nikt nie pamiętał. Pioruny waliły bez opamiętania, niebo otwierało się na oścież nieomal bez przerwy i tej nocy było wyjątkowo głucho na modlitwy przerażonych i błagających je o zmiłowanie ludzi. I jakby tego nie było dosyć, ogromnym czerwonym kurem zapłonęły stodoły stojące na skraju wsi. Ogień był tak wielki, że nawet szalejącej ulewie nie udało się go ujarzmić. A psy wyły tak głośno, że zagłuszały syrenę ochotniczej straży pożarnej.

Nad ranem i burza, i deszcz, i ogień ustały. Ze stodół i z plonów, bo jak raz zwieziono zboże z pól, nie pozostało już nic. Ale to jeszcze nie było najgorsze. Wczesnym rankiem obiegła zagrody straszliwa wieść. Wyrodna matka utopiła swoją małą córeczkę w rzece. Ponoć kochanek ją do tego namówił. To właśnie w tę burzę, kiedy większość mieszkańców nawet bała się wystawić nosa za próg chałupy, ten potwór topił swoje dziecko.

– Czy miłość może być tak okrutna...? I czy to w ogóle jest miłość, skoro pozwala na zabijanie innej miłości...? – zastanawiali się ludzie po chałupach.

Tym razem przerażeni ogromem złego, wypowiadali te słowa szeptem i nie było nikogo, co by się odważył wziąć

w obronę morderczynię. A ta nad ranem – może wiedziona wyrzutami sumienia... wróciła na miejsce zbrodni. Siedziała teraz na brzegu rzeki, nieopodal mostu i trzymała tę swoją małą córeczkę, teraz podobną do szmacianej lalki. Co myślała, czy było jej choć trochę żal...? Kochanka przy niej nie było, może nagle przestała być mu potrzebna, a może przeraził się tej opętanej miłością do niego kobiety. Może pomyślał, że nieświadomie sobie szykuje podobny los, gdy jemu kiedyś znudzą się jej pieszczoty.

A ona teraz siedziała i trzymała tę szmaciankę w ramionach, może pierwszy raz tak trzymała tę swoją kruszynkę, bo wcześniej nie miała na to ani ochoty, ani cierpliwości. Mężczyźni i alkohol, jedynie to nadawało jej życiu sens. A mała jej tylko w tym przeszkadzała, była jak przysłowiowa kula u nogi. A teraz już dzieciobójczyni siedziała na tym brzegu, w miejscu gdzie sama odnalazła ciało dziecka i nie usiłowała nawet w nikim wzbudzić litości. Poddawała się, ugiwała pod ciężarem niemych, ale pełnych wyrzutów spojrzeń gapiów, którzy jakby zapomnieli o swoich burzą spowodowanych stratach, wielkim tłumem przybiegli pod most.

A Kobieta chodzi...

Tym razem przechodziła koło obejścia Kowalików, i ponoć to sama Kowalikowa ją zobaczyła, ale nigdy nikomu nie chciała o tym powiedzieć.

Wieś znowu kipi od plotek. Podobno żona gajowego uciekła z synem, no tego, co kupił masarnię, a może rozlewnię wód? Nie, to jakaś inna historia. Tym razem, to stary Kowalik ganiał swoją żonę z siekierą, bo miał podejrzenie, że zdradziła go z tym przystojnym wczasowiczem, co to przyjechał aż z Warszawy ze skierowaniem z FWP na dwutygodniowy urlop. Gdyby nie uciekła do sąsiadki przez oblużowaną sztachetę w płocie, być może we wsi nie obyłyby się bez kolejnej tragedii. Sąsiadka dobrze zawarowała drzwi, chłop nazajutrz otrzeźwiał, darował żonie, a ona na zgodę obdarzyła go drugim synem. Wiele lat pamiętano o tej historii – gadano i śmiano się, że sam Kowalik sobie winien, bo po co brał sobie taką młodą żonę, której nie dał rady wygodzić. A ona jeszcze długo, gdy tylko przymykała zmęczone trudami dnia powieki, widziała młode szare oczy i płową czuprynę chłopaka, który na wiele lat wniósł niepokój w jej życie i nigdy tego nie żałowała, bo zrozumiała wtedy, w tamto upalne lato, czym jest prawdziwa namiętność i pożądanie. Te dwa tygodnie to były jakby jej biologiczne akumulatory, z których czerpała przez wiele lat energię do dalszej egzystencji, bo wszystko po tamtym lecie wydawało się jej szare i zwyczajne. A gdy już do bólu zatęskniła za tamtym młodym muskularnym mężczyzną, to wtedy mówiła do siebie z goryczą – szkoda, że mnie mój wtedy z tą siekierą nie dopadł.

A Kobieta dalej chodzi...

W czerwcowy wieczór szła główną drogą, co wiodła do przystanku autobusowego. Gdzieś tak w połowie tej drogi stała stara

chałupa. Wyprawiało się tam od lat wiele i o wiele za dużo złego. Tego kąpiącego się w zachodzącym słońcu wieczoru, gdy dziwna Kobieta mijając to ponure siedlisko, z podwórza ścigały ją wrzaski schizofreniczki. Straszliwie bluźniła, a w dłoni trzymała nóż. Za wrzeszczącą laźl niedomyty, ponury chłop. Jakoś tak sprawnie i sprytnie zagarnął wyrzaskującą niesamowite bluźnierstwa żonę, odebrał jej nóż i wciągnął na powrót w obejście. Kobieta minęła obojętnie domostwo, a im udało się jeszcze raz uniknąć najgorszej tragedii.

— A cichaj ty, głupia babo, toć ty na mnie zawsze z pięściami, a i nawet z nożem. Gdzie ja ciebie biję? Znowu coś ci się uroiło!

U sąsiadów w oknach zatańczyły firanki, by po chwili z gracją, jak utalentowane baletnice osiąść na parapetach. I nikt nie pośpieszył z pomocą, bo i po co, skoro do takich scen zdążyli się już przyzwyczaić. Powtarzały się z zadziwiającą wręcz regularnością. To przedstawienie nie schodziło od lat z afisza.

Na krótki moment oczy chorej napotkały karzące spojrzenie tamtej, która postanowiła wrócić za niedługo. I choć tego wieczoru przeszła dostojnie obok zagrody awanturników, i choć na pozór nic szczególnego się już nie wydarzyło, to kilka dni później wieś obiegła wiadomość, że tej chorej na umyśle Maryśce zmarło się we śnie. I jakie to są dziwne koleje losu — rozprawiały sąsiadki. Tego dnia w ich obejściu panował wyjątkowy spokój, i to właśnie wtedy jej się zmarło! Odeszła w ciszę.

I Kobieta poszła dalej...

Już od samego rana, w Wigilię Bożego Narodzenia, niektórym wydawało się, że Kobieta krąży niespokojnie w pobliżu przystanku autobusowego, ale wszyscy udawali, że jej nie widzą. Trwały ostatnie przygotowania do kolacji wigilijnej, niecierpliwie wypatrywano pierwszej gwiazdy na granatowym niebie. Ludzie za nic na świecie nie chcieli sobie psuć świątecznego nastroju. Tego właśnie dnia, po wyjątkowo

deszczowym do tej pory grudniu, chwycił mróz, jakby Święty Mikołaj chciał obdarzyć i przyrodę darami. Drzewa przybrał w brylanty, jakby lisim futrem — śniegiem okrył chodniki i tak cudownie skrzypiał ten biały puch pod butami, gdy przed północą w ciepłych paradnych ubraniach, odświętnych nastrojach i niestety często po wódce wierni parafianie udawali się całymi rodzinami do kościoła. I może z tego powodu nikt nie zauważył szarego tłumoka jakby rzuconego na ławkę pod wiatę przystanku PKS.

Dobrze już po północy hałaśliwi młodzi wracający z pasterki, chcący sobie jeszcze pobaraszkować pod wiatą, spostrzegli ten tłumok, który okazał się być człowiekiem. Widać bardzo chciał żyć, bo opatulił się chyba wszystkimi szmatami, które udało mu się wyciągnąć ze stojącego nieopodal pojemnika PCK na używaną odzież, by osłonić się od wiatru i zimna. Ale nie udało się, i tak zamarł. Jakaś dziewczyna histerycznie krzyknęła, gdy towarzyszący jej chłopak ściągnął kawałek szmaty, i w nikłym świetle latarni ukazała się ludzka twarz. Była wychudzona, zarośnięta, mróz ściągnął jej rysy, nadając majestatyczny, wręcz boski wyraz.

I wtedy — teraz już stara Kowalikowa, co jak raz nadeszła na ten moment, powiedziała jakoś tak...

— A może to sam Stwórca przyoblekł się w te szmaty, byśmy otworzyli oczy i wreszcie zrozumieli, że są rzeczy ważniejsze niż plastikowe choinki z supermarketów.

Lata mijają, a Kobieta chodzi...

Tu ślub... tu narodziny... a może kolejność była odwrotna...?

A tam... gdzie taka cisza zapanowała — właśnie przyszła w gošcinę Kobieta.

Iwona Zielińska-Zamora



Pastel autorki

Limeryki

Pragnąc usilnie erotycznych przeżyć doznać w bród
Kasjer z Piotrkowa do sławnych raz się wybrał wód
Lecz na uciechy kasjer łasy
Zasoby wziął był nie ze swojej kasy
Gdy zatem wrócił z onych wód, szybko się wyzbył wszelkich złud.

*

Z Kołomyi w pretensjach apetyczna podwika
Z rozmysłem notorycznie unikała stanika
Dysząc żądzą. Ale nawet w bezruchu
Biust wspierał się na jej brzuchu,
U płci brzydkiej więc popęd dość skutecznie zanikał.

*

Dobrze wychowany Damian z Gdyni zniecka
Miał pleść duby smalone, przestał z damą się cackać.
W łóżko szybko ją złożył
I przykładowie schędożył.
Dama rzekła w zachwycie: ależ miłość to była wariacka.

*

Pewien małżonek z Iłży, wielki safandula,
Nie śmiał żonie odmówić niczego. Nawet muła
Jej nabył, który był jej słodką,
Najulubieńszą wręcz maskotką,
Którą u Diora szykownie ubrała i obuła.

*

Znany globtroter z Polczyna, Emeryk
Nie wiedział, co to takiego limeryk,
A nie był on głąb
Całe bowiem połacie w głąb
Spenetrował Euro-Azji i obu Ameryk.

*

Wie z której strony nowości wiatr wieje,
Co to anapest, aporia, minucie, jamby i trocheje,
Lecz nie wie, jak normalnie żyć,
Czy dupa to inaczej rzyć?
Tak w gabinecie swoim jałowuje.

*

Raz pewien młodzian ze Skierniewic
W mieście swym czystych szukał dziewic,
Ale znajdował niezbyt czyste
Mył je więc z troską w wódce czystej
I nie wiadomo czy to witz był, czy nie witz.

*

Johan Schroeder biznesman z Moguncji
Rozmyślał nieustannie o wartości uncji
Złota. Jak też na giełdzie stoi
Ustawicznie się niepokoił,
Tak że z troski tej upodobił się on do opuncji.

*

Pewien purysta z egzotycznej Etiopii
Dziwaczne (wedle niego) słowa tropił.
By swej wiedzy dać popis,
Lżył słowo melapropizm
Z czym wyskoczył jak Filip z konopi.

*

Raz nowy i złośliwy polonista w liceum jezuickim
Dyktando z ortografii ogłosił w stylu wręcz zbójnickim.
Chciał bowiem, jak to belfer nowy,
By w klasie poleciały głowy,
Ale nie wiedział, że wśród uczniów byli Jodłowski i Taszycki.

*

Piękna pani prezes w spółdzielni w Wądołnie
Była zdania, iż demokracji należy się uczyć mozolnie.
Żadnych nakazów z góry,
Nowe wdrażajmy kultury
Mówiła. Więc jeden z członków zarządu sprawę załatwił
[oddolnie.

*

Pewna modelka z St. Tropez
Pasjami uwielbiała bez.
Gdy jej Adonis,
Wielbiciel piwonii,
Poprosił ją o strip-tease rzekła: chcesz bez, to daj bez.

*

Zdolny poeta z Jasła, konkubent Deotymy
Uwielbiał uczestniczyć w pojedynkach na miny.
I był w tym finezyjny,
Aluzyjny i precyzyjny
Aż jedna nagle wybuchła. Pogrzeb odbył się na koszt gminy.

*

Niewinny pajacyk drewniany Pinokio
Stwierdził u siebie buszujący w najlepsze gonokok.
Co za farsa, on rzekł,
Po czym natychmiast zbiegł
Z kart książeczki, co w świecie znana była szeroko.

*

Obieżyświat, co trafił na wyspy Galapagos
Notorycznie upijał się w piątce malagą.
Gdy dłaczego w ten dzień
Ktoś pytał, diabeł wstępował weń
I pytającego grzmocił zakopiańską ciupagą.

Marlena Zynger

pocałunek

całuję zatajone marzenia
pieszcząc przymknięte powieki przewrotnie
niby mimochodem snu dotykam ustami
delikatnie kosztując
choć mogłabym zjeść

pocałunek bowiem jest balansowaniem
pomiędzy skrajnościami
zezwoleń a powstrzymaniem
zamysłem a nieświadomością
dobrem a złem

muskam Twoją wyidealizowaną rzeczywistość
subiektywną kreację
mierząc się jednocześnie z empirią zastaną
ciepłą skórą nagrzaną pulsem oka
i promieniami słońca

i uwierz
mogłabym tak bez końca

racja potrójna

trzy piękne
trzy inaczej uduchowione

trzy kobiety
jak trzy boginie Olimpu
mężczyźni objawione
w ogrodzie Parysa

trzy gracje
trzy inaczej uwielbione

i jabłko dandysa
dla wybranki

trzy męskie namiętności
trzy jego kochanki
i trzy racje
wolą natury połączone
męstwa miłości i mocy obietnice

rozłączone przez zazdrość
córkę nocy

zemstę i pożądanie
a może los
bądź efekt tradycji lub wiary

i on
z jednym jabłkiem
dla stworzenia pary

on mężczyzna
z koniecznością wyboru
jednej ze swoich racji

on niedoskonały
z niepełnym poznaniem
skazującym ostatecznie
każdą decyzję jego na klęskę

a skutków wyboru
zawsze będzie mało

nie wystarczy wojna trojańska
samobójstwo i rozpacz

bo jakże rozdzielać całość



Poetka (autorka kilku tomów wierszy, także w przekładzie na j. angielski) jest od niedawna wiceprezeską Stowarzyszenia Promocji Polskiej Twórczości i redaktorką naczelną nowo powstałego kwartalnika „Liry Dram”. Ma w swojej biografii okres suchedniowski, który wspomina z sentymentem.

W jaskini

Trzeba nas było widzieć wychodzących z jaskini
uderzających kijami o wodę
łowiących wypłoszone ryby
wyruszających tropem zwierząt
mamutów włochatych, jeleni olbrzymich
w naszym pobliżu czały się wilki
słyszeć dawał się ryk lwów jaskiniowych, niedźwiedzi
nieśliśmy kamienie albo topory
związane rzemieniem
pośród hałasu uderzeń o pnie
piszczałek wierzbowych
dla bojowego ducha i lęku
bo trzeba przyznać włos stawał dęba
gdy w naszym pobliżu czały się koty
olbrzymie o niesłyszalnym stąpaniu
kłach budzących trwogę
albo dawał się słyszeć ryk zwierząt
kobiety nasze w tym czasie
dla zmiękczenia przeżuwały skóry
dorzucając do ognia szczap smolnych
czuwając u wejścia jaskini
trwożyliśmy się o nie jak zawsze
wszak mogły zostać porwane
do jaskiń o dwa dni marszu odległych
trzeba było usłyszeć ich odgłos ulgi
na widok zwierzyny niesionej na drągach
i nasz powrót szczęśliwy z wielodniowej wyprawy
teraz dopiero można było
obmyślać następne łowy
w nocie ciemne jak nigdy
z migotaniem ogniska u wejścia
kurtyną ognia bezpieczną
dla naszych żon i niemowląt
śpiących z piąstką pod policzkiem

pochylacie się, wiemy, nad kością
rozłupaną dla szpiku smacznego
nad igłą rogową
co się zwyczajnie w zamęcie zgubiła
a was zachwyca tak samo
jak galop zwierząt na ścianach jaskini
z lekkością sunących przed siebie
Widzieliśmy cienie na ścianach jaskini
do głowy nam jednak nie przyszło
jaka to filozoficzna kwestia
przeczuwaliśmy jednak wiele rzeczy
o których mówicie, że wiecie na pewno

Niektórych zna się zaledwie z opowieści
z fotografii w encyklopedii
z lektur wieczornych
z wizyty w teatrze
z podręczników historii
albo na ulicy objęło się wzrokiem
znało się albo zaledwie o nich słyszało
niektórzy szli obok
przez jakiś czas wspólnej drogi

naraz wszyscy ci ludzie
których się w sobie niesie
nastają dopominają o głos
przemawiają tysiącem języków
tłumaczą z postępków
gwałtownych emocji
zaniechań i czynów,
po których świat osądza

a są natarczywi
jakby miał to być występ
przed liczną widownią
a nie teatr jednego widza

ludzie, których nie widać
uparci jak cienie
w słoneczne południe
idą z nami
w sobie ich się niesie
dopóki się idzie

Leci się

W zasadzie nic takiego się nie dzieje
Kilka wojen – wszystkie daleko
Trzęsienia ziemi – tym razem nie u nas
Na spacer się idzie, czyta po obiedzie
Narzeka na samotność albo na deszcz

A drzewa w parkach, a wody w rzekach
Chmury i góry, tufy i krzem
Słonie i konie, humbaki, alpaki
Jeże, jerzyki, nietoperze i perz
Zwierzęta wymarłe a czemu by nie
I ścian kolumny i meble po przodkach
Pomysły na życie, miłość i gniew
Błękitna planeta i zbiory galaktyk
I tak to razem aż nadto razem
Leci się

Powieści, które nie nudzą, czyli o ostatnich utworach Edmunda Niziurskiego (1925–2013)

Dorobek pisarza jest bardzo bogaty, różnorodny gatunkowo i genologicznie. Obok licznych utworów kierowanych do młodych odbiorców o charakterze przygodowo-detektywistycznych czy społeczno-obyczajowych publikował powieści fantastyczno-naukowe. Ważną częścią tego pisarstwa są także powieści dla dorosłych, np. *Przystań Eskulapa* (1958), *Pięć manekinów* (1959), *Salon wytrzeźwień* (1964) czy *A potem niech biją dzwony* (1976).

Autor w swej twórczości wskazuje na różnorodność problemów, z którymi boryka się społeczeństwo. Ulubionymi jego bohaterami była dorastająca młodzież. To jej poświęcił bardzo ciekawą nawiązującą do przemian politycznych powieść pt. *Pięć melonów na rękę* (1996).

Autor pokazał bez ogródek złożoność problemów polskiej rzeczywistości we wczesnym okresie transformacji ustrojowej. Znakomity pisarz ujawnił, niemal od podszewki, różnorodne efekty następujących lawinowo zmian życia społecznego. Rodzina Witka Muchy, na skutek nieudolności ojca do robienia interesów, znalazła się w bardzo poważnych kłopotach finansowych. Jednym z najbogatszych ludzi w okolicy stał się pan Szyjka — właściciel lombardu. Niziurski nie wahał się pokazać przedstawicieli świata dorosłych działających na pograniczu prawa, jak chociażby Artur Saleda, który przerwał studia i „wziął się za konkretną robotę” zgodnie z powiedzeniem, że pierwszy milion trzeba ukraść. Inaczej starają się postępować Jacek Pająk i Witek Mucha z grupy, której przywódcą był kiedyś Artur Saleda. Zafascynowani „szczęśliwą gwiazdą” swego byłego przywódcy, pamiętają jednak o tzw. uczciwości kupieckiej. Dorastającym chłopcom marzącym o szybkim zdobyciu pieniędzy wydaje się, że będą



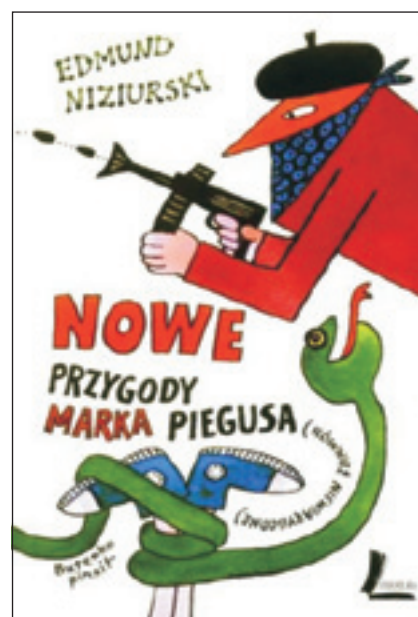
je mogli osiągnąć uczciwą drogą. Szybko jednak przekonują się, że jest to prawie niemożliwe. Ci „młodzi biznesmeni” popadają w tarapaty, gdyż dążą ścieżkami wytyczonymi przez ich nieuczciwych poprzedników, a droga do „pięciu melonów” okazuje się krętą i pełną meandrów.

Autor, zgodnie ze swą sztuką narracji, mnoży perypetie, by dać młodym bohaterom możliwość dojścia do wniosku, że uczciwość kupiecka jest rzeczą ważną. Popadają jednak w konflikt z prawem, gdyż nieświadomie zostają uwikłani w nieczyste interesy swych kontrahentów. Powieść może ekscytować nie tylko młodych czytelników poruszonymi zagadnieniami, przyciągać żywością akcji, barwnością i soczystością języka.

Podobnie atrakcyjną jest akcja drugiego tomu dylogii o Marku Piegusie pt. *Nowe przygody Marka Piegusa*, której część pierwsza pt. *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa* wyszła w 1959 roku.

Schemat detektywistyczno-przygodowy zastosowany w utworze, choć może części czytelników przysłonić inne walory powieści, stanowi tylko konstrukcję nośną dla innych ważnych zagadnień, jak poczucie odpowiedzialności za swoje postępowanie czy konsekwencje nieuczciwości dorosłych.

Powieść Niziurskiego ujawnia niuanse życia społeczeństwa polskiego końca lat 80. Losy tytułowego bohatera bardzo się skomplikowały, rodzina popadła w ogromne długi. Ojciec ukrywa się przed wierzycielami w sanatorium, wszystkie cenniejsze rzeczy ukryto u krewnych, a matka przeżywa ogromne stesy i chociaż kiedyś taka energiczna, dziś musi zasięgać pomocy u bioenergoterapeutów. Wy-



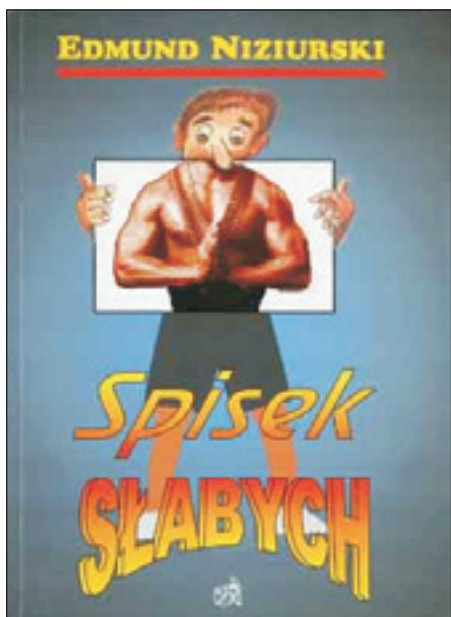
mownym wyrazem oceny rzeczywistości jest opinia byłego przedstawiciela „półświatka” Chryzostoma Cheralwego: „Wszystko się pomieszało. Biznesmeni stają się oszustami, a dawni oszuści – biznesmenami!...”.

Obok tych elementów, które pośrednio związane są z zaburzeniami w przemianach ustrojowych, odnajdujemy w powieści, co było dotychczas rzadkie u Niziurskiego, problemy rodzinne. Nie są one tak mocno eksponowane, jak u Krystyny Siesickiej czy Małgorzaty Musierowicz, ale świadczą o tym, że pisarz dostrzega je. Chodzi tu o zmianę sytuacji rodzinnej Sylwka Baruszyńskiego, którego macocha, primadonna operowa, postanawia wbrew jego woli przygotować do zawodu śpiewaka. Ta dość despotyczna osoba ogranicza możliwości rozwoju jego dotychczasowych zoologicznych zainteresowań. Wyeksponowanie tego zagadnienia świadczy o ciągle trafnym postrzeganiu świata przez pisarza, który postanowił stale aktualizować poruszane sprawy i nadążać za aktualnymi problemami swych czytelników.

Ostrość spraw społecznych i moralnych prezentowanych w utworze łagodzi pisarz swym doskonałym wyczuciem komizmu zdarzeń, sytuacji, a także postaci.

Ważnym tematem pełniącym swoistą rolę podsumowującą dorobek Pisarza w zakresie form literackich jest zbiór opowiadań pt. *Spisek słabych* (1998). Ukazał się on w rodzinnym mieście

pisarza, które stale pojawiało się w jego narracjach powieściach. Zbiór wyeksponował problemy etyczno-moralne dotyczące nie tylko młodych bohaterów, lecz również otaczających



ich ludzi dorosłych. Przygodowość jest tu tylko elementem uzupełniającym, przydającym barwności przebiegowi akcji. Utwory zawarte w tomie ujawniają stale aktualne sprawy zachowań i postaw jednego człowieka wobec drugiego. Życzliwość wobec innych, umiejętność znalezienia się w zespole, zachowanie własnej tożsamości i niezależności, czasem bezwzględność zespołu wobec jednostki. Zagadnienia te zostały poszerzone o sprawy odpowiedzialności za innych w stosunkach między młodzieżą a dorosłymi, jak choćby w *Trzynastym występku* lub *Czy będziesz moim tatą?*

Szczególnie ten ostatni utwór wydobywa aktualne sprawy związane z funkcjonowaniem rodzin niepełnych i pragnienie dziecka do posiadania obojga rodziców. W opowiadaniu *Czy będziesz moim tatą?* Niziurski wyeksponował w sposób fenomenalny potrzebę pełnej rodziny. Nie rozpatruje tu powodów zniknięcia ojca Wowy Nowaka, ale przyjmując ten fakt, niewąznicznie wskazuje, czym staje się to dla chłopca. Wowa zamyka się w sobie, odsuwa od rówieśników. Nie uwalnia go to jednak od złośliwości niektórych kolegów z klasy. Pisarz stosuje tu po mistrzowsku prosty chwyt, dowartościowując kolegę znani z trylogii powieściowej Bąbel i Syfon. Dzięki ich zabiegom pan Robert Nowak z Canady podwozi Wowę swym białym fordem do szkoły. Tym razem ich czyn świadczy nie tylko o żyłce detektywistycznej, ale przede wszystkim o wielkoduszości oraz dojrzałości godnej wytrawnego pedagoga.

Niziurski nie po raz pierwszy ujawnia się jako doskonały wychowawca przypominający, że w wieku nastu lat łatwiej odbiera się polecenia i nakazy od równolatków lub nieco starszych od nich dorosłych.

Utworem, który zamyka trylogię pisarza, jest *Największa przygoda Bąbla i Syfona* (1999). Autor nawiązuje tu do utworów *Przygód Bąbla i Syfona* (1993), *Bąbel i Syfon na tropie* (1994). Najważniejszym problemem w powieści jest to, że w szkole poja-

wiają się narkotyki. Ktoś rozprowadza je w czekoladkach z arlekinem. Dyrekcja wraz z policją podejmują próbę uświadomienia uczniom niebezpieczeństw z tym związanych. Większość młodzieży traktuje te



przestrogi z przymrużeniem oka. Jedynie Arek i Dzidek Pokielbas zdają się doceniać wysiłki pedagogów, gdyż uświadamiają sobie, że sami padli ofiarą takiego przestępstwa poczęstowani cukierkami-arlekinami przez pana Zygmunta Fidrygała, rzekomego wujka Klementyny Panter.

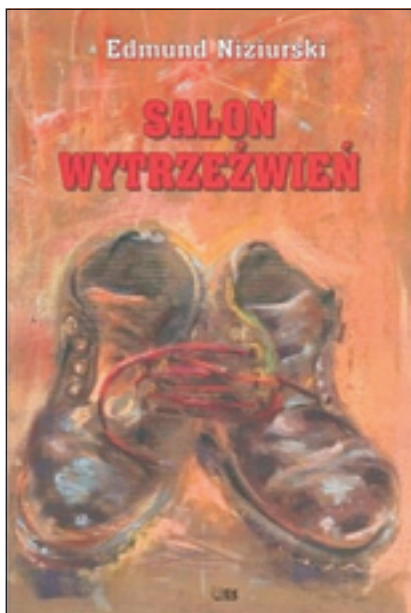
Zgodnie z optymizmem cechującym twórcę i oni korzystają z odrobiny szczęścia w pracy. Pomaga im w ujęciu przestępcy poznana minionego roku na wakacjach Danka Nowicka vel Henia Gniotek. Okazuje się być tak samo dobrym detektywem jak jej rówieśnicy i w tym zakresie

przypomina Wandę Gąsowską, bohaterką *Szatana z siódmej klasy* K. Makuszyńskiego.

Ludyczność jest stałym elementem twórczości E. Niziurskiego. Ma ona różny charakter i niejednakowy wymiar. Na przykład młody, ambitny chemik, pan Witwicki, zwany przez uczniów Małym Einsteinem bez Wąsów, rekompensuje sobie skromną posturę posługiwaniem się językiem sportowym z dziedziny boksu. Życie i szkoła są dla niego ringiem, na którym stacza swoje codzienne mniejsze i większe walki. Czasem też bywa sędzią, rozdając uczniom żółte, czerwone i niebieskie kartki. Szkoła posiada swoją giełdę, na której, podobnie jak matematyk, i on jest wysoko notowany. Wydaje się, że myślą przewodnią zakodowaną w utworze jest wezwanie: bierzmy się do dzieła, a w życiu spotka nas jeszcze wiele niezwykłych, przygód, z których większość zostanie zakończona sukcesem.

Utworem, który został przez wydawców zauważonym po latach jest *Salon wytrzeźwień*. Udowadnia on na nowo,

że Niziurski to „humorysta” umiejący z dystansem spojrzeć na nasze wady narodowe. Powieść jest nie tylko utworem o „upadłym lekarzu”, ale i o stosunkach czy „stosunczkach” tworzących się w społeczeństwie polskim końca lat pięćdziesiątych. Określenia



twórcy „upadły lekarz” i „niepełne miasto” oddają subtelność ironii, która, jak można sądzić, towarzyszyła autorowi przy powstawaniu dzieła. Dotyczy ona nie tylko głównego bohatera. Odnosi się do jego najbliższego środowiska, kolegów, przyjaciół. To oni są w znacznym stopniu odpowiedzialni za zaistniałą sytuację, zgodnie z powiedzeniem „broń mnie Panie Boże od przyjaciół, bo od wrogów obronię się sam”.

Pozornie życzliwi najpierw ukrywają moment załamania się bohatera, w ten sposób akceptują stopniowe popadanie w nałóg. Gdy już jest za późno, współczują, bezradnie rozkładając ręce. Takie podejście budzi oburzenie autora, a co ważniejsze i czytelnika. Uzdolniony lekarz, posiadający głęboką wiedzę, wyróżnia się w środowisku i pośrednio naraża mu, podważając ugruntowywany autorytet kolegi, gdy okazuje się, że postawiona diagnoza nie była w pełni uzasadniona.

Nie ulega wątpliwości, że sympatia twórcy jest po stronie „upadłego”. Nie znaczy to jednak, że takim go akceptuje. Bunt i dryfowanie, zrozumiałe w czasach młodości, nie mogą być usprawiedliwieniem w późniejszym życiu. Stąd Teodor Janyst uświadamia sobie, że jest „draniem”, któremu coraz trudniej wypłatać się ze swoich wybryków. Niziurski nie chce moralizować, dlatego odwleka sprawę wyjaśnienia przyczyn szczególnego zainteresowania się byłego milicjanta i kierownika „Izby Wytrzeźwień w N” przypadkiem dra Janysta.

Niziurski ujawnia się w powieści jako mistrz w konstruowaniu frapującej fabuły i zaskakujących point. Z pewną satysfakcją ujawnia bezkompromisowość Janysta, jego szlachetność, szerokie horyzonty i wyrozumiałość dla słabości innych. Doskonały humorysta, jakim jest autor, wskazuje na te wszystkie sprawy życia społecznego, z którymi borykało się i co gorsza boryka społeczeństwo tzw. okresu transformacji. Wartość dzieła polega m.in. na tym, że podjęte sprawy są teraz równie aktualne jak niegdyś. Niziurski potrafi pokazać „lwi pazur” swego talentu, czego dowodem jest doskonała scena spotkania lekarza z jego „prześladowcą” – redaktorem Kurką. Ten pierwszy przypomina mu z pewną satysfakcją, że traci obiekt swych dociekań, a przez to i znaczenie w redakcji lokalnego pisma. Swą nadgorliwością „ukreślił bat na siebie”.

Niebanalność podjętej problematyki wiąże się z doskonałością stylu, barwnością i precyzją języka ujawniającego swą wartość także w znakomitych dialogach. Jest to dzieło oddające wszystkie wartości etyczne zawarte w piśmiectwie Niziurskiego. Poruszone problemy mają charakter uniwersalny i mimo zmian ideologicznych pozostają takie same.

Jak wynika z powyższych uwag, Edmund Niziurski wykorzystuje całą gamę środków literackiego obrazowania. Dialogi przenikają się z monologami bohaterów, ich relacje unaoczniające współgrają ze wstawkami narratora wszechwiedzącego. Opisy zanikają na rzecz dialogów mających często wymowę satyryczną. Pisarz podobnie jak Sienkiewicz czy Makuszyński doskonale panuje nad tokiem narracji. Nici zdarzeń i intryg splatają się, „by w zakończeniu ujawnić swój optymistyczny wydźwięk. Elementy świata przedstawionego w utworach zwierają zachętę do naśladowania pozytywnych wzorów osobowych i sytuacyjnych dzięki kontrastowaniu zjawisk pozytywnych i negatywnych.

Marek Kątny

Twórczość Henryka Jachimowskiego

(Próba podsumowania)

Jeden z najbardziej znanych współczesnych twórców literatury pięknej nie tylko na Kielecczyźnie, twórców wszechstronnych i uniwersalnych, autor kilku tomików poetyckich, powieści i opowiadań, utworów scenicznych, teoretyk teatru.

Urodził się 16 kwietnia 1938 r. w Rożnicy w rodzinie chłopskiej Józefa i Jadwigi z Lachowskich. Po ukończeniu



Henryk Jachimowski w rozmowie ze Stanisławem Nyczajem

szkoły podstawowej w swej rodzinnej wsi uczęszczał do prywatnej szkoły ogólnokształcącej (1950–51) i przez dwa lata do Państwowego Liceum Pedagogicznego w Jędrzejowie. W 1956 r. zdał maturę w Korespondencyjnym Liceum Ogólnokształcącym im. Śniadeckich w Kielcach, po czym uczył się w kieleckim Studium Nauczycielskim. W latach 1961–65 pracował jako nauczyciel w szkołach podstawowych na terenie powiatu jędrzejowskiego – najpierw w Sieńsku, następnie w Tarnawie, a od 1965 do 1970 r. w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Sędziszowie. W tym też czasie studiował zaocznie w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, otrzymując w 1969 r. stopień magistra filologii polskiej.

W okresie nauki w Studium Nauczycielskim był współorganizatorem grupy poetyckiej „Wrota”. W latach 1961–68 należał do grupy poetyckiej „Ponidzie” i chyba jako jedyny z tego ugrupowania zyskał sobie renomę ogólnopolską. Opiekunem grupy był znany w tamtym okresie, szczególnie w województwie kieleckim, pisarz, publicysta i pedagog, dyrektor Uniwersytetu Ludowego Ziemi Kieleckiej im. Stefana Żeromskiego w Rożnicy, Waldemar Babinic (1902–1969). We wspomnieniu o Babiniczu Jachimowski napisze po latach, że tenże „odgrywał jakąś niepowtarzalną rolę w organizowaniu porozumienia artystycznego pomiędzy ludźmi różnych dziedzin twórczości, czego dziś dojmująco brakuje, inspirował, upowszechniał, eksponując w sposób zaskakująco

profesjonalny. (...) Posiadał rzadką umiejętność organizowania pracy jakby z odległości. Sam mówił pięknie, ale pozwalał mówić przede wszystkim innym. (...) On słuchał, umiał słuchać. Włączał się do rozmów rzadko, nie wygłaszał swoich poglądów a priori”. (...) [cytat za: *Waldemar Babinic – życie jak drogowskaz*. Warszawa 1996, s. 103].

W latach sześćdziesiątych ub. stulecia był współzałożycielem kieleckiego Klubu Literackiego i kieleckiego ośrodka Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy (KKMP). Pracował kolejno jako kierownik Działu Wydawnictw Kielecko-Radomskiej Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Kielcach (1970–73), wykładowca i wychowawca w Uniwersytecie Ludowym w Rożnicy (1973–75), redaktor do spraw wydawnictw w Wojewódzkim Domu Kultury, kierownik Zespołu Redakcyjno-Wydawniczego przy Ośrodku Kultury Literackiej (1981–82) oraz kierownik redakcji Wydawnictwa Łódzkiego i Wydawnictwa „Dom Książki” (do 1990).

W latach 1973–76 był przewodniczącym kolegium wydawniczego Literackiej Biblioteki „Przemian”, 1980–82 kolegium Biblioteki Świętokrzyskiej. Był również współorganizatorem Kieleckich Spotkań Poetyckich (1978–79) i międzyrodowiskowego konkursu „O Świętokrzyską Lirę Poezji”. W latach 1983–86 zorganizował w Kielcach autorskie Studio Teatralne „Teatr Kobiet”, które wznowiło działalność w 1992 r. Od 1993 prowadzi Scenę Autorską w Kieleckim Centrum Kultury.

Idea Sceny Autorskiej – zdaniem Henryka Jachimowskiego – związana jest z trwającą nieprzerwanie potrzebą odnawiania teatru, jego języka i treści, dostrzegania tego, co w ludzkim rozumieniu wieczne i równocześnie najbardziej bliskie, stwarzania formy, która odmienia teatr w stronę opowiedzenia rzeczy i nas samych w nowy sposób. Nic tak nie odnawia sztuki jak nowość, odmienność. Poszukuje tego w teatrze widz.

Debiutował w 1958 r. wierszem *Lęk*, opublikowanym w nrze 1(16) „Ziemi Kieleckiej” (s. 10), zapowiadającym w jakimś sensie dalszą drogę twórczą pisarza. Odczucie lęku pojawia się w jego twórczości wielokrotnie, równoważone jednak z potrzebą wiary, miłości i nadziei. Przykładem tego jest choćby ten fragment poezji przeznaczonej do wyśpiewania z teatralnego *Makijażu*:

Ile lęku w naszej miłości
czy mniej od pragnienia
Ile lęku w śmierci
czy mniej od nadziei

W 1968 r. został członkiem Związku Literatów Polskich, z którego wystąpił w roku 1989.

Utwory Jachimowskiego publikowane były w wielu czasopiśmie i wydawnictwach zbiorowych, m.in. w almanachach poetyckich – *Ponidzie* (Lublin 1963), *Nad Nidą* (Łódź 1963), *Poeci Czerwonej Róży* (Warszawa 1965, posłowie Artura Międzyrzeckiego), almanachu prozy *Ponidzie* (Łódź 1966), antologii *Czy „mały realizm?”* (Warszawa 1967, oprac. Jacek Kajtoch i Marek Skórnicki), antologii *Rodowody* (Warszawa 1974, oprac. jw.), almanachu *Słowo* (Łódź 1984), almanachu *Wigilie polskie* (Kielce 1990), księdze pamiątkowej *Waldemar Babinicz – życie jak drogowskaz* (Warszawa 1996), almanachu *Bazar 7* (Kielce 1988, oprac. Krystyna Cel, Stanisław Nyczaj), *Antologii tysiąclecia. Poezja polska* (pod red. Aleksandra Nawrockiego), wyd. IBIS, Warszawa 2002.

Dla Jachimowskiego słowo jest narzędziem, kształtującym formę literackiego wyrazu. Pasjonuje go świat cały, bez wskazywania na miejsce. *Jesteś dzieckiem świata* to tytuł zbioru jego pieśniowych poematów (realizacje teatralne Sceny Autorskiej w formie spektakli muzycznych), będących intelektualno-emocjonalną opowieścią o nas, w stwarzającej się nieprzerwanie terażniejszości. Oto tylko przykład z *Pieśni o wolności*:

Ziemia na której żyjesz należy do każdego
Władza na ziemi na której żyjesz należy do nielicznych

Chcemy żyć razem ze wszystkimi
Chcemy żyć razem ze wszystkimi

Rządy które tworzycie bogacą was
Wojny które tworzycie bogacą was

Wolność którą tworzycie bogaci was
Wolność którą tworzycie obraca się przeciw nam
Wolność którą dajecie ludzi
ludzi ludzi zabija
Widzimy to bezradni

Bezradni ufni łagodni delikatni żarliwi oddani
i cierpliwi
mówimy:
Bądźcie podatni nam
Jesteśmy łagodni – nie lekceważcie nas
Jesteśmy delikatni – nie lekceważcie nas
delikatni uczciwi – nie lekceważcie nas
Jesteśmy pełni wiary – nie lekceważcie nas
– nie lekceważcie nas

Upomina się Jachimowski o porządek świata łagodny i jest – jak pisze Jerzy Poradecki na łamach „Przemian” w 1979 (nr 2/101, s. 12) – desperackim niemal moralistą,

który w imię bolesnej pustki dobra tym wyraźniej podkreśla czarne kontury zła.

Jest pisarzem, który tworzy nową wartość w literaturze, podejmując trud kreacji wedle własnej artystycznej koncepcji. Połączył rozkład osobowości człowieka i naturalności jego środowiska kulturowego z rozpadem formy powieściowej (cyt. za: Stanisław Nyczaj, *Pisarze regionu świętokrzyskiego*, t. 2, s. 183).

W 1966 r. wydał zbiór opowiadań *Jaszczury*, w którym pisarz oddał w sposób niezwykle atmosferę tamtych czasów. Trzy lata później opublikował powieść *Skaza*, za którą otrzymał nagrodę im. Stanisława Piętaka. W latach następnych ukazały się zbiory wierszy – *Pieśni wyśpiewane* (1972 r. – nagroda miesięcznika „Przemiany”) i *Mity powracające*.

Z wielkim odzewem spotkała się wydana w 1969 r. powieść pt. *Skaza* (II wyd. w 1977, III wyd. w 1983), na temat której wypowiedziało się wielu krytyków i pisarzy, m.in. Henryk Bereza („Książki dla ciebie”, 1970, nr 4) czy Jarosław Iwaszkiewicz („Życie Warszawy”, 1970, nr 135), który napisał m.in., że jest to książka, z której Stanisław Piętak cieszyłby się najbardziej (za tę powieść Henryk Jachimowski otrzymał w 1970 r. właśnie nagrodę im. Stanisława Piętaka).

Z nie mniejszym odzewem ze strony czytelników i krytyków spotkała się kolejna powieść *Mgła* (I wyd. 1976, II wyd. 1983). Tadeusz Nyczek tę jedną z najdziwniejszych książek Jachimowskiego określił tak: „Jeśli da się wpisać tę maleńką książeczkę w jakąś tradycję literacką, winna znaleźć miejsce w ciągu, któremu ojcuje pisarstwo Kafki, Brocha, Musiła, Doderera, Marqueza” (*Historia ludzkości*, „Echo Krakowa” z 1977, nr 23, s. 4). Natomiast Piotr Kuncewicz napisał, że „*Mgła* to coś w rodzaju wypadu ku moralności czy raczej niemoralności i absurdalności tłumy, ludzkiej gromady, historii, ale to nade wszystko nadrealistyczne skłębienie snów, wizja nasuwająca się na wizję i zaprzeczająca jej” (*Poezja polska od 1956 roku*, Warszawa 1993, s. 208). Wśród recenzentów był też patronujący wydaniu tej książki w Wydawnictwie Łódzkim Wiesław Jażdżyński („Odgłosy” 1997, nr 17) oraz inni krytycy.

Stanisław Nyczaj w szkicu o Henryku Jachimowskim (w: *Pisarze regionu świętokrzyskiego*, tom 2., Kielce 1988, s. 183) stwierdził, że „Henryk Jachimowski jest pisarzem, który tworzy nową wartość w literaturze, podejmując trud kreacji wedle własnej artystycznej koncepcji. Połączył rozkład osobowości człowieka i naturalności jego środowiska kulturowego z rozpadem formy powieściowej. *Skaza* i *Mgła* – to proza afabularna, formowana z epizodów, następujących po sobie nie na zasadzie chronologii zdarzeń, lecz raczej w porządku emocjonalnym, skojarzeniowym. Narrator jest tu jednocześnie bohaterem; relacjonuje i bezpośrednio uczestniczy w przemiennych czasowo sytuacjach, co do których – na dodatek – często nie wiadomo, czy są ewokacją

rzeczywistych przeżyć, marzeń sennych czy marzeń na jawie. Rzeczywistość przedstawiona jest kreowana i zarazem wciąga w swój fatalistyczny tok narratora-bohatera”.

Trzeba zaznaczyć, że nie są to powieści, ściślej mikropowieści, w tradycyjnym znaczeniu.

Powieścią *Mgła* zainteresował się dyrektor krakowskiego Teatru STU Krzysztof Jasiński, dokonując jej adaptacji teatralnej i wystawienia wraz z *Makijażem* w namiocie przy ul. Rydla w 1982 r.

Charakterystyczne dla powieści Henryka Jachimowskiego jest to, że zakończenie zawiera za każdym razem motyw śmierci, która też jest obecna w jego dramatach: *Makijaż*, *Paraliż* czy *Trawa jest czerwona*. Jednak motyw ten występuje w różnych aspektach, poczynając od śmierci przedmiotów, po śmierć człowieka, aż po śmierć mitów.

W „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim” (nr 2/4, Kielce 1998, s. 120) Joanna Pisiewicz napisała, że „wszystkie [dramaty – przyp. T.S.] obrazują jakiś wycinek ludzkiego makrokosmosu, który – ulegając rozbiciom – generalnie zdąża do upadku, jednocześnie przynosząc zapowiedź ponownego odrodzenia się”. Pisarz postrzega człowieka jako pretekst do rozrachunku z cywilizacją, która nieustannie ma do czynienia z tymi samymi problemami i postawami ludzkimi.

Mówiąc o inscenizacjach dramatów Jachimowskiego, trzeba zwrócić uwagę na jego okres współpracy ze wspomnianym już Teatrem STU (jednym z najbardziej awangardowych i popularnych wtedy teatrów w Polsce). Okres ten trwał od roku 1982 do 1986. „Wystawienie *Makijażu* i *Mgły* w namiocie było w roku 1982 odważnym czynnem artystyczno-politycznym Krzysztofa Jasińskiego – wspomina H. Jachimowski. – Trzeba pamiętać, że był to czas stanu wojennego. Ciemną dramaturgię tego spektaklu rozjaśniało przywoływanie w ekspresyjnych songach Boga i miłości, także tego, co było najbardziej aktualne – imienia Wałęsy i „Solidarności”. Atmosferę teatralnego dziania się podnosiła muzyka Janusza Grzywacza, w której słychać było gwizdy i krzyki z autentycznego nagrania z wiecu „Solidarności” w Nowej Hucie. To był listopad, mróz. Namiot był pełny widzów. W tym samym czasie w pobliskim miasteczku studenckim wybuchały petardy i interweniowała milicja. Nieoczekiwanie spektakl stał się jakby skrzydłem tego, co działo się na zewnątrz”.

Do roku 1985 K. Jasiński wystawił jeszcze dwie wersje *Makijażu*, na scenie swego Teatru, nazywając tę ostatnią spektaklem psychodelicznym (podtytuł na plakacie). Spektakl ten pokazany był na Ogólnopolskim Festiwalu w Zamościu (wystawienie na miejskim podwórku) oraz na Międzynarodowym Festiwalu Teatrów w Budapeszcie, gdzie m.in. przez prasę duńską uznany został za najciekawszy

spektakl tego teatralnego zgromadzenia (Politiken z 13 października 1985 r.).

„Praca nad tekstem Jachimowskiego była trudna, bo tekst ten jest w tradycyjnym rozumieniu antyteatralny. Jachimowski proponuje teatr dla aktorów mądrych, którzy potrafią budować struktury, jakich nie ma w dramacie. Nie ma postaci, są tylko role, które grają postaci, jakie się samemu wymyśli” – mówi K. Jasiński (w: H. Jachimowski, *„Nostalgia” i inne utwory sceniczne*, s. 187).

„Nie poradził sobie z tymi problemami Teatr im. S. Żeromskiego w Kielcach – wspomina H. Jachimowski – i wystawiony tu *Makijaż* był w istocie, tak dla mnie jak i dla teatru kompromitacją, zdjęto go ze sceny po mej niełatwej rozmowie z dyrektorem Bogdanem Augustyniakiem. Nie była to jednak moja decyzja, lecz jego (chodziło m.in. o naruszenie praw autorskich – przyp. T.S.)”.

Inny utwór sceniczny, *Lige kobiet*, wystawił The Tabard Theatre w Londynie (przekł. ang. The Females, tłum. Elżbieta Kwasowska i Sam Dowling). Jego prapremiera odbyła się 16 stycznia 1992 r. „Szaleńczy wieczór ruchu, muzyki i magii” – tak określił spektakl londyński tygodnik What’s On, a magazyn Time Out pisał, że jest to „sztuka kreująca obrazy pełne znaczenia i emocji, rzadka, odważna i zadziwiająco fascynująca próba wyzwania panującej tyranii teatru naturalistycznego (cyt. za: Lucyna Cykarska, w: *„Nostalgia” i inne utwory sceniczne* H. Jachimowskiego, s. 192), natomiast w The Guardian z 24 stycznia 1992 r. sztukę tę interpretowano jako „teatr, który pokazuje zmagania kobiet w poszukiwaniu kierunku i zaistnienia w świecie dominacji. Jest jednocześnie metaforą dylematów, wobec których staje wyłaniająca się niepodległa Polska. Optymizm, eksperyment, porażka, regres, odnowa i poszukiwanie granic możliwości prowadzą bezimienne postacie Jachimowskiego przez kolejne stadia nowego doznawania. W teatrze tym aktor, tekst i przedmioty teatralne stają się rekwizytami o tej samej sile oddziaływania” (tłum. Elżbieta Kwasowska).

„Oryginalność i nowatorstwo, zarówno warstwy formalnej, jak i treściowej teatru (...) H. Jachimowskiego, to następstwo odważnego kroku, w przyszłość dramatu i nowych wartości scenicznych, który uczynił autor, zrywając z tradycyjnymi kanonami sztuki. Jest to teatr, w którym równorzędne kwestie o charakterze raczej definicji niż wypowiedzi wygłaszają równorzędni aktorzy – wszystkie role są główne. (...) Wszystkie elementy artystycznej wypowiedzi odgrywają rolę tej samej ważności – słowo i ruch, muzyka, taniec, śpiew, światło i ciemność. Na pierwszy plan wysuwa się zatem gra symboli, przedstawiających najczęściej walkę życiowych przeciwieństw: dobra i zła, piękna i brzydoty, ładu i chaosu, spokoju i zagrożenia, wiary i nihilizmu, ufności i przekleństwa, kobiecości i męskości” – napisała Karolina Urbańska w pracy magisterskiej pt. „Teatr Kobiet Henryka

Jachimowskiego na tle polskiej awangardy teatralnej i plastyki”.

Z nazwiskiem pisarza wiąże się działalność Studia „Teatru Kobiet” (1985–1986) w Domu Środowisk Twórczych w Kielcach, gdzie w toku pracy warsztatowej przedstawił publiczności w dniu 9 czerwca 1986 r. dwa własne teatralne obrazy – *Seks-seks* o charakterze emocjonalnym z silnym zabarwieniem erotycznym oraz *Durnie-durnie* o podtekście wyraźnie politycznym. Czytelny podtekst polityczny studyjnego obrazu *Durnie-durnie* z symbolicznym uwiecznionym gołębiem (eksponowanym wtedy symbolem pokoju) zamknął Jachimowski drogę do kontynuacji działalności Studia „Teatru Kobiet” na prawie sześć lat i dopiero w roku 1992 autor podjął ponownie próbę reaktywowania swojego teatru. W czerwcu 1993 r. oficjalnie otrzymał na wniosek Wojewody Kieleckiego zgodę Zarządu Miasta Kielce na działalność „Sceny Autorskiej Studio” w Kieleckim Centrum Kultury. W program tej sceny włączył idee tego teatru.

O swoim „Teatrze Kobiet” Jachimowski powiedział przed laty m.in.: „Teatr Kobiet” został przeze mnie pomysłany na początku lat 80. jako akt opozycji wobec świata, w którym mężczyzna od wieków pełni rolę niszczącego uzurpatora. Kobieta natomiast żyje w sposób wyjątkowy. Z natury swojej nie niszczy. Daje życie. Obdarzona macierzyństwem dysponuje energią szczególnie pozytywną. Niewynaturzona nie zabija, umie kochać, umie żyć rozumnie. W „Teatrze Kobiet” przypomina mężczyznę, kim jest i kim powinien być” (w: *„Nostalgia” i inne utwory sceniczne*, Kielce 1997, s. 205).

Na scenach Kieleckiego Centrum Kultury odbyły się następujące prapremiery spektakli autorstwa Jachimowskiego: *Image* (1994), *Pieśń wigilijska* (1994; nagranie kasetowe w r. 1995.), *Pieśń o miłości* (1996), *Pieśń o wolności* (1999; płyta CD w r. 2005), *Pieśń o Ziemi* (2002), *Pasja* według poematu pieśniowego *Pójdź za mną* (2006 – spektakl Kieleckiego Teatru Tańca) oraz *Zdarzyło się w Jeruzalem* (2008 – także spektakl Kieleckiego Teatru Tańca wg jego libretta). „To opowieść – napisał sam autor w wydanym programie na okoliczność prapremiery – jakby wyjęta z dziennika, z zapisków notatnika znalezionej w ruinach domu zburzonego przez pocisk czy bombę lub skutek terrorystycznego zamachu, ale też jak wydobywająca się z ciemnego realizmu baśń o młodości i miłości wzniesionej ponad podziały, okrucieństwo i dramat, wzniesionej jak znak upominający się o opamiętanie, by życie służyło życiu”.

Cechą wspólną teatru H. Jachimowskiego jest z pewnością oryginalność, zerwanie z tradycyjnymi kanonami teatralnej sztuki.

Wśród różnych form literackich, jakimi zajmuje się H. Jachimowski, są też kolędy i pastoralki, śpiewane corocznie w czasie bożonarodzeniowym z muzyką Marka Tercza

i Pawła Łukowca oraz teksty piosenek, a w szczególności recitalowy poemat *Moje życie jest moje*.

Napisałem ten poemat w formie recitalu, tak aby artystka – wokalistka (wciąż jakby osoba z mojego „Teatru Kobiet”) miała szansę opisać siebie, kreując postać – jak w monodramie – pisze H. Jachimowski we wstępie do singlowego wydania płyty CD (KCK 2005). – To opowieść poetycka osoby zamyślanej nad sprawami życia własnego rzuconego w obszary obce i sprzyjające umysłowi, psychice, potrzebom i snom. Równocześnie to jakby autobiograficzny rodzaj zwierzenia nasyconego przynależną młodości odrębnością, dającą prawo do swobodnego widzenia rzeczy, problemów i świata wokół, a także prawo do projektowania siebie według własnej kondycji, prowokującej nieco, jak sam tytuł *Moje życie jest moje*. Napisałem ten tekst specjalnie dla wokalistki związanej ze Sceną Autorską, Justyny Łysak, która za wykonanie recitalu i wybranych z niego utworów otrzymała kilka prestiżowych nagród (np. w 38 Studenckim Festiwalu Piosenki dwie nagrody: Prezydenta Miasta Krakowa i Dziennika Polskiego, a w 2005 r. na Ogólnopolskim Festiwalu Recitali nagrodę główną).

Oto jeden z nagradzanych i odwiedzianych na stronie internetowej Justyny Łysak utwór *Ta młodość*:

Wszystko wszystko
Za dużo wszystkiego wokół
Za mało za mało mnie samej
Niepokój niepokój

Ciekawość wszystkiego ciekawość
rzucająca mnie wszędzie niejasno
Jak cię mieć życie moje, pod jaką
gwiazdą
urodziłam się, pod jaką gwiazdą

Ta młodość ta młodość
jak sznur płonący miłości jaskrawej
jakby dla zabawy prowadzi wszędzie
Za mało za mało mi drogi jednej

Za dużo za dużo wszystkiego wokół
Niepokój niepokój

Aktualnie Henryk Jachimowski realizuje, wspólnie z kompozytorem Pawłem Łukowcem, wg własnego poematu oratorium o Matce Bożej pt. *Święta przy Tobie chwila* (przewidywana prapremiera w 2014 r. w Sanktuarium Matki Bożej Ostrobramskiej w Skarżysku-Kamiennej).

Henryk Jachimowski jest laureatem wielu nagród w konkursach poetyckich, m.in. w konkursie im. Józefa Czechowicza (1966), a w konkursie pn. „Ziemia Stefana Żeromskiego”

został wyróżniony za powieść *Mgła*. W 1984 r. otrzymał II nagrodę w konkursie z okazji 40-lecia PRL za dramat *Trawa jest czerwona*, dwukrotnie Nagrodę Prezydenta Kielc – w 1982 r. za powieść *Mgła* i I st. w 2006 r. za osiągnięcia w dziedzinie twórczości dramatycznej. Autor wyróżniony był też regionalną Nagrodą im. Stanisława Staszica.

Jego żona Elżbieta Kwasowska (z wykształcenia biolog, absolwentka UJ) jest autorką m.in. książek dla dzieci i mło-

dzieży, tłumaczem z literatury angielskiej, prowadzi szkołę języka angielskiego. Pośród zainteresowań pozazawodowych łączy ich wspólne hobby – narciarstwo.

Henryk Jachimowski mieszka w Kielcach od 1970 r., jest ojcem dwu synów – Macieja (z Cecylią z d. Presman) i Jakuba z Elżbietą Kwasowską.

Tadeusz Stolarski

Elżbieta Musiał

Definiowanie kobiety

Tematyczny wyimek z twórczości Romana Śliwonika (1930–2012)

Dorobek poetycki Romana Śliwonika zasługuje na wnikliwe studiowanie. Ale zanim zacniemy wyciągać wektory, topusy, tematy powracające, wiodące czy zasiedziałe, to najpierw musimy powiedzieć, że to poeta liryczny, subtelnie liryczny. W wierszach wciąż zastanawiał się nad sensem istnienia i tworzenia. I jest to za każdym razem namysł głęboki, niebanalny, bardzo Śliwonikowy. Pisał, pisał dużo i dostawał wiersz do wiersza, jak się dostawia cegłę do cegły. I wybudował dom na filozoficznych i metafizycznych fundamentach, dom z wierszy, w którym trwa rozgarnianie ciemności i odnajdywanie błękitu i światła. Bo tylko wtedy wiersz ma sens – i to nam uzmysłowić w jednym z wierszy.



Próżno by doszukiwać się porównań poetyki Śliwonika z innymi znanymi nam. Śliwonik był, a dla nas wciąż jest, poetą osobnym. Nie posługiwał się w wierszu oczywistymi czy ogranyymi rozstrzygnięciami. Ten jego dom z wierszy budowany był na innych konstrukcjach i jak mi podpowiada intuicja – trwalszych. A zatem jest to sprawa sposobu, w jaki obserwował i obrazował pejzaże, przez które w życiu przechodził. I w stosunku do tychże krajobrazów zewnętrznych bądź wewnętrznych nie pozostawał obojętny. Był przecież ich częścią. W wierszach pobrzmiwają ich echa. A same wiersze – to ślady, po których nas prowadzi do siebie. *Nomen omen* tak nawet zatytułował swój ostatni tomik: *Ślad*.

Bez zawahania możemy powiedzieć, że zalicza się do najznakomitszych naszych poetów współczesnych. I o tym zaświadcza cały jego dorobek. Ale ja przytoczę kilka cytatów,

zaledwie kilka. Lecz nawet ta garstka pokaże wielką klasę i pozycję jego poezji.

Wybrane fragmenty będą krążyły wokół tematu: DEFINIOWANIE KOBIEITY. I to nie dziwi chyba nikogo, kobieta była w pejzażach Śliwonika i dlatego też znajdziemy ją i w wierszach. Jednakże wątek ten nie jest wiodący czy stawiany jako główny, ale w miarę systematycznie powraca, jest dyskretnie wplatany i tkany. I zapewne dlatego nie udało mi się znaleźć erotyków z krwi i kości, które poświęcone byłyby wyłącznie tej czy innej piękności. Być może one kiedyś funkcjonowały, lecz przeznaczone były do prywatnego użytku. Natomiast w opublikowanych wierszach Śliwonika kobieta nie jest tą adorowaną, nie jest obiektem westchnień. Ona występuje tam w zupełnie innych rolach. Czyli jakich?

Gdy w cyklu *Chłopcy*, w tomie *Tylko wzruszenie* (1997), snuje swą poetycką opowiadankę o chłopcach, to nie może w niej pominąć kobiety, gdyż obraz byłby połowiczny, kaleki. Ona jest zrośnięta z myślą chłopca, potem mężczyzny, z jego potrzebami i światem. Wtedy wiersze konstruuje z przeciwstawień.

Chłopcy wspinają się na drzewa
na dachy Na wzgórze
i trwają godzinami jak ptaki
wtedy właśnie
naphywa i wypełnia ich wszystko

A potem dla dopełnienia opisu inicjacyjnego wieku chłopców dodaje:

(...) później patrzą na dziewczyny które nagle
stają się wyższe od traw
i siadają w ogrodach na klombach
nabierają kolorów I chodzą
ubarwione urodą Początkujące Szytywne
ale już inne Nieswoje Dziwne (...)

A w chwilę potem mówi:

(...) chłopcy dość wcześnie pojmują kobiety
dziewczyny Matki Nauczycielki

W innym fragmencie:

(...) Rozpusty
Uczą chłopców dziewczyny
One od razu są starsze

Przypinają sobie piersi Pośladki
Nie robią tego po nic To są wprawki

W tym samym cyklu, chcąc wyrazić traconą wolność
mężczyzn, oznajmia:

(...) chłopcy widzą wszystko nago
Tak świat podglądają
Rozbierają
dlatego kobiety przezornie Trochę mściwie Za często
zamykają ich w ciemnych pokojach

Podobnych fragmentów w tym cyklu jest wiele i następują
naprzemiennie, bo aby napisać o chłopaku, potem mężczyź-
nie, trzeba powiedzieć o dziewczynie, kobiecie. Zacytuję
jeszcze kilka wersów, które sygnalizują już zapatrzenie się
mężczyzny w stronę dojrzałą.

Mężczyźni patrzą krótko Zachłannie Kawalkami
i albo pejzaż zjedzą Albo go rozdepczą

odpoczywamy
przy nic nie znaczącej ciszy
kobiet zapatrzonych daleko za nas
to one wskrzeszają umarłych
z pogrzebów czynią święto I powszedniość
Kiedy patrzą jakby z oddali W ich oczach widać
że nie ma wrogich pór roku (...)

Raz po raz widzimy, że Śliwonik dla pokazania świata
męskiego użył kobiety. Lecz nie jest to przedmiotowe trak-
towanie. Bo to ONA jako istota przeciwstawna mężczyźnie
równoważy wszystko, harmonizuje. Jest dopełnieniem
całości. Połową jedności.

Tak, wiele jest w tym samym cyklu przeciwieństw, które
– jak się rzekło – nie wykluczają się wzajemnie, lecz budują
pełny obraz naszego ludzkiego świata. To współzależne ze
sobą yin i yang. Sprawdźmy to jeszcze na innym przykładzie.

Chłopcy idą do wojska. Gdzieś
jest wojna Albo będzie

I kilka wersów dalej w tym samym wierszu na biegunie
stawia kobietę, a właściwie kobiety, ich sumę:

Dziewczyny plotą wianki i głupstwa
są bezpieczne One będą żyły
najwyżej umrze kiedyś w nich miłość

Śliwonik w tych i innych fragmentach ubiera kobietę
(może archetyp) w uogólnione wyobrażenia mężczyzn o niej.
W dużym uproszczeniu można by rzec: tak pojmują męż-
czyźni kobietę. W wierszach Śliwnika, co już zauważyliśmy
– ONA nie jest tym egzemplarzem pojedynczym, wybranym
i adorowanym, tylko sumą przymiotów wielu kobiet. Ale to
jest, oczywiście, tylko jedna z odston.

Z biegiem lat i kolejnych tomików ten obraz kobiety
jakby nieco ewoluuje. Obrasta w doświadczenie. Przygarbia
się do ziemi i jednocześnie do coraz większej tajemnicy. Wi-
dać, wewnętrzny pejzaż, przez który musiał przejść i autor,
też się zmieniał. W tomie *Dom z wierszy* (2006) pojawia
się piękny zapis wypływający z najgłębszego zrozumienia
kobiety. I świata.

(...) Kiedy kobiety patrzą w niebo
To może dlatego
że jest tu nisko
i że karki już bołą
od pochylania się nad wszystkim
nad zgonem
nad kołyską
nad miłością i nad umarłymi
nawet nad czymś niepojętym
nad wierszem którego nie ma
i to coś kobiety
potrafią zatrzymać
i jeszcze dlatego
patrzą w niebo
żeby zobaczyć tajemnicę (...)

Kiedy kobiety patrzą w niebo z tomu: Dom z wierszy

A to już jest monument wystawiony kobietom. Widocznie
zasługiwały. Widocznie ich znój został doceniony. I ich niczym
niezastępowalna obecność.

Nagle ten wiersz
jak spojrzenie kobiety
przeznaczony tylko dla ciebie
przechwycone
przesłane ponad czasem
kobieta o tym nawet nie wie
że wieczność odbiła się jej w oczach

Wybór z tomu: *Wyjechać* (2003)

Słońce Błękit Lato
przepasne Jak przestrzeń
poranek I
lato opadłoby błękitnym lękiem
na krańcach Gdyby
nie podtrzymywał wszechświata Lekki
sen żony Gest matki
odslaniającej właśnie w Warszawie
zasłony u okien Wpuszcza świat (...)

(„Słońce Błękit Lato...” z tomu: *Wyjechać* (2003)

Matka, jako rodzicielka i pierwsza ważna kobieta w życiu, pojawia się w krótkich wersach i wątek ten przewija się jak długa nić, którą co jakiś czas jak w ściegu prostym dostrzegamy w wierszach, a która zszywa i uprzytamnia więzi. Matka jest tym tropem zauważalnym, istotnym, choć przecież subtelnym i nie tak często goszczącym.

(...) Wypatruję Czy widzi to Bóg
Musi widzieć Ten porządek
krematoriów Morderstw Kwiatów
i moją miłość do Barbary I do ludzi

Świat modlitwy z tomu: *Dom z wierszy*

Właśnie, Barbara, żona poety i wdowa po poecie. Jej imię, podobnie jak imię „matka”, niekiedy i na chwilę pada w wierszach, gdy trzeba rozgarnąć zebraną wokół ciemność. Wtedy dostrzega jej sen, jej opromienione latem włosy. I są

to dygresje rzucone w wiersz, które – być może – pomagają uporządkować myśli i przejść na właściwą stronę, czyli światła, i podjąć ten wiersz. Obecności Barbary choć są krótkie, to stosowane z pewną regularnością. A to rodzi w nas poczucie, że to ona jest w tym świecie i celem, i sensem. Miłość do niej. Dlatego też czytając wiersze Śliwonika z tomów *Wyjechać*, *Dom z wierszy*, *Zachwyt* czy *Ślad*, czujemy, że ona jest w pobliżu, u jego boku. To jakby do niej mówił wierszem o otaczającym świecie. Dzieli się z nią wierszem jak chlebem. Tym razem z tą jedną.

I to jest kolejna rola, jaką Śliwonik nadał w swoich wierszach kobiecie.

Śniło mi się że na stoliku
leżało kilka drobiazgów
ułożonych przez Barbarę
zwyczajnie Ale była w tym niezwykłość
jasność dotyku
patrzyłem z nabożeństwem
nie naruszałem porządku
w śnie Który bywa delikatniejszy od życia
zrozumiałem
że jeśli ktoś je tak położył
to jeszcze jesteśmy
Boże Że to znów jakiś początek

(„Śniło mi się że na stoliku...” z tomu *Dom z wierszy*

Elżbieta Musiał

Barbara Gajewska

Spacer po ogrodzie, w którym kwitną wiersze

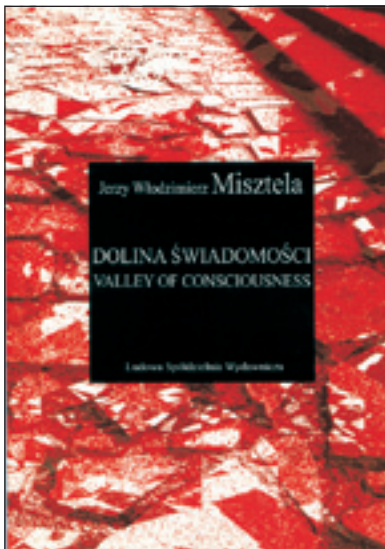
O tomiku J.W. Miszteli (1946–2013) pt. *Dolina świadomości*

Trzymam w rękach wyjątkowy tomik Jurka, wydany przez LSW, wyjątkowy nie dlatego, że dwujęzyczny, bo wiersze tu zamieszczone przetłumaczone są też na jęz. angielski, ale dlatego przede wszystkim, że to tomik ostatni. Wydany został bowiem w grudniu ubiegłego roku, a już pod koniec stycznia Jurek odszedł. Nie zdążył się nim nacieszyć, nie zdążył nam go pokazać.

Ten tomik jest dla mnie wyjątkowy także i dlatego, że odnajduję w nim całego Jurka, takiego jakiego znałam, znakomitego poetę i barwnego człowieka.

Nie chcę dokonywać analizy krytycznoliterackiej zebranych tu utworów. Traktuję lekturę tych wierszy jako kolejne spotkanie z kolegą po piórze i wrażeniami z takiego spotkania chcę się z Państwem podzielić.

Jurek, jak to już zostało powiedziane, jest autorem wielu doskonałych wierszy i zmierzył się także z prozą. Dla mnie jednak był i pozostanie przede wszystkim poetą – świetnym, ceniącym słowo, pracowitym, sumiennym rzemieślnikiem poetyckiego słowa. Poetyckimi słowami w wyjątkowy, charakterystyczny dla siebie sposób malował wszystkie barwy życia, które chłonał, smakował, którymi się wypełniał i zachwycał. Był czuły na barwy właśnie, na obraz, na plastyczność w pokazywaniu świata. To dlatego w jego wierszach jest tak wiele odniesień do malarstwa, zwłaszcza surrealistycznego. Jurek wiedział, że odcieni życia, doznań człowieka nie da się wypowiedzieć do końca ani w poezji, ani w malarstwie, ale próbował. I powiedział wiele. Bardzo wiele. Dzięki temu, że umiał posługiwać się słowem jako narzędziem do rzeźbie-



nia kształtów myśli i uczuć. I trzeba przyznać, że spod jego poetyckiego dłuta wychodziły kształty piękne, często doskonałe.

Prezentowany tomik składa się z dwóch części. W pierwszej znajdują się różne wiersze, napisane w czasie choroby i wcześniej. Część

druga to cykl utworów zatytułowany *Listy z domu innego Boga*, cykl wyraźnie inspirowany doświadczeniami szpitalnymi. Całość zawiera 36 utworów w jęz. polskim i angielskim. W jednym z nich poeta napisał:

podchodzę do okna
z rozrzewnieniem patrzę na zorane pole
(...)
na ogród
który zakwita wierszem

Spróbuję zabrać Państwa na króciutki spacer po tym niezwykłym ogrodzie. Jest w nim przede wszystkim postać ojca Poety, pobłażliwego, wyrozumiałego, biorącego syna na kolana i głaszczącego go po głowie. Ojciec – ściskający w dłoni srebrną dziesięciozłotówkę z podobizną Marszałka Piłsudskiego i mruczący pod nosem „a miałaś być od morza do morza”. Ojciec – niewątpliwy autorytet; uczył syna „chodzenia między kroplami deszczu”, uczył prawd prostych, że „bez wiary – cudów nie ma”. Ojciec ze wspomnień, ojciec ze snu, w którym czekał na syna. I doczekał się. Jurek wyraził to tak:

Rano bez słowa dołączyłem do ojca
– i wędrowaliśmy już razem pod wiatr.

A dziś to już nie sen, to fakt. Bo i Jurek, tak jak jego ojciec, „rozpłynął się za zakrętem budzącego się dnia”.

Spacerujemy dalej. I widzimy rumaki z rozdętymi chrzypkami, z rozwianymi grzywami, widzimy konia „kupionego od Roberta Bly’ a”, metafizycznego konia Carra, który „bezwiednie /ciągnie skrzypiący karawan jesieni”. W innym wierszu jesień ma także inny odcień, mianowicie „idzie ku słodko brzmiącej wiolonczeli”. W tym ogrodzie żyją „zakłete koty Agnieszki Kielkiewicz” i słychać „krzyk lecących nad Luciążką żurawii”; nęci zapach pelargonii i skoszonej trawy, a także niepowtarzalny zapach „złoty chaber” pach-

nących przeszłością; zachwycają kropelki „rosy mieniące się o poranku na liściach łopianu”, „ciche jaskółki wieczoru”, „rozwiane grzywy rumaków na czerwonym wygonie nieba”, pulsujące słońce doliny nad Luciążką, konary jesionów „rosnących/przed bramą rodzinnej zagrody”. W tym ogrodzie pełno lusterek i zegarów. Lustra są całe i popękane, lustra magiczne, kumulujące prawdę o przemijaniu. Poeta stojąc przed takim lustrem skonkludował: „tamten pan z lustrą/ nie jest mną/ sprzed lat trzydziestu –/ nigdy nie będzie dawnym Jurkiem M.”. Dal lustra to nieskończoność.

W tę dal rzucił Poeta pytanie: „Czy życie jest snem, a sen życiem”?

A zegary? No cóż. Tutaj są okrutne, bo zabierają czas Poezji, który mówi:

czasem (...)
włóczę się jak wkurzony anioł
zakładam białe rękawiczki
by dołożyć zegarom
rozbić otaczający nas pierścień czasu

Te zegary „wyją wskazówkami”, ich tykanie „jest dodatkiem/ do mrocznego ciągu rozmyślań”.

W tym przedziwnym poetyckim ogrodzie można spotkać też różnych ludzi ze świata sztuki. Jest tu cała plejada postaci wybitnych – malarzy surrealistów, których Jurek zaprosił do swoich wierszy, bo ich twórczość cenili i podziwiali. Są poeci („W barze nad kuflem siedzi znużony poeta/kolejny raz próbuje w piwie/odnaleźć sens życia”) i są zwykli ludzie, przede wszystkim kobiety. Co prawda w tytułowym wierszu Jurek przyznał, że „Dzisiaj skończyła się przygoda z Jolką T./ a z nią moja fascynacja/ kobietami”, ale wydaje mi się, że to chyba zostało powiedziane pochopnie, bo fascynację kobietami odnajduję w wielu wierszach z tego tomiku. Jakże wymowna jest pretensja do Boga zawarta w wierszu *List szósty* z cyklu *Listy z domu innego Boga*:

leżę w bezdechu
podglądam ciche jaskółki wieczoru
cień krzyża
i długie nogi dziewczyn
jak kolumny od ziemi do nieba

Po co mnie karmisz tu i teraz
tym widokiem Panie
skoro nie pozwalasz
skosztować owoców młodości

Nie sposób tutaj powiedzieć o wszystkim, co można spotkać w tym przedziwnym ogrodzie kwitnących wierszy. Oczywiście czeka w nim na nas przede wszystkim sam Jurek – w większości utworów skupiony, pełen zadumy, dzielący się z nami swoimi przeżyciami zrodzonymi w różnych oko-

licznościach, swoją wiarą, refleksjami na temat upływającego czasu i istoty człowieczeństwa; wartościami, które powinny wyznaczać człowiekowi kierunek; rozterkami, pytaniami.

Choroba odcisnęła piętno na wielu tych tekstach. To co mnie poraziło, to tak jasno wyrażone przeczucie bliskości „drugiego brzegu”. Ale wciąż jeszcze zachowuje Jurek tak charakterystyczny dla siebie humor i dystans, kiedy pisze choćby to:

znów przegrałem z losem
który kolejny raz bezkompromisowo
położył mnie na obie łopatki

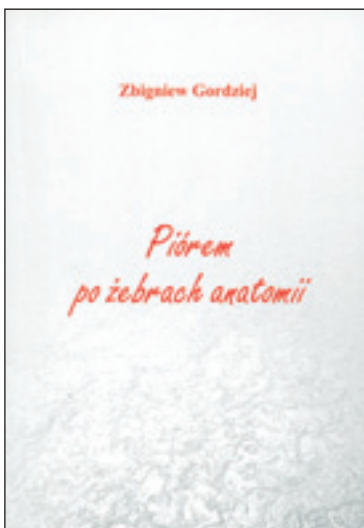
Otwieram tomik naszego Kolegi Poety i czytam z drżeniem serca jego słowa z pierwszego wiersza:
„Od kilku dni mam wrażenie że już mnie nie ma”.

Barbara Gajewska

Krystyna Cel

„Stromizną lat”

W tomiku wierszy Zbigniewa Gordzieja *Piórem po zebrach anatomii* wyróżnić można dwa przeplatające się, niekiedy dopełniające, kręgi tematów. Pierwszy związany jest z medycyną, bo pojawiają się tu wiersze poświęcone ważnym postaciom wnoszących swój wkład w rozwój tej jakże istotnej dla nas dziedziny wiedzy, wiersze o zdrowiu, naszej kondycji czy też jej braku, starości i śmierci. Drugi krąg



to utwory pełne miłości do gór. Są nimi Tatry wielokrotnie tu przywoływane, zawsze z ciepłym wspomnieniem, postrzegane jako ożywcze źródło dające wytchnienie, odprężenie i bodziec do zmagania się z trudnościami losu.

Te dwa kręgi tematyczne tworzą swoistą jedność, w której spełnia się podmiot liryczny. Wątek medyczny, że go tu tak określe, wprowadza w arkana tej dziedziny wiedzy, którą w pewien sposób jako laicy interesujemy się przecież, zwłaszcza w momencie pogorszenia zdrowia. Niektóre nazwiska wybitnych medyków, takie jak np. Antoni Kępiński, Robert Koch czy pamiętany przez pokolenia warszawiaków Tytus Chałubiński, są nam znane. Z tym ostatnim zetknęliśmy się choćby przelotnie, czytając utwory naszych pozytywistów. Ale zaistnienie ich w poezji jest czymś jeszcze innym. Dla poety utwór poświęcony wybitnej postaci jest zawsze wyzwaniem, miarą jego talentu. Oto w kilku wierszach, jak to jest w cyklu *Stromizną lat* poświęconych pamięci T. Chałubińskiego, pojawiają się, jak w filmowym kadrze, ważne momenty z życia

lekarza starej Warszawy. Widzimy go, jak pokonuje piętra warszawskich kamienic, gdzie chorzy czekają na obietnicę zdrowia, widzimy go też w Zakopanem, jak niestrudzenie walczy z epidemią, wkładając zawsze ten sam ogrom serca w swoją pracę.

Te dwa pejzaże, warszawski i zakopiański, wrosnięte w życie adresata utworu, mają jeszcze jeden odsyłacz – Tatry:

Później była nagroda
nawiedzanie umiłowanych Tatr.
Gerlach powitał piewce
w towarzystwie Asnyka
który piękno szczytów
zaklinał w sonety
Poeta i lekarz
piórem i słuchawką
badający wysokie tętno gór

Zbigniew Gordziej, sam miłośnik gór, odczuwa duchowe pokrewieństwo z tymi, którzy szukali w Tatrach nie tylko piękna, ale i tej magicznej siły, jaką stamtąd wynosili.

Zaciekawia zarówno formą, jak i treścią utwór *Do Profesora Antoniego Kępińskiego*, składający się z pięciu części. Formą jest tu list, który mniej ogranicza twórcę, mogą pojawić się tu zwyczajne informacje („Mleko dla Dializka przyniosę w piątek”, „Klimek z Roztoki przysłał nową fajkę/ i zaproszenie do schroniska”), tak charakterystyczne dla tego typu wypowiedzi. W liście poetyckim są one pewnego rodzaju przerywnikiem, odskocznią od powziętego z góry toku rozważań. Podobnie i pytania. Oto wybrany fragment:

Wczoraj byłem na facie u Herdegena,
wspomniał Pana i bomba
wybuchła, chwaliliśmy się
ofiarowanymi odłatkami dobroci,
krwawiliśmy nadzieją. Jaś Sztudynger recytował dedykację

złożoną na Kropkach Lirycznych.
Miał przepisane krople walerianowe?
Studiuję najlepszy podręcznik psychiatrii, Pismo Święte,
wskazania szczegółowe świętego Pawła.
Przestańmy wyrokować jedni na drugich!
Kupiłem karton ekstra mocnych bez filtra (jutro podrożeję),
w czwartek podeślę do kliniki.

Widać to i w utworach takich jak *List do Roberta Kocha*, *Do Profesora Ryszarda Gryglewskiego*, *Do Andrzeja Chramca*, swobodnie komponowanych, zawierających refleksje i komentarze nadawcy. Proza miesza się często z poezją. Wybór takiej formy przybliży te postacie – widzimy nie tylko wybitnych lekarzy czy naukowców, ale też ludzi ze swoimi troskami, zmartwieniami, a nawet dramatami.

Zespoleństwo dwu, jak sądzę, wielkich pasji: medycyny, historii medycyny oraz miłości do Tatr, dało autorowi możliwość stworzenia tomiku wierszy innego od wielu nam znanych. Czytelnik zostaje wprowadzony w krąg ludzi nauki, musi też przebrnąć przez wiele medycznych terminów, być na sali operacyjnej, usłyszeć modlitwę neurochirurga, otrzeć się o śmierć. Tomik rozpoczyna się od utworu *W oczekiwaniu na Tanatosa*, gdzie pojawia się sygnał karetki pogotowia, ale jeszcze przecież nie dla nas. Wyczuwam w tych utworach może nawet i temat nadrzędny, a jest nim nasze przemijanie. Ale

możemy razem z podmiotem lirycznym uciec od tego tematu i, błądząc po górskich zboczach, „na nowo zakochać się w życiu”.

Dzięki nauce i nowym odkryciom wydłużamy swoje życie, lecząc choroby dawniej nieuleczalne. Ale nasza cywilizacja przynosi nam nowe zagrożenia, o czym Z. Gordziej pisze w wierszu *Prawidła*. Czytając go, niektórzy z nas mogliby się sami zdiagnozować:

Cierpimy na zespół lęku społecznego

Rano sięgamy po energizery
wieczorem w naszej pięści
nasenne środki

Chorobowe karty pęcznią
od nowych zapisów

Tomik *Piórem po żebrach anatomii* ukazuje, jak ciekawym w odbiorze może być połączenie poezji z medycyną. Piękne wiersze o Tatrach doskonale wkomponowują się w całość, stanowiąc walor dodatkowy.

Zbigniew Gordziej, *Piórem po żebrach anatomii*,
Poznań 2012, Związek Literatów Polskich, seria wydawnicza „Libra” nr 46, s. 56.

Odnaleźć siebie w podarowanym czasie

Czytając wiersze Pawła Kuszczynskiego z jego najnowszego tomiku *Pora zdumienia*, zastanawiałam się nad tym, z iluz to spraw ważnych, istotnych i tych codziennych, zwyczajnych składa się nasze życie, z ilu niezwykłych doznań, przemyśleń, „przyptywów i odpływów” tego, co przynosi nam los. A na to wszystko, jak pisze autor tego tomiku, został nam podarowany czas i życiowa przestrzeń, byśmy w nich mogli odnajdywać siebie. Ten podarowany czas poeta nazywa „jedyną niewiadomą”, mającą wartość największą. Czas. Nieuchwytny, abstrakcyjny, a przecież trzyma nas w swoim żelaznym uścisku od początku do końca. Jeśli nazwiemy go życiem, to w jednym z wierszy odnajdziemy jego poetycką definicję:

Życie jak list wrzucony do skrzynki
pocztowej:
przed chwilą był twój,
a już przepadł, za twoją zgodą,
w innym świecie,
który ma granice z żelaza.
Wydostać go nie sposób.

Myszę, że wiersze z tego tomiku mówią o czasie, który ucieka i który domaga się od podmiotu lirycznego jakiegoś słowa, bo tylko posługując się nim, można ten podarowany

czas utrwalić. Ileż jest rzeczy godnych takiego zapisu! Niektóre można wydobyć z pamięci i na nowo przywrócić im blask. W tym poetyckim zapisie czasu, zapisie życia, jakże jest dużo kojącego zmysłu piękna natury. Motywy ogrodu, morza, ciszy wieczoru przeplatają się z dźwiękami muzyki – fortepianowego koncertu, sonaty, wypełniając przestrzeń, w której człowiek może poddać się wzruszeniu, rozpoczynając „podróż w głąb duszy”.

„Jakże podobne do człowieka jest morze” – pisze poeta w wierszu *W Dębinie*: ma swoje sztormy, swoje grymasy „pomarszczone falą”, ale też i swoją delikatność. Lubi spokój i ciszę, a „klifowy brzeg uczy przetrwania”. I chyba nie będę w błędzie, jeśli powiem, że wiersze P. Kuszczynskiego odkrywają przed nami



to, o czym w zmaganiu się z tempem życia zapominamy – oto wokół nas jest zieleń drzew i piękno ogrodów, błękit nieba i spadający liść, zachodzące słońce i daleki horyzont.

Kropłe deszczu padają na skroń
nie zrzucają ich dłonią
niech chłódzą gorączkę istnienia
życiem idź dalej wyprostowany

– przypomina poeta. Ten czterowiersz mógłby stać się przestaniem tomiku, bo przecież najistotniejszym jest, by w tym podarowanym czasie i w tej swojej przestrzeni odnaleźć siebie samego, swoje JESTEM i powtórzyć za poetą: „Życie jest

wszystkim”, jak to czyni w wierszu *Wyznanie*. Mimo cierpienia, czasem i choroby, o której też pisze w wierszu *Rozdział*.

Lektura tego zbiorku kieruje nas bardziej do wewnątrz, bo od tego, co jest w nas samych, co zdołamy przez lata zbudować w sobie, zależy spojrzenie na otaczający nas świat i na drugiego człowieka. Ale chyba najważniejszym jest, że te utwory pokazują, jak można przeżywać świat i swoje istnienie, widzieć więcej i czuć więcej, i jak „pauzą zdumienia” to istnienie nasycić.

Paweł Kuszczynski, *Pora zdumienia*, Toruń 2012, Wyd. Adam Marszałek, s. 95.

W krainie legend

Zbiór skarżyskich legend i opowieści Bożeny Piasty nie byłby pełny, gdyby nie zawierał tego, co w takich tekstach nieodzowne. Myślę tu o wątku miłosnym, obecnym w jakże wielu znanych nam legendach. Są więc w zbiorze autorki utwory, których głównym tematem jest miłość, ale są i takie, w których wątek miłosny spleciony jest z wydarzeniami historycznymi.

Legenda czy też opowieść mają swoje, jeśli idzie o ten odwieczny temat, jakim jest miłość, wymogi. Uczucie miłości musi tu być prawdziwe, wielkie, romantyczne, wymagające niekiedy poświęcenia czy też dowodów wierności. Musi też być niezniszczalne, wieczne, bo tylko takie mogłoby pozostać w pamięci ludzi i przejść do legendy. Miłość idzie tu niekiedy w parze ze śmiercią, powiedziałabym, że jest nawet silniejsza niż śmierć. Kochankowie zespoleni takim uczuciem mogą pokonać wszelkie ograniczenia, i te płynące z zewnątrz i te, które tkwią w nich samych.

Autorka mówi o tej wielkiej miłości w sposób na pozór zwyczajny, prosty, bez używania wielkich słów, ale przez to

tak silnie działający na uczucia, zwłaszcza w tych legendach, gdzie miłość musi zmierzyć się z okrutnym czasem wojny i okupacji. Dzieje takiej wojennej miłości to temat legendy *Echo z Burzącego Stoku*. Żydowska para, piękna Fajga i zakochany w niej Szafir pragną uchronić się przed gettem i w konsekwencji śmiercią, gdyż „zjawili się tacy, którym zupełnie nie podobały się czarne oczy ani włosy, ani śniada cera, ani Fajga. Kochali tylko nordycki kształt głowy. Takim jak Fajga i Szafir dawali opaskę Dawida i gromadzili ich w gettach”.

W tej legendzie pojawia się i ten trzeci – to Dziwajło, zwany też Jąkałą. On również kocha Fajgę, choć wie, że miłość jego nigdy nie będzie odwzajemniona. Ta legenda to również opowieść o nim, o jego wielkiej, nieodwzajemnionej, nikomu nieznannej miłości. Kocha piękną dziewczynę tak bardzo, że nie myśli o sobie, o tym, że przecież z jej powodu jest nieszczęśliwy. Dla niego najważniejsza jest Fajga i jej szczęście. Czuwa nad bezpieczeństwem ukochanej, ratuje jej życie, a sam ginie od niemieckich kul. Ten motyw wielkiej miłości u kogoś, kto wie, że nie może liczyć na wzajemność, ale miłość jest tak silna, że każe poświęcić się dla ukochanej osoby, spotykamy niekiedy w baśniach, jak również i w innych utworach literackich.

Czas wojny i okupacji to również tragiczne tło dla historii miłości bohaterki legendy *Grób Anioła*, Alusi, w której zakochał się Latawiec-Anioł. Tak się zapamiętał w swojej wielkiej miłości, że przedłużył pobyt na ziemi. Trafiła go zabłąkana kula, bo nieopodal Niemcy wykonywali egzekucję na partyzantach. Alusia pochowała ukochanego, a na jego grobie postawiła brzoźowy krzyż. „Gdy popatrzysz na niego, pomyśl o Latawcu, który szczęście swoje okupił tym grobem. I o potęgę miłości, która zapomina o śmierci, a trwa wiecznie” – pisze, zwracając się do czytelnika, autorka.

W wielu legendach, zwłaszcza tych zawierających wątek miłosny Bożena Piasta eksponuje Rejów, miejsce, z którym uczuciowo była związana. Roztacza przed naszymi oczami



jego piękno. Urocze zakątki zachęcają tu do odpoczynku w cieniu drzew, a wody jeziora przynoszą chłód. Kryją też w sobie jakieś odwieczne tajemnice, z nimi wiążą się różne opowieści i wspomnienia utrwalone właśnie przez Bożenę.

Zwróć tu uwagę na legendę *Dopóki płynie Kamionka*, w której pojawia się nimfa wodna, postać znana nam z wielu baśni. Pojawia się oczywiście w owych tajemniczych wodach Rejowa – tam ma swoje królestwo. I podobnie jak w wielu baśniach kocha człowieka. Dla niego wychodzi z wody. Owocem tej miłości do przystojnego hutnika Stasia jest jej córka, Rusałka. Tragiczny wypadek w hucie zabiera Stasia. Nimfa z rozpaczy opuszcza Rejów – popłynie Kamionką w daleki świat. Jej córka Rusałka, podobnie jak matka, zakochała się w człowieku, ale jej ukochany bał się wejść do wody, by nie utonąć – nie wiedział, że gdyby to uczynił, jego Rusałka mogłaby żyć wśród ludzi. Przeżył swoje życie samotnie z dala od ukochanej, a gdy na starość powrócił nad jezioro i zobaczył Rusałkę, wszedł do wody. Było jednak za późno. Rejów zabrał w swoją toń już na wieczność oboje zakochanych. Ta piękna legenda ukazuje, że wielka miłość może być silniejsza od śmierci.

Czytając legendy i opowieści Bożeny Piasty widzimy, jak autorka umiejętnie dostosowuje język i styl do tematu, jego ciężaru gatunkowego. Tworzy w ten sposób właściwy każdej z legend klimat raz rozciągając aurę tajemniczości, raz budując napięcie czy dramaturgię wydarzeń, a kiedy temat legendy jest nieco lżejszy, bardziej żartobliwy, pozwala sobie na humorystyczne jego potraktowanie. Przykładem może być legenda *Swawolna sadzawka*. Jak zapowiada tytuł, będzie to opowieść o stawie, a właściwie o sadzawce, w której „topielice, wodnice, zwodniki, szuwarki i przeróżny

asortyment wodnego gorszego towarzystwa” swawoli bez umiaru. Owa swawolna sadzawka znajduje się oczywiście na Rejowie, który jakże często pojawia się u Bożeny Piasty jako miejsce szczególnie przez nią lubiane.

Opowieść tę przywołuję tu także i z osobistego powodu. Kiedy w lutym 2012 roku odwiedziłam Bożenę, otrzymałam od niej dopiero co namalowany obraz – przedstawiał tę właśnie „swawolną sadzawkę”. Jest bardzo ładny, utrzymany w tonacji zieleni, brązu i żółci, a więc tych kolorów, które lubię. Ale ileż tu ich odcieni i jak pięknie wyglądają drzewa odbijające się w wodnej toni. Ten obraz to dla mnie ważna pamiątka, zwłaszcza teraz, kiedy Bożeny Piasty nie ma już wśród nas.

Wracając do legend, w których temat już sam w sobie wymaga ujęcia go w kategoriach humoru i dowcipu, ciekawą pod tym względem okazuje się *Skalka i pepepek Jagi*. Czytając ją możemy podziwiać zręczność operowania nastrojem, przechodzenia w narracji od fragmentów podanych lekko, w sposób zabawny do tych, które niosą w sobie grozę wydarzeń wojennych.

I w tej legendzie pojawia się Rejów jako urokliwe i pełne tajemnic miejsce. Przyjmując baśniową konwencję opisu autorka rozpoczyna opowieść od wyeksponowania go jako miejsca szczególnego, niemającego sobie równych. Dużo jest Rejowa w twórczości Bożeny – obecny w wierszach, utworach prozatorskich, uwieczniony na obrazach przemawia swoim pięknem zapamiętanym przez autorkę na przestrzeni aż kilkudziesięciu lat, bo od czasów wczesnego dzieciństwa, jako miejsca wypraw, wypoczynku i zabawy, po młodzieńcze spacerunki aż do sentymentalnych wspomnień. Tu odzyskiwała zawsze spokój, potrzebę dystansu, stąd brała siłę do walki z przeciwnościami losu.

By przetrwali w pamięci

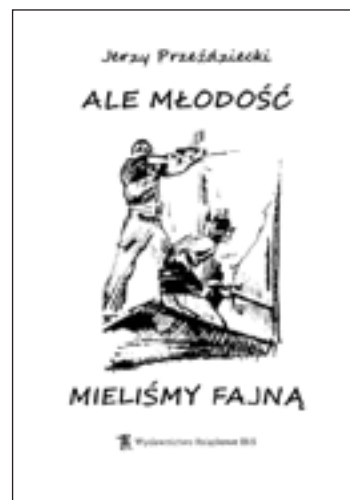
„Uporczywie męczy nas pytanie, co pozostanie z kombatanckiego etosu, gdy odejdziemy? Czy bezmiar przelanej krwi, ogrom cierpienia i poświęcenie odbijać się będzie słabnącym echem w kolejnych uroczystościach rocznicowych, czy stanie się trwałą podwaliną obywatelskiego wychowania młodych pokoleń Polaków?” – to fragment z wypowiedzi nieżyjącego już generała Stanisława Karolkiewicza, prezesa Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, a w czasie okupacji „Szczęsnego”, dowódcy partyzanckiego oddziału.

Autor książki *Ale młodość mieliśmy fajną* (2013) Jerzy Przeździecki zamieszczając ów cytat zadawał takie pytania i sobie samemu. Sobie, który był przecież żołnierzem Armii Krajowej, uczestnikiem akcji „Burza” uhonorowanym tytułem Weterana Walk o Wolność i Niepodległość oraz stopniem oficerskim. Czy zatem w kontekście tych pytań nie należy ciągle utrzymywać, dokumentować albo raczej po prostu opowiadać o czasie już wprawdzie minionym, ale jakże ważnym i niezwykłym

w naszej narodowej historii. Opowiadać, dopóki żyją jeszcze ci, którzy byli jej świadkami i sami ją tworzyli.

W słowie odautorskim czytamy: „Czas upływa i coraz mniej mi go zostaje, zatem albo szczerze, albo wcale”. Ta powzięta z góry zasada szczerości pozwoliła odtworzyć miniony czas w sposób prawdziwy bez upiększania czy ubarwiania czegokolwiek. Nawet wówczas, gdy widziany on jest z perspektywy kilkudziesięciu lat.

Wszystko, co dzieje się w opowiadaniach J. Przeździeckiego, wiąże się z okresem okupacji, bo to on kształtował



charaktery i osobowości bohaterów, i w jakimś sensie wyznaczał także ich powojenny los. A bohaterowie ci to przeważnie młodzi ludzie, którzy, należąc do różnych konspiracyjnych organizacji i grup, walczyli z okupantem. Jakże wielu z nich zginęło zaledwie na progu młodości. Ci, co przeżyli, na zawsze nosili już w sobie swój wojenny czas. Nazwałam go niezwykłym, bo obfitował w tak wiele bohaterskich czynów, w których człowiek przechodził sam siebie – w odwadze, brawurze, gdy swoje życie rzucał na szalę tak wielu niebezpiecznych, zdawało się niewykonalnych akcji. O tym bohaterstwie pisze autor, ale ta książka przynosi też coś innego – ukazuje codzienność tych partyzanckich oddziałów: zmaganie się z trudem życia w lesie, oderwania od domu, od rodziny. Życie w ustawicznym niebezpieczeństwie, patrzenie na śmierć kolegów, a także zadawanie śmierci innym, wprawdzie wrogom, ale przecież ludziom, odkładały się w psychice. Te tragiczne doznania trzeba było czymś zagłuszyć. Czasem piosenką, a czasem straceńczym humorem, wybujałą wyobraźnią, chęcią zaimponowania i sobie, i kolegom, miłą przygodą. Poznajemy postacie żołnierzy-partyzantów pochodzących z różnych środowisk; każda z nich inna. Dużo tu młodych ludzi prostych, zwyczajnych, często bez większego wykształcenia. Ich reakcje, emocje, własne postępowanie, także postępowanie dowódców podlegają wewnętrznej moralnej ocenie, jak to jest np. w opowiadaniu *Egzekucja*. Wojna jest dla nich wielkim doświadczeniem i sprawdzianem nie tylko siły, wytrwałości, odwagi, ale i ludzkich uczuć.

„Człowiek ma wiele twarzy” – pisze autor, odnosząc to stwierdzenie do rozmaitych sytuacji, w jakich znaleźli się jego bohaterowie. Wojna stwarzała heroizm, ale też wyzwalała w człowieku niskie instynkty dyktowane nienawiścią czy pragnieniem zemsty.

Stanisław Nyczaj

Przebogate kompendium o Grotowskim

[...] nie sadzę, aby moja droga „artystyczna” (nazwijmy to) była jedyna, przeciwnie – sadzę, że jest ich wiele i że każda polega na tym, aby być do końca wiernym swojemu powołaniu i by do końca realizować – w „akcie twórczym” – tkwiące w nas możliwości; [...] tak więc również w teatrze widzę wielość możliwości dochodzenia [...].

(Z listu Jerzego Grotowskiego do Zbigniewa Osińskiego. Opole, 8 maja 1964)

Ukazała się niecierpliwie wyczekiwana książka prof. Zbigniewa Osińskiego o jednym z najwybitniejszych artystów światowego teatru w XX w. Jerzym Grotowskim (1933–1999) pt. *Spotkania z Jerzym Grotowskim. Notatki, listy, studium*. Należałam do tych indagujących wydawnictwo wielce ciekaw i z głębokiego sentymentu dla Grotowskiego

Ostatni rozdział książki jest tytułowym, z zaznaczoną przez autora formą słuchowiska. To zapis telefonicznej rozmowy pomiędzy porucznikiem „Szczęsnym” – lat 89, a Józefem Zadurą – lat 83. Zaznaczenie tu wieku rozmówców jest istotne w kontekście całej rozmowy – obu łączyła żołnierska młodość, czas okupacji, partyzantka. Zadura całe lata szukał swojego porucznika, znał tylko jego pseudonim. Na koniec życia, gdy udało mu się wreszcie go odnaleźć, pozostała już tylko ta właśnie rozmowa telefoniczna, zakończona słowami: „Ale młodość mieliśmy fajną”. Różnie układały się dalsze ich losy, ale z perspektywy całego życia ta ich młodość, chociaż napiętnowana tragizmem wojny, była mimo wszystko wartością nadrzędną – w niej utrwaliły się na zawsze: koleżeństwo, wierność, poczucie wypełnionego obowiązku względem ojczyzny. Może to właśnie wtedy żyli bardziej autentycznie niż później, kiedy rzeczywistość stawała się o wiele więcej zawiślana niż ta wojenna. Jerzy Przeździecki pisze: „... trudniej mi zrozumieć meandry polityki, a łatwiej dramaturgię wojennych wydarzeń”.

Tytuł książki może mieć dwojaką wymowę. Słowo „fajna” w odniesieniu do wojennej młodości może mieć tu zabarwienie ironiczne, nawet gorzkie (młodość wojenna to przecież młodość stracona), ale może też oznaczać czas niezwykły, wyjątkowy będący sprawdzianem tego wojennego pokolenia Kolumbów.

Sadzę, że warto sięgnąć po tę książkę, by, zagłębiając się w ten okupacyjny czas, a później trudną powojenną rzeczywistość, odkryć to, co naprawdę warto przechować w sobie.

Krystyna Cel

Jerzy Przeździecki, *Ale młodość mieliśmy fajną*, Wydawnictwo Książkowe IBIS, Warszawa 2013, s. 229.

– mistrza mojej młodości, będąc w latach studiów polonistycznych w Opolu jednym z zaprzysiężonych orędowników formułującego się od września 1959 do jesieni 1964 niezwykle kreatywnie w trudnych warunkach i przy narastającym sprzeciwie władz Teatru Laboratorium „13 Rzędów” (który ostatecznie musiał – ku rozgoryczeniu mojemu i niemałego koła przyjaciół – przenieść się do Wrocławia, gdzie stworzono mu lepszą, bardziej stabilną sytuację).

Mały ślad tej fascynacji jest w suplementie do mojego tomu poetyckiego *Przedajmy pęd Ziemi* (2009) w formie przedruku z robionego prymitywnie z konieczności na powielaczu spirytusowym pisemka studentów opolskiej WSP „Nasze Sprawy” (marzec 1964, nr 2, s. 6-8) wywiadu z Jerzym Grotowskim, jaki przeprowadziłem wspólnie z kolegą redakcyjnym Jerzym Wróblewskim z naszym mistrzem pt.

Zbigniew Osiński

SPOTKANIA

Z JERZYM GROTOWSKIM

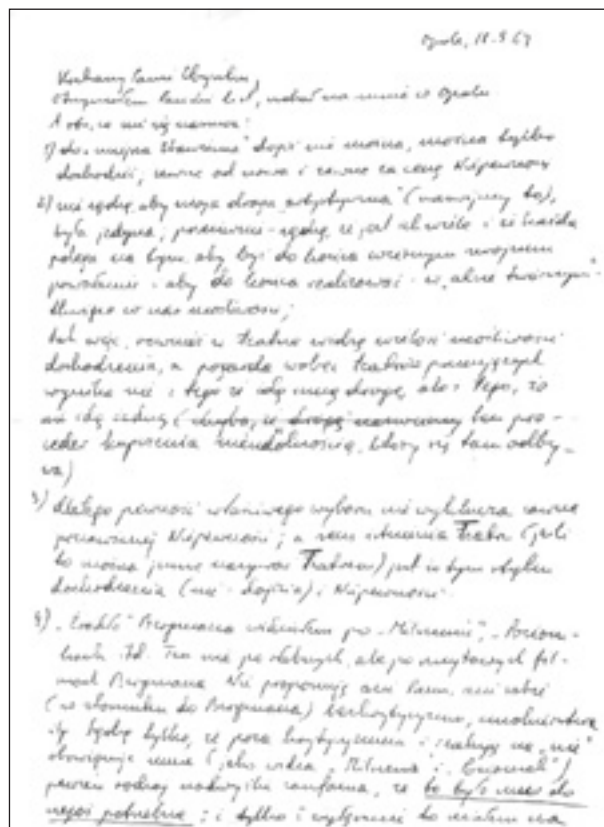
notatki, listy, studium



fotografie: Zbigniew Osiński

Nowe „być albo nie być” w Teatrze Laboratorium. Na promocji tego tomu w warszawskiej Tyflogalerii w gmachu PZN przy Konwiktorskiej był prof. Zbigniew Osiński z grupą swoich studentów. Ucieszyłem się niezmiernie z jego obecności wśród sporego grona moich stołecznych przyjaciół. Pamiętałem Profesora jeszcze z odległego roku 1964, kiedy przyznał mi nagrodę za wygłoszony na seminarium teatrologicznym młodych polonistów referat *Ocena gry aktorskiej we współczesnej publicystyce*. Ileż miał wtedy dobrotliwej i wspianiałomyślnej przychylności dla mnie, proponując – gdy wspominałem, zaproszony na rozmowę do stolika, o zafascynowaniu Grotowskim – współpracę z „Przeglądem Teatralnym”! Byłem zaszczyczony, wdzięczny, zapalony, ale po namyśle w domu nie zdecydowałem się, słusznie uważając, że to dla mnie jeszcze, po zaledwie trzecim roku studiów, „za wysokie progi”. Zresztą, miałem kompleks niewyrazistości w odbiorze sztuk teatralnych z powodu słabego wzroku. Wiele z gestów, mimiki, dalszego planu nie docierało do mnie, nie nadążałem wizualnie, bardziej chłonąc innymi zmysłami i nadrabiając intuicyjnym kojarzeniem wrażeń przeżywanego spektaklu.

Przed rozpoczęciem spotkania promocyjnego w Tyflogalerii Profesor powiedział, że nasz studencki wywiad, dotąd nieodnotowywany w bibliografiach, ma wartość źródłową jako nieznane dotąd zwierzenie Jerzego Grotowskiego w związku z przygotowywanym *Studium o Hamlecie* wg Szekspira oraz *Studium o Hamlecie* Stanisława Wyspiańskiego, od którego refleksyjnej formuły przejął tytuł dla własnego – budzącego wyjątkowo duże kontrowersje – zamysłu inscenizacyjnego.



Prof. Zbigniew Osiński, wybitny teatrolog z imponującym dorobkiem ważkich publikacji¹⁾, w tej najnowszej – opartej na zapiskach z osobistych spotkań z mistrzem i na materiałach źródłowych zaczerpniętych z Ośrodka Badań Twórczości... we Wrocławiu – „odczytuje doświadczenie Grotowskiego przez własne doświadczenia, biografię i wrażliwość”. W części ostatniej dzieła, zatytułowanej *Studium*, pisząc m.in. o inspiracjach Grotowskiego jako przekazach dla innych pokoleń, trafnie charakteryzuje to, co wynosiłem usatysfakcjonowany, ale nie dość krytyczny podczas ostatnich sympozjów rocznicowych z nazbyt dufnych niekiedy relacji ilustrowanych filmowymi obrazami ze spektakli: „Grotowski reprezentował jednak kompletnie odmienną formację, niż artyści, których uważa się dzisiaj za kontynuatorów jego drogi twórczej lub którzy sami podają się za takich. Był jakby z innej konstelacji. Przez całe życie walczył poprzez swoją sztukę o jej duchowy wymiar, chociaż inaczej to nazywał. W ostatnim okresie nazywał to «wertykalnością», a także «Sztuką jako wehikułem», chociaż słowo «sztuka» było w tym kontekście konsekwentnie pisane dużą literą”. I dalej ważna konsta-

¹⁾ m.in. *Grotowski i jego Laboratorium* (1980, w wersji anglojęzycznej 1986, włoskiej 2011 ze wstępem Eugenia Barby), *Grotowski wytycza trasy. Studia i szkice* (1993), *Grotowski. Źródła, inspiracje, konteksty* (t. I: 1998, 2009 t. II: 2009), *Pamięć Reduty. Osterwa, Limanowski, Grotowski* (2003), ciekawej dla kielczan pt. *Nazywał nas bratnim teatrem. Przyjaźń artystyczna Ireny i Tadeusza Byrskich z Jerzym Grotowskim* (2005), *Polskie kontakty teatralne z Orientem w XX wieku. I. Kronika, II. Studia* (2008).

tacja, jaką w pełni podzielałam, wspominając organizowane przez siebie z udziałem naszego guru w starym akademiku opolskiej WSP przy Katowickiej wieczorne długie konwersatoria: „Grotowski był wielkim mistrzem rozmowy i publicznych wystąpień”. Mówił sugestywnie, obrazowo, z konkretnymi przykładami. Niepostrzeżenie mijały godziny, a on trzymał nas w ciągłym napięciu emocjonalnym i skupieniu myśli. I co istotne w bezpośrednich kontaktach, zaakcentowane

przez prof. Osińskiego: „jak mało kto, potrafił on przede wszystkim słuchać innego człowieka”.

Zbigniew Osiński, *Spotkania z Jerzym Grotowskim. Notatki, listy, studium*, Gdańsk 2013, wydawnictwo słowo/obraz terytoria, s. 328, w tym liczne zdjęcia, fotokopie listów.

„Oko w oko z dozgonnością”

I

W ślad za dwoma poematami: *na śmierć zegarka przejechanego zimą przez samochód* (2008 i w tomie *Płacz czajki* 2009), *Na zdjęciu wciąż żyjemy* (2012) – Elżbieta Musiał publikuje trzeci z kolei *Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych* (2013); od razu dopowiedzmy: czynności zbędnych umarłym, ale skoro wykonywanych, to jednak może potrzebnych nam na dowód, że będziemy pamiętać, wspominać.



Następuje więc w jej twórczości poetyckiej znamienita przemiana, bo oto po zbiorach wierszy różnych (i towarzyszącego im własnego malarstwa) – *Miejsce na niebo* (1996), *Tatuaz z obłoków* (2001, nagrodzonego w edytorskim konkursie „Świętokrzyska Premiera Literacka”), *Cień rzeki* (2004) i pierwszej części wymienionego *Płacz czajki* – mierzy się z gatunkiem poetyckim trudniejszym, mającym bogatą tradycję, ale dziś zdecydowanie rzadko praktykowanym.

Podczas spotkania promującego najnowszy poemat 18 października br. w ramach Posiadów Literackich „U Szymborskiej” w zakopiańskiej Astorii i potem w wywiadzie dla Radia „Kielce” sama autorka przyznała, że na tę

przemianę istotny wpływ miało lekturowe przeżycie *Ziemi jałowej* Thomasa Eliota. Sugeruje to też w posłowniu Marek Wawrzkiwicz, wykazując (po porównaniu formalnych podobieństw i różnic między *Ziemią jałową* a jej utworem *Na zdjęciu wciąż żyjemy*), iż „w pewnym sensie poszła tropem Eliotowskiego poematu”.

Myślę, że przechodząc od liryki ku poematowi – bez, naturalnie, poniechania tej pierwszej (o czym świadczy jej współobecność w *Płacz czajki* oraz tu o ówdzie w prasie) – poetka w okresie swej dojrzałości twórczej odczuła potrzebę wypowiedzi o „szerszym oddechu” i pełniejszym otwarciu na pogłębione nowe przemyślenia.

Trzeba też od razu zaznaczyć i podkreślić, że poetka, podejmując temat nieodwołalności umierania, nie idzie tropem średniowiecznych alegorycznych traktatów i nie moralizuje w kategoriach symboliki dobra i zła. Eksponuje tę wizualno-obyczajową stronę naszego zachowania się wobec śmierci w aspekcie poczucia przyzwoitości tego, co i jak współcześnie wypada.

II

Cóż, byt nasz jest zdeterminowany kategoryczną, ostateczną koniecznością. Najzwięźlejszą ujął tę ontologiczno-egzystencjalną prawdę w 1927 r. Martin Heidegger w formule „bytu-ku-śmierci”. Ale przecież z tą odwieczną prawdą człowiek musiał i zdołał się już od dawien dawna oswoić i pogodzić. Do tego stopnia, że obiegowe *memento mori* stało się dla kamedułów, a następnie kartuzów i trapistów nie tylko ostrzegawczym napomnieniem w słowach pożegnania, ale też... pozdrowieniem.

Skoro więc nieustannie trzeba o śmierci i umarłych pamiętać, to może należałoby się nią porządnie zająć. Zadbaj, by nie zastała nas zupełnie niegotowymi na jej wypadek. Właśnie, „Ją trzeba w sobie przygotować” – zaleca podmiot poetycko-eseistycznej refleksji Elżbiety Musiał. Nie zaszkodzi w tym względzie nawet uczynna

nadgorliwość, taka, że już zawczasu wyjdziemy naprzeciw osobom zaskoczonym naszym nagłym odejściem i wycyścimy sobie buty, zważając przy tym, „by były wygodne” i do tego „stóp nie ranily” (s. 6). Ta troska o wygodę w celebracji zbędnych umarłym, ale przecież nam potrzebnych czynności stwarza sytuację, oczywiście, paradoksalną, aczkolwiek dla komfortu duchowego pięknie nas łudzącą. Podmiot wszystkowidzący figlarnie przymruża oko: „Co, obrazek przewrotnie / chagallowski? [...] będziemy jak rekruci rysujący czarnymi lakierkami / glazur nieba” (s. 7). „Nasza znikomość pcha nas do przodu. [...] Samograj w sam raz do fotki” (s. 9) – na ile to świadome nawiązanie do poematu *Na zdjęciu wciąż żyjemy?*

Jednak świadome. „Nawet jeśli się o nią [śmierć] otarłeś [...], nosisz jej ziarno. I żaden plan chytry tropu nie zmyli”. Gdybyś chciał się ukryć, „Wszystko byłoby zaledwie dziecięcą zabawą w chowanego. [...], że nikt nas nie widzi, jeśli my nie widzimy” (s. 12).

Poetka nie nakłania do buntu, lecz do racjonalnej rozważliwości. Wobec perspektywy nieodwołalnego odejścia należy zostawić po sobie porządek, przejrzeć szuflady, „wyjąć listy, porzucone wiersze, zapisane plany” na strawienie – starannie posegregowanych – przez ogień „niezwykle pomocny w nauce powściągliwości”, by zostawić „tylko prochy słów [...] po sobie prochy” (s. 14), sterylną ich garstkę (s. 15). Szkoda, że nie da się tak samo uporać z „szufladami w Internecie”. I tu w imię zostawienia całkowitego porządku po sobie nasuwa się myśl o zadziwaniu jakby z urzędu: „ta sprawa domaga się interpelacji i rozwiązania” (s. 16).

Bezlitosną konsekwencją jest wyrachowana rezygnacja z tęsknot za nadzieją, rozbudzaną przez przyrodę z wiosną, skoro po „wywietrzeniu powietrza” łąka „staje w bieli [...] wciąż tylko kwitnie zimą i po kolana brodzi” (s. 17).

Pytanie w intymnej rozmowie z myślami z odwołaniem się do klasyka Miłosa:

Mów choćby wierszem, czego się dowiedziałeś
na tym najlepszym z zaświatów,
[...]
Czy to tam przeniosła się miłość, na którą na ziemi
nie starczało czasu?
(s. 18)

jest – jak wszystkie inne (również te pytania do Szyborskiej z s. 34: „Mów choćby wierszem, / co u ciebie słychać. Jak teraz wygląda twoje / życie duchowe?”) albo do Alberta Einsteina na s. 30: „czy rozwiązały ci się wszystkie wzory? / I czy czas w nich jest? [...] Tobie uwierzę. Nawet jeśli mi do ucha szepniesz, / że duch też ma płęć. A moje wzgórza na tę wieść spleoną” (powtórzone na s. 42 w kontekście nowych pytań o los miłości, o aureole i wniebowzięcia) – retoryczne.

Nie ma na to rady, że „życie wciąż płacze się ze śmiercią”. O ileż byłoby łatwiej znieść ból i gorycz rozstania, gdyby nie trzeba było zabiegów o trumnę, pochówek, nagrobek (s. 19).

Mija dwadzieścia lat od czasu odejścia babci autorki, Stefanii, a żal po niej nadal łączy się ze smutkiem, że też cały jej świat odszedł wraz ze zburzeniem domu, ścięciem starej czereśni rzadkiej odmiany. Nawet „ścieżkę przenieśli”, po której „zgarbiona chodziła”. Tylko negatywnym zdjęć, pamięcią o osobie bliskiej i obrazowym słowem można zaświadczyć, że tu była (s. 20-23).

Podobny żal daje o sobie znać po „ludowej rzeźbiarce od cudeniak obrostłych w skrzydła i siedmiu boleści” (s. 21).

„Tak, śmierć zaczyna fascynować, gdy już / nabieramy pewności, że da się ją jakoś przeżyć” – czytamy na s. 26. Zaczyna fascynować obecność w sąsiedztwie i topieli naszych snów duchów tych, co zostali „w niebo wzięci”, a nadto zagadkowa konfrontacja bają „szepcuchy z krzywym nosem” z „pychą rozumu” (s. 27). Jednakowoż podmiot z przekąsem stwierdza, że umarli obcuja z nami, „są święcie przekonani, że wciąż żyją”, tylko „Czy życie ich śni, czy oni śnią życie” (s. 28). Tu wkraczamy jakby w Leśmianowski klimat bycia-niebycia zaświatów w świecie.

Po dywagacyjnych, niebłahych zresztą, wtrętach o mocy przyzwyczajenia, nośności idei i trwałości treści, dopominającej się troski o ocalenie Norwidowego imienia, autorka coraz to śmieiej wdaje się w dyskurs z czytelnikiem, który wszak te dylematy zna: „Proszę mnie źle nie zrozumieć [...] Jakże zaświaty potrafią wpleść się w życie / bezwiednie / w jednej zwrotce” (s. 36). Bierze na świadka ducha Jonasza Kofty, przyłapując się w krzątaniu po domu na prozaicznym oczekiwaniu-pragnieniu: „Kiedy wreszcie zagotuje się ta woda na herbatę?” i informując go, wtajemniczonego jakoby w jej życie, zwyczaj i zamiary: „Będę pić z filiżanki nowej, / której nie widziała jeszcze babcia Stefa. Jonaszu, może się do nas przysiadziesz?” (s. 37).

Dom myśli zagęszcza się: „Rozpalmy stopy ze słów. *Ars bene moriendi*” (s. 43). Powracają znane z wcześniejszych części poematu obrazowe motywy chagallowskich rekrutów, wyczyszczonych butów, krochmalnej poduszki, powabnej różanopodłaskiej śmierci (z płótna Malczewskiego), ścieżki, którą przenieśli, szumu to znów kwiatów białych bzu czarnego, najśodszej czereśni; przypomniane zostają refleksyjne formuły: „śmierć potrzebuje oprawy”, „przyzwyczajenie wygasa wolniej niż życie”. Powracają i przypomniane zostają obsesyjne, z zastanawiającym, niedającym spokoju niedomówieniem: „Bo jeśli wszystko jest powtórzeniem i nie jest po raz pierwszy...” (s. 46). Wraz z podejrzeniami, że „jeśli nie ma TAM” i na nic się zdaje nawoływanie „cip, cip” i „dokarmianie duchów okruciami wierszy”, prochami ze spalonych słów, to nasze pragnienia o niezbywalności i wszechobecności są „dyrdymałami niczym echo” (s. 45).

Mądry dystans do tematu z trwoźnego i obrósego w fantasmagorie pogranicza świata i zaświatów w poemacie Elżbiety Musiał – podobnie jak w mówiącej o zdeterminowaniu śmiercią poezji nieodżałowanego Bolesława Garbosia – świetnie i ożywczo punktuja pomysłowe formuły aforystyczne. Promieniają w swoich kontekstach wyczuwalnie (wiele ich wyżej przytoczyłem), ale też można je smakować, cytując

z osobna, jak choćby te: „[Ogień] jest niezwykle pomocny w sztuce powściągliwości”; „Wzdragam się na myśl, że czas TAM mógłby być nieużyteczny”.

Stanisław Nyczaj

Elżbieta Musiał, *Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych*, Kraków 2013, Wydawnictwo SIGNO, s. 51.

Ryszard Koziej

Dramat osaczenia

(O powieści Grzegorza Kozery *Berlin, późne lato*)

Fikcyjni bohaterowie powieści Grzegorza Kozery sporo mają z samego autora, on może temu zaprzeczać, ale fakty niejako mówią same za siebie. To dowód autentyczności tej literatury, bo rzeczywistość postrzegana jest w niej oczami współczesnego człowieka, mężczyzny po przejściach, bohatera wrażliwego, wciąż uczącego się świata, mimo że sprawiającego wrażenie, jakoby o tym świecie wiedział już wszystko i przez to nieco cynicznego. Każdy, kto zna autora, po prostu odnajduje go w kreowanych przezeń postaciach, odnajduje też cząstkę siebie, bowiem bohaterowie powieści *Biały Kafka* czy *Droga do Tarvisio* są jednocześnie na wskroś indywidualni, jak i mocno charakterystyczni dla pokolenia inteligentów wchodzących w dorosłość razem z karnawalem „Solidarności” w 1981 roku.

Akcja wymienionych wyżej utworów Kozery dzieje się współcześnie, jednak najnowsza powieść *Berlin, późne lato* osadzona została w czasie drugiej wojny światowej, konkretnie w Berlinie w 1943 roku. Znow mamy tu całkowicie fikcyjnych bohaterów i znow w głównej postaci jest coś z samego autora, ale to coś dotyczy tylko i wyłącznie sfery pytań o ludzką wrażliwość i ludzką wytrzymałość na otaczający każdego, niezależnie od czasu, wrogi, nieprzyjazny świat.



Książkę Kozery odczytuję jako próbę odpowiedzi na pytanie: co by było gdyby. Wehikuł czasu przenosi bohatera siedemdziesiąt lat wstecz, lecz nie dosłownie jak u Wellsa. Grzegorz Kozera dba o to, by Otto Peters był postacią z właściwej sobie epoki, a nie podróżnikiem w czasie, tyle że jego mentalność bliższa jest współczesnym Europejczykom, niż nawet wykształconym Niemcom siedemdziesiąt lat temu. Nie jest to wada powieści, bo nie jest książka Kozery powieścią historyczną, to bardziej historia miłości niemożliwej w niemożliwych czasach, wojna staje się wygodnym, wiarygodnym tłem do opowieści o czymś więcej niż pokazanie fikcyjnego epizodu ratowania przez niemieckiego inteligenta polskiej uciekinierki z obozu koncentracyjnego.

Wojenne tło, *notabene*, bardzo starannie przez autora odtworzone, może być bowiem scenariem każdej, również dzisiejszej tragedii, którą jednym słowem można nazwać przekleństwem osaczenia. Bohater powieści, 45-letni bezrobotny pisarz, bezrobotny, bo nie godzi się na tworzenie propagandowych tekstów dla nazistów, stara się za wszelką cenę zachować w czasach totalitarnych swoją zwykłą ludzką godność. Nie jest wojownikiem, więc bardziej liczy na przeczekanie złych czasów. Przypadek, jak to w życiu bywa, sprawia, że i taka postawa staje się niemożliwa, decyduje się na krok, który jemu i osobie, z którą styka go los, grozi śmiercią. Groźba śmierci osacza go ze wszech stron, Berlin 1943 roku jest miastem już bombardowanym przez aliantów i jest miastem, gdzie wciąż niezwykle skutecznie działa tajna policja, wytłuskująca niejako spośród mieszkańców tych wszystkich, którzy nawet w zwykłym zachowaniu odbiegają od hitlerowskiej propagandowej normy.

Współczesny czytelnik może rzecz jasna podczas lektury zadawać sobie pytanie: jak ja, równie wrażliwy niczym bohater, zachowałbym się na jego miejscu. Nie może oczywiście

porównywać tamtych czasów z dzisiejszymi, ale czy niedające się jednoznacznie nazwać jakiegoś dzisiejszego osaczenia, jakaś niejedna presja, jakieś poczucie całkowitego zniewolenia na zupełnie innej płaszczyźnie, z zupełnie inną perspektywą nie sprawia, że wewnętrzny niepokój bohatera, jego psychiczny ból, jego nieodłączny strach, na swój sposób stają się dla nas zrozumiałe? Wojenne tło fabuły z dzisiejszej perspektywy wydaje się zupełnie nierzeczywiste, wręcz całkowicie wirtualne, ale czy nie jest tak, że poddani różnorodnym presjom naszej codzienności nie odnosimy coraz częściej wrażenia, że nasze życie toczy się w równie wirtualnej przestrzeni?

Powieści Grzegorza Kozery nie kończą się happy endem, co tym bardziej uwiarygodnia opowiadane przez niego historie, także *Berlin, późne lato* zawiera w sobie zarówno tragiczny finał, jak i swoiste ukojenie bólu. Finał zabiera bohaterów w świat nierzeczywisty, tyle że już niewirtualny, pojawia się nienazwana, ale zawsze transcendencja.

Ryszard Koziej

Grzegorz Kozera, *Berlin, późne lato*, Wydawnictwo „Dobra Literatura” 2013.

Dialog poetki z malarstwem (Nad *Listami do wyobraźni* Anny Błachuckiej)

Wywiad radiowy red. Ryszarda Kozieja z autorką

Ryszard Koziej – Przed nami najnowszy tom pani wierszy. Wierszy dokładnie zdefiniowanych, bo są to sonety.

Anna Błachucka – Lubię tę formę. Zresztą, lubię w ogóle formę w poezji. Chociaż tutaj prowokuję w kilku wierszach. Nie są to sonety *sensu stricte*. A druga rzecz to malarstwo, które sobie upodobałam. Fowizm Jerzego Świątkowskiego, surrealizm Tomasza Olbińskiego, lubię niezmiernie Beksińskiego, podoba mi się Siudmak, czyli takie malarstwo intelektualne, gdzie trzeba bardziej pomyśleć. Gdzie zabranie ludziom formy, takiej człowieczej, a przedstawienie ich dziwnie, klocko-wato, kubistycznie, nie zabiera im duszy, a wręcz przeciwnie, bardzo tę duszę podkreśla. Takie przełożenie niezmiernie mnie interesuje. Dlaczego podjęłam taką rozmowę? Dlatego, że te sztuki się porozdzielały, ludzie nie rozmawiają ze sobą, zamknęło się do takich małych kręgów intelektualnych to wszystko. Może trzeba zacząć, żeby malarze rozmawiali z poetami, poeci z muzykami w taki sposób, jak oni to rozumieją. Żeby odbiorcy nie bali się wypowiadać, ponieważ malarstwo jest wieloznaczne. To malarstwo zmusza do przemyśleń, zmusza do wypowiedzenia własnego zdania. Tu się nie patrzy, by tylko zachwycić, że piękne, bo ono czasami nawet takie nie jest w kategorii naszego pojmowania piękna, czyli pięknej kobiety, pięknego krajobrazu itp.

A dlaczego sonety? Bo sonety dla mnie to taka ramka poetycka. Cztery zwrotki, czyli prawie że „oprawiam” obraz tą formą.

R.K. – Zabrzmiało to bardzo technicznie. Sonet jako rama, a obraz w środku, ja się z tym absolutnie nie zgadzam. Powiedzmy, ten tom ma dwoje autorów. Na okładce Anna Błachucka – *Listy do wyobraźni*, ale też drugim autorem tego tomu jest Tomasz Olbiński.

Bo taka jest konstrukcja, zresztą, bardzo ładnie wydanej książki: na kredowym papierze, bardzo estetycznej w znaczeniu „przyjemnie wziąć ją do ręki”. Każdy pani sonet, a one zgrupowane są w cztery cykle, jest ilustrowany obrazem, grafiką Tomka Olbińskiego.

A.B. – Bywały takie sytuacje, kiedy miałam obraz i pisałam wiersz, ale bywały sytuacje odwrotne. Przekazywałam mu swoje niepokoje, a pan Tomasz mówił, że prześle mi taki obraz. „Zobacz. Jak byś moje myśli widziała, słyszała i przełożyła na słowo?”. Piękna przygoda, dziewięć lat przygoda z malarstwem Tomasza Olbińskiego. Najpierw, gdzieś około 2005 roku, powstało dziewięć sonetów, z którymi nigdzie nie wychodziłam. Autor obrazów nawet nie wiedział, że ja piszę. Dopiero jak się pojawił tu, w Kielcach, ja mu to przedstawiłam, zaczęliśmy częściej rozmawiać. Rozmawiać bardzo dziwnie, bo jedno zdanie tej rozmowy wystarczyło, abym dostawała scan obrazu na mejl, a ja wysyłałam swoje sonety, z których był bardzo zadowolony i z tego, co wiem, jest też z tej książki zadowolony. Że ładnie podane są te jego obrazy, ładnie rozmieszczone, że to jakoś gra. To akurat zasługa Izabeli Nowak, która podjęła się opracowania komputerowego tej pozycji.

R.K. – Przede wszystkim jakość reprodukcji jest bardzo dobra. Obrazy Tomasza Olbińskiego jednym słowem można określić jako surrealistyczne. Ale ta poezja taka nie jest. No właśnie. Poprzez samą formę... Zgadza się z panią. Rzecz jasna, to nie są takie klasyczne sonety. One są często przez panią modyfikowane. To nie jest też taki układ rymów, który mamy w klasycznym sonecie włoskim czy francuskim. Podział na strofy rzeczywiście jest chyba jedynym wyznacznikiem tych sonetów. Wewnątrz poszczególnych wersów dużo inwersji. To, co prawda, charakteryzuje niektóre sonety, ale rymy nie są tak dokładne. Mimo wszystko, ta konstrukcja jest bardzo silna. I jakby siłą rzeczy sonet przybliżył nas do form

bardziej klasycznych. Język sonetu – jakich by nie używać metafor – zawsze będzie bardziej dostojny od wiersza no, choćby białego, co powoduje, że pani obraz współczesności jest jakby zarchaizowany. I w tym tkwi dla mnie istota zaciekawienia lekturą tych tekstów. Bo z jednej strony podmiot liryczny, bohater liryczny... On też jest różny. Raz jest to mężczyzna, raz – kobieta. Postrzega współczesny świat, nasz dzisiejszy świat, ale zamyka go w dość archaiczną formę.

A.B. – To właśnie jest moja świadoma prowokacja. Sonet postrzegam przede wszystkim jako dobry sposób zorganizowania myśli. Jeśli mówimy o surrealizmie Olbińskiego, to jest to malarstwo poza grawitacją, więc przedmioty, sprzęty nabierają innego znaczenia. Wszystko to się unosi, fruwa, jesteśmy ileś tam metrów ponad ziemią, a ja niemalże cyrkowo, a właściwie bardziej teatralnie ściągam go na ziemię. Osiądźmy tutaj, rozmawiajmy tutaj... Informuję go w ten sposób, że chodzę twardo po ziemi. Patrzę za tobą, trochę się lękam w te sfery wejść, bo nie wszystko rozumiem, ale mam świadomość tego, że człowiek to nie tylko właśnie sama świadomość i rzeczywistość, ale ogromna sfera podświadomości. Może jej się ciut boję, stąd ją ujarzmiam, może ją nie do końca rozumiem...

Nie zamierzałam interpretować obrazów, ale rozmawiać z nimi. Wobec tego są to moje metody dialogu z tym malarstwem. Stąd ta forma – słusznie pan zauważył – nieco archaiczna, ale forma sprawdzona, która wrosła w czas, w ziemię, w myśl ludzką. Jestem tutaj ze swoim słowem, ze swoim pojmowaniem świata, niemniej ciekawi mnie bardzo, co się tam dzieje.

R.K. – Czytelnicy, owszem, sami oceniają, ale mają też utrudnione zadanie. Raz przez dość archaiczną formę, a dwa przez hermetyczność języka. Pani metafory są skomplikowane. Tej poezji nie czyta się wygodnie, nie czyta się jej lekko, nie czyta się jej łatwo. Co chwila natrafiamy na jakiś zgrzyt. Czy w samej konstrukcji sonetu, czy poprzez takie a nie inne budowanie metafor? One są kilkupiętrowe, wieloskładnikowe. Powoduje to, powtórzę, taką mocną hermetyczność tej wypowiedzi. Trudno, jednym słowem, przeniknąć przez ten pani świat.

A.B. – Bo też i trudne to jest zadanie sprowadzić sny, wyobrażenia, marzenia do realu. Nadziane jest to symbolami, nadziane znaczeniami odnoszącymi się do ludzkiego bytu, choć tak ładnie podane, bo malarz sobie gdzieś fruwa i zapewne więcej, lepiej widzi.

I stąd te sonety są takie jak ja. Obrazują, jak mocowałam się z danym tematem. Proszę zauważyć, co się dzieje na wystawach malarstwa nowoczesnego. Oglądających jest niewielu, a ci nawet, którzy tam są, boją się o tym mówić, czekają, aż znawca, czyli ktoś mądrzejszy, wyrazi swoje zdanie. Ja chyba też do tego grona należę, uważam, że jest to trudna sztuka – głęboko psychologiczna, filozoficzna,

a jednocześnie bardzo poetycka. Jest to sztuka bardzo bogata w sens, w przemyślenia dotyczące kondycji psychicznej i moralnej współczesnego człowieka. Umiałam przełożyć to na wiersz, co nie znaczy, że ktoś nie weźmie tych obrazów na warsztat swojej wrażliwości i nie zrobi tego inaczej. Bo, proszę pana, jak zobaczymy gęś, przepraszam, że tak z tą „gęsią” wyskoczyłam. Ptaki są bardzo częstym motywem obrazów Olbińskiego. Tak zatem, nawiązując, jednemu będą się te marzenia kojarzyć ze skrzydłami, że frunie, drugi zauważy, że będzie dobra, ciepła pierzyna, inny zobaczy ją...

R.K. – ...na półmisku.

A.B. – Na półmisku, tak. Wieloznaczność przekazu malarskiego kieruje człowieka na różne tory. Czasami odczuwałam, że rozbiegam się myślami, że mogłabym wielowątkowo i dłużej, więcej. Ale jak to jest z tym sonetem? Na koniec wypadaloby się określić. Chociaż aż takich rygorów myślowych sobie nie zakładałam, bym mogła tak przyszpilić je puentą, żeby znaczyły to, co widzę. One dla mnie są i będą zagadką, tak jak to malarstwo. Przepiękne malarstwo o wielkiej sile, o szerokim spektrum przekazu.

R.K. – Jak czytać te wiersze? Najpierw oglądać obrazy Tomasza, a potem konfrontować je z obrazem poetyckim czy odwrotnie? Najpierw przeczytać wiersz, a później odnajdywać ten wiersz z sąsiadującym z tekstem obrazem Olbińskiego?

A.B. – Odzywają się pierwsi czytelnicy. Jedna z czytelniczek w jeden wieczór obejrzała wszystkie obrazy, uczyła się ich przekazu, próbowała je na swój sposób odebrać, a dopiero drugiego dnia czytała wiersze. Bardzo ciekawy głos miałam z Sosnowca, gdzie czytelniczka przysłoniła sobie wszystkie obrazy, czytała wiersze i wespół ze mną próbowała sobie wyobrazić, co proponują obrazy Olbińskiego. To może wobec tego oddam to w ręce czytelników, nie będę instruować. Jest to, po prostu, moja indywidualna próba, moja jak najbardziej, tylko moja – patrzenia na obrazy Tomasza Olbińskiego.

R.K. – Zachęcam do własnych prób czytelników. Książkę opublikowała w Kielcach Oficyna Wydawnicza „STON 2”. A ja, dziękując za rozmowę, życzę pani dalszych konfrontacji poetycko-malarskich.

Zapis rozmowy w Radiu Kielce (19 listopada br.) red. Ryszarda Kozieja z Anną Błachucką – autorką tomu sonetów *Listy do wyobraźni*, zilustrowanego malarstwem Tomasza Olbińskiego.

Głos w dyskusji Zofii Korzeńskiej

Dyskusja nad sonetami Anny Błachuckiej rozgorzała już wcześniej, a zwłaszcza w związku z jej książką *Piac do podświadomości* (2012). Teraz ktoś nawiązał, że w radio-

wym wywiadzie z poetką red. Ryszard Koziej nazwał sonet formą archaiczną.

Nie ma w sztuce, w żadnej jej dziedzinie, rzeczy przestarzałych. Sztuka jest jednym ciągiem w skarbcu tradycji, w którym pewne tendencje się przewijają w łańcuchu dziejów wkoło. A mamy do czego wracać w kulturowej tradycji śródziemnomorskiej. Na jakiś czas niektóre tendencje przycichają, ale po pewnym okresie kolejne pokolenia twórców je wygrzebuje z tego skarbcza i ożywiają. To nieustanne odnawianie „zaprzyszłych” form potwierdza Wanda Skalska na portalu „Lampa Morska”. Tak właśnie jest z sonetami. Red. Ryszard Koziej opowiadał się również za tym, zresztą, we wstępie do swojej, wydanej niedawno, pracy doktorskiej o franciszkanizmie w poezji Młodej Polski (*Modlitwa, zachwyt, pokora*, „Apostolicum” 2013), pisząc, iż spojrzenie na „dzisiaj” dokonuje się poprzez przypomnienie „wczoraj”. Można by przytoczyć długą listę kontynuatorów formy sonetu w poezji polskiej. Spośród głośniejszych poetów naszych czasów sonety pisali (czy piszą) J.M. Rymkiewicz, B. Zadura, z młodszych np. Wojciech Wencel, Artur Fryz, Sławomir Rudnicki czy Stanisław Chyczyński. W środowisku świętokrzyskim poza Anną Błachucką zwraca moją uwagę Grzegorz Stachura. A więc sonet jest obecnie nie tylko dość często stosowany, ale stał się też pewnego rodzaju wyzwaniem dla poetów – tak co do formy, jak i treści w nim zawieranych.

Nie znaczy to, że wszyscy musimy lubić formę sonetów. Osobiście jej nie uprawiam i nie przepadam za nią u innych, bo ta forma skupia uwagę na samej sobie (rymy, rygory wersowe, inwersje etc.), tym samym przeszkadza w recepcji treści utworu. Myśli zawarte w sonecie (na ogół myśli ważkie) często mi w pierwszym czytaniu/słuchaniu uykają. To jest naturalne. Im kunsztowniejsza forma, tym bardziej skupia na sobie uwagę odbiorcy. Nie każdy ma napoleońską podzielność uwagi. Nawet w życiu codziennym możemy to spostrzec. Jeśli np. prezenterka prognozy pogody w telewizji pokaże się na ekranie w ekstra kreacji, to łapię się często na tym, iż tak jestem zaabsorbowana szczegółami jej ubioru, że uykają mi detale pogody. Przeszkadza mi więc zbyt ciekawy strój osoby. A przecież lubię patrzeć na dobrze ubrane panie, cenię sobie szczególnie „malarskość” ich ubioru, szyk kroju, smak, pomysłowość, ale przy tym i umiar. Sprzeczności.

Podobnie jest z bogatą formą w literaturze. Może się nam podobać, może nie podobać, a może czasem podobać, ale przeszkadzać. No i właśnie taki mam skomplikowany stosunek do sonetów. To się odnosi na ogół do pierwszego ich czytania/słuchania. Zawsze mamy jednak jakąś możliwość drugiego czytania, analizowania, wnikania.

Jako autorka mogę sobie wybierać formę utworu, preferować taką czy inną, ale jako czytelniczka lub krytyk literacki nie mogę za wiele grymasić: lubię – nie lubię, bo

tym sposobem wiele bym straciła. Oczywiście, jedne mi się podobają mniej, drugie bardziej, ale ja muszę zaakceptować wszystkie wartościowe utwory – takie, jakie są.

Bo główne kryterium to: *d o b r e* – *n i e d o b r e*. Albo coś wnoszą do mojego wnętrza, albo nic. Co nam dają? Jakie jest ich przesłanie? A gorzej, jeśli wnoszą zło: rozbicie, złość, egoistyczne nastawienie itp. Albo dają dobre przeżycie – niekoniecznie radosne, czasem może to być słuszne oburzenie – albo nie; albo są banalne pod względem treści, jałowe, oklepane, bezmyślnie snobistyczne itp. Naturalnie, forma, język – w ogóle styl – są ogromnie ważne. To one często decydują, że my się utworem zachwycamy, że nam dają radość. Satysfakcję przynosi nam też rozwiązywanie trudności zrozumienia wiersza. Obecnie, niestety, mamy zalew wierszy schematycznych. One bywają „poprawne” i modne pod względem formy, napisane według utartych wzorów, ale co niektóre z nich nam dają? Jakie głębsze przeżycie? Jakie pokłady w nas poruszają? Jakie myślenie wyzwala? Są powszechnie akceptowane, bo „tak się teraz pisze”. Szablonowi poeci. Takich jest cały szereg.

Ja cenię sobie to zrobione „inaczej”, niekoniecznie modne. Anna Błachucka ma odwagę pisać po swojemu. Mówiłam to moim współdyskutantom.

Po formę sonetu sięgnęła w tomie *Niepodzielne jak tza* (2009). W sonetach swych prezentuje właściwie wszystkie treści: obyczajowe, moralne, społeczno-socjologiczne, polityczne, psychologiczne, filozoficzne, religijne, a przede wszystkim fascynuje ją i autentycznie wzrusza bogactwo i piękno przyrody, także jej trwanie, ekologia. Osia tematyczną całego tomu jest człowiek, jego natura, jego dążenia, jego skrzywienie moralne, liczne wady, także jego ból i cierpienie. I podobnie jest w następnych zbiorach jej sonetów.

A kolejne ich tomy u Błachuckiej to *Piać do podświadomości* oraz *Listy do wyobraźni*. Powstały z inspiracji obrazami Jerzego Świątkowskiego i Tomasza Olbińskiego. Jest to rodzaj dialogu poetyckiego z malarstwem, a często nawet – polemika. Na tle kolaży czy obrazów snuje ona niekiedy dość swobodnie własne myśli. Porusza problemy dotyczące naszego świata, naszego życia. Bardzo ciekawie je ujmuje, ma bogaty język, wartki i obrazowy, przy tym zwarty, często wyrażony za pomocą trafnych metafor, jakich przykładem jest już np. sam tytuł książki *Piać do podświadomości*.

Otoczając rzeczywistość widzi nie tylko oczami Świątkowskiego czy Olbińskiego, ale zarazem przez swoje doświadczenie, postrzeżenie, przeżycia. Błachucka często pokazuje świat chory, krzyczący o ratunek. Ale w tych sonetach wyraża też nadzieję na opamiętanie się człowieka. Po to pisze, by uświadomić ludziom autodestrukcję na wielu płaszczyznach, głównie obyczajowo-moralnej. Zwracają uwagę takie cechy twórczości poetki, jak wrażliwość i empatyczna spostrzegawczość, docieklive obserwowanie zjawisk. M.

Fryckowska tak krótko oceniła w mailu te sonety: „Wiersze są niezwykle – głębokie, mądre, wyrafinowane stylistycznie. [...] są takimi maleńkimi opowieściami. Rzeczywiście nieprzeciętna wyobraźnia, mądrość i warsztat poetycki”.

Ta ocena wartości merytorycznej sonetów Błachuckiej dotyczy także tomu *Listów do wyobraźni*, będącego tematem wywiadu red. Kozieja.

Podsumowując stwierdzmy, że choć sonety Błachuckiej to ogromnie ciężki kaliber treściowy, o powadze miejscami dosłownie śmiertelnej (ale przecież wartościowa literatura na tym polega), to niepozbawione są nadziei, a także humoru wplatanego czasem niespodziewanie. Bo takie jest życie: jego tragizm, komizm, sielanka, radości, nieszczęścia. Wymowa tych sonetów jest nader ważka, gdyż prócz radości porusza zwłaszcza bólczki świata.

Co do formy sonetu, to widzę u niej jakieś pośrednie, ale wyraźne nawiązywanie do tak wysoko dziś stawianego Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego, po którego sonety współcześni poeci chętnie sięgają i którego się nazywa patronem poezji

egzystencjalnej, także dzisiejszej. Okazuje się, że podstawowe problemy egzystencjalne poety dzisiejszego są w zasadzie te same, co i poety barokowego. Obraz świata w szczegółach technicznych może i jest inny, ale w kwestiach istotowych, duchowych – taki sam. A do ukazania tego klasyczna forma sonetu, czy ta trochę zmodyfikowana, całkiem dobrze się nadaje, co wyczuwają tak liczni współcześni poeci.

Trzeba tu jeszcze podkreślić to, co w wywiadzie Ryszarda Kozieja z Błachucką zostało zaakcentowane, że pięknie wydane tomiki jej sonetów, opartych na obrazach malarzy, z zaprezentowaną galerią tych obrazów, przybliżają do siebie te dwie dziedziny sztuki. Autorka sonetów i twórczyni tych tomików wnosi do naszej kultury duże bogactwo: budzi zainteresowanie u grona czytelników trudnym współczesnym malarstwem, ułatwia jego zrozumienie, poszerzając tym samym nasze horyzonty intelektualne. Przybliży także tradycję kulturalną, na co taki nacisk kładł Jan Paweł II: tradycja kulturowa to tożsamość narodowa, to tożsamość ludzka, egzystencjalna.

Bohdan Gumowski

Życie zatoczyło koło

Pewnego dnia 1992 roku usłyszałem intrygującą opowieść o małżeństwie, które po wielu latach emigracji powróciło z Anglii do Kielc. Zatelefonowałem. W słuchawce odezwał się miły, dojrzały głos kobiety z lekką nutką wschodniego zaśpiewu. Zaproponowałem wywiad i zostałem zaproszony. Domek przy ulicy Urzędniczej, zanurzony w ogrodzie, był, podobnie jak nowi właściciele, co prawda nie pierwszej już młodości, ale z charakterem – wskazującym na szlachetne pochodzenie. Wszedłem do wnętrza i zapachniało polską tradycją. Na ścianach szable, miniatury, obrazy – Józefa Piłsudskiego, militaria wskazujące na sentyment do polskiej wojskowej spuścizny; stylowe meble. Wtedy jeszcze nie przypuszczałem, że ta wizyta stanie się początkiem wielu spotkań i tyluż godzin nagrań, które zaowocują całym cyklem audycji wspomnieniowych, a także nagrodzonym reportażem. Pani Zbigniewa opowiadała mi o swej życiowej drodze, tak ciekawej i intrygującej, że mogłaby służyć za scenariusz filmu o polskich tułaczkach.

Miałem również wówczas okazję poznać pana Henryka – jej męża. Na pierwszy rzut oka można było sądzić, że ma się do czynienia z człowiekiem, który na co dzień stykał się z wojskiem. Postawa, sposób poruszania się, gesty wszystko wskazywało że pan Henryk przez wiele lat jadł żołnierski chleb.

Wspomnienia pani Zbigniewy malowane słowem niezwykle barwnie i sugestywnie, wiodły mnie przez kolejne etapy jej tułaczki. Choć papier nie jest w stanie oddać emocji i wzruszeń

zawartych w głosie opowiadającej bohaterki, jak też przywołać muzyki służącej za ilustrację reportażu, tym niemniej...

Mój ojciec – doktor prawa – był sędzią sądu okręgowego w Kołomyi, ja zaczęłam studia na uniwersytecie we Lwowie. Dla mnie wspomnienie tamtych lat, to radosne przypomnienie Karpat, Prutu, Czeremoszu, ludzi i naturalnie rodziny. Pierwszy września 1939 roku był po prostu szokiem. Jakoś nie mieliśmy włączonego radia. Poszłam z mamą do znajomej księgarni, gdzie można było też wypożyczyć książki, żeby oddać przeczytane. Właściciel powiada: „Jest wojna”. Matka, która przeżyła I wojnę światową – zbladła. Front zbliżał się bardzo szybko. Piętnastego września do Kołomyi zaczęły napływać oddziały naszego wojska. Rydz-Śmigły i jego cały sztab kwaterował w bursie studenckiej, a u nas w domu kwaterowało chyba ze czterdziestu oficerów i podoficerów. Cały ten sztab zaczął w sobotę szesnastego września odjeżdżać w stronę Rumunii, i na granicznym moście w Kutach dwóch naszych oficerów, dziś już nazwisk nie pamiętam, zastrzeliło się. Dla nich honor był najważniejszy, nie zezwalał na ucieczkę.

Siedemnastego weszli już bolszewicy i w poniedziałek na mieście pojawiły się rosyjskie czołgi. Strach był przemożny, bo to była dla nas zupełnie nieznaną siłą. Zaczęli od Ukraińców – adwokatów, profesorów gimnazjalnych... W pierwszych paru dniach wyczyścili całe miasto. Potem

przyszedł trudny okres. Codziennie słyszało się, że kogoś ze znajomych aresztowali. Jedenastego kwietnia w nocy przyszli do nas. Rewizja w domu to jest coś, co w ogóle trudno opisać. Wszystkie szuflady, wszystkie książki, fotografie, co było w domu, to leżało na środku pokoju. Zabrali ojca, tak jak stał. Rano poszłam do biura: „To jeszcze za wcześnie, nie można nic powiedzieć. Jeszcze nie wiadomo, jeszcze nie wiadomo”. Poszłam więc do znajomych, chodziłam po różnych tam adwokatów Żydach, no i jeden z nich obiecał pomoc. Powiedział, że pójdzie i się dowie. Wrócił przybity:

– Niestety ale... oni twierdzą, że ojca w ogóle nie aresztowali.

Już nigdy w życiu ani nie spotkałam ojca, ani nie dowiedziałam się, co się z nim stało. Przepadł. Jak wielu, wielu innych Polaków.

O godzinie gdzieś pierwszej w nocy z dwunastego na trzynasty obudził nas łomot do drzwi: „Otwierać!”. Przyszli z bagnietami na broni. „Zabirajcie z wieszczami” – spakuj się i chodź”. Co zabrać – matka załamana aresztowaniem ojca chodziła bezradnie po pokoju. Młody enkawudzista podpowiadał: „Bierz ciepłe rzeczy i wszystko, co potrzebne w gospodarstwie. Tam niczego nie ma”. Sam wyspał do kufrów zawartość pudełka z nićmi, igłami i szpilkami. Pojechaliśmy na stację. Tam masę znajomych już czekało na swoich kufrach i walizkach. Zapakowano nas do bydłowych wagonów, pozamykano drzwi, wszystkie okna zabito deskami, no i ruszyliśmy w nieznaną. Zaczęliśmy śpiewać. Najpierw pieśni kościelne, później najrozmaitsze piosenki patriotyczne. Żołnierze z karabinami biegali od wagonu do wagonu tłukli kolbami karabinu w drzwi i wrzeszczeli – „Nie szumit!”. Gdyśmy dojechali do granicy, wiadomo było już, że jest bardzo źle i wtedy zaczął się płacz.

Mijały dni w tej podróży pełnej udręki. Przez Ural przejeżdżaliśmy o świcie. I ujrzałam nagle krajobraz, który był niewyobrażalnym zupełnie pięknem. Słońce, śnieg, drzewa, góry – trudno to wysłowić. Zdawać by się mogło, że w takich czasach, w takich chwilach pewne rzeczy nie powinny w ogóle być zarejestrowane, nie powinno się ich zauważyć nawet. Ale to było coś tak cudownego, że gdyby mi było dane kiedykolwiek jeszcze raz pojechać i zobaczyć Ural w pełnej krasie, to chętnie pojadę.

Potem był już bezkresny step pokryty śniegiem. Wreszcie po dwudziestu jeden dniach dojechaliśmy do Semipałatyńskiej Oblaści. To południowo-wschodni Sybir, Kazachstan. Była noc. Na wysokim nasypie, stanął pociąg w szczerym polu. „Wysiąść!”. Na dole stali Kazachowie. W poświęcie księżycy ci ludzie w czapach, z płaskimi nosami, skośnymi oczyma, gardłowym dźwiękiem mowy – byli naprawdę przerażający.

Na piechotę bez przystanku, bez wody, bez jedzenia maszerowaliśmy od godziny drugiej w nocy do szóstej wieczór. Wreszcie, nieludzko zmęczeni, dotarliśmy do miejsca

naszego przeznaczenie – wioski, która się zwała Czatabaj. To był sowchoz i nasz pierwszy dzień w nim – dzień trzeciego maja. Już następnego dnia zagoniono nas do pracy. Właśnie kończyła się zima. Popłynęły lody i stopniały śniegi. Zaraz potem, pamiętam to po dziś dzień, zakwitł step. To było coś fantastycznego. Wszystkie te piękne kwiaty, które z pietyzmem się hodowało w polskich ogrodach, tak ostrożnie, żeby podlać, a nawieźć, a przykryć przed mrozem, tutaj kwitły jak szalone: hiacynty, tulipany, żonkile, ostróżki; kolorowo, bajkowo... To jednak był bardzo krótki czas. Minęły trzy miesiące i piętnastego sierpnia zaczęła się zima. Spadły pierwsze śniegi, chwycił pierwszy mróz, a potem przyszła już prawdziwa zima, ostra. Śniegu było tyle, że naszej lepianki nie było widać. Po jej dachu jeździły sanie. Rano, żeby otworzyć drzwi, trzeba było kopać tunel w śniegu. A praca była ciężka. Należało wykrawać z udeptanego śniegu bryły i układać je w stosy. Nazywało się to „śniegozadzierzanie”. Gdy wiosną przychodziła odwilż i nastawała susza, śnieg w przyzmacz topniał powoli i nawadniał pola.

Głód był normalną częścią codziennego życia. Zwłaszcza zimą dokuczał. Dostawaliśmy czterysta gramów chleba na dzień i to było całe pożywienie. Jak czasem nie dowieźli – to nie było. Wtedy brało się jakieś prześcieradło, coś co zostało jeszcze z przywiezionych rzeczy i szło się do kołchozu na wymianę. Raz, gdy poszliśmy z koleżanką, bo głód już bardzo dokuczał, zapukałyśmy do drzwi domu takiej starej Rosjanki, no i pytamy, czy może nam na wymianę coś dać do jedzenia, a ona już od drzwi mówi, że nic nie ma. Ale nagle coś jakby ją tknęło, mówi: „Poczekajcie”. Gdzieś poszła i po chwili niesie w ręku, niczym skarb jaki, cebulę. Jedną dorodną cebulę. I mówi: „To jest wszystko, co mam, ale mnie zabrali córkę i może też jej ktoś da jedną cebulę”.

Minął rok, jakże obfity w wydarzenia. Niemcy zaatakowali Rosję i wszystko się odmieniło. Z wrogów staliśmy się aliantami. W Kujbyszewie powstała polska ambasada i powstało pismo „Polska – tygodnik dla Polaków w ZSRR”. Ożyła nadzieja. Dostałyśmy zezwolenie na opuszczenie Czatabaju i w sierpniu 1942 roku zaczęła się nasza wędrówka do Iranu. Pieszko, pociągami, chwilami już bez nadziei, że nam się uda dojechać. W drodze z Jangi-Julu do Krasnowodska pociągami, w jednym z wagonów urządzono ołtarz i kapłan odprawił mszę świętą. Dla nas pierwszą od wywózki. To co wówczas czułam jest dziś trudne do opisanego: radość, uniesienie, smutek, żal – wszystko to razem się mieszało. Tam też, po raz pierwszy usłyszałam pieśń; „O Boże skrusz ten miecz, co siecze Kraj...”. Po dzień dzisiejszy, jak słyszę tę pieśń śpiewaną w kościele czy na jakichś uroczystościach, to mnie coś chwyta za gardło i o tym, że bym mogła śpiewać – mowy nie ma. Ale, to tylko tak...

Z Krasnowodska, gdzie spojrzeć piachy, piachy, piachy i na wzgórkach polski cmentarz. Las krzyży. Groby naszych

ochotników, którzy często przebyli tysiące kilometrów, by służyć Polsce i już niemal u celu swej podróży zmarli z wycieńczenia. Liczono, że tam pochowano około dwu i pół tysiąca naszych. My idziemy do portu. Siedem kilometrów w piachu. Ostatnia kontrola NKWD i ładują nas na sowiecki statek. Tysiące ludzi wychudzonych, brudnych, w łachmanach. Prawdziwe piekło. Po jednej stronie leżą pokotem, często we własnych odchodach, chorzy na czerwonkę, tyfus, wszystko jedno jak to zwąć. Po drugiej stronie leżą nasi junacy – to znaczy młodzież w wieku od lat dwunastu do piętnastu, równie chorzy. Jak przychodzi fala, to zalewa ich i zalewa nas siedzących w środku. Zaczęłyśmy tych nieszczęsnych opatrywać. I tak, przez jakieś osiemnaście godzin byłyśmy siostrami miłosierdzia.

Wreszcie wysiadamy w Pahlewi. Na brzegu stoją oficerowie angielscy, którzy te nasze chore dzieciaki na rękach przenoszą. Widzę, stoi taki młody 22–23 lata porucznik angielski i podają mu dziecko czarne. Nie chodzi o rasę. Czarne, bo porosłe mchem. To jest coś niesłychanego, niebywałego. Jeżeli ktoś przeżył niesamowity głód, to podobno porasta mchem. I ja takie dziecko tam widziałam. Ten porucznik wziął tego półtorarocznego, może dwuletniego – trudno powiedzieć – dzieciaka na ręce, przytulił i rozplakał się jak małe dziecko.

I tak objechaliśmy świat dookoła – aż do Bejrutu. Przyszwał rok czterdziesty szósty. Byłam w takiej grupie studenckiej, która studiowała na uniwersytecie francuskim i amerykańskim. Jednego wieczoru, ponieważ urządzaliśmy tam sobie potańcówki i podwieczorki, na takie spotkanie zaproszono Hankę Ordonównę. Przyszła w upalny lipcowy dzień w grubej, wełnianej długiej spódnicy, owinięta dużym, ciężkim, ciepłym wełnianym szalem. My byłyśmy w zwiewnych sukieneczkach, a i to było nam za gorąco. Natomiast jej było wciąż zimno. Gruźlica już zrobiła swoje. Do fortepianu usiadł jeden z naszych studentów i Hanka zaczęła podróż po Polsce. To była taka melodeklamacja szeptem. Pięknie malowała głosem i gestem. Przy tym prosiła siebie wyobrazić fantastyczną wymowę ślicznych, białych rąk. Przejechaliśmy przez Warszawę, Gdynię, Lwów naturalnie... Pamiętam, jak deklamowała wiersz *Dorożka warszawska* i w pewnym momencie zobaczyłam tę dorożkę. Zresztą nie tylko ja. Gdy ucichł fortepian i ucichła Hanka, sala długo milczała. Przez jakąś minutę, może dwie, nie wiem, byłam jak odurzona, nikt nie drgnął. Dopiero potem burza oklasków, podziękowania, kwiaty, radość i entuzjazm. Ale przez te parę sekund myśmy nie chcieli wrócić ani do Libanu, ani do rzeczywistości, chcieliśmy w dalszym ciągu iść za jej szeptem, tam gdzie nas prowadziła.

Wreszcie po różnych perypetiach w 1947 roku dotarłam do Anglii. Jeśli chodzi o nas, o Polonię, mieliśmy fantastyczną opinię: praworządnych, pracowitych – ideałów jednym słowem. A w nas tęsknota: dlaczego nie możemy pracować w swoim kraju?! Ja, kończąc studia w Bejrucie, marzyłam

o tym, że wrócę do Polski i będę, znając cztery języki, czy nauczycielem, czy urzędnikiem w jakiejś handlowej firmie. Niestety. Pracowałam w szkole angielskiej, byłam ceniona, szanowana, ale nie mogłam uczyć naszych polskich dzieci. Wobec tego pracowałam pięć dni w angielskiej, a szóstego dnia w polskiej sobotniej szkole. Czegośmy tam uczyli? Tego słowa, które dzisiaj w Polsce jest niepopularne – patriotyzmu. Pamiętam, jak taki czterolatek stanął przed zgromadzeniem i mocno sepleniąc recytuje: „Kto ty jesteś – Polak mały...”. Siąkanie nosami, słychać szloch, sala ryczy. I tegośmy ich nauczyli. To było dla nich jak bajka: tatuś był w AK, mama była na Syberii. Któregoś dnia idę ze swoim synkiem, jedenastolatkiem wówczas, i kwitną żółte akacje. Cała aleja wysadzona żółtymi akacjami. Białych akacji w Anglii nie widziałam. I powiadam do syna: „Wiesz, w Polsce teraz kwitną białe akacje”. Mały spojrział na mnie i mówi: „Teraz wiem, czym jest Polska”.

W Anglii pracujemy, żyjemy, bawimy się, tańczymy, zwiedzamy, jeździmy po Europie. Przychodzi rok 1989. Krach w ZSRR. Nie do uwierzenia. Polska jest wolna! No to poszłam do polskiej ambasady i po trzech tygodniach dostałam oficjalne pismo z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z Warszawy, że pani Zbigniewa jest polską obywatelką. W 1990 roku, po pięćdziesięciu latach, jadę do Kraju. Muszę powiedzieć, że jegomość, strażnik na granicy, zobaczył paszport i pyta:

– Kiedy pani była ostatni raz w Polsce? Bo jest nowy paszport.

– Pięćdziesiąt lat temu.

Oniemiał. Jedziemy do Warszawy, potem do Skarżyska, do rodziny mojego męża. Jesteśmy wszędzie fetowani, wspólnie podejmowani. Pamiętam, jak przyjechała córka z Anglii, żeby nas odwiedzić tutaj zaraz po naszym przyjeździe i poszłyśmy do kościoła. Nadszedł moment, gdy kapłan mówi: „Przekażcie sobie znak pokoju” i wszystkie panie wokół nas z ponurym wyrazem twarzy skinęły leciutko głową. To miał być znak pokoju. Ale dziś już się uśmiechają, nawet w kościele. A mój syn dzisiaj pracuje w Polsce dla polskich dzieci.

Opowiadała pani Zbigniewa Pawelec. Reportaż został nagrodzony w kategorii monologu w ogólnopolskim konkursie Polskiego Radia „Polska i świat”.



Kolaż I. Nyczaj

Urok ziem odzyskanych

Zbiór kilkudziesięciu opowiadań Leopolda Wojnakowskiego to realistyczny obraz życia mieszkańców ziem



zachodnich w Polsce po II wojnie światowej, napisany z pasją i entuzjazmem dla czasów młodości. Bohaterowie opowieści z powodu politycznie wymuszonych migracji ludności tworzą ciekawą mozaikę kresowiaków, Niemców i polskiej administracji, co czasami daje w efekcie mieszankę wybuchową racji nie do pogodzenia. Miejsca zdarzeń zmieniają się w czasie – na początku pojawia się Rinsdorf – później Rynów – wieś z zamkiem i posiadłością esesmana von Labach, a po wojnie PGR kierowany przez inżyniera Polaka – w randze kapitana. Dalej akcja przenosi się do Różanowa nad rzeczką Szabasówką. Nad porządkiem czuwała nowa władza komunistyczna, ale przemiany społeczno-polityczne nie są tu ważne, ale ludzie, ich emocje, pasje, charaktery, nawyki ciekawie sportretowane przez autora, który swoich bohaterów traktuje ciepło, bądź z łagodną ironią.

Wszystkie opowiadania mieszczą się w czasach wczesnego PRL-u, w epoce priorytetu pracy nad zabawą, poczucia zawodowego obowiązku, kiedy praca i odpowiedzialność za nią były rzeczywistym miernikiem wartości człowieka, a wszelkie pozorowanie pracy i odstępstwa były zazwyczaj piętnowane i wyśmiewane, podobnie jak ludzie nadużywający władzy.

Narrator snuje opowieści o zdarzeniach niecodziennych: kino objazdowe na wsi, amatorskie przedstawienie „Krysi

leśniczanki”, strachy Zapadliska i odgłosy duchów z cmentarza niemieckiego, ale najlepiej i najczęściej przedstawia sceny męsko-damskie, miłości, romanse i schadzki, a uroda kobiet w nich obecnych warta jest cytatu z wiersza Schillera: „Ciało kobiety jest to wiersz, który z popędu ducha wpisał sam Stwórca nasz i Pan naturze do sztabu”. Narrator-bohater ma również świadomość rewolucji obyczajowej czasów powojennych: „przyszedł taki czas, że nie wieszano za miłość, stąd eksplozja wszelakich jej przejawów bez formalizowania”. Narrator „starzeje się” na naszych oczach – wyczuwa zbliżanie się kolejnego „zakrętu historii”, zauważa przemiany mentalności ludzi, o czym wymownie świadczy ostatnie opowiadanie *Stonowane barwy wskaźników*, gdzie następuje zderzenie ludzi wiozących dyrektywę ze „Zjednoczenia” rządzącego resortem gospodarki z szefem prywatnego gospodarstwa rolnego z sztydem spółdzielni, który prowadzi mały hotel, restaurację, hodowlę, uprawy kwiatów i owoców, wychodzi na swoje i cieszy się życiem.

Twórca opowiadań obdarzony jest nie tylko talentem narracyjnym, ale i poetycką wyobraźnią, szczególnie obecną w krótkich opisach-obrazach, wskazujących na miłośnika poezji J. Tuwima czy K.I. Gałczyńskiego: „Wczesne lato./ Księżyc wyprawiał harce/ To bódł niebo bawolimi aż się chmury rozpierzchnyły, to jak złożony naleśnik, niósł w sobie tajemniczy farsz [...] A czeluści parku kipiały zielonością i obietnicami intymności”. Przed oczami czytelnika pojawia się „słońce w kropkach rosy, zapach skoszonego siana, mleczność ziarna w kłosie” albo „Niebo w ćwiekach i grający śnieg”. Swojskiego uroku opowieściom nadaje powtarzający się motyw biesiadowania z kieliszkiem zimnej czystej pod domowej roboty śledzika, a także częsty udział zwierząt w życiu bohaterów np. piękna rozmowa z koniem w śniegu z deszczem, gdy bryczka prawie tonie w ciemnościach, a Siwek „rozumie” i ratuje.

Na uwagę zasługuje język opowiadań – barwny, wyważony, z dodatkiem pikantnych określeń gwarowych, dowcipnych skojarzeń, co składa się na urok narracji. Wspaniałe poczucie humoru narratora wyzwala bohaterów z niejednej opresji i udziela się czytelnikowi. Chwilami ma się wrażenie, że zagościliśmy w Reymontowych Lipcach.

Jadwiga Jermak

Leopold Wojnakowski, *Bryka, wierzchem i na piechotę*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2012, s.198.

„Empatia wrażliwości wobec wrażliwości innych” (Wstęp do tomu poetyckiego Doroty Kwoki *Wodospadem*)

Poezja to osobiwa, jakby nieoglądająca się na mody i trendy, raczej śpiewająca do krzyku, niekiedy boleśnie własna. Twórczość Doroty Kwoki to nagła spontaniczność, szczerość; ekspresja ta pozwala plasować ją w kategoriach naturalności. Zatem to *poetessa natus*, choć nieoddalająca się od ludzkich dokonań, od ewokowania cywilizacyjnych faktów, szeroko pojętej kultury.

Wiersze tej poetki są jednocześnie poszukiwaniem swojego miejsca *hic et nunc*, są szeregiem oryginalnie postawionych pytań o początek i sens ludzkiego bytu. Tak było i w poprzednich jej tomikach, choć w obecnym nastąpiła jakby sublimacja tematów. Nastąpił pewien akt poetyckiej dojrzałości. Zatem wspomniana spontaniczność nie goni wraz z liściem na wietrze, ona poddana została przez autorkę rygorom poetyckiej formy, literackim kanonom. Jednocześnie wymykająca się schematom, jakby świadomie podkreślająca, że sztuka, mimo iż jest konwencją, potrzebuje brnąć na przelaj, tym samym tworzyć nowe ścieżki.

Odniesienia do natury, które chyba stają się ciągiem narzędzi potrzebnych do ukazania podjętych myśli, sprzyjają tej żywiołowej lirycy. Stąd:

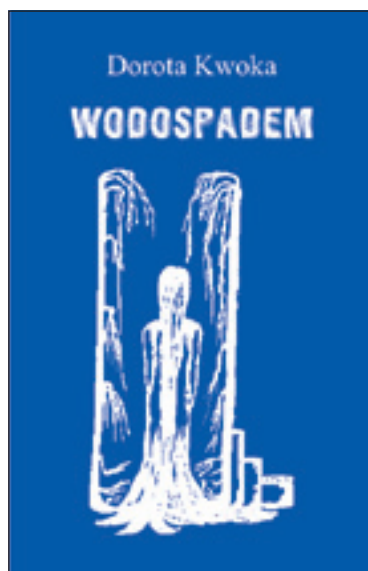
Kukułka
przywołała twoje dłonie

Jaskółki
dawały nadzieję na więcej

Sowa
zatrzymała noc

Gdzie jestem

Pytanie na poły retoryczne, lecz i z kategorii tych, które są pragnieniem zdobycia wiedzy; to także pytanie (owa ornitologiczna galeria „narzędzi” zdaje się podpowiadać) o właściwe



miejsce podmiotu lirycznego – człowieka w ogóle – w cywilizowanym świecie. Może aż boleśnie cywilizowanym...

Więź z naturą uwidoczni się także w cyklu utworów dotyczących regionu. Są to Bieszczady ze szczytem Tarnicy, na którą ktoś wędruje „golgota / z aniołami / na ramionach krzyża”. I „Caryńska / siostra / w zakonie Bieszczad”, Połoniń i Chryszczata. Ta magiczna Chryszczata u bram Bieszczad, z okami Jeziorek Duszatyńskich: „We mgłę poranka / noc leniwie żegna / Chryszczatą / Pozostawia / modlący się strumień / który obmywa z krwi / Czas / przykrywa zastygłe ciała / płacze / ciszą / a dorosłe dziś drzewa / jak żywa historia / pokazują / zardzewiałą przeszłość / wbitą w ich serca”.

Niby lakonicznie ukazany obraz góry – jednak z „zardzewiałą przeszłością”. Dorota Kwoka jest za młoda, by cokolwiek pamiętać z ech wojny, ale to właśnie Chryszczata była miejscem na krew. Sam wędrując bieszczadzkiemi szlakami, pod sosną, wśród rydzów przekłuwanych przez sosnowe igły, dojrzałem ludzką czaszkę. Czyli historia zatoczyła krąg, w oryginalny a prosty sposób upomniała się o tamte ofiary. Ilu młodych tak słyszy dawne echa? Właśnie ta góra z Jeziorami Duszatyńskimi była ważnym motywem w dramacie *Przed sklepem jubлера* Karola Wojtyły, powtórzonym później w *Tryptyku Rzymskim*. Pewnie jakiś duch Mroków tam utkwiał i przemawia przez nas, żywych, poetyckim językiem.

Krąg pejzaży bliskich autorce to także *Aleja* w przydworskim parku w Niwiskach, ze ścieżką „wydeptaną przez księcia Lubomirskiego // otuloną / śpiewem Jezuitów Sandomierskich”. Także rzeszowski rynek. Ale więcej tu rustykalnych obrazów, również tych przywołanych z dzieciństwa. Obrazów natury uroczej, niemal pejzaży z pocztówek, lecz i surowych, jakby pogańskich, jak na przykład w wierszu *Roje*: „Głazy – rumowiska os / ułożyły się w piramidę / ociekającą miodowym służem / Języki węży / zlizywały czułki / nieobecnością”.

Chłód i surowość, przetykane wężową grozą pejzażu, pełnią tu rolę strażnika moralności naturalnej. Owszem, zdaje się sugerować autorka, Natura jest okrutna, lecz na tyle, na ile jest to konieczne. Ptak nie połknie więcej, niż mu to konieczne do życia. Nawet gryzonia, gromadzące zapasy na zimę, instynktownie zbierają pożywienie w ilości, by tylko przeżyć. Człowiek? Człowiek ze swą wolną wolą i świadomością gromadzi, póki starcza mu żywota... Rzadko „wstuchuje się / w dzięcioła czasu” (*Kora*), który przecież odlicza nasze dni.

Innym cyklem – niewyróżnionym jako zwarty ciąg – są wiersze o uczuciach, zwłaszcza o nieokreślonej co do celu

tęsknocie oraz miłości. Miłość ma różne oblicza. „Wirtualni kochankowie” (z wiersza pod takim tytułem) „nie pamiętają dotyku ust / Wyobraźnią słów / rozkochują ofiary”, a jedna z nich wyznaje: „Dziś pragnę być wybranką / w klawiaturze opuszków / twojego namaszczenia”.

Czy i w sferze uczuć Natura objawia się nam jako uczciwsza strona życia? Nie okłamuje. Zwłaszcza wtedy, gdy nastaje *Bezsenna*: „Oddech dalszy / niż szept życia, widać jedynie kontury / światła na rzęsach / obutych / w ciężki tlen”. Samotny oddech bywa „ciężki”... Szczególnie gdy życie doświadczasz cierpieniem; gdy wspomnienie nieustannie nakłuwana ranę, jak w wierszu *Koniec*. „Koniec świata / zaczął się z chwilą / gdy zawiązali pętlę / na palcu”.

Z drugiej jednak strony obecność kultury wyraziście zaznacza się w tej liryce poprzez odniesienia do historii i obecnej rzeczywistości, porównań, które jakby stają się zwierciadłem myśli poetki. Stąd pojawiają się quasi-dialogi

z poezją Iłkowińczówny, stąd odniesienia do sztuki, zwłaszcza teatru. Dla tej poetki scena jest miejscem szczególnym (sama recytuje, współtworzy teatralne zdarzenia); dla niej po spektaklu „Teatr płonął / koszykami kwiatów”, jakby ją ktoś „wziął na ręce / na bis”.

Chwile oczekiwania na dobre zdarzenia to także czekanie na wiersz. Bohaterka jednego z nich wyznaje: „Dziś wiersz nie przyszedł / Wersy nie wysuszyły kałuży // Może wiersz narodzi się / na liściu wtulonym / w igliwiu nostalgii poranka”. Ale czy oczekiwanie na wiersz nie jest figurą, która sprowadza się do naszego (zawsze i nieustannie) oczekiwania lepszego dnia? Może również tak. Dorota Kwoka w taki właśnie – osobny i osobliwy sposób – ożywia czytelnika. To empatia wrażliwości wobec wrażliwości innych; zwłaszcza nas, którzy czytają wiersze.

Jan Tulik

Nowy tom z Kossakowskiej serii

Rafał Podraza – krytyk literacki współpracujący z periodykami „Prestiż”, „PAPERmint”, poeta (autor tomików: *Życie przez palce mi ucieka* (1998), *Moja intymność* (2006), *Przemijanie...* (2008), *Z Jasnorzewską w tle. Wiersze o miłości* (2010), *Bilans. 1987–2012* (2012), wiceprezes Szczecińskiego Oddziału ZLP – uczynił już, będąc młodym twórcą (ur. 1977), bardzo wiele dla spopularyzowania w atrakcyjnej formie wiedzy o wybitnych indywidualnościach z rodziny Kossaków i udostępnienia nieznanych kart z ich twórczości. Wydał książki: *Magdalena, córka Kossaka. Wspomnienia o Magdalenie Samozwaniec* (2007), *Wojciech Kossak* (2012), przygotował do druku książkę *Magdaleny Samozwaniec: Z pamiętnika niemłodej już mężatki* (2009), *Moja siostra poetka* [o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej] (2010) oraz napisał wstęp do wznowionej po 85. latach książki *Magdaleny Samozwaniec Kartki z pamiętnika młodej mężatki* (2011).

Niedawno, w 40. rocznicę śmierci Magdaleny Samozwaniec ukazało się w jego wyborze i opracowaniu drugie, uzupełnione wydanie wspomnień o Pierwszej Damie Polskiej Satyry, w którym Rafał Podraza zamieścił – jak mówi we wstępie – „kilkadziesiąt nowych wspomnień, niepublikowanych dotąd listów i zdjęć pisarki”. W książce znajduje się też osobny rozdział *Anegdoty, anegdotki*, zebrane „przez pięć lat szperania w zyciorysie i dorobku literackim Magdaleny Samozwaniec”.

(Red.)



Pejzaże pełne zdarzeń

(O poemacie Kazimiera Szczykutowicz *Świętokrzyskie nastroje*)

Opiewać swoją ziemię... Tak mówiło się dawnymi czasy, a samo słowo „opiewać” przechodzi powoli do lamusa anachronizmów. Jednak nie radziłbym się śpieszyć ze wszelkim „modernizmem”, z wylewaniem w kąpielach nowego czasu wartości fundamentalnych. Związki człowieka z jego ziemią oraz z naturą muszą pozostać czymś rudym, rudymentarnym; wszelkie ich wynaturzenie w gruncie rzeczy nie może prowadzić do lepszego życia ni świata.

W poezji od czasów antycznych mieliśmy liczne dowody tej harmonii. W poezji polskiej nawet ostatnich dekad nurt autentyzmu miewał się dobrze, mamy związane z nim wielkie nazwiska twórców i znakomite książki poetyckie. Niemniej niepokój jakiś „wisi w powietrzu”. Poezja ziemi, natury, przyrody, żywiołów, pejzażu wsiąka w jakąś niszę. Miasto nas pochłania i elektroniczno-cybernetyczna przestrzeń, wsiąkamy coraz bardziej w świat stworzony przez człowieka, a nie przez naturę. To też przecież zjawisko normalne, aczkolwiek niosące zagrożenia wieloaspektowej alienacji, zatrąty własnych korzeni.

Nie chciałbym przyjąć do wiadomości, że Kazimiera Szczykutowicz broni wartości anachronicznych. Jej poezję można zakwalifikować do klasycznie regionalistycznej, ale w tym też dostrzegać jej credo i siłę. Imponuje mi ten hymn na cześć Kielecczyzny – ziemi pięknej i niosącej na każdym kroku różnego rodzaju wzruszenia. W tych wierszach wartość tożsamości jest bardzo istotna – to nie są li tylko estetyczne i emocjonalne uniesienia, to jest także pewna filozofia życia i losu.

Poetka w swej autentycznej formule mówi wiele o sobie. Proszę zauważyć, że natura jest w tych wierszach powierniczką rozterek egzystencjalnych i właśnie w tym dialogu dochodzi do definiowania spraw ogólniejszych, wrażliwych i drażliwych, ale dzięki temu właśnie odczytuję tu nuty jakiejś kosmogonii i programu aksjologicznego. Dlatego proponuję wczytywać się w te wiersze jak w zapis rozterek i dylematów losu.

Nawiasem mówiąc znajdziemy tu również ciekawy „przewodnik” po Ziemi Świętokrzyskiej, echa przeszłości i historii, panoramę swoistej „biocenozy” oraz braterstwa natury i kultury. Znajdziemy też – mimo tradycjonalizmu poetyki Kazimiera Szczykutowicz – zachwycające wręcz konstatacje, i to często kryjące się w epigramatycznej formie, jak ten np. zapis: „podchodzi do mnie / niedowiarka myśl czarna / rama niewiedzy...”. Takich perełek tu wiele...

Dlatego wspieram ten tomik swoim głosem krytycznym, a Ciebie, Drogi Czytelniku, zachęcam do lektury. Ona może poruszyć wiele dobrych strun.

Kazimiera Szczykutowicz, *Świętokrzyskie nastroje*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2013, s. 67.



Skarby biblioteki Sienkiewiczowskiej

13 września 2013 r. w Pałacyku Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku (oddział Muzeum Narodowego w Kielcach), otwarta została nowa wystawa czasowa pod tytułem „Skarby biblioteki Sienkiewiczowskiej”.

Prezentowany na wystawie dawny księgozbiór pisarza pochodzi w całości ze zbiorów własnych muzeum. Do Oblęgorka trafił on w 1902 r., kiedy Henryk Sienkiewicz przeprowadził się z Warszawy do swojej nowej podkieleckiej rezydencji, ofiarowanej Mu przez naród polski na jubileusz 25-lecia pracy. Pisarz przechowywał swoje „skarby” w gabinecie oraz, jak wynika z relacji świadków, w pałacowej wieży. Niewiele z tego dobytku przetrwało zawieruchę dwóch wojen światowych. Część książek Niemcy spakowali na ciężarówki i „w trosce o bezcenny zbiór”, wywieźli do Kielc, a tam spalili. Ostatecznie udało się ocalić około 600 pozycji, w tym ponad pięćdziesiąt starodruków, które stanowią największą wartość oblęgorskiej biblioteki.

Rozkochany w literaturze Henryk Sienkiewicz miał wielu ulubionych pisarzy. Wśród rodzimych autorów, poza Adamem Mickiewiczem i Juliuszem Słowackim, cenił przede wszystkim Jana Kochanowskiego oraz poetów barokowych. Lubił twórczość Józefa Ignacego Kraszewskiego, miał bardzo pozytywny stosunek do poezji Marii Konopnickiej, za to krytykował pierwsze powieści Elizy Orzeszkowej, późniejszej kontrkandydatki do literackiej Nagrody Nobla. Cenił Stanisława Wyspiańskiego, choć nazywał go „geniuszem bez talentu”. Ogromne wrażenie wywarło na nim *Na Skalnych Podhalu* Kazimierza Tełmajera, sprzyjał Władysławowi Reymontowi, a o Stefanie Żeromskim powiedział, że ma on „zarys na wielkiego pisarza, ale niestety, konstrukcja jego dzieł to typowa polnische Wirtschaft”. Bliska Sienkiewiczowi była twórczość pisarzy starożytnych, wśród których kilku upodobał sobie w sposób szczególny. Zdecydowanie pierwsze miejsce w tej hierarchii zajmował Homer, autor *Iliady* i *Odysei*. Oba dzieła Sienkiewicz znał bardzo dobrze, a w prywatnej korespondencji często cytował całe fragmenty. Mniejszą nieco ciężko otaczał greckie tragedie, za to wysokim uznaniem cieszyli się u niego pisarze rzymscy, zwłaszcza Horacy, Wergiliusz i Tacyt.

W pierwszej części wystawy podziwiać można najcenniejsze starodruki. Niektóre z nich zdobią wyjątkowo piękne ilustracje i grafiki sprzed kilkuset lat. Ich stan zachowania jest na ogół dobry, biorąc pod uwagę upływ lat. Część

otrzymała nowe oprawy, bardziej lub mniej wystawne, ale spełniające swoją podstawową funkcję ochronną. Wiele ksiąg opatrzonych zostało pieczęcią Sienkiewicza, świadczącą, że faktycznie były one Jego własnością. W przeważającej ilości, starodruki były wydawane przez drukarnie działające przy zgromadzeniach zakonnych: pijarską w Warszawie, jezuickie w Warszawie i Wrocławiu oraz cysterską w Oliwie.

Najstarszym z prezentowanych dzieł jest *De origine et rebus gestis Polonorum libri XXX* Marcina Kromera, wydane po raz pierwszy w roku 1555 w szwajcarskiej Bazylei. Przez wielu znawców książka uważana jest za jedno z najwybitniejszych dzieł polskiej historiografii humanistycznej. Przedstawia dzieje naszego państwa do roku 1506.

Wśród starodruków należących do autora *Quo vadis* nie brakuje twórców starożytnych. Odnajdujemy tu m.in. rzymskiego historyka Tytusa Liwiusza i jego *Dzieje Rzymu*, opisujące legendarne początki Wiecznego Miasta oraz dalsze losy aż do 9 r. p.n.e. Nie mniej znanym od Liwiusza historykiem jest Swetoniusz, którego *Żywot Cezarów* zawiera biografie dwunastu rzymskich cesarzy, począwszy od Juliusza Cezara, poprzez Oktawiana Augusta, Tyberiusza, Kaligulę, Klaudiusza, Nerona, Galbę, Otona, Witeliusza, Wespazjana, Tytusa, na Domicjanie kończąc.

Następna kategoria starodruków to prace, które można zaliczyć do tzw. traktatów politycznych. Wśród nich są m.in. dzieła twórców renesansowych: *O poprawie Rzeczypospolitej* Andrzeja Frycza-Modrzewskiego i *Rozmowa o elekcyi, o wolności* Łukasza Górnickiego. Pierwsza pozycja stanowi zbiór osobistych refleksji i rozważań na temat państwa, począwszy od zagadnień związanych z jego funkcjonowaniem, poprzez sprawy moralno-obyczajowe, a na sprawach kościelnych, prawnych i edukacyjnych kończąc. Prezentowany na wystawie egzemplarz wydano w Wilnie w 1770 r. Z kolei *Rozmowy* Łukasza Górnickiego nigdy nie zostały ogłoszone przez autora drukiem. Kierowała nim prawdopodobnie obawa, że prezentowane w traktacie postulaty, nie zostaną zbyt przychylnie przyjęte przez szlachtę, zaś program reform wyda się zbyt radykalny. Praca dostępna była tylko w odpisach. W oblęgorskich zbiorach zachowało się wydanie z 2 poł. XVIII w.

Do tej samej kategorii zaliczyć można *O skutecznym rad sposobie* Stanisława Konarskiego oraz *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego* Stanisława Staszica. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z czterotomowym traktatem



politycznym, wydanym w latach 1760-1763. Taki też egzemplarz posiadał Sienkiewicz. Praca przedstawia wady ustrojowe Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Konarski wskazywał w niej na szkodliwość „liberum veto” i argumentował za stosowaniem zasady większości w Sejmie. Praca drugiego z wymienionych autorów została opublikowana anonimowo w 1787 r. i uważana jest za inicjującą wielki ruch umysłowy Sejmu Czteroletniego, w którym przeważała świadomość zagrożenia niepodległości Polski. Staszic zawarł tu propozycje środków zaradczych dla uratowania kraju przed upadkiem.

W bibliotece twórcy *Trylogii*, wielkiego miłośnika podróży, można odnaleźć wiele książek geograficznych. Ważne miejsce zajmuje tu *Świat we wszystkich swoich częściach* Władysława Łubieńskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, prymasa Polski, a także interrexa z 1763 r. Jego dzieło to zbiór wypisów z różnych prac geograficznych i historycznych, które po opracowaniu utworzyły obszerne, ujęte encyklopedycznie wydawnictwo, pierwsze tego rodzaju z zakresu geografii w języku polskim. Po raz pierwszy ukazało się ono w 1740 roku. Łubieński opatrzył je dedykacją dla króla Augusta II Wettyna.

W bibliotece Sienkiewicza znalazły się też książki o charakterze religijnym. Są to m.in. *Rozmyślenia albo lekcya duchowna*, autorstwa kaznodziei, teologa i publicysty, Tomasza Młodzianowskiego, ale zdecydowanie pierwsze miejsce należy się tu czołowemu przedstawicielowi polskiej kontrreformacji, Piotrowi Skardze. *Kazania o siedmiu sa-*

kramentach i Kazania przygodne stanowią kluczowe prace w dorobku tego autora. Pierwsza ukazała się w 1600 r., druga, stanowiąca wybór kazań maryjnych, dziesięć lat później. Autor obu dzieł był postacią nietuzinkową. Jezuita, teolog, nadworny kaznodzieja Zygmunta III Wazy i pierwszy rektor Uniwersytetu Wileńskiego. Był również znanym hagiografem. Jego *Żywoty świętych* miały służyć odnowie katolicyzmu w okresie potrydenckim. Cieszyły się ogromną popularnością aż do połowy XX w. Najbardziej znanym dziełem Skargi są jednak po dziś dzień

Kazania sejmowe, stanowiące sugestywny opis sytuacji Rzeczypospolitej Obojga Narodów, trawionej zdaniem autora przez liczne „choroby”. Całość dzieła składa się z ośmiu kazań, które nie zostały nigdy wygłoszone. Zawierają one postulaty dotyczące reform państwa, są też skierowane przeciwko ideom reformacyjnym. *Kazania* powstały pod wrażeniem sejmiku, który obradował w Warszawie od 10 lutego do 25 marca 1597 r. i rozszedł się bez powzięcia uchwały. Jego posiedzenia toczyły się wśród nieustannych awantur. Posłowie nie tylko zlekceważyli sprawę reform systemu parlamentarnego, ale i nie uchwalili podatków koniecznych dla obrony granic państwa. Dzieło Skargi początkowo nie zwróciło większej uwagi. Wydane po raz pierwszy w Krakowie w 1597 r. (później jeszcze dwukrotnie za życia autora: w 1600 i 1610), szybko poszło w zapomnienie. *Kazania sejmowe* były często włączane do *Kazań o siedmiu sakramentach* bądź do *Kazań przygodnych*. Tak też jest



w przypadku egzemplarza prezentowanego na wystawie, który stanowi część *Kazań przygodnych*.

Uzupełnieniem „skarbów” biblioteki Sienkiewicza są starodruki, które trudno jednoznacznie skategoryzować. Są to m.in. wydane w 1778 r. w Warszawie *Sielanki polskie z różnych autorów zebrane*, w których znalazły się utwory Szymona Szymonowicza, Adama Naruszewicza czy Szymona Zimorowicza. Autorami ilustracji, tzw. kopersztychów, obrazujących treść zawartych w zbiorze sielanek, byli dwaj artyści pochodzenia francuskiego, Charles Dominique Eisen oraz Joseph de Longueil. Aby nadać im polski charakter, francuscy artyści współpracowali z młodymi absolwentami Szkoły Rycerskiej, przebywającymi we Francji w Akademii Sztuk Pięknych – Józefem Orłowskim i Tadeuszem Kościuszką. Dzięki tej współpracy powstał jeden z najładniejszych druków polskich epoki stanisławowskiej.

Sztuka rymotwórcza Franciszka Ksawerego Dmochowskiego to z kolei poemat dydaktyczny, opublikowany po raz pierwszy w 1788 r. W założeniu autora miał stanowić pomoc dydaktyczną dla szkół, jednak szybko zyskał popularność klasycystycznego podręcznika dla poetów i czytelników poezji.

Dalsza część wystawy prezentuje ulubione książki Sienkiewicza, a wśród nich te, które urzekły pisarza w dzieciństwie. Do tej kategorii zaliczają się m.in. *Śpiewy historyczne* Juliana Ursyna Niemcewicza oraz *Historie de l'emereur Napoleon Laurenta de L'Ardeche`a*. W 1900 r. pisarz wyjaśnił redaktorowi „Wieczorów Rodzinnych”, Ignacemu Balińskiemu, skąd od najmłodszych lat wzięło się w nim zamiłowanie do książek. „(...) Nie wiem i nie pamiętam, czy umiałem już czytać, gdy uczono mnie *Śpiewów historycznych* Niemcewicza. Chciałem wówczas jeździć po cecorskim i po innych błoniach jak Sieniawski «odważny i smutny» – innymi słowy: pragnąłem być rycerzem. Potem rozpałił moją wyobraźnię *Robinson Crusoe* i *Szwajcarski*. Marzeniem moim było osiąść na bezludnej wyspie. Te wrażenia dziecinne zmieniły się z czasem w chęć i zamiłowanie do podróży. Porywy te zdołałem w części urczywić w życiu. Trzecią książką, która wywarła na mnie nadzwyczajne wrażenie, było ilustrowane życie Napoleona. Od chwili jej przeczytania chciało mi się być wielkim wodzem”.

Miejsce szczególne zajmowała u Sienkiewicza literatura angielska. Cenił przede wszystkim Williama Szekspira i Karola Dickensa. Kiedy w 1916 r. w Londynie ukazała się międzynarodowa księga hołdu w związku z 300-leciem śmierci Szekspira pt. *A Book of Homage to Shakespeare*, Sienkiewicz napisał do niej specjalny esej zatytułowany „Dlaczego mogłem czytać Szekspira”, w którym autora *Hamleta* nazwał „(...) najpotężniejszym po Bogu twórcą dusz, który panuje nad wypadkami”, zaś w prywatnych listach często przytaczał fragmenty *Króla Leara*, *Henryka IV*, *Otella* czy *Juliusza Cezara*. Wyjątkowo ciekawe jest też prezentowane

na wystawie „kieszonkowe” wydanie dramatów Szekspira z 1825 r.

Wielkim uznaniem Sienkiewicza cieszył się poeta i dramaturg angielski, George Gordon Byron, którego życie osobiste obfitowało w skandale obyczajowe, podróże po Europie oraz podboje miłosne. Ulubionym utworem Sienkiewicza był poemat dygresyjno-heroikomiczny *Don Juan* uznawany za „magnum opus” w twórczości Byrona.

Na wystawie znalazła się też powieść historyczna Waltera Scotta *Ivanhoe*, której akcja rozgrywa się w XII-wiecznej Anglii, opanowanej przez Normanów. Jej głównym bohaterem jest Wilfred z Ivanhoe, anglosaski rycerz. Jedną z występujących w utworze postaci jest też legendarny banita, Robin Hood.

Z autorów starożytnych w obłęgorskich zbiorach zachował się egzemplarz *Iliady* Homera, stanowiącej wraz z *Odyseją* najstarsze zabytki nie tylko literatury greckiej, ale i europejskiej, a także *Antygona* Sofoklesa, *Ody i epody* Horacego oraz *Tragedie* Seneki.

Jednym z głównych celów wystawy było przedstawianie książek wartościowych nie tylko ze względu na ich treść, ale również takich, które wydane zostały w nietypowej, oryginalnej formie. Prawdziwą ozdobą ekspozycji są przede wszystkim przepięknie zdobione albumy, które pisarz otrzymywał od rozmaitych instytucji, uczelni wyższych, mieszkańców miast, a nawet przedstawicieli poszczególnych zawodów, z okazji swojego jubileuszu. I tak, znaleźć tu można m.in. adres od Pracowników Dróg Żelaznych z rysunkami Feliksa Nowakowskiego; adresy od Polaków z Litwy, Odessy, od Ukraińców (Polaków mieszkających na Ukrainie), a także album od naszych rodaków z Moskwy, którego oprawę wykonała słynna firma Faberge. W zbiorze są też adresy od Koła Mieszczańskiego i Cechów Krakowskich oraz od Koła Literacko-Artystycznego we Lwowie. Większość albumów otrzymała wspaniałe oprawy, wykonane ze skóry, aksamitu, a nawet zamszu, na których umieszczone są przeważnie metalowe elementy, klamry, litery, plakiety z płaskorzeźbami, czy ornamenty roślinno-geometryczne. Na wielu oprawach znalazła się też data jubileuszu oraz dedykacja dla pisarza. Niektóre przyozdobiono należącym do Sienkiewiczów herbem „Oszyk” i innymi symbolami.

Na wystawie można również podziwiać albumy do dzieł samego Sienkiewicza. Jednym z nich jest album *Quo vadis* w oprawie zamykanej na dwie mosiężne klamry, który ukazał się w Paryżu w 1900 r. Wewnątrz znajdują się 22 karty z fotografiami obrazów Piotra Stachewicza. Uwagę zwracają ogromne rozmiary albumu, który po otwarciu ma około 1,2 metra szerokości. Kolejny album do tego samego dzieła, to ekskluzywnie wydanie, zawierające ilustracje Jana Styki i dedykację od artysty dla pisarza. Album wydany został w Paryżu w roku 1903 r. Co ciekawe Sienkiewicz nie zgadzał się, aby

powieść *Quo vadis* ilustrował Jan Styka, gdyż wcześniej obiecał już swą zgodę Piotrowi Stachiewiczowi. Mimo to wydawnictwo Flammarion zdecydowało się wydać książkę. Styka namalował ponad 150 ilustracji do powieści. Na wystawie można również zobaczyć album wydany dziewięć lat później, także w Paryżu, składający się z czternastu kart z fragmentami rzymskiej epopei Sienkiewicza, ilustrowanymi przez Stykę. Wstęp do albumu napisał znany francuski krytyk literacki Boyer D' Agen.

Inne powieści także doczekały się własnych albumów. W prezentowanym zbiorze zachował się wydany w roku 1900 album Konstantego Gorskiego do *Krzyżaków*, składający się z 17 kart. Na pierwszej z nich umieszczono dedykację dla Henryka Sienkiewicza od Zakładu Fotochemigraficznego B. Wierzbicki i S-ka z datą „Warszawa d. 22 Grudnia 1900 Roku”. Pozostałe strony zdobią fotochemigrafie rysunków ołówkiem Gorskiego. Z 1899 r. pochodzi natomiast wydany w Krakowie album do *Ogniem i mieczem*, zawierający wspaniałe ilustracje Juliusza Kossaka.

Dopelnieniem tej kolekcji jest piękne wydanie *Bartka Związczy*, które ukazało się w Paryżu w 1901 r. nakładem drukarni Paula Ollendorffa. Książka ilustrowana jest wykonanymi na marginesach oryginalnymi akwarelami O. Cortazzo.

W dalszej części wystawy podziwiać można m.in. *Złotą Biblię Klasyków* wydaną w Wiedniu w 1898 r., która zawiera 126 chromatograficznych obrazów według oryginałów mistrzów klasycznych. Dzieło na język polski przetłumaczył ks. Zygmunt Chełmicki, przyjaciel pisarza. Prezentowany egzemplarz подарowany został córce Sienkiewicza, Jadwidze, której ks. Chełmicki był ojcem chrzestnym. W obłęgorskich zbiorach zachował się ponadto egzemplarz *Biblii Królowej Zofii* wydanej we Lwowie w roku 1871.

Bardzo oryginalnie prezentują się również książki podróżnicze. Wśród nich na pierwsze miejsce wysuwają się *Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu*, wydane w 1896 w dwóch tomach. Pierwszy z nich opisuje wyprawę Józefa hr. Potockiego do Indii, a drugi na Cejlon. Obie prace należą do klasyki polskiej literatury poświęconej myślistwu, są też jednymi z bardziej poszukiwanych pozycji na rynku antykwarycznym. Albumy zdobią fotografie z wyprawy oraz kolorowe ilustracje Piotra Stachiewicza.

Na wystawie nie brakuje książek *stricte* historycznych, z których Sienkiewicz obficie korzystał podczas własnej pracy. Można wśród nich odnaleźć nazwiska najbardziej znanych historyków: Tadeusza Korzона, Aleksandra Brücknera czy Ludwika Kubali. Sienkiewicz posiadał ponadto w swojej kolekcji *Roczniki, czyli kronikę sławnego Królestwa Polskiego* Jana Długosza oraz *Pamiętniki* Jana Chryzostoma Paska.

Do obłęgorskich „skarbów” zaliczyliśmy kilka wydawnictw monumentalnych i wielotomowych. Są wśród nich m.in. *Słownik języka polskiego* Samuela Bogumiła Linde, znakomitego leksykografa, językoznawcy i bibliotekarza, opublikowany

w 1804 r. w Warszawie; *Encyklopedia Powszechna* Samuela Orgelbranda (Warszawa 1859–1863), w powstawanie której zaangażowanych było łącznie 181 polskich uczonych oraz *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* (Warszawa 1880–1902), rejestrujący toponimy z obszaru Rzeczypospolitej Obojga Narodów oraz niektórych terenów ościennych (m.in. części Śląska czy Prus Książęcych). Słownik ten był wielokrotnie wznawiany, po dziś dzień stanowi cenne źródło wiadomości geograficznych, historycznych, gospodarczych, demograficznych oraz biograficznych.

Wszystkie dzieła, które znalazły się na wystawie „Skarby biblioteki Sienkiewiczowskiej”, a które niegdyś stanowiły własność pisarza, są świadectwem tego, że właściciel Obłęgorka był osobą niezwykle czytającą, obeznaną ze światową literaturą, perfekcyjnie przygotowaną do własnej pracy. Historia Polski nie miała przed nim tajemnic, przy czym sięgał nie tylko do gotowych opracowań, ale też do źródeł, aby, jak można przypuszczać, samemu je interpretować, poznawać realia czasów, które bezpowrotnie odeszły, a do których pragnął powrócić w swej twórczości. A może po prostu uważał Sienkiewicz, że pewne dzieła trzeba znać, posiadać, że świadczy to o świadomości i dojrzałości intelektualnej? Obecnie pozostawione przez niego książki to niewątpliwie „skarby”, nie tylko ze względu na wartość materialną, ale przede wszystkim ze względu na to co mogą „powiedzieć nam” o samym ich właścicielu.

Wystawę „Skarby biblioteki Sienkiewiczowskiej” będzie można oglądać w Pałacyku Henryka Sienkiewicza w Obłęgorku do stycznia 2014 roku.

Tekst i zdjęcia: Łukasz Wojtczak
Asystent muzealny

Pałacyku Henryka Sienkiewicza w Obłęgorku



Henryk Sienkiewicz

Rys. Irena Nyczej

Słowiańskie objęcia

W dniach 20–25 maja 2013 roku, w Bułgarii odbywał się VII Międzynarodowy Festiwal Poezji „Słowiańskie objęcia”. Wśród bułgarskich gospodarzy i gości z Łotwy, Estonii, Białorusi, Rosji, Ukrainy, Mołdawii, Czech, Słowacji, Rumunii, Kosowa, Chorwacji, Macedonii, Czarnogóry, Słowenii, Serbii byli także poeci polscy: Barbara Gruszka-Zych, Miłosz Kamil Manasterski, Adam Siemieńczyk oraz piszący te słowa. Dobrycz i Warna, ale także Balczik, Szumen, Razgrad oraz Szabla to miasta, które podejmowały poetów. Konferencje prasowe, uroczyste koncerty, prezentacje autorów i ich twórczości, spotkania autorskie, spotkania z młodzieżą czy medialne relacje z Festiwalu były stałymi punktami codziennych programów.

Wiersze uczestników Festiwalu oraz noty o ich dokonaniach twórczych zostały zaprezentowane w języku bułgarskim, w Festiwalowym numerze pisma „Znaki”. Zwraçała uwagę troska i serdeczność gospodarzy, rozmach imprezy, wielość realizowanych działań. Starczyło czasu także na spacery brzegiem Morza Czarnego oraz odwiedzenie winnych piwnic. Głównym organizatorem Festiwalu była Ełka Niagołowa, poetka reprezentująca Słowiańską Akademię Literatury i Sztuki w Warnie. Przedsięwzięcie wspierała również „Poezja dzisiaj”, której wydawcą jest Aleksander Nawrocki i Wydawnictwo Ibis. W dniu 11 lipca 2013 roku w Bułgarskim Instytucie Kultury w Warszawie o Festiwalu opowiadali jego polscy uczestnicy.



Grupa poetów słowiańskich na festiwalu w Warnie



Jewgienij Gołubiew, Barbara Gruszka-Zych, Benedykt Kozieł, Miłosz Kamil Manasterski, Adam Siemieńczyk

Benefis Włodzimierza Kłaczyńskiego

Sala widowiskowa Samorządowego Centrum Kultury w Mielcu 19 września br. wypełniona była do ostatniego miejsca nie tylko sympatykami twórczości Włodzimierza Kłaczyńskiego, ale również osobami z nim zaprzyjaźnionymi i członkami rodziny, a okazja była niecodzienna – 40-lecie twórczości literackiej Pana Włodzimierza i 80-lecie jego urodzin.

Włodzimierz Kłaczyński urodził się 20 lipca 1933 r. w Żywcu. W 1935 rodzina Kłaczyńskich przeniósła się do Mielca i z Mielcem i okolicami Włodzimierz Kłaczyński związał się aż po dzień dzisiejszy. Z zawodu lekarz weterynarii, zaś z zamiłowania pisarz. Członek Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Swoją przygodę z książką rozpoczął w 1981 r., w którym to napisał swoją pierwszą powieść *Papielec*, na kanwie której zrealizowano serial telewizyjny pod tym samym tytułem.

W kolejnych latach ukazały się: *Wronie pióra* (1986) – tryptyk mikropowieści, *Anioł się roześmiał* (1994) – powieść napisana na zlecenie Telewizji Polskiej, *I pies też człowiek* (1997) – dzienniki lekarza weterynarii, *I kot ma duszę* (2001) – druga część dzienników, *Miejsce* (2005) – cykl powieści składający się z pięciu tomów, *Zasiłek Polski* (2008) – dwutomowa powieść jako kontynuacja *Miejsca*, *Skorpionada* (2010) – powieść radiowa, *Zobaczyć rzeczywistość... Włodzimierz Kłaczyński w rozmowie z Januszem Termerem* (2013) – wywiad rzeka.

W klimat spotkania wprowadził Big Band Samorządowego Centrum Kultury w Mielcu pod dyrekcją Waldemara Ozgi wykonując standardy jazzowe. Fragmenty powieści Pana Włodzimierza czytali Tomasz Łępa i Jan Stępień (pracownicy SCK w Mielcu, aktorzy działającego przy SCK Teatru Rozmaitości), przy akompaniamencie Kazimierza Koziola.

Oprócz części oficjalnej, podczas której prowadzący Piotr Durak prowokował niejako pytaniami Jubilata do najsłynniejszych zwierzeń, nie tylko z dziedziny jego twórczości, ale również sięgając do prywatnych zakamarków jego życia i pracy zawodowej, nie zabrakło licznych braw i odśpiewania tradycyjnego „Sto lat...”.

Po części oficjalnej życzenia Włodzimierzowi Kłaczyńskiemu kolejno składali: Krystyna Skowrońska – posłanka na Sejm RP, Janusz Termer – krytyk literacki, Edward Guziakiewicz – reprezentujący rzeszowski oddział ZLP, który odczytał list gratulacyjny od prezesa rzeszowskiego oddziału ZLP Edwarda Bolca, Jacek Tejchma – dyrektor SCK w Mielcu i Maria Błażków – z-ca dyrektora SCK d/s Miejskiej Biblioteki Publicznej.

List Władysława Ortyła, marszałka województwa podkarpackiego, odczytała Joanna Kruszyńska. Listy:

prezesa Kieleckiego Oddziału ZLP, Stanisława Nyczaja, oraz z Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie odczytała Jolanta Strycharz.

Z życzeniami w długiej kolejce ustawili się również przybyli na ten niecodzienny jubileusz Alicja Jachiewicz i Stefan Szmidt – aktorzy grający w *Papielecu*, Bronisław Kowalczyk – sekretarz Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej, Łucja Bielec – Prezes Fundacji SOS wraz z córką Kingą Bielec, która jest fotografikiem, mieszkańcy Golezowa, Józef Witek – autor *Encyklopedii Miasta Mielca*, Tadeusz Zięba – lekarz, przyjaciel Jubilata, przedstawiciele Gminy Tuszów Narodowy w osobie Renaty Paterak, Gina Jusiega – scenografka z Krakowa, wnuczka Jubilata Karolina Kłaczyńska oraz przedstawiciele bibliotek regionalnych.

Mam satysfakcję, iż mogłam uczestniczyć w tak pięknej i wzruszającej imprezie wraz ze Stachem Ożogiem i uściskać dłoń, która stworzyła tyle wspaniałych powieści.

Takie spotkanie nie mogłoby się odbyć bez zaangażowania wielu osób z obsługi technicznej, przy koordynacji ze strony Joanny Kruszyńskiej – kierownika Działu Organizacji Imprez Domu Kultury SCK i Jolanty Strycharz – instruktora Miejskiej Biblioteki Publicznej SCK. Podsumowaniem spotkania były życzenia wokalne w wykonaniu Magdaleny Kriger – aktorki, instruktora teatralnego Domu Kultury SCK.

Serdecznie gratuluję Włodzimierzowi Kłaczyńskiemu tak udanego benefisu i życzę wydania jeszcze wielu pozycji książkowych, a znając Włodzimierza, to z pewnością zaskoczy swoich czytelników, oczywiście przy wsparciu swojej małżonki Joanny, której Włodzimierz dziękował oznajmiając, iż bez jej wsparcia nie napisałby tylu powieści.

Najlepsze życzenia dla Państwa Kłaczyńskich!



Dorota Kwoka i Stach Ożóg składają życzenia Włodzimierzowi Kłaczyńskiemu
Fot. Marek Kokoszka z firmy FOTO LAB



Leszek Wawrzyk: *Wylew I*, wym. 80 x 60 cm, olej na płycie



Leszek Wawrzyk: *Wylew II*, wym. 90 x 70 cm, olej na płycie



Leszek Wawrzyk: *Jeźdźcy apokalipsy*, wym. 250 x 130 cm, olej na płycie



Leszek Wawrzyk: *Między dobrem a złem*, wym. 80 x 60 cm, olej na płycie